

Marina i Siergiej Diaczenko

Szrama

Szram

Cykl: Tułacze 02

Przełożył Witold Jabłoński

Solaris 2009



Prolog

Skądś się pojawił i dokądś zmierza. Wędruje po świecie, jak wędrują po niebie gwiazdozbiory. Tuła się po zakurzonych drogach i tylko cień podąża jego śladem.

Powiadają, że posiadał wielką moc... lecz owa moc jest nie z tego świata. Nawet magowie się go wystrzegają albo też nie mają nad nim władzy. Ten, kto stanie mu na drodze z wyroku losu lub bezmyślności, będzie przeklinał dzień, w którym doszło do owego spotkania...

Nieznane są jego zamiary, gdyż czasem potrafi obdarować wybranych. Cały świat zdaje się mu służyć jak wierny pies.

Górskie szczyty, kamieniste morskie wybrzeża, pagórki i szczeliny, pola... skrywają jego tajemnicę przed ludźmi.

Lasy i pogórza, wybrzeża i równiny, ścieżki i szerokie trakty...

Powiadają, że będzie tak tułać się przez wieczność. Strzeżcie się spotkać go na tłumnym jarmarku... lub w norze pustelnika, ponieważ może być wszędzie...

Czy na progu twojego domu nie stanęła jeszcze noga Tułacza?

Spis treści:

Prolog	2	
Część pierwsza EGERT		4
Rozdział 1	5	
Rozdział 2	40	
Rozdział 3	68	
Część druga TORIA	80	
Rozdział 4	81	
Rozdział 5	100	
Rozdział 6	143	
Część trzecia ŁUJAN	190	
Rozdział 7	191	
Rozdział 8	232	
Rozdział 9	250	

Część pierwsza

EGERT

Rozdział 1

Ściany załoczonej tawerny aż się trzęsły od pijackiego gwaru. Po rozlicznych toastach, serii tłustych dowcipów i wesołych przepychankach nadszedł czas tańców na stole. Tańczono z parą posługaczek. Czerwone na liczkach, zmęczone, lecz trzeźwe po długiej służbie, były jednak oszołomione blaskiem epoletów, guzików, naszywek oraz gorących spojrzeń, wyłaziły, zatem ze skóry, byle tylko dogodzić panom gwardzistom.

Kielichy i dzbany spadały z łoskotem na podłogę, srebrne widelce dziwacznie się wyginały, przydeptane ciężkim obcasem. W górze, niczym talia kart w dłoniach szulera, wirowały szerokie spódnice, aż szumiało w uszach. Karczmarka, mądra, wychudła staruszka, przesiadywała w kuchni i bardzo rzadko wysuwała nos ze swojej kryjówki. Wiedziała, stara szachrajka, że nie ma powodu do niepokoju, że gwardziści są bogaci i szcudrzy, straty zwrócą się z nawiązką, a popularność jej przybytku wzrośnie po stokroć...

Tańce zmęczyły w końcu hulaków. Hałas trochę przycichł, a zasapane posługaczki, poprawiwszy naprędce rozchełstaną odzież, napełniły winem ocalałe dzbany i przyniosły z kuchni nowe kielichy. Trochę się przy tym opamiętały, więc wstydliwie spuszczały oczęta, zastanawiając się zapewne, czy nie pozwoliły sobie wcześniej na zbyt wiele. W duszy każdej z nich kryła się niejasna nadzieja przeżycia czegoś niezwykłego. Za każdym razem, gdy zakurzony wojskowy but dotykał niby przypadkiem małej nóżki, owa nadzieja zalewała rumieńcem policzki i delikatne szyje.

Dziewczęta zwały się Ita i Feta, co sprawiało, że klienci bezustannie mylili ich imiona. Swoją drogą, większość gości ledwie już władała językiem, toteż nie była w stanie prawić im komplementów. Namiętne spojrzenia przygały, a wraz z nimi dziewczęca nadzieja na niezwykle przeżycie... Nagle w drewnianą framugę nad głową Ity wbiło się ostrze ciężkiego, bojowego kindżału.

Natychmiast zrobiło się cicho. Nawet karczmarka wychyliła z kuchni zaniepokojone, pobladłe oblicze. Hulacy rozglądali się w niemym zdziwieniu, jakby spodziewali się ujrzeć na zakopconej powale groźne Widziadło Łaszą. Ita otworzyła szeroko usta i zrozumiawszy po chwili, co się stało, upuściła na podłogę pusty

dzbanek.

W napiętej ciszy rozległy się łoskot przewracanego na podłogę, ciężkiego krzesła, potem chrzęst deptanych skorup rozbitego dzbana. Ktoś zbliżył się powoli do dziewczyny. U pasa miał pustą pochwę od kindżału. Wyrwał groźne ostrze z framugi, a z ciężkiego mieszka wydobył złotą monetę.

– Trzymaj, ślicznotko... Chcesz jeszcze?

W tawernie znowu rozległy się krzyki i śmiechy. Ci z gwardzystów, którzy byli jeszcze w stanie podnieść się z siedzeń, wesóło poklepywali jeden drugiego po plecach i ramionach, ciesząc się figlem swego towarzysza.

– Nie ma jak Soll! Brawo, Egert! Trafił w dziesiątkę! Spróbuj jeszcze raz!

Właściciel kindżału uśmiechnął się szeroko. Kiedy się tak uśmiechał, przy samych wargach na prawym policzku tworzyła się niewielka bruzda. Ita nie mogła od niej oderwać oczu.

– No, co też pan, Egercie... Jak tak można, panie...

– Co, wystraszyłem cię? – zapytał niezbyt głośno porucznik Egert Soll.

Spojrzenie jego jasnyniebieskich oczu wywołało gęsią skórę u nieszczęsnej dziewczynki.

– Ależ...

– Stań plecami do drzwi.

– Ależ... panie Egercie... dużo pan wypił...

– Co, nie ufasz mi?!

Ita zatrzepotała gęstymi rzęsami. Gapie wchodzili na stoły, żeby lepiej wszystko zobaczyć. Najbardziej pijani wytrzeźwieli wobec nowego widowiska. Trochę zaniepokojona oberżystka zastygła w kuchennych drzwiach, za białą zasłoną.

Egert zwrócił się do kolegów.

– Noże! Kindżały! Wszystko, co macie!

W ciągu minuty był uzbrojony niczym jeź w swoje kolce.

– Jesteś pijany, Egercie – wycedził, jakby mimochodem, drugi porucznik o imieniu Dron.

Z gromady hulaków wyskoczył śniady młodzik.

– A co on tam wypił?! Parę kropel... Po czym ma być pijany?

Soll zaśmiał się.

– Masz rację! Feta, podaj wina!

Feta posłuchała. Czyniła wszystko machinalnie, jako że nie mieściło się jej w

głowie, by sprzeciwić się życzeniu gościa.

– Ale... – wymamrotała Ita, patrząc, jak do gardła oficera spływa szemrzący winny potok.

– Ani słowa – wykrztusił tamten, ocierając usta. – Odsuńcie się wszyscy.

– On jest pijany! – zawołał ktoś z tylnych rzędów obserwatorów. – Jeszcze uszkodzi dziewczynę, głupcy!

Nastąpiła krótka szamotanina, w wyniku, której krzykacz zmienił zdanie.

– Za każdy rzut... moneta – wyjaśnił Egert dziewczynie. – Jeden rzut, jedna moneta... Stój spokojnie!

Dziewczyna, usiłująca odsunąć się od dębowych drzwi, ze strachem wróciła na poprzednie miejsce.

– Raz, dwa...

Soll wydobyl ze stosu oręza pierwszy z brzegu nóż.

– Nie, to będzie nudne... Karwer!

Śniady młodzik zjawil się na zawołanie.

– Świece... Daj jej dwie do rąk i umieść trzecią na głowie.

– Nie! – zapłakała dziewczyna.

Całkowitą ciszę maciło tylko co pewien czas jej żalosne szlochanie.

– A może tak – podjął oficer, jakby olśniła go nagła myśl – jeden rzut, jeden całus...

Ita uniosła na niego załzawione oczy. To wystarczyło, by wtrąciła się druga z dziewcząt.

– Lepiej ja to zrobię!

Feta odepchnęła koleżankę, stanęła pod drzwiami i wzięła gorejące świeczki z rąk chichoczącego Karwera.

Ostrza ścięły chwiejne płomyki dziesięć razy, dwa razy wbiły się w drewno tuż nad główką dziewczki, trzykrotnie minęły jej skroń na grubość palca. Porucznik Egert Soll całował piętnasty raz zwykłą posługaczkę, Fetę.

Widzieli to wszyscy oprócz Ity, która uciekła z płaczem do kuchni. Żrenice Fety zamglily się, kiedy zręczne dłonie oficera spoczęły na jej talii. Karczmarka obserwowała to z wyrozumiałym smutkiem. Dziewczynę owładnęła namiętność. Rozochocony Soll zawiódł służącą do jej izdebki, odprowadzany zawistnymi, lecz pełnymi podziwu spojrzeniami.

Dawno minęła północ i w zasadzie było już nad ranem, gdy wesola kompania

opuściła nareszcie gościnny przybytek. Dron powiedział do zataczającego się przed nim Egerta:

– Wszystkie matki w okolicy straszą córki porucznikiem Sollem, ty łotrze!
Ktoś obok się zaśmiał.

– Kupiec Wapa... No, ten bogacz, który kupił pusty dom na wybrzeżu...
Niedawno przywiózł sobie z przedmieścia młodą żonkę. I co myślicie? Już się dowiedział... Nie znacie dnia ani godziny, gdy w pobliżu gwardzista Soll!

Wszyscy wokół chichotali, tylko Karwer spochmurniał na wspomnienie młodej kupcowej.

– No myślę – rzucił przez zęby. – Ktoś nagadał głupot kupcowi, a ten teraz oka nie zmruży i ciągle pilnuje żony...

Potrząsnął głową z irytacją. Najwidoczniej piękna kupcowa nie od dzisiaj zajmowała jego myśli, a zazdrosny mąż wielce utrudniał sprawę swoją czujnością.

Egert zatrzymał się chwiejnie. Błogie rozmarzenie na jego twarzy ustąpiło miejsca ciekawości.

– Nie łzesz?

– Czemu miałbym łąć – odparł młodzik niechętnie, widocznie ta rozmowa była mu nie na rękę.

Reszta kompanów stanęła wokół, pomrukując z zainteresowaniem.

Egert wy dobył z pochwy swą słynną, cudnie zdobioną szpadę i unosząc cienkie ostrze, rzekł triumfalnie:

– Przysięgam, że kupiec nie uchroni się od zarazy, ognia ani od...

Ostatnie słowa utonęły w kolejnym wybuchu śmiechu. Karwer skrzywił się ponuro i nisko pochylił głowę.

Sławetny gród Kawarren był równie starożytny, jak i wojowniczy. W żadnym innym mieście nie mieszkało tylu wspaniałych potomków wielkich dynastii i w żadnym innym nie dojrzewało tyle owoców prastarych drzew genealogicznych. Nigdzie bardziej niż tu nie ceniono odwagi i umiejętności władania bronią. Z ową walecznością mogła się jedynie równać umiejętność tresury bojowych dzików.

Każdy dom w tym mieście mógł w razie konieczności wytrzymać atak licznego wojska, tak mocne były jego mury, tak niedostępne wąskie okna, tak wiele stalowych kolców sterczało z bram i drzwi. W każdej piwnicy znajdował się cały arsenał wszelakiej broni, a nad dachami dumnie falowały na wietrze przyozdobione

frędzlami rodowe godła. Każdą bramę zdobił herb, którego sam widok z pewnością skłoniłby napastników, by wzięli nogi za pas. Najeżone kłami i pazurami, błyskały groźnie żrenicami i wściekle wyszczerzonymi paszczami heraldycznych bestii. Cały gród otaczały potężne mury, bramy zaś ozdobione były tak srogimi atrybutami, że nawet wielki Hars Opiekun Wojowników straciłby głowę albo uciekał gdzie pieprz rośnie.

Przede wszystkim jednak Kawarren szczyił się swoim elitarnym pułkiem gwardii. Kiedy tylko jakaś szanująca się rodzina wydała męskiego potomka, natychmiast starała się, by malec, podobnie jak jego ojciec, zasilił szeregi gwardzistów. Każde oficjalne święto uświetniała parada wojskowa, na co dzień zaś spokoju na ulicach strzegły wojskowe patrole. Karczmy się zapępniały, matki srogo napominały córki, od czasu do czasu dochodziło także do pojedynków, o których potem długo opowiadano z zachwytem.

Gwardziści wsławili się zresztą nie tylko pijatykami i przygodami. W historii pułku były także zwycięstwa w krwawych zmaganiach, które wszakże należały do odległej przeszłości. Obecni gwardziści, potomkowie dawnych bohaterów, niejednokrotnie przejawiali swe męstwo w potyczkach z dobrze uzbrojonymi bandami zbójców, grasujących od czasu do czasu w okolicznych lasach. Wszyscy ważni mieszkańcy miasta przepędzili młodość w siodle i z orężem w dłoni.

Najstraszniejszym wydarzeniem w dziejach miasta nie były jednak wojny, czy oblężenia, lecz Czarny Mór, który zdarzył się przed dziesiątkami lat i w ciągu trzech dni zmniejszył liczbę ludności niemal o połowę. Przeciwno zarazie potężne mury, umocnienia i stalowe ostrza okazały się całkiem bezsilne. Ci starcy, którzy przeżyli ową plagę w dzieciństwie, opowiadali o niej wnukom przerażające historie. Biednym dzieciakom mogłoby się od nich pomieszać w głowie, gdyby nie cudowna umiejętność młodości wypuszczania jednym uchem tego, co usłyszało się drugim.

Egert Soll był nieodrodnym synem Kawarrenu i uosobieniem jego waleczności. Gdyby zginął w wieku swoich dwudziestu pięciu lat, mógłby stać się duchem miasta, jednakże w jego urodziwej, jasnowłosej głowie nie powstała nawet myśl o śmierci.

Właściwie młodzieniec w ogóle nie wierzył w jej istnienie w stosunku do siebie. W końcu zdołał zabić w pojedynkach dwóch ludzi! Oba zdarzenia cieszyły się wielkim rozgłosem, przy czym podkreślano, że owe sprawy odbyły się honorowo i z zachowaniem wszelkich prawideł, toteż o poruczniku mówiło się z wielkim

szacunkiem i nikt nie próbował go osądzać. Opowieści o tych potyczkach, w których przeciwnicy Solla odnieśli rany i okaleczenia, stanowiły pouczający przykład dla dorastających młodzików.

Od pewnego czasu Egert pojedynkował się coraz rzadziej, nie dlatego bynajmniej, jakoby opuściło go bojowe szczęście, lecz coraz mniej było ewentualnych kandydatów, gotowych wystawić się na sztych jego rodowej szpady. Soll był samozwańcym mistrzem szermierki. Kiedy trzynaście lat temu zamiast dziecięcej szabelki jego ojciec wręczył mu uroczyste rodową relikwię z kunsztownie rzeźbioną rękojeścią, stała się ona dla niego główną radością życia.

Nic zatem dziwnego, że nie miał żadnych wrogów, co w pewnym stopniu równoważył nadmiar przyjaciół. Mógł ich napotkać w każdej tawernie i ciągle deptali mu po piętach, stając się świadkami i uczestnikami jego szalonych zabaw.

Uwielbiając wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, najlepiej się czuł, stąpając bezustannie na ostrzu brzytwy. Pewnego razu, wskutek zakładu, wszedł po zewnętrznej ścianie na szczyt wieży strażackiej, najwyższej w całym mieście, po czym trzykrotnie uderzył w dzwon, wywołując tym spory popłoch. Porucznik Dron, który się z nim założył, musiał pocałować w same usta pierwszą napotkaną damę. Okazała się starą panną i ciotką burmistrza, co wywołało niemały skandal!

Innym razem pokonał gwardzistę o imieniu Lagan. Tenże przegrał zakład, gdy Soll na oczach wszystkich osiodłał ogromnego buhaja, całkiem osłupiałego od takiej bezczelności. Zaciskając w zębach końską uzdę, nieszczęsny Lagan dźwigał zwycięzcę od miejskiej bramy aż do jego domu.

Najwięcej ze wszystkich dostało się jednak Karwerowi.

Byli nierozłączni od dzieciństwa. Karwer lgnął do Egerta i był do niego przywiązany jak młodszy brat. Niezbyt urodziwy, ale też nie pokraka, niezbyt silny, ale i nie najslabszy, chłopak zawsze przegrywał w porównaniu ze swym idolem, zarazem grzejąc się w blasku jego sławy. Od małego starał się zasłużyć na miano najlepszego przyjaciela tak ważnej osobistości, znosząc czasem rozmaite poniżenia i złośliwości.

Gorąco pragnął być taki, jak Soll, przejmując bezwiednie styl jego zachowania, a nawet sposób mówienia. Nauczył się pływać i chodzić po linie i tylko niebiosa wiedziały, czego jesz cze mu brakło... Nauczył śmiać się w głos, gdy zdarzyło mu się poślizgnąć w kałuży, i nie płakał, kiedy rzucony przez druha kamyk pozostawiał siniak na ramieniu albo kolanie. Wspaniałomyślny przyjaciel cenił jego

poświęcenie i na swój sposób lubił Karwera, co nie przeszkadzało mu zapominać o jego istnieniu, gdy nie widział go cały dzień. Pewnego razu czternastoletni Karwer zrobił swego rodzaju eksperyment. Twierdząc, że jest chory, cały tydzień nie zjawiał się w gronie przyjaciół, przesiadując w domu i czekając w napięciu, kiedy Soll sobie o nim przypomni. Nie przypomniał sobie jednak, zbyt zajęty rozlicznymi rozrywkami, zabawami i piknikami. Naturalnie nie miał pojęcia, że chłopak przesiedział w milczeniu siedem dni u okna swego dobrowolnego więzienia, pogardzając sam sobą i łykając łyż goryczy. Cierpiąc w samotności, przysięgał sobie zerwać na zawsze z Egertem, potem jednak sam przyszedł do niego i był przyjęty z tak niespodziewaną radością, iż całkiem zapomniał przysięgi...

Niewiele zmieniło się, kiedy obaj podrośli. Nieśmiały Karwer nie miał szczęścia do miłosnych podbojów, tym bardziej, że Egert bezustannie zdmuchiwał mu sprzed nosa najładniejsze miejscowe dziewczęta. Cierpiał zatem w milczeniu, utwierdzając się w swym poświęceniu w imię przyjaźni.

Egert oczekiwał od otaczających go kolegów takiej samej odwagi, jaką sam dysponował, wyśmiewał zatem tych, którzy nie spełniali jego oczekiwań. Szczególnie Karwerowi było z tym ciężko. Pewnej późnej jesieni, kiedy opływająca miasto rzeka Kawa pokryła się pierwszym lodem, oficer zaproponował zawody, kto szybciej przebiegnie po cienkiej warstwie od brzegu do brzegu. Wszyscy przyjaciele gwałtownie wtedy zachorowali, tak więc tylko Karwer, który był jak zwykle u boku idola, został poczęstowany pogardliwym spojrzeniem i tak zjadliwym słowem, że zarumienił się po czubki uszu. Niemal z płaczem zgodził się na warunki stawiane przez przyjaciela.

Oczywiście Egert był wyższy i cięższy, a jednak bezpiecznie prześliznął się po lodzie na przeciwległy brzeg tak gładko, że skryte w ciemnej głębinie ryby pootwierały szeroko pyszczki ze zdumienia. Oczywiście Karwer wystraszył się w decydującym momencie i zapadł z łoskotem pękającego lodu w mroczną głębię niczym Gwiazda Piołun. Dał tym samym możliwość, aby przyjaciel go wyratował z opresji i zebrał kolejne laury.

Najciekawsze, że był autentycznie wdzięczny Egertowi za wyciągnięcie go z lodowatej wody...

Matki dorastających córek drżały na samo wspomnienie porucznika Solla, podczas gdy ojcowie stawiali go swym dojrzewającym synom za wzór. Rogacze zasepiali się, spotykając go przypadkiem na ulicy, a mimo to uprzejmie go

pozdrawiali. Burmistrz wybaczał mu czynione w mieście burdy i figle, puszczając mimo uszu skargi zanoszone na niego, tym bardziej, że wciąż pamiętne było zdarzenie podczas walk dzików.

Ojciec Solla, jak większość mieszkańców Kawarrenu, hodował dziki bojowe, co uważano powszechnie za godne podziwu zajęcie. Czarne dziki Sollów były wyjątkowo zajadłe i niebezpieczne, mogły z nimi konkurować jedynie szaro-pasiaste, należące do burmistrza. Na każdych zawodach owi odwieczni konkurenci spotykali się w finale. Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem, dopóki pewnego pogodnego letniego dnia szaro-pasiasty czempion zwany Ryk nie wściekł się na arenie.

Rozplątał kłami brzuch swemu przeciwnikowi, czarnemu, potężnemu Marsowi, potem zaś rzucił się szaleńczo na publiczność. Pasiasty pobratymiec, który stanął mu przypadkowo na drodze, nie zatrzymał go na długo i także padł z rozoranym kałdunem. Burmistrz, który tradycyjnie zasiadał wraz z rodziną w pierwszym rzędzie, zdążył tylko krzyknąć rozpaczliwie i chwyciwszy żonę za ramię, wskoczyć wraz z nią na obite aksamitem siedzenia.

Nikt nie wie, czym mógłby się zakończyć ów krwawy dramat. Bardzo możliwe, że większość widzów z burmistrzem na czele podzieliłaby los nieszczęsnego Harsa, skoro Ryk uznał najwidoczniej, że nadszedł dzień pomsty na ludziach. Pomylił się jednak, biedaczek, gdyż był to szczęśliwy dzień dla Solla, który zjawił się w centrum wydarzenia szybciej, nim publika z ostatnich rzędów zdążyła zrozumieć, co się stało.

Egert wykrzykiwał w stronę zwierzęcia same obraźliwe, w jego pojęciu, słowa. W lewej ręce wirowała oślepiająco błyszcząca tkanina, jak się później okazało, narzutka jednej z ekstrawaganckich dam, którą wcześniej okrywała nagie ramiona. Ryk zatrzymał się chwilę i jedna sekunda starczyła, żeby nieustraszony młodzieniec podskoczył bliżej i wraził pod łopatkę oszalałego zwierza ostrze wygranego kiedyś w zakładzie kindżału.

Wstrząśnięty burmistrz ofiarował rodowi Sollów wspaniały dar: wszystkie szaro-pasiaste dziki, które padły w walkach, zostały upieczone i zjedzone podczas wielkiej uczty, jakkolwiek ich mięso okazało się twarde i żylaste. Egert zasiadał na szczyście stołu, [ego ojciec ocierał Izy szczęścia: czarni czempioni Sollów od tej chwili nie będą mieli sobie równych! Nadchodząca starość jawiła się głowie rodu w różowych barwach, skoro miał najlepszego z synów.

Matka Egerta nie uczestniczyła w biesiadzie. Często chorowała i nie lubiła

tłumnych zgromadzeń. Silna niegdyś i zdrowa kobieta, zaczęła tracić siły od momentu, kiedy jej syn zabił pierwszego człowieka w pojedynku. Nie przyszło mu nawet do głowy, że matka go unika, a nawet wręcz obawia. Zresztą starał się uodpornić swój umysł na wszelkie dziwne lub niewygodne myśli.

Jasnym, słonecznym dniem, a był to pierwszy dzień wiosny, kupcowi Wapie, przechadzającemu się pod rękę z małżonką po nadbrzeżu, zdarzyło się zawrzeć sympatyczną znajomość.

Nowym znajomym, który wydał się mieszcuchowi nadzwyczaj miłym człowiekiem, był, jak się łatwo domyślić, pan Karwer Ott. Znamienne wydawało się, że młody gwardzista przechadzał się w towarzystwie siostry, nadzwyczaj roślą dziewczoi z wydatną piersią i skromnie spuszczoneymi szaroniebieskimi oczkami.

Panna zwała się Bertina. Spacerowali odtąd we czwórkę: Karwer ramię w ramię z Wapą, Bertina obok prześlicznej Seni, młodej małżonki kupca, tam i z powrotem po bulwarze.

Kupiec był jednocześnie zdumiony i zaskoczony: po raz pierwszy jeden z tych „przeklętych arystokratów”, zwrócił na niego uprzejmą uwagę. Senia zerkała spod oka na młodzieńcze lico Karwera i prędko opuszczała powieki, jakby bojąc się srogiej kary za każde zakazane spojrzenie.

Minęli grupę gwardzistów, malowniczo rozmieszczonych przy balustradzie. Senia rzuciła w ich stronę wystraszone spojrzenie, zauważając od razu, że młodzieńcy nie weselili się jak zwykle, lecz odwrócenii jak na komendę w stronę rzeki zatykali usta dłońmi i dziwnie się trzęśli, jakby jednocześnie dopadła ich gorączka.

– Co się z nimi dzieje? – zapytała ze zdziwieniem Bertiny.

Tamta pokręciła jedynie ze smutkiem głową i wzruszyła ramionami.

Popatrując z niepokojem na siostrę i kupcową, Karwer czym prędzej zaszeptał:

– Ach, wierzcie mi, w mieście, gdzie od dawna panuje totalna demoralizacja...

Bertina jest niewinną dziewczyną i bardzo trudno znaleźć jej godną zaufania przyjaciółkę, która nie wywierałaby na nią zgubnego wpływu... Jak dobrze byłoby, gdyby tak moja siostra mogła zaprzyjaźnić się z panią Senią!

Ostatnim słowom towarzyszyło ciężkie westchnienie.

Cała czwórka zawróciła i ruszyła z powrotem. Ubyło gwardzistów przy balustradzie, ci zaś, którzy pozostali, patrzyli uporczywie na rzekę, jeden zaś siedział na jezdni i cicho szlochał.

– Jak zwykle pijani – stwierdził karcąco Karwer.

Siedzący podniósł nań mętne źrenice i po chwili zgiął się w pół, nie będąc w stanie opanować wstrząsającego jego brzuchem rechotu.

*

Następnego dnia Karwer i jego siostra złożyli Wapie wizytę. Bertina przyznała się Seni, że w ogóle nie potrafi wyszywać jedwabiu.

Trzeciego dnia kupcowa, której smutno było spędzać czas w samotności, poprosiła męża o pozwolenie, aby mogła spotykać się częściej z Bertina. Obie będą miały rozrywkę, tym bardziej, że siostra Karwera poprosiła ją, by nauczyła ją wyszywania.

Czwartego dnia panienska pojawiła się przyprowadzona jak zwykle przez swego brata, który był zresztą wyjątkowo ponury i prędko się pożegnał. Kupiec usiadł za kontuarem, a jego żona zaprowadziła przybyłą na piętro do swojej komnaty.

Kanarek szczebiotał słodko w rzeźbionej klatce. Z koszyka wyciągnięto igły i cienkie płócienko. Palce Bertiny były trochę zbyt grube i przez to niezgrabne, ale panna starała się, jak mogła.

– Moja droga – powiedziała w zadumie Senia w trakcie lekcji – czy to prawda, że jesteś jeszcze całkiem niewinna?

Panienska ukłula się w palec i zaczęła go ssać.

– Nie wstydz się – zachęciła kupcowa z uśmiechem. – Myślę, że możemy być ze sobą zupełnie szczerze... Ty naprawdę... Czy mnie rozumiesz?

Bertina uniosła na gospodynię jasnoszare oczy i kobieta stwierdziła ze zdumieniem, że źrenice dziewczeczki były niewiarygodnie smutne.

– Ach, Seniu... to taka smutna historia!

– Tak myślałam! – krzyknęła małżonka Wapy. – Uwiódł cię i porzucił, czy tak?

Bertina zakołysała głową i znowu ciężko westchnęła.

Jakiś czas panowała w pokoju zupełna cisza. W pewnej chwili z ulicy dobiegł wesoły śmiech, wydobywający się chyba z dwudziestu młodych gardeł.

– Gwardziści... – mruknęła kupcowa, podchodząc do okna. – Z czego się ciągle tak śmieją?

Bertina chlipnęła. Senia wróciła do niej i usiadła obok.

– Posłuchaj... czy ten twój ukochany... był gwardzistą?

– Gdyby chociaż... – szepnęła panienska – Gwardziści są czuli i dobrze

wychowani, wierni i mężni...

Senia skrzywiła się sceptycznie.

– Nie sądzę, aby byli wierni... Czy twój oblubieniec nie nazywał się czasem Egert Soll?

Panna aż podskoczyła na poduszkach. Znowu nastała cisza.

– Moja droga – zaczęła szeptać Senia – a czy ty... mnie możesz to powiedzieć... czy próbowałaś... Mówią, że kobieta także pragnie... rozkoszy.

Rozumiesz mnie?

Żona kupca zarumieniła się, widocznie taka szczerość nie przysła jej lekko.

Bertina znowu podniosła oczy, tym razem pełne zdziwienia.

– Ależ, kochana... Jesteś mężatką!

– I o to właśnie chodzi.

Senia szybko wstała z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

– Zameżna... – wycedziła przez zęby. – O to właśnie chodzi! Jej przyjaciółka powoli odłożyła robótkę.

Ich poufna rozmowa trwała prawie godzinę.

Bertina długo opowiadała bez zająknięcia, coraz bardziej gładko i melodyjnie. Chwilami opuszczała powieki i wspierała się lekko główką o oparcie fotela. Zamarła z szeroko otwartymi oczyma Senia wielokrotnie wstrzymywała oddech i oblizywała spieczone wargi.

– I takie rzeczy się naprawdę zdarzają? – zapytała w końcu drżącym głosem.

Panna skinęła twierdząco głową.

– I nigdy czegoś takiego nie zaznam? – szepnęła kupcowa z goryczą.

Bertina wstała. Wciągnęła głęboko powietrze, jakby zamierzała skoczyć w głęboką toń. Rozchyliła suknię na piersi... Na podłogę spadły dwa wywatowane woreczki.

Senia siedziała jak skamieniała, nie będąc w stanie krzyknąć.

Suknia spełzła z ciała Bertiny niczym wężowa skórka. Wynurzyły się spod niej muskularne ramiona, szeroka, owłosiona pierś, brzuch ze wzgórkami mięśni...

Kiedy szata opadła jeszcze niżej, kupcowa zakryła oczy dłońmi.

– Jeśli zaczniesz krzyknąć – oznajmił szeptem ten, kto udawał Bertinę – mąż mnie i ciebie...

Reszty kupcowa nie słyszała, tracąc zmysły.

Naturalnie Egert nie miał zamiaru wykorzystywać słabości bezbronnej kobiety. Udało mu się dość szybko ją ocucić i szczerą rozmowa toczyła się dalej, chociaż w trochę innych okolicznościach.

– Obiecujesz? – pytała Senia, drżąc na całym ciele.

– Słowo gwardzisty.

– Jesteś... gwardzistą?

– Jeszcze pytasz! Egert Soll!

– Nie...

– Tylko, jeśli pozwolisz...

– Nie...

– Jedno twoje słowo, a odejdę!

– Nie...

– Mam odejść?

– Nie!!!

Kupiec Wapa, siedzący wciąż na parterze, skrzywił się ze złością, albowiem wykrył pomyłkę w obliczeniach. Gwardziści na zewnątrz chyba się znudzili, zaczęli się bowiem rozchodzić.

Koszyczek z robótką dawno spadł na podłogę, rozwijając kłębki barwnych nici. Kanarek w klatce przycichł, jakby nieco zdziwiony.

– Och, wielkie nieba... – wydyszała Senia, obejmując szyję Solla.

Mężczyzna milczał, miał bowiem coś lepszego do roboty.

Biedna ptaszyna zaniepokoiła się nie na żarty. Jej klatka, wisząca nad samą pościelą, kołysała się coraz mocniej. Stary zegar rozdzwonił się długim kurantem.

– Och, dobre duchy... wielkie nieba...

Senia nie wiedziała, kogo by tu jeszcze wezwać i z trudem się powstrzymywała, żeby nie zakrzyczeć na całe gardło.

Kupiec zatarł z zadowoleniem dłoń. Błąd został wykryty i poprawiony, a niesumienny rachmistrz stracił posadę. Jak to dobrze, że jego żona zaprzyjaźniła się z siostrą pana Karwera! Cały dzień nie słuchać jej ani nie oglądać, nie płącze się po nogami, nie trajkocze nad głową, że chce spacerować... Spokojnie, jak nigdy. Wapa uśmiechnął się. A może by tak odwiedzić mistrzynię haftowania?

Już się unosił, zamierzając odsunąć fotel, skrzywił się jednak, czując ból w krzyżach, znowu więc przysiadł.

Egert wyjrzał przez okno na nadbrzeżną promenadę. Stanął w nim nagi i

wyczerpany, spoglądając z wyrzutem na kolegów. Kupiec na dole wzdrygnął się i zmarszczył brew. Przekleści gwardziści! Te ich śmiechy i wycia!

Jakiś czas potem Senia i Bertina zeszły na dół. Kupcowi wydało się, że jego żona jest jakby nieswoja, być może zmęczyła ją nauka wyszywania. Przy pożegnaniu spojrzała w oczy przyjaciółki ze szczególną czułością.

– Odwiedzisz mnie jeszcze?

– Koniecznie – odparła z westchnieniem panienska – w ogóle mi nie wychodzi ten ścieg, kochana Seniu...

Kupiec skrzywił się lekceważąco: ależ te kobiety są czułościowe...

– Utnę język każdemu – oświadczył Egert kolegom w knajpce – kto będzie o tym plotkował. Jasne?

Nikt nie miał wątpliwości, że tak właśnie uczyni, skoro tajemnica romansu z kupcową stałaby się głośna w mieście. Pamiętali o rodowej klindze, woleli zatem milczeć.

Wszyscy za to gorąco ściskali dłonie Karwera, który odegrał w tej aferze istotną rolę. Gratulacje nie sprawiały mu szczególnej radości. Nie bacząc, że znowu grzeje się w blasku sławy przyjaciela, „brat” szybko wychylił szklanekę i równie szybko wyszedł.

Wiosna wybuchła uporczywymi deszczami. Krętymi zaułkami płynęły mętne potoki, na których dzieci kucharek i sklepikarzy puszczały drewniane chodaki z postawionym żagielkiem, a młodzi potomkowie arystokracji spoglądali na nie zazdrośnie z wysokich, strzelistych okien.

Pewnego ranka przed gospodę „Wspaniały Miecz”, która znajdowała się niemal w centrum Kavarrena, zajechała zwykła podróżna karetka. Stangret, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie zeskoczył, by otworzyć drzwiczki, lecz pozostał na koźle. Być może pasażerowie nie byli jego panami, lecz tylko go wynajęli. Drzwi same się otwały i niewysoki, bardzo chudy młodzieniec sam sobie rozłożył stopień, by wysiąść.

Przyjezdni nie byli w tym mieście szczególną rzadkością i być może ten przyjazd przeszedłby niezauważenie, gdyby po drugiej stronie ulicy, w karczmie „Solidna Tarcza” nie spędzał czasu Egert Soll z przyjaciółmi.

– Patrzcie! – zawołał Karwer, siedzący u samego okna. W jego stronę odwróciły się dwie, może trzy głowy, gdyż reszta zanadto zajęta była rozmowami

przy winie.

– Zobacz!

Karwer szturchnął lekko w bok siedzącego obok Solla.

Egert spojrział we wskazanym kierunku. Młodzieniec zeskoczył właśnie na mokry bruk i podawał dłoń komuś niewidocznemu, siedzącemu jeszcze we wnętrzu karety. Ubrany był od stóp do głów na czarno. Oficer zauważył od razu bystrym okiem pewien brak w wyglądzie nieznajomego.

– Nie ma szpady – stwierdził Karwer.

Poza nim tylko Egert spostrzegł, że nowo przybyły jest bezbronny, nie ma u pasa rapciów ani kindżału, ani nawet zwykłego, kuchennego noża. Przyjrzał się jeszcze uważniej. Strój obcego przypominał trochę uniform, ale na pewno nie był to wojskowy mundur.

– To student – zgadywał Karwer. – Na pewno student.

Młodzieniec tymczasem, zamieniwszy parę słów z osobą we wnętrzu karety, poszedł zapłacić stangretowi. Tamten nie okazał w związku z tym ni odrobiny szacunku, najwidoczniej student nie był majątny.

– Cóż to – wycodził przez zęby Egert – studenci teraz nie noszą broni, jak dziewczyny?

Karwer zachichotał.

Egert chrząknął pogardliwie i miał już zamiar odwrócić się od okna, lecz właśnie w owej chwili z powozu wysiadła panienska, wspierając się na dłoni studenta. W tawernie natychmiast zrobiło się cicho.

Jej twarzyczka była zatroskana, blada ze zmęczenia i zasmucona nieustanną ulewą, lecz nawet to nie mogło przyćmić jej urody. Była jak wykuta z marmuru: jedynie w tym miejscu gdzie bieleją ślepe oczy posągu, błyszczały ciemne oczy, spokojne i pozbawione kokieterii.

Odziana była, podobnie jak jej towarzysz, w prostą podróżną suknię, która jednak nie skrywała harmonijnych konturów ciała ani zgrabnych ruchów. Panna zeskoczyła na bruk przy pomocy młodzieńca. Ten coś do niej powiedział i wtedy jej skrzywione dotąd zmęczeniem usteczka rozciągnęły się w lekkim uśmiechu, oczy zaś błysnęły żywiej.

– Nieprawdopodobne – szepnął Egert.

Stangret popędził konie i kareta ruszyła. Dwoje podróżników odskoczyło, pragnąc uniknąć zbryzganania błotem. Następnie młodzieniec zarzucił na ramię sporą

sakwę i wzięwszy za rękę swą towarzyszkę, zniknął wraz z nią za drzwiami „Wspaniałego Miecza”.

W tawernie naprzeciwko zaczęli mówić wszyscy naraz. Egert milczał, nie odpowiadając na pytające spojrzenia. W końcu rzucił na stronie do Karwera:

– Muszę się dowiedzieć, kim są.

Tamten zerwał się odruchowo, gotów usłużyć druhowi. Soll spoglądał za nim, jak spieszy do „Wspaniałego Miecza”, przeskakując po drodze kałuże. Drzwi z monogramami zatrzęsły się wkrótce za nim. Przyjaciół Egerta wrócił po kwadransie.

– Tak, to student... Spędzi u nas zapewne około tygodnia.

Zamilkł, z satysfakcją oczekując pytania.

– A ona? – nie wytrzymał Egert.

– Ona – odparł Karwer z dziwnym uśmiechem – nie jest jego siostrą ani młodą ciotką, jak miałem nadzieję... Jest jego narzeczoną i wygląda na to, że wkrótce wesele!

Egert milczał. Rewelacje, przyniesione przez młodego kolegę, nie były zaskakujące, a jednak niemile go uderzyły.

– Niewłaściwy mariaż – zasugerował któryś z gwardzistów. – Mezalians.

Wszyscy go hałaśliwie poparli.

– A ja słyszałem – wtrącił Karwer z ironicznym zdziwieniem – że trzebią wszystkich studentów, żeby przestali oglądać się za kobietami i całkowicie się poświęcili nauce. I co się okazuje?

– Okazuje się, że to nieprawda – mruknął z rozczarowaniem porucznik Dron, chwytając zapomniany na chwilę kubek.

– Bez szpady jest eunuchem – zauważył cicho Soll.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Na twarzy oficera pojawił się drapieżny, pogardliwy grymas.

– A na co eunuchowi kobieta, panowie, i do tego jeszcze taka?

Wstał. Wszyscy rozstępowali się przed nim z szacunkiem. Rzucił właścicielowi garść złotych monet, stawiając wszystkim kolejkę, i wyszedł na deszcz.

Wieczorem tegoż dnia para młodych przybyszów wieczerzała na parterze gospody.

Kolacja była nader skromna, dopóki szeroko uśmiechnięty karczmarz nie postawił na ich stole sporego wiklinowego kosza, najeżonego szyjkami butelek.

– Dla pani od pana Solla!

Podkreślił te słowa dwuznacznym uśmiechem, po czym się oddalił.

Wygodnie skryty w kącie Egert obserwował, jak student i jego ślicznotka rozglądali się ze zdziwieniem. Serweta, okrywająca koszyk, została odsunięta i na obliczach pochylonej nad nim parki pojawiło się radosne zdumienie, dość naturalne wobec takich smakołyków.

Wkrótce jednak radość ustąpiła miejsca zmieszaniu. Zaczęli rozmawiać o czymś gorączkowo, potem student wstał i poszedł do oberżysty, zapewne, by wyjaśnić, kim jest ów tajemniczy hojny ofiarodawca, pan Soll.

Egert wychylił swój puchar i podniósł się powoli, potem zaś przeszedł przez salę, kierując się w stronę samotnej panienki. Specjalnie na nią nie patrzył, obawiając się, że piękność z bliska może okazać się wcale nie taka piękna.

Jadalnia była pusta w połowie. Nieliczni podróżni spożywali posiłek w towarzystwie przypadkowych miejscowych. „Wspaniały Miecz” służył z tego, że był spokojnym miejscem. Odwlekając w czasie chwilę poznania pięknej panny, Soll zdążył kątem oka zobaczyć nową twarz. Widocznie ten wysoki, niemłody podróżny przyjechał dopiero co i oficer wcześniej go nie zauważył.

Zbliżywszy się na koniec do celu, Egert zebrał się na odwagę i spojrzał na narzeczoną studenta.

Była rzeczywiście urocza. Twarz nie wydawała się już tak przeniknięta zmęczeniem, gładkie, alabastrowe policzki nieco się zaróżowiły. Zauważył teraz niedostrzeżone wcześniej detale: konstelację drobniutkich pieprzyków na długiej szyi, a także niesamowicie gęste, wywinięte do góry rzęsy.

Stał i patrzył bez słowa. Panna uniosła powoli głowę i oficer po raz pierwszy napotkał jej poważne, choć trochę nieprzytomne spojrzenie.

– Dzień dobry – powiedział i usiadł na miejscu studenta. – Nie sprzeciwi się pani towarzystwu skromnego wielbiciela jej urody?

Panienka nie zmieszała się ani nie wystraszyła. Sprawiała wrażenie tylko lekko zaskoczonej.

– Przepraszam, panie...

– Nazywam się Egert Soll.

Wstał, by się ukłonić, potem znowu usiadł.

– Ach tak... – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Więc to panu powinniśmy dziękować...

– W żadnym wypadku! – zaprzeczył niemal z lękiem. – To raczej my, obywatele Kawarrena, powinniśmy być wdzięczni, za honor, jaki pani nam wyświadczyła... – nabrał powietrza w płuca, by dokończyć ową pokrętną frazę – zaszczycając nas swym przybyciem... Jak długo jednak zdołamy okazywać naszą gościnność?

Panna uśmiechnęła się w taki sposób, że oficer zapragnął, by zawsze była uśmiechnięta.

– Jest pan bardzo miły... Spędzimy tutaj tydzień, może dłużej.

Egert sięgnął wielkopańskim gestem do kosza i zręcznie odkorkował pierwszą butlę, jaka wpadła mu w ręce.

– Proszę pozwolić mi spełnić dług gościnności i zaproponować... Ma pani rodzinę albo przyjaciół w Kawarrenie?

Zdażyła pokręcić przecząco głową, nim wrócił jej student. Panna uśmiechnęła się do niego, bardziej radośnie niż wcześniej do Soll. Egert poczuł w sercu ukłucie zazdrości.

Student skinął głową oficerowi, lecz nie podał mu ręki. Miał szczęście, gdyż Soll nigdy nie uściskałby tej kościstej, niewprawnej w robieniu szpadą dłoni, na której widniały ciągle niezmyte plamy atramentu. Z bliska młodzieniec wydał się Egertowi jeszcze bardziej żalony i niesympatyczny. Oficer wezwał niebo na świadka, jak bardzo niedobrana wydawała mu się owa para.

A zresztą przy stoliku były tylko dwa zajęte już krzesła, a zatem biedny student mógł tylko stać obok, drepcząc w miejscu.

Nie zwracając nań więcej uwagi, Soll zwrócił się do panny:

– Proszę wybaczyć, lecz nie usłyszałem jeszcze pani imienia...

Przenosząc wzrok z przestępującego z nogi na nogę towarzysza na rozwalonego na krześle Egerta, odparła machinalnie:

– Nazywam się Toria.

Egert natychmiast powtórzył jej imię, jakby delektując się jego brzmieniem. Student tymczasem zreflektował się i przyniósł sobie pierwsze z brzegu wolne krzesło.

– Więc nie macie tutaj krewnych ani przyjaciół...

Oficer uniósł się nieco i pochylił w stronę rozmówczyni przesuwając jej kielich w taki sposób, że rękawem musnął lekko rękaw jej sukni.

– Właściwie mówiąc, nie mieliście, gdyż teraz na pewno całe miasto zechce

się z wami zaprzyjaźnić. Podróżujecie ot tak, dla przyjemności?

Student nastroszył się trochę, wziął od posługaczki trzeci kielich i nalał sobie wina. Egert uśmiechnął się samymi kącikami ust, widząc, że młodzieniec nawet nie w połowie nappełnił naczynie.

– Podróżujemy – potwierdziła z lekkim wahaniem panienka – lecz nie dla rozrywki... Tutaj, w Kawarrenie wieki temu mieszkał człowiek, który nas interesuje... z punktu widzenia nauki. Był magiem. Wielkim magiem. Mamy nadzieję, że pozostawił zapiski, manuskrypty, które znajdziemy w starych archiwach.

Ożywiała się z każdym słowem, zapominając o wcześniejszym skrepowaniu. Najwidoczniej jakieś zapleśniałe szpargały były dla niej ważniejsze ponad wszystko. Przy słowie „archiwa” jej głos zadrgał zapałem. Egert uniósł kielich. Nieważne, co tak podniecało tę pannę, byle dalej błyszczały jej oczy i różowiły się policzki.

– Piję zdrowie poszukiwaczy starych manuskryptów! Tylko, o ile wiem, w naszym mieście nigdy w życiu nie było żadnych uczonych kronikarzy...

Student wydał wargi i rzekł beznamiętnie:

– W Kawarrenie znajduje się spora biblioteka historyczna... W ratuszu. To dla pana nowość?

Egert nie zadał sobie trudu podjęcia z nim rozmowy. Zauważył, że Toria potrafiła docenić dobre wino, ponieważ przymrużyła z zadowoleniem powieki, przełknawszy pierwszy łyk. Dał jej czas, by się nim delektowała. Wydobył z koszyka następną butlę.

– Proszę zwrócić uwagę: duma naszych piwnic, pochodząca z południowych winnic „Muskat Serenada”. Życzy sobie pani zdegustować?

Ponownie nappełnił jej kielich, wdychając zapach jej perfum, o cierpkiej, ziołowej woni. Znowu musnął jej rękaw, nakładając na talerz cienki plasterek różowego mięsa. Student z ponurą miną obracał korek w długich palcach.

– Cóż więc to za szczęśliwiec zainteresował panią, chociaż żył przed wiekami? – zaciekawił się Soll z czarującym uśmiechem. – Chciałbym być na jego miejscu...

Bardzo chętnie rozpoczęła opowiadać długą i kompletnie nieciekawą historię maga, który stworzył jakiś zbrojny zakon. Egert dopiero po chwili połapał się, że chodzi o Święte Widziadło Łaszą, któremu gdzieś jeszcze oddawano cześć. Słuchał jej, lecz słowa przeciekały mu przez uszy, gdyż przede wszystkim rozkoszował się jej mile brzmiącym głosem... Miękkie wargi co pewien czas

rozchyłały się, ukazując przeblysłk białych ząbków. Oficer odczuł, że czoło spłynęło mu potem na myśl, jaką rozkosz może ofiarować pocałunek tych uroczych usteczek.

Pragnął, aby przemawiała doń bez końca. Ona jednak zamilkła nagle, zerkając niepewnie na studenta. Ten siedział wciąż nastroszony niczym chory ptak i spoglądał na nią karcąco.

– Proszę mówić dalej – rzekł Egert przymilnie. – To niezwykle ciekawe. Ten wasz mag w końcu zasnął na wieki, czy tak?

Student popatrzył wymownie na Torię i uniósł wzrok do sufitu. Oficer był wystarczająco bystry, by dostrzec w tym zachowaniu absolutną pogardę dla swej ignorancji. Było jednak poniżej jego godności przejmować się fochami byle studencika.

Toria uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Chętnie opowiedziałabym panu więcej, lecz jesteśmy bardzo zmęczeni podróżą. Przepraszam, ale czas na nas.

Podniosła się, pozostawiając niedopity kielich.

– Pani Torio – odparł Egert, wstając także – może pozwoli mi pani również jutro okazać naszą gościnność? Z pewnością zainteresują was rozmaite miejscowe osobliwości, ja zaś jestem, nie chwaląc się, ich największym znawcą...

Jedynymi osobliwościami, jakie znał Egert, były karczmy i zagrody dzików bojowych, lecz wyczuwał, że panienka połknęła sprytnie zarzucony haczyk.

– Doprawdy?

Student ciężko westchnął. Egert kiwnął głową skwapliwie, nie zwracając na tamtego uwagi.

– Absolutnie. Czy mógłbym poznać wasze jutrzejsze plany?

– Jeszcze nie są ustalone – odparł opryskliwie młodzieniec.

Zerknąwszy nań spod oka, Soll stwierdził ze zdziwieniem, że studenci także potrafia się złościć.

– Pani Torio – zwrócił się znowu do dziewczyny, jakby jej towarzysz nie istniał – proponuję zaplanować na jutro zwiedzanie osobliwości, obiad w najlepszej gospodzie naszego miasta i wieczorną przejażdżkę łódką... Zauważyła pani, że nasza Kawa to rzeka wielce malownicza?

Panna jakby nagle przygasła, a jej oczy pociemniały, zamieniając się w dwa mroczne jeziora pod chmurnym niebem. Egert nadal się uśmiechał tak szczerze i ujmująco, jak tylko potrafił.

– Chyba nie wszystko zrozumiałem z pani opowieści. Chętnie zadałbym jeszcze kilka pytań na temat tego... pana, który podarował światu zakon Łaszą. A w podziękę za opowieść wasz pokorny sługa uczyni wszystko, by panią zadowolić... Wszystko, czego pani zapragnie, znajdzie się u jej stóp. Do jutra!

Uklonił się i wyszedł. Niemłody gość gospody odprowadził go zmęczonym spojrzeniem.

Komendant ratusza długo wił się z zażenowania i kręcił głową. Księgozbiór znajduje się w nieodpowiednich warunkach, część woluminów spłonęła trzydzieści lat temu. Istnieje niebezpieczeństwo, że na głowy młodych ludzi spadnie spróchniała belka lub cegła. Poszukiwacze byli jednak nieustępliwi i ostatecznie zyskali dostęp do upragnionych skarbów.

Z owych skarbów pozostały zresztą tylko nędzne resztki. To, co ocalało z pożaru od lat było pożywieniem niezliczonych szczurów. Rozgrzebując ten śmietnik, poszukiwacze wydawali, co chwila odgłosy rozczarowania. Egert, który pojawił się w bibliotece z wielkim bukietem róż, zastał parę młodych w chwili, kiedy ich działania odłoniły w końcu zniszczoną miejscami podłogę.

Oboje nie zwrócili najmniejszej uwagi na Solla. Student wisiał pod sufitem, kołysząc się na chwiejnej drabince. Toria patrzyła na niego, zadzierając głowę i w owej pozie Egert wyczuł uwielbienie. W jej włosy wczepiły się smugi pajęczyny, lecz oczy lśniły, a usta poruszały się w niemym zachwycie, kiedy słuchała mówiącego bez przerwy studenta.

Z jego ust tryskał potok słów, jak z fontanny. Odczytywał z różnych ksiąg niezrozumiałe cytaty, po czym interpretował je na użytek Torii. Wymieniał długie, dziwaczne nazwy, pokrętnie objaśniał runiczne teksty i od czasu do czasu przechodził na kompletnie nieznaną Sollowi język. Panienska odbierała z jego rąk ciężkie, zakurzone tomy, a jej delikatne palce dotykały okładek z taką czcią, że oficer im pozazdrościł.

Postał obok nich mniej więcej pół godziny i nie został zaszczycony choćby jednym spojrzeniem, ozdobił więc kwiatami najbliższą półkę i odszedł. Jego miłość własna doznała poważnego uszczerbku.

Młodzi poszukiwacze wrócili do gospody w porze kolacji, ale Toria ani razu nie opuściła pokoju, nie odpowiedziała także na bilecik Solla. Gwardziści, mający sztab główny w „Solidnej Tarczy”, prawdziwie się zasepili. Czyżby tym razem Egert

sięgał zbyt wysoko? Tamten tylko prychnął ze złością na ironiczne zaczepki.

Następnego dnia komendant ratusza miał niespodziewaną wizytę hojnego gościa, pana Solla. Młodzi poszukiwacze, pragnący powrócić do przetrząsania ksiąg, otrzymali stanowczy zakaz: dzisiaj to niemożliwe, schody są w remoncie, a klucze zabrał dozorca... Zdziwieni student i Toria byli zmuszeni wrócić do gospody. Egert przesiedział cały dzień w jadalni, lecz panna znowu nie zeszła na dół.

Deszcz padał całą noc i całe rano, zmoczył więc studenta, który znowu wrócił z kwitkiem z ratusza. W porze poobiedniej chmury nareszcie się rozstały i słońce wyjrzało wreszcie na mokre miasto. Młoda para, zmuszona do bezczynności, zdecydowała się w końcu na spacer.

Jakby obawiając się odchodzić zbyt daleko od gospody, student i jego narzeczona przeszli się parę razy tam i z powrotem wzdłuż prędko schnącej ulicy, nawet nie podejrzewając, jak wiele uważnych oczu obserwuje ich przez szyby okien „Solidnej Tarczy”. Ktoś zauważył, że student pilnuje narzeczonej lepiej niż kupiec Wapa swej żony. Ktoś inny dodał rezolutnie, że kupcowa nawet się nie umywa do przyjezdnej ślicznotki, na co ktoś znowu się zaśmiał.

Potem na drodze spacerujących pojawił się Karwer.

Obserwatorzy, przyciskając nosy do szyb, mogli zobaczyć jak poklepał studenta po ramieniu, gwardzista pokłonił się niemal do samej ziemi. Młodzik odpowiedział ukłonem. Karwer rozpoczął jakąś wesołą rozmowę i przeprosił Torię, odprowadził na stronę uczonego młodzika. Gestykułując gwałtownie, odciągał go coraz dalej i dalej, aż za róg ulicy. Wtedy Soll stanął w drzwiach tawerny.

Toria odpowiedziała tym razem na ceremonialne powitanie Egerta tylko chłodnym skinieniem głowy. Nie wydawała się zmieszana ani wystraszona. Spoglądała na oficera z ostrożną uwagą, pytająco.

– Jaka pani niesłowna – stwierdził Egert z goryczą. – Przecież obiecała pani... Czekałem na ciąg dalszy opowieści, tymczasem pani ani razu nie zeszła na dół!

Westchnęła.

– Proszę się przyznać. To pana nic a nic nie obchodzi.

– Mnie?! – obruszył się Soll.

– Toria obejrzała się, szukając narzeczonego. Pochwyciwszy to niespokojne spojrzenie, Egert nachmurzył się i rzekł półgłosem:

– Czemu ma służyć ta nieprzystępność? Czyżby zamierzała się pani stać pokorną służebnicą męża tyrana? Co takiego strasznego w rozmowie, spacerze... we

wspólnym obiedzie, w pływaniu łodzią? Czyżbym w czymś panią uraził? Czyżby pani należała już do innego?

Odwróciła się odeń. Oficer rozkoszował się jej profilem.

– Jest pan bardzo natarczywy – oznajmiła z wyrzutem.

– A pani czego oczekuje? – zapytał ze szczerym zdziwieniem. – Skoro w moim mieście gości najpiękniejsza kobieta na świecie...

– Dziękuję. Ma pan specyficzne wyobrażenie o gościnności. Muszę pana jednak opuścić.

Toria zrobiła krok w stronę, w którą gadatliwy Karwer odciągnął studenta.

– Więc to pani woli uganiać się za mężczyzną? – zaoponował Soll. – Pani?

Panna zarumieniała się, lecz zrobiła kolejny krok. Oficer zastąpił jej drogę.

– Drogocenny klejnot oprawiony w tak liche drewno... Gdzie pani ma oczy! Stworzona jest pani do czegoś lepszego...

Zza węgła wyskoczył student. Był potargany i czerwony na twarzy, chyba brał udział w bójkę z Karwerem, który wyskoczył w ślad za nim, wrzeszcząc na całą ulicę:

– Jeszcze się nie ożeniłeś, a już odgrywasz rogacza! Jeśli kobieta chce porozmawiać z kimś miłym na ulicy, to jeszcze nie powód do hysterii!

Przechodzący obok rzemieślnicy zaśmiali się w głos. Siwy mężczyzna, który właśnie wychodził z gospody, obejrzał się powoli. Na ganek „Solidnej Tarczy” wyszli porucznik Dron i wiecznie zasepiony Lagan.

Student posiniał na twarzy i odwrócił się do Karwera, jakby zamierzając go uderzyć, lecz po chwili namysłu pospieszył w stronę stropionej panny. Chwyił mocno jej dłoń.

– Chodźmy stąd.

Drogę jednak nadal zastępował im Soll, który spojrzał Torii prosto w oczy i rzekł łagodnie:

– Da się pani potulnie poprowadzić temu... komuś drogą smutnego, ciężkiego życia, jakie wam szykuje?

Karwer nadal wołał z daleka:

– Jeszcze zdążysz stać się prawdziwym rogaczem! Nie minie nawet tydzień od weseliska, jak ona przyozdobi rogami twój uczony łeb!

Student drżał na całym ciele. Toria, wczepiona kurczowo w jego nadgarstek, nie mogła tego znieść.

– Proszę pozwolić nam przejść, panie Soll...

– W sytuacjach, kiedy mężczyzna wyciąga szpadę, ty będziesz bódl rogam! – kontynuował Karwer. – Da ci to pewną przewagę...

Student rzucił się na oślep, prosto na Solla, lecz jego żelazne ramię odtrąciło go na poprzednie miejsce.

– Jak się nazywa ten rodzaj ataku, panie studencie? – pytał z ciekawością Karwer. – Bykiem go, bykiem? Tego was uczą na uniwersytecie?

– Panie Soll – powiedziała cicho Toria, patrząc prosto w oczy oficera – wydawało mi się, że jest pan dobrze wychowanym człowiekiem.

W ciągu swego nie tak znowu długiego życia Egert zdążył dość dobrze poznać kobiety. Spotkał wiele kokietek, których „odejdz precz!” znaczyło: „przyjdz, ukochany!”, a „podły łajdaku!” oznaczało: „sprawdzimy to później w nocy!”. Mężatki demonstracyjnie okazywały mu swą oziębłość, gdy były w towarzystwie małżonka, aby potem rzucać mu się na szyję, kiedy zostali sami. Potrafił odczytywać rozmaite delikatne sygnały. W oczach Torii wyczytał jednak nie tylko kompletną obojętność wobec swoich popisów męskości, ale wręcz wściekłą odrazę.

Porucznik poczuł się dotknięty do żywego. Na oczach niemal całego pułku, zasiadającego w „Solidnej Tarczy”, ktoś wybrał zamiast niego jakiegoś studencinę, eunucha bez szpady...

Niechętnie usunął się z drogi.

– No cóż – wycedził przez zęby – gratuluję... Welinowa karta w objęciach mola książkowego: wspaniała para! A może uczony małżonek będzie tylko parawanem dla dwóch albo trzech kochanków?

Z okien gospody wychyliły się głowy ciekawskich mieszczan i przyjezdnych, przywabionych hałasem.

Student puścił dłoń Torii. Nie zwracając uwagi na jej błagalne spojrzenie, z całej siły wrył zakurzonym noskiem buta głęboką bruzdę przed botfortami Solla. Było to tradycyjne wyzwanie na pojedynek.

Oficer zaśmiał się pogardliwie.

– Co? Nie walczę z babami, które nie noszą broni!

Lekko się zamachnąwszy, student wymierzył Sollowi głośny, siarczasty policzek.

Wzburzony tłum gwardzistów, mieszkańców gospody, mieszczan, służących i przypadkowych przechodniów wypełnił tylny dziedziniec „Wspaniałego Miecza”.

Karwer wyłaził ze skóry, żeby jak najszybciej oczyścić pole do pojedynku.

Jakaś dobra dusza obdarowała studenta szpadą, lecz całkiem porządna klinga wyglądała w jego dłoni niezbyt groźnie. Egert widział także, iż narzeczona studenta za chwilę straci panowanie nad sobą: jej twarz pobladła jak chusta i pokryła się nierównymi, czerwonymi plamami, które znacznie ujęły jej urody. Przygryzając wargi, zaczęła się miotać na wszystkie strony.

– Przerwijcie to! Wielkie nieba, Dinarze... Niech ktoś ich powstrzyma!

Przerywać uczciwie rozpoczęty pojedynek byłoby wbrew prawu i obyczajom, każdy mieszkaniec Kavarrena wiedział to od dziecka. Spoglądali na Torię ze współczuciem i ciekawością. Wiele kobiet jej zazdrościło: gdyby tak samej stać się przyczyną pojedynku!

Jedna z mieszczanek chciała z dobrego serca pocieszyć biedaczkę. Toria odepchnęła jej dłonie i widząc, że nie ma już wpływu na postępowanie Dinara, spróbowała ucieczki, lecz za raz zawróciła, jak na uwięzi. Rozstępowali się przed nią prędko, w milczeniu, aby mogła zobaczyć wszelkie szczegóły mającej nastąpić walki. Toria stanęła na koniec wsparta o resor czyjejs karety, jakby pozostając w osłupieniu.

Przeciwnicy byli gotowi, stojąc naprzeciwko siebie, jak przystało na śmiertelnych wrogów. Soll szczerzył złośliwie zęby. Skoro miłość nie wyszła, będzie chociaż pojedynek! Wprawdzie rywal dosyć nikczemny. Widać, jak się mozoli, by stanąć na właściwej pozycji! Zdaje się, że jednak kiedyś brał lekcje fechtunku...

Egert powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, szukając Torii. Czy widzi to wszystko? Zrozumie wreszcie, że wybrała kijek zamiast siekierki? Pojmie swój błąd?

Zamiast Torii Soll spotkał się wzrokiem ze starszym mieszkańcem gospody, którego siwa głowa wznosiła się nad głowami tłumu niczym czubek sosny nad sadem owocowym. Spojrzenie starca było przenikliwe, lecz nie wyrażało żadnej emocji. Było w nim jednak coś, co się nie spodobało oficerowi. Potrząsnął głową i zamachnął się szpadą na studenta jak nauczyciel różgą na niesforne ucznia.

– A masz!

Student szybko odskoczył. W tłumie rozległy się śmiechy.

– Daj mu nauczkę, Soll!

Egert wyszczerzył się jeszcze bardziej.

– Potrzebna będzie mała lekcja dobrych manier...

Student zwęził powieki i zgiął kolana, jak na sali ćwiczeń, po czym

rozpaczliwie rzucił się do przodu, pragnąc zapewne ugodzić prosto w pierś Solla. Przez chwilę rozejrzał się ze zdziwieniem w poszukiwaniu przeciwnika, dopóki tenże, zjawiwszy się za jego plecami, dał znać o sobie lekkim ukłuciem poniżej krzyża.

– Więcej uwagi...

Student podskoczył jak użądłony. Soll skłonił się uprzejmie i cofnął o krok.

– Jeszcze nie wszystko stracone, mały! Zbierz siły i spróbuj jeszcze raz...

Lekcja się dopiero zaczyna!

Student znów stanął na pozycji. Ostrze jego szpady nie było skierowane, jak powinno, na wroga, lecz gdzieś w niebo. Niezręczny wypad, uderzenie Egerta i klinga młodzika wbiła się sztychem w piasek, a on sam ledwie utrzymał się na nogach. Widzowie nagrodzili to aplauzem. Egertowi zaczęła się trochę nudzić ta zabawa. Mógłby się fechtować i sto godzin bez wytchnienia, gdyby tylko miał godnego siebie rywala.

Oficer znał siedemnaście sposobów obrony i dwadzieścia siedem rodzajów ataku. Wszystko polegało na tym, jak owe sposoby ułożyć w logiczną całość, nanizac na ostrze szpady, rozsypać i zebrać ponownie. Nie byłby w stanie powtórzyć wielu swoich improwizacji. Niektóre pojawiały się w natchnieniu, jak poezje, kończyły się zaś czyjąś raną, a czasem nawet śmiercią. Mając przeciwko sobie niewprawnego studenta mógł się tylko posługiwać metodami prostymi jak budowa cepa.

Unikając niezgrabnych ataków i odbijając silne, lecz niecelne ciosy, Soll rozglądał się wciąż w poszukiwaniu Torii. Dojrzał wreszcie w tłumie jej bladą, nieruchomą twarz. Sam podjął atak tak szybki, że biedny student nawet nie zdążył się zorientować, co się dzieje. Soll zatrzymał efektownie sztych u jego piersi. Publiczność zawyla z zachwytem, oprócz wysokiego starca, który zachował spokój.

Sytuacja ciągle się powtarzała. Student mógł zginąć co najmniej dziesięć razy, lecz porucznik zabawiał się z młodzikiem jak kot z myszą. Tamten miotał się, rozpaczliwie machając szpadą. Kamyki wypryskiwały spod zakurzonych trzewików... Wróg był jak cień, zdawał się bezcielesny i niedosięgły. I nawet na sekundę nie milkł jego głos, przemawiający złośliwie mentorskim tonem:

– Tak? Aha, to tak... Co się tak wierzisz jak fryga? Powtórz to... Jeszcze raz!

Ależ z ciebie leniwy uczeń, wszystko ci trzeba nakazać... Raz!

Po każdym „Raz!” następowało lekkie ukłucie. Kurtka studenta była porozrywana w wielu miejscach i zwisała w strzępach. Pot zalewał twarz

zaczerwienioną z wysiłku.

Kiedy rywale znowu stanęli naprzeciw siebie, student wyglądał na zmęczonego i załamane. Soll nawet nie był zdyszany. Spoglądając w pełne bezsilnej nienawiści oczy nieszczęsnego przeciwnika, Egert poczuł, że ma całkowitą władzę nad tym chłopakiem, tak całkowitą, że nawet nie wypada się nią posłużyć, wystarczy ją tylko okazać.

– Boisz się? – spytał szeptem.

Natychmiast wyczytał w oczach tamtego odpowiedź. Ostrze Egerta jak jadowne żądło godziło prosto w serce biedaczka... Przeciwnik był bezsilny, nie był już rywalem, ale ofiarą, jego złość ustąpiła miejsca rozpacz. Najchętniej pewnie błagałby o zmiłowanie, lecz nie pozwalał mu na to honor.

– Mam cię oszczędzić?

Oficer uśmiechnął się jednym kąciem ust. Odczuwał strach studenta całym ciałem i mile łechtał on wszystkie fibry, tym bardziej, że już dawno zdecydował w głębi duszy, żeby nie karać chłopaczka zbyt surowo.

– Oszczędzić?

Rozpacz i strach pchnęły studenta do kolejnego rozpaczliwego ataku. Trzeba trafu, że akurat but oficera zetknął się z błotnistą kałużą. Jego nogi rozjechały się w dwie różne strony, niczym kopyta świeżo zrodzonego cielaka. Z trudem utrzymał równowagę. W owej chwili szpada studenta, zahaczywszy o jego ramię, ścięła jeden z epoletów. Dumny oficerski symbol zawisł na jednej nitce jak zdechły pajak, tłum zaś (przeklęty tłum, który zawsze jest po stronie zwycięzcy!) począł wydawać triumfalne wrzaski:

– Soll oberwał!

– Trzymaj się, mały, dasz radę!

– Brawo student! Daj mu nauczki! Dołóż mu!

Gwardzistów oskarżonych o jakąś podłość czy tchórzostwo lub przyłapanych na zdradzie usuwano z pułku, urządzając wcześniej symboliczną kaźń, jaką było publiczne zerwanie epoletów. Nie zdając sobie z tego sprawy, student ciężko upokorzył oficera. Soll dostrzegał kątem oka jak jego koledzy szepczą między sobą ze znaczącymi uśmiezkami... Ach!

Dalej wszystko stało się błyskawicznie, w ciągu jednego oddechu.

Egert rzucił się naprzód, zapamiętując się w gniewie. Student unosząc niezgrabnie szpadę, skoczył także naprzeciw niemu i zamarł, nie spuszczać

zdziwionego spojrzenia z gwardzisty. Ostrze rodowej szpady Sollów sterczało z jego pleców, nie błyszczące już, lecz ciemnoczerwone, niemal czarne. Postawszy chwilę, student usiadł na ziemi, równie niezgrabnie, jak wcześniej walczył. Zrobiło się całkiem cicho. Ślepiec stwierdziłby zapewne, że na tylnym dziedzińcu nie było żywej duszy. Młodzik osunął się ciężko na zdeptaną ziemię, a wtedy szpada Egerta niewiarygodnie szybko wyślizgnęła się z jego piersi.

– Sam się nadział – rzekł głośno porucznik Dron.

Egert opuścił zakrwawioną klingę i tępo spoglądał na rozpostarte u jego stóp ciało. Gawiedź rozstąpiła się, przepuszczając Torię.

Szła ostrożnie, powoli, jak prowadzona na sznurku. Nie patrząc na Solla, zbliżyła się do leżącego młodzieńca na palcach, jakby bojąc się go obudzić.

– Dinarze?

Młody człowiek nie odpowiadał.

– Dinarze?!

Gapie rozchodzili się ze spuszczonej oczami. Pod ciemną kurtką leżącego rozpościerała się powoli brudna plama.

– Ech te pojedynki – rzekł półgłosem właściciel gospody. – Wiadomo, krew nie woda, młoda, gorąca... I co mam teraz z tym zrobić?

Soll splunął, żeby pozbyć się metalicznego posmaku w ustach. Wielkie nieba, jak głupio się wszystko skończyło!

– Dinarze?!!!

Toria wciąż błagalnie patrzyła w twarz martwemu.

Dziedziniec opustoszał. Ostatni odchodzący, wysoki, siwy człowiek rzucił Sollowi uważne, choć dosyć nieokreślone spojrzenie.

*

Studenta pochowano na koszt miasta, pospiesznie, jednakże ze stosownym ceremoniałem. Mieszczanie mieli temat do plotek przez cały tydzień. Toria zwróciła się ze skargą do burmistrza. Ten przyjął ją tylko w tym celu, by wyrazić ubolewanie i rozłożyć bezradnie ręce. Pojedynek odbył się według wszelkich prawideł i chociaż bardzo szkoda zabitego młodzieńca, to przecież on wyzwiał pana Solla. Tak więc, łaskawa pani, ten niefortunny przypadek w żadnym razie nie można uznać za mord. Oficer nie może być sądzony, skoro walczył w obronie honoru i także mógł, swoją drogą, zginąć... A skoro martwy student nie nosił broni i nie umiał się nią posługiwać, było to jego nieszczęściem, nie zaś winą porucznika.

Trzy dni po pogrzebie Toria bladym świtem opuszczała miasto.

Tydzień pobytu w Kawarrenie pozostawił na jej twarzy mroczne ślady. Sakwa studenta ciążyła jej w ręce, gdy sama, bez niczyjej pomocy szła do powozu, czekającego przy wejściu. Jej oczy były matowe, podkrążone sinymi obwódkami. Patrzyła w ziemię pod nogami, dlatego też nie od razu zauważyła człowieka zrećnie rozkładającego stopnie karety.

Czyjaś dłoń pomogła jej wrzucić bagaż na siedzenie. Podziękowała machinalnie i dopiero wtedy uniosła oczy. Stała twarzą w twarz z Egertem Sollem.

Od dawna śledził narzeczoną zabitego studenta, sam nie wiedział, dlaczego. Być może chciał prosić o wybaczenie i wyrazić współczucie, bardziej prawdopodobne jednak, że pchała go ku Torii jakaś smętna nadzieja. Przyzwyczajony do ryzyka i niebezpieczeństwa, przywykł lekko traktować śmierć, zarówno swoją, jak i cudzą. Cóż może być bardziej oczywistego, że zwycięzca chciałby zgarnąć łup pokonanego?

Toria spojrzała w oczy Egerta.

Spodziewał się objawów gniewu, odrazy, nienawiści. Przygotował się na odpowiednie w tej sytuacji słowa, gotów był nawet znieść jej dłoń na swym policzku. Nie był jednak gotów zobaczyć tego, co ujrzał w ciągle pięknych, choć przygasłych z bólu źrenicach tej panny, co odrzuciło go od niej nie gorzej niż mocny cios pięści.

Toria patrzyła nań z chłodnym, pozbawionym złości obrzydzeniem i to było naprawdę straszne! Nie było w niej nienawiści, raczej sprawiała wrażenie, że mdli ją jego widok.

Egert nie pamiętał potem jak odszedł, czy raczej uciekł, byle dalej od tych okropnych oczu, byle tylko ich więcej nie widzieć, nie spotkać i jak najszybciej o nich zapomnieć...

Dzień później siedział w „Solidnej Tarczy”, ponury, przygnębiony i zły. Karwer kręcił się przy nim, wesoło coś plotąc o dzikach i kobietach. Wkrótce będą walki dzików... Ciekawe, czy ojciec Solla wystawi tym razem Pięknego, Mięśniaka, a może młodego Woja? A tak przy okazji, o Egerta pytała prześliczna żona kapitana, Dilia, a zlekceważyć ją niebezpiecznie, gotowa się zemścić. Właściwie dlaczego oficer, stając się główną sensacją tygodnia, zatruwa teraz szczęśliwe chwile swego życia zbędnym smutkiem?

Soll wyczuwał w głosie przyjaciela swego rodzaju złośliwą satysfakcję. Być może Karwera w głębi duszy cieszyło przeświadczenie, że jego wspaniały idol,

zwyciężając na placu boju, poniósł jednak porażkę na polu miłości, stając się tym samym podobny zwykłym śmiertelnikom. Być może owo przypuszczenie było niesprawiedliwe w stosunku do młodzieńca, tak czy inaczej jego pusta gadanina bardzo go dzisiaj męczyła. Żłobił paznokciem palca wskazującego głębokie bruzdy na blacie stołu... W pełni się zgadzał z kolegą, byle tylko ten zamknął się na chwilę i dał mu spokojnie dopić jego trunek.

W tejże chwili ktoś otworzył drzwi karczmy, wpuszczając do dusznego wnętrza strumień chłodnego powietrza i promień słoneczny. Nowo przybyły zatrzymał się chwilę na progu, jakby upewniając się, czy dobrze trafił, po czym wszedł do środka.

Soll poznał go natychmiast. Był to ów dziwny siwy osobnik, zajmujący już od dziesięciu dni pokój we „Wspaniałym Mieczu”. Minawszy gwardzistów, przysiadł ciężko na pierwszym z brzegu, wolnym krześle.

Nie wiedząc czemu Egert obserwował go kątem oka. Dopiero teraz udało mu się, w mętym świetle tawerny, przyjrzeć się uważniej obliczu nieznanego.

Nie sposób było określić, w jakim był wieku. Mógłby mieć równie dobrze czterdzieści lat, jak i dziewięćdziesiąt. Dwie bardzo głębokie, symetryczne zmarszczki przecinały policzki, by zniknąć w kącikach zaciśniętych ust. Nozdrza niezwykle długiego, żółtawego nosa rozdymały się co pewien czas i naprężyły, jak skrzydła ptaka zrywającego się do lotu. Szeroko rozstawione, jasne oczy, zdawały się spoglądać obojętnie i beznamiętnie na cały świat. Egert dostrzegł tylko lekkie drzenie pozbawionych rzęs powiek.

Właściciel postawił przed gościem kubek pełen wina i zamierzał się oddalić, gdy tamten nieoczekiwanie go zatrzymał.

– Chwileczkę, mój drogi... Nie mam tutaj z kim wypić. Wiem, że jesteś zajęty, lecz może zaproponujesz mi czyjaś kompanię. Chcę wypić zdrowie słynnych gwardzistów, pogromców bezbronnych.

Karczmarz zadrzał, gdyż doskonale zrozumiał do kogo pije nowy gość. Bełkocząc pod nosem usprawiedliwienie, pocziwiec czym prędzej wziął nogi za pas, wiedząc, że Egert bez wątplenia usłyszał słowa skierowane do niego.

Ten zaś odstawił niespiesznie swój kubek i spojrzał prosto w oczy nieznanego. Były jak wcześniej spokojne i beznamiętne, jakby drażliwą kwestię wypowiedział przed chwilą ktoś inny.

– Do kogo pan pije, szanowny panie? Do kogo ta aluzja?

– Do pana – odparł nieznajomy bez wahania. – Słusznie pan zbladł, panie Soll.

– Zbladłem?!

Egert wstał. Był nieco podchmielony, lecz z pewnością nie pijany.

– No cóż – wycedził przez zęby – obawiam się, że jutro ktoś zechce mnie nazwać pogromcą bezsilnych starców...

Twarcz nieznajomego dziwnie się zmarszczyła, dopiero po chwili Egert zrozumiał, że w uśmiechu.

– Człowiek sam wybiera, kim się staje i z czego słynie. Dlaczego nie miałyby pan wkrótce przebić szpadą, na przykład, jakiejś dziewczyny albo dziesięcioletniego dzieciaka? Być może lepiej się zdołają obronić, niż udało się to pańskiej ostatniej ofierze...

Egert zaniemówił na chwilę. Zaskoczony, spojrzał na Karwera, który, zazwyczaj tak mocny w gębie, tym razem siedział cicho. Stali bywalcy tawerny, karczmarz stojący w wejściu do kuchni i smarkaty jeszcze kucharczyk, wszyscy zastygli w oczekiwaniu, widząc, że dzieje się coś niezwykłego.

– Czego pan chce ode mnie? – wykrztusił w końcu Soll, patrząc nienawistnie w wielkie, jasne oczy tamtego. – Kim pan jest, że sam się wystawia na sztych?

Nieznajomy uśmiechnął się jak poprzednio długą, zaciśniętą linią ust, lecz oczy pozostały zimne.

– Ja też mam szpadę. Myślałem jednak, że pan napada tylko bezbronnych, prawda, panie Soll?

Egert z trudem powstrzymał palce zaciskające się kurczowo na gardzie szpady.

– Lubi pan łatwe ofiary? – pytał dalej gość. – Takie, które się boją... To słodkie poczucie władzy... Prawda, Soll?

– To wariat – szepnął niepewnie Karwer za plecami druha. – Lepiej wyjdźmy, Egercie.

Soll wstrzymał na chwilę oddech. Słowa nieznajomego dopiekły mu bardziej, niż chciałby się sam przed sobą przyznać.

– Ma pan szczęście – odparł z wysiłkiem – że mógłby pan być moim dziadkiem. Nie biję się ze staruszkami, czy to jasne?

– Jasne...

Nieznajomy znów podniósł kubek, zwracając się nie tylko do Egerta i jego adiutanta, ale także do wszystkich obecnych, którzy właśnie również wstrzymali oddech.

– Piję zdrowie porucznika Solla, bohatera podszytego tchórzem!

Nie zdołał spełnić toastu, gdyż spada Egerta, błyskawicznie wydobyta z pochwy, wytrąciła naczynie z jego dłoni. Srebrny puchar upadł z brzękiem na kamienną posadzkę, potoczył się, a potem zatrzymał w czerwonej kałuży rozlanego wina.

– Wspaniale.

Nieznajomy starannie ocierał palce serwetką, przy czym nozdrza rozdymały się niebezpiecznie.

– Starczy panu odwagi, by zrobić następny krok?

Soll opuścił ostrze i wyrysował jego końcem nierówną linię u stóp przeciwnika.

– Doskonale – rzekł z zadowoleniem lokator „Wspaniałego Miecza”, chociaż oczy pozostawały wciąż obojętne. – Nie mam zwyczaju bić się po tawernach... Gdzie i kiedy?

– Przy moście za miejską bramą – wydusił z trudem Egert. – Jutro o świcie.

Nieznajomy sięgnął do sakiewki, wydobył z niej monetę i położył na stole razem z poplamioną serwetką. Skinął karczmarzowi i ruszył w stronę wyjścia. Egert zdążył za nim zawołać:

– Kto będzie pańskim sekundantem?

Gość „Wspaniałego Miecza” zatrzymał się w drzwiach i rzucił przez ramię:

– Sekundant mi niepotrzebny... ale pan może wziąć kogoś ze sobą.

Schylając głowę pod za niską dlań framugą, wyszedł na zewnątrz. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nim.

W miejscu wskazanym przez Egerta odbywała się znakomita większość pojedynków, zdarzających się w Kavarrenie. Wybór był doskonały. Wystarczyło odejść kilka kroków od głównej drogi i walczący znajdowali się w zacisznym, bezludnym miejscu, osłoniętym od strony traktu ścianą starych świerków. Zresztą o świcie droga i most długo pozostawały puste.

Stawili się niemal jednocześnie: Egert wyprzedził nieco powolnie kroczącego siwowłosego, toteż czekał nań parę minut, spoglądając na ciemną wodę.

Mętny, wiosenny nurt niósł na powierzchni drewniane drzazgi, fragmenty wodorostów, smętne skrawki zeszłorocznego listowia. Tu i ówdzie jakiś kamień powodował wir i oficerowi wydało się, że ma to mu przypomnieć o nadchodzącym

niebezpieczeństwie. Oparł się całym ciężarem o mocno nadgniłą balustradę, jakby wyzywając los.

Wreszcie zjawił się na moście jego przeciwnik. Egert miał wrażenie, że tamten był nieco zdyszany. W świetle dziennym widać było, że istotnie jest bardzo stary, znacznie starszy od ojca Solla. Porucznik zastanowił się chwilę, czy walkę będzie można uznać za uczciwą. Napotkawszy jednak spojrzenie jasnych, lodowatych źrenic, natychmiast porzucił ową myśl.

– A gdzie przyjaciel? – spytał nieznajomy.

Egert surowo zabronił Karwerowi, aby go odprowadzał. Skoro przeciwnik zlekceważył reguły i zrezygnował z sekundanta, dlaczego niby on miałby inaczej postąpić?

– A co będzie, jeśli okaże się, że wciągnąłem pana w zasadzkę? – pytał dalej siwowłoso, nie spuszczać oczu z gwardzisty.

Egert uśmiechnął się. Mógłby odpowiedzieć, że nie boi się wcale natrętnych staruchów oraz ich nędznych zasadzek, jak nisko ceni taką pustą gadaninę, a także ilu już widział pokonanych przeciwników, lecz wolał przemilczeć sprawę, odpowiadając jedynie wymownym uśmiechem.

Przeciwnicy zeszli z drogi w milczeniu. Soll szedł pierwszy, ufnie wystawiając plecy przeciwnikowi. Chciał w ten sposób zawstydzić nieznajomego, okazując lekceważenie wobec jego ewentualnej zdrady. Minęli świerki i wyszli na polanę okrągłą jak arena, udeptaną butami pojedyńkowiczów.

Od rzeki wiał świeży powiew. Zdejmując mundur z mocno przyszytym epoletem, Egert pomyślał z niechęcią, że wiosna tego roku jest wyjątkowo chłodna, zatem z ewentualnym oficerskim piknikiem trzeba będzie poczekać na lepszą pogodę. Ciężkie krople rosy pokrywały przygięte do ziemi źdźbła trawy i spływały po pniach, jakby drzewa kogoś opłakiwały. Oficerskie buty prędko pokryły się plamami wilgoci.

Stanęli naprzeciw siebie. Soll stwierdził w myślach ze zdumieniem, że po raz pierwszy ma do czynienia z przeciwnikiem, o którym nic nie wie. W żadnym razie to nie krępowało oficera, miał bowiem zamiar dowiedzieć się wszystkiego co najważniejsze właśnie teraz.

Obnażyli szpady: Egert leniwie, powoli, tamten, jak zawsze, z obojętnym spokojem. Nieznajomy nie spieszył się z atakiem, stał tylko i patrzył porucznikowi w oczy z powagą, błyskając ostrzem. Soll zrozumiał, że tym razem na pewno przyda mu się znajomość siedemnastu sposobów obrony.

Chcąc wypróbować przeciwnika, zaatakował klasycznie, co spotkało się z równie klasycznym odparciem. Egert spróbował jeszcze raz. Nieznajomy z niezmaconym spokojem odparował stosunkowo zręczne uderzenie, zawierające w sobie zaimprovizowaną naprędce kombinację.

– Gratuluję – burknął Egert. – nieźle, jak na ten wiek...

Jego kolejna kombinacja była wielce zdradliwa i wykonana wirtuozowsko, lecz siwowłosa bez trudu sparował całą serię.

Oficer zorientował się, że znalazł godnego siebie przeciwnika i zwyciężyć go będzie niełatwo, lecz tym bardziej zaszczytnie. W głębi duszy pożałował teraz, że nie ma wokoło widzów, którzy mogliby docenić jego błyskotliwe improwizacje. W tym momencie nieznajomy przeszedł do ataku.

Soll ledwie się zdołał uchylić, przypominając sobie naraz wszystkie siedemnaście sposobów, które nieco mu się pomieszały w głowie. Ataki następowały jeden za drugim i były nieoczekiwane, zdradliwe, bezlitośnie mocne. Broniąc się zażarcie, Egert kilkakrotnie widział ostrze wrogiej szpady tuż przed swoim nosem.

Po chwili wszystko skończyło się nagle. Nieznajomy cofnął się o krok, jakby chciał dokładniej zlustrować postać oficera od stóp do głów.

Soll dyszał ciężko. Mokre włosy zlepily się w strąki, po plecach pot ściekał strugami, dłoń zaś dzierzżąca szpadę, drżała jak rozkołysany dzwonek.

– Nieźle – wykrztusił, spoglądając w jasne źrenice. – Dlaczego od razu nie powiedział pan, że jest fechmistrzem na emeryturze?

Z tymi słowami runął do przodu. Gdyby istnieli jacyś obserwatorzy, z pewnością przyznaliby, że tak niesamowitej kombinacji ciosów słynny rębajło jeszcze nigdy nie pokazał.

Skakał wokół wroga jak kogucik, atakując z prawa i z lewa, z góry i dołu, jakby przemyślał walkę dwadzieścia kroków do przodu, wykazywał szczyt swoich możliwości, wszystko bez skutku.

Jego ciosy natrafiały jakby na kamienną ścianę. Egert musiał się czuć jak głupi cielak, atakujący stary dąb. Żadnej z kombinacji ciosów nie zdołał doprowadzić do końca. Przeciwnik, jakby czytając w myślach oficera, wywracał jego plany na nice, odpowiadając kontratakiem. Co chwila jego sztych zbliżał się do piersi, brzucha lub twarzy porucznika. Teraz dopiero pojął, jak mógł się czuć walczący z nim student. Jak mysz w kocich pazurach. Zdał sobie sprawę, że mógł być zabity już co najmniej dziesięć razy, lecz z niewiadomych powodów ciągle pozostawał przy życiu.

– Ciekawe – wychrypiał, odskakując dwa kroki. – Chciałbym wiedzieć, komu zaprzedał pan za to swą duszę...

– Boisz się? – spytał nieznajomy. Były to jego pierwsze słowa od początku walki.

Egert patrzył nań, zdumiony nadprzyrodzoną siłą starca o obojętnej, pomarszczonej twarzy i ogromnych zimnych oczach z bezrzęsymi powiekami. Nieznajomy nawet nie miał zadyszki. Oddychał spokojnie, tak samo jak patrzył i mówił:

– Boisz się?

– Nie – odparł Egert pogardliwie, wzywając niebios na świadka, że była to szczerza prawda.

Nawet w obliczu nieuniknionej, jak się wydawało, śmierci, oficer nie czuł strachu. Nieznajomy to zrozumiał. Jego wąskie usta rozciągnęły się w znanym już grymasie.

– No cóż...

Zadźwięczały krzyżujące się szpady. Nieznajomy wykonał ledwie zauważalny manewr klingą i Egert krzyknął z bólu, czując, że ma wyłamany przegub prawicy. Jej palce same się rozprostowały i rodowa szpada zatoczyła łuk na szarym niebie, po czym opadła bezwładnie na stos zeszłorocznych liści, niknąc w nim powoli.

Soll cofnął się, przyciskając urażoną rękę do piersi, nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Czuł się niezmiernie obrażony faktem, że ten staruszek mógł go rozbroić w ten sposób już w pierwszej minucie pojedynku. Wyglądało na to, że cała walka była zwykłą farsą, zabawą i prowokacją...

Nieznajomy przyglądał mu się w milczeniu.

– Będziemy tak stać? – zainteresował się Soll, urażony, lecz nie wystraszony.
– Co dalej?

Tamten ciągle milczał. Egert pojął, że jego odwaga i pogarda śmierci mogą być bronią, za pomocą której poniży swego pogromcę.

– No, zabij mnie – powiedział z uśmiechem. – Co jeszcze możesz ze mną zrobić? Nie jestem jakimś studencią, żeby drżeć ze strachu przed śmiercią. Jeśli chcesz się o tym przekonać, zadaj cios!

Na twarzy nieznajomego zaszła ledwie widoczna zmiana. Ruszył do przodu. Egert zrozumiał, że istotnie zamierza zadać ostatni cios.

Zabicie bezbronnego było w oczach oficera największą podłością, uśmiechnął

się więc z taką wzdargą, na jaką tylko było go stać. Zwycięzca uniósł klingę. Oficer patrzył bez lęku jak ostrze zbliża się do jego twarzy.

– No i co?

Nieznajomy uderzył.

Oczy Solla pozostały szeroko otwarte, toteż widział, jak stalowe ostrze rozmazało się w powietrzu, niczym rozchwiany wachlarz. Oczekiwał śmiertelnego ciosu, lecz zamiast tego poczuł jedynie ostry ból w lewym policzku.

Niczego jeszcze nie pojmując, uniósł rękę do twarzy. Z podbródka ciekły już ciepłe krople krwi, mankiet koszuli też prędko nasiąkał czerwoną posoką. Egert ucieszył się w duchu mimowolnie, że zdjął wcześniej kurtkę, chroniąc tym samym uniform przed zniszczeniem.

Spojrzał znów na nieznajomego i zobaczył tylko jego plecy. Oddalał się niespiesznie, chowając po drodze szpadę do pochwy.

– Hej! – zawołał ogłupiały Egert. – To pana ostatnie słowo, staruszkule?

Lecz siwowłosa lokator „Wspaniałego Miecza” nie obejrzał się nań i odszedł, ani razu nie spoglądając do tyłu.

Ranny przycisnął chustkę do policzka, odnalazł swoją szpadę i zarzucił kurtkę mundurową na ramię. Z całego serca radował się, że zjawił się tutaj bez Karwera. Porażka była zawsze porażką, nawet, jeśli miał do czynienia z samym Opiekunem Żołnierzy, Harsem... A zresztą, raczej nie. Opiekun Wojowników ceni tradycję i nie zakończyłby pojedynku w tak głupi sposób...

Dochodząc do brzegu rzeki, Egert przyklęknął i spojrzał w ciemne, rozedrgane zwierciadło. Na policzku jego wodnego odbicia widniała długa i głęboka bruzda rozciętej skóry od kości policzkowej aż do podbródka. Odbicie oficera skrzywiło się w cynicznym uśmiechu. Kilka czerwonych kropeł spadło do wody, by się w niej natychmiast rozpuścić.

Rozdział 2

Wracający do miasta Egert bardzo nie chciał spotkać nikogo ze znajomych. Zapewne właśnie dlatego na pierwszym skrzyżowaniu napotkał ogromnie zaniepokojonego Karwera.

– Staruch wrócił do miasta cały i zdrowy... Już myślałem, że... Co ci się stało w policzek?

– Zaczepiłem o gałąź – wycodził oficer przez zęby.

– Aha – mruknął młodzik ze współczuciem. – Zastanawiałem się, czy nie zejść z mostu...

– I przysypać ziemią moje dogorywające ciało?

Egert nie krył rozdrażnienia. Głębokie nacięcie na twarzy przestało krwawić, lecz paliło jakby ktoś przyłożył do niego rozpalony pręt.

– No... – odparł niepewnie Karwer i zaraz dodał, zniżając głos: – Staruszek od razu wyjechał. Czekał na niego osiodłany koń.

Egert splunął.

– A co mnie do tego? Jednego szaleńca ubyło w mieście...

– Od razu ci mówiłem – przytaknął skwapliwie Karwer – że to wariat.

Poznałem po oczach... Miał oczy szaleńca, zauważyłeś?

Widać było, że Karwer ma zamiar teraz rozprawić szeroko o obłąkańcach, w szczególności zaś o tajemniczym obcym. Przede wszystkim zaś chciał poznać wszystkie szczegóły pojedynku. Naturalnym następstwem wydawało się zaproszenie do tawerny, lecz tym razem czekało chłopaka gorzkie rozczarowanie. Egert nie zaspokoił w najmniejszym stopniu jego ciekawości, pożegnał się bowiem szybko i nader oschle.

*

Herb Sollów, widniejący nad żelazną bramą domostwa, miał wywoływać dumę wśród przyjaciół i przerażać wrogów. Wyobrażone na jego tarczy waleczne stworzenie nie miało nazwy, ale wyposażone było w rozdwojony język, stalowe szczęki i dwa miecze w kościstych łapach.

Egert przestąpił wysoki próg z trudem przebierając nogami. Przy wejściu czekał służący, gotów odebrać z rąk panicza płaszcz i kapelusz, lecz owego

nieszczęsnego poranka nie miał na sobie żadnej z tych rzeczy, dlatego też skinął tylko głową w odpowiedzi na głęboki ukłon lokaja.

Pokój Egerta, podobnie jak inne komnaty rezydencji, ozdabiały gobeliny z wyobrażeniem zmagania dzików bojowych. Na niewielkiej półeczce na książki stało parę sentymentalnych powieścideł obok podręczników myślistwa. Ich właściciel nigdy do nich nie zaglądał. Na ścianie między dwoma wąskimi oknami wisiał portret jego matki za młodu, gdy była jeszcze dosyć urodziwa. Do jej kolan tulił się kędzierzawy, jasnowłosy chłopczek. Artysta namalował go przed piętnastu laty na polecenie głowy rodu, przy czym stworzył mocno wyidealizowany, pochlebny wizerunek. Piękność matki została oddana w sposób przesłodzony, chłopczyk zaś wydawał się uosobieniem cnoty. Zbyt błękitne oczęta, zbyt okrągłe policzki, dołek w bródce... Jeszcze chwila, a ten uroczy cherubinek wzniesie się ku niebiosom na lekkich skrzydełkach...

Egert podszedł do lustra, stojącego na stoliku blisko łoża. Jego oczy nie wydawały się teraz błękitne. Były szare, jak zachmurzone niebo. Z wysiłkiem rozchylił wargi. Nie miał żadnego dołeczka, natomiast pół twarzy przecinała długa, rozpalona, krwawa rana.

Zjawiła się na wezwanie zaufana starucha, od dawna wtajemniczona we wszystkie sekrety domostwa. Trochę pojęczała, międląc bezzębnymi ustami, po czym przyniosła słoiczek z maścią gojącą rany. Lekarstwo uśmierzyło nieco ból. Egert ściągnął botforty przy pomocy lokaja, rzucił mu mundur i opadł bezwładnie na fotel. Wstrząsały nim dreszcze.

Nadeszła pora obiadu, lecz panicz nie zszedł do jadalni, kazał tylko powiedzieć matce, że zjadł już w tawernie. Miał nawet ochotę przejść się do knajpy i zaczął żałować, że nie napił się w towarzystwie Karwera. Wstał, zbierając się do wyjścia, lecz znowu usiadł po chwili.

Chwilami odczuwał zawroty głowy. W takich momentach białowłosy chłopczyk z obrazu, malec o gładkich, nietkniętych ostrzem szpady policzkach, kręcił główką i uśmiechał się wieloznacznie.

Zbliżał się wieczór, zapowiadany szarą godziną, kiedy to dzień jeszcze całkiem nie odszedł, a noc nie nastąpiła. Światło słońca przygasło za oknem, z kątów wypełzały cienie, przeobrażając komnatę. Egert odczuwał nieokreślony niepokój, spoglądając na dzicze mordy szczerzące kły z gobelinów.

Kontemplował ostrożnie nowe dla niego, nieprzyjemne i przytłaczające

uczucie. Było to jakby oczekiwanie na coś, co nie miało formy ani nazwy, coś smutnego, ale nieuchronnego. Dziki ścierały się ze sobą, jasnowłose dzieciak u kolan matki uśmiechał się, skraj baldachimu nad łóżem kołysał się groźnie... Egertowi zrobiło się nagle zimno w ciepłym wnętrzu.

Wstał, usiłując pozbyć się tego niemiłego, bezsensownego niepokoju. Chciał zawołać na służbę, lecz nagle się rozmyślił. Znowu usiadł, próbując ustalić z trudem, co mu w tej chwili zagraża. Potem zerwał się i pobiegł do salonu. Na swoje szczęście spotkał sługę, niosącego zapalone świece. Postawił na stole wielki, rozgałęziony lichtarz i pokój zalało światło. Cienie znikły, a Soll zapomniał natychmiast o dziwnym uczuciu, jakie nawiedziło go na granicy dnia i nocy.

Owej nocy spał bez żadnych majaków.

Minął tydzień. W mieście zapomniano o tragicznym wydarzeniu związanym z Sollem i tylko jego matka nie stała się z tego powodu weselsza ani bardziej rozmowna. Mogiła studenta zarosła trawą. Na brzegu Kawy zbudowano nową arenę do walki dzików. Kapitan gwardzistów, mąż pięknej Dilli, obwieścił na placu budowy, że zbliżają się ćwiczenia, zwane ambitnie manewrami.

Manewry odbywały się każdego roku. Ich celem było przypomnienie panom gwardzistom, że nie są tylko bandą hulaków i pojedyńkowiczów, lecz formacją wojskową. Egert lubił ćwiczenia, podczas których mógł się wykazać męstwem, i zawsze cieszył się, gdy się zbliżały.

Tym razem się wcale nie cieszył.

Rana na policzku zablizniła się tymczasem i prawie wcale nie bolała. Służący golił Solla ze szczególną ostrożnością. Gęsty zarost na brodzie i policzkach wydawał się nie licować z godnością arystokraty, dlatego też oficerowi nawet nie przyszło do głowy pokryć nim bliznę. Otoczenie przyzwyczało się powoli do jego nowego wyglądu, on sam także chwilami zapominał o ranie. Z każdym nowym dniem wzmagał się jednak dziwny niepokój w jego duszy, osłabiający pewność siebie.

W ciągu dnia czuł się jeszcze całkiem znośnie, wystarczyło jednak, że ciemność zaczynała gęstnieć, aby z czarnych szczelin wypełzał irracjonalny strach, gnający go do domu. Na rozkaz panicza służący przyniósł do jego pokoju cały zapas świec, jaki był w domu. I chociaż sypialnia Egerta jaśniała niczym sala balowa i tak wydawało mu się chwilami, że dziki z gobelinów wodzą za nim przekrwionymi ślepiami.

Pewnego wieczoru znalazł sposób na zwalczenie dziwnej przypadłości. Nakazał słudze, by przygotował posłanie wcześniej niż zwykle i położył się. Nie zasnął od razu, lecz z uporem leżał z zamkniętymi oczami. W końcu zapadł w drzemkę i udało mu się zasnąć.

Niebiosa, chyba lepiej już byłoby przesiedzieć całą noc w knajpie!

Coś mu się przywidziało w środku nocy. Oczywiście dawniej też miewał senne widzenia, raczej zwyczajne, mniej lub bardziej przyjemne: kobiety, konie, przyjaciele, karaluchy...

Kiedy się budził, zapominał zwykle o tych majakach, zanim zdążył zorientować się, że coś mu się w ogóle śniło. Tym razem zerwał się w ciemnościach cały mokry, z koszulą oblepiającą ciało, roztrzęsiony jak zmokły szczeniak.

Bez wątpienia dawno zapomniane opowieści o okropnościach Czarnego Moru wychynęły z zakamarków pamięci, nie wiedzieć gdzie zasłyszane historie staruszków, baśnie, które wyśmiewał, będąc jeszcze podrostkiem... Ujrzał we śnie, jak po jego domu przechadza się dziwne stworzenie w usmolonym chałacie, z twarzą obwiązaną czarnymi od smoły szmatami. W ręce trzymało narzędzie, przypominające widły z bardzo długimi, zagiętymi hakami, niczym ogromna ptasia łapa. Dom był pusty. Cudak wszedł do salonu. Klawesyn miał otwarte wieko, a w blasku świec siedziała przy nim matka Egerta, kładąc palce na klawiaturze. Jej dłonie były suche, żółkłe, jakby martwe... Przybysz uniósł grabie i wtedy matka przewróciła się na bok jak drewniana figura. Smolisty osobnik zgarnął trupa metalowymi zębami, jak ogrodnik zgarniający zeszłoroczne listowie.

Egert nie mógł dłużej wytrzymać w ciemności. Chciał jak najszybciej zapomnieć senną marę! Zapalił jedną, potem drugą świecę. Z mroku wynurzył się portret: białowłosy chłopiec u nóg kobiety. Soll zamarł na chwilę, wpatrując się w młodą twarz matki. Oczekiwał, że go obroni, jak kiedyś, w dzieciństwie... Gdzieś cykały świerszcze, za oknem wciąż panowała głęboka noc. Rzucił się w stronę obrazu, przyciskając lichtarz do piersi. W tej samej chwili malowane oblicze nagle strasznie się zmieniło, wykrzywione wściekłością...

Zbudził się ponownie, krzyjąc przeraźliwie, tym razem naprawdę. Za oknami panowała ciągle ta sama gęsta, smolista i duszna noc.

Zapalił świece drżącymi rękoma. Zaczął miotać się po sypialni, klapiąc o podłogę bosymi stopami, obejmując z całych sił rozedrgane ramiona. Czyżby był to dalszy ciąg snu? Czy już do końca życia będzie budził się, przechodząc z jednego

koszmaru w drugi? Co będzie jutro? Co znowu mu się przyśni?

Świt zastał go w fotelu: skurzonego, zapadłego w sobie, roztrzęsionego.

W ciągu kilku następnych dób wypadł mu nocny patrol. Ucieszyło go to, gdyż od czasu pamiętnego sennego koszmaru sam widok pościeli był dlań nieprzyjemny. Lepiej już przepędzić noc w siodle z bronią w ręku, niż znowu zmagać się ze zwodniczym pragnieniem, by świece w sypialni płonęły aż do świtu!

Patrowali w piątkę pod dowództwem Egerta, co umożliwiała jego ranga porucznika. Wraz z nim byli Karwer, Lagan i jeszcze dwóch całkiem młodych, szesnastoletnich gwardzistów.

Patrol był nieodłączną częścią nocnego życia Kavarrena. Większość mieszkańców stwierdzała nie bez dumy, że może zasnąć spokojnie, słysząc za oknami stukot końskich kopyt i ciche rozmowy patrolujących. Rzadko pojawiały się prawdziwe kłopoty. W mieście nie było zbyt wielu rzezimieszków albo też uprawiali swój proceder po cichu, albo po prostu wiedzieli, że z gwardzistami nie ma żartów.

Odebrawszy, jak zwykle, błogosławieństwo od kapitana, panowie gwardziści wyruszyli na miasto: Egert z Karwerem przodem, za nimi Lagan z młodymi, Olem i Bonifortem. Krążąc zaułkami wokół ratusza, skierowali się ku bramie miejskiej. Okna w domach gasły jedno po drugim, zewsząd słycać było zgrzyt zasuwanych wrzeczadźców i trzask zamykanych okiennic. Tawerna przy bramie nadal działała. Kawalkada jeźdźców przesunęła się przed szerokimi, dębowymi drzwiami. Kusiło ich, by zajrzeć na chwilę, pozdrowić właścicielkę i pożartować z uroczyimi dziewczętami, Itą i Fetą. Ostatecznie obowiązek wziął górę nad tą zachcianką i patrol miał już jechać dalej, kiedy z karczmy wytoczył się właśnie ktoś kompletnie pijany.

W ciemności pijanica nie miał rodu ani nazwiska, trudno było rozeznaczyć, czy jest arystokratą, czy też z ludu. Karwer podjechał do niego, pohukując. Gwałtownie ściągnął wodze i rumak stanął dęba tuż przed samym nosem półprzytomnego hulaki, nie wywracając go, lecz dając mu powąchać końskiego potu i śmiertelnie strasząc. Gwardziści zaśmiali się, a pijak siadł na jezdni, wydając dziwny, nieartykułowany dźwięk. Zadowolony Karwer cofnął konia do szeregu. Wszyscy spojrzeli na Solla, gdyż to właśnie on nauczył kiedyś tej sztuczki kolegę.

Ruszyli dalej. Miasto spowijały ciemności i tylko pochodnie w dłoniach patrolujących i rzadko przebłyskujące przez gęste chmury gwiazdy oświetlały czarne fasady uśpionych kamienic. Jechali w milczeniu. Pod końskimi kopytami dźwięczał

miejski bruk. Egert niechętnie śledziłby cienie, płasające w głębi ulicy, wołał więc patrzeć w dół na kocie łby.

Przepływająca pod nim jezdnia skojarzyła mu się z rzeką, po której pływały lodowe kry. Kamienie brukowe napierały na siebie ostrymi krawędziami, jakby czyhając na ofiarę. Drżąc lekko, oficer spostrzegł to, czego wcześniej nie zauważał. Kiedy to zrozumiał, przeraził się swą uprzednią ślepotą. Brukowce były wraże i śmiertelnie niebezpieczne. Człowiek, który spadłby na nie, dajmy na to z końskiego grzbietu, był w zasadzie stracony.

Jechali dalej. Koń Egerta stukał o bruk kopytami tak samo jak inne, lecz jego właściciel nie widział już niczego wokół. Ściskając wodze spotniałymi dłońmi, ten urodzony jeździec zaczął lękać się panicznie upadku.

Zdawało mu się, że słyszy powtarzający się monotonicznie chrzęst pękających kręgów szyjnych. Kamienie brukowe dalej czyhały, kiedy głowa oficera roztrzaska się o nie jak spadły arbuz. Pot spływał strugami po plecach porucznika, chociaż noc była raczej chłodna. Mijając kolejne skrzyżowania zdążył umrzeć już tysiąc razy, aż wreszcie koń zaczął to odczuwać, jakby złe samopoczucie jeźdźca się mu udzieliło.

Kawalkada akurat zawracała. Koń oficera drgnął niespokojnie. To wystarczyło, żeby słabnący Soll zwałił się z siodła na ziemię.

Egert nie mógł zrozumieć, co się stało. Dawno zapomniał, jak się spada z konia, gdyż ostatni raz zdarzyło mu się coś takiego, kiedy miał dziesięć lat. Poczuł jedynie gwałtowny lęk, przed oczyma mignęło mu czarne niebo z nielicznymi gwiazdami, po czym nastąpił bolesny, lecz ku jego zdumieniu, wcale nie śmiertelny wstrząs.

Leżał na boku, mając przed oczami kopyta swego rumaka. Pochodnia, którą upuścił, syczała, gasnąc w pobliskiej kałuży. Z oddali dobiegały go zdziwione głosy. W końcu sytuacja stała się dla Solla jasna i mógł uznać za błogosławieństwo fakt, że szybko stracił przytomność.

Co mogło być przyczyną, żeby ktoś taki jak Egert Soll spadł ze spokojnie idącego konia na oczach czwórki podwładnych? Tylko śmierć, pomyślał leżący i naprawdę zapragnął umrzeć.

– Soll! ... Pomóż mi, Laganie, on leży jak martwy! ... Co jest...

Poczuł jak czyjeś dłonie chwytają go za ramiona i przewracają na plecy, lecz nadal nie dawał oznak życia.

– Boniforze, daj szybko manierkę!

Poczuł jakąś ciecz spływającą po twarzy. Odczekał jeszcze chwilę, w końcu miał tego dosyć i otworzył oczy.

Przy świetle pochodni schylali się nad nim Karwer, Lagan, Ol i Bonifor. Wszyscy mieli zdziwione miny, młodszy był też wystraszeni.

– Żyje – stwierdził Ol z westchnieniem ulgi.

– Co mu się chwali – rzekł flegmatycznie Lagan. – Soll, co z tobą, jesteś pijany?

– Kiedy wyjeżdżaliśmy był całkiem trzeźwy – sprzeciwił się stanowczo Karwer. – Chyba że zdążył po drodze...

– Podczas służby? – zainteresował się Lagan beznamiętnie.

– Nie czuć od niego alkoholu! – oznajmił Bonifor.

Było mu bardzo niewygodnie leżeć na wznak i być obiektem ogólnej ciekawości, tym bardziej, że kamienie brukowe, jakby się wreszcie doczekały na swoją chwilę, wpijały mu się niemiłe w plecy. Uniósł się na łokciach, a wtedy kilkoro rąk podtrzymało go i pomogło wstać.

– Co z tobą? – zapytał po prostu Karwer.

Egert sam nie wiedział, lecz nie miał zamiaru tego zdradzić podkomendnym.

– Nie pamiętam – odparł, starając się, żeby jego głos brzmiał jak najbardziej ochryple. – Jechaliśmy, a potem... Ciemność przed oczyma... I ocknąłem się na ziemi. Gwardziści spojrzeli po sobie.

– Kiepska sprawa – stwierdził Lagan. – Powinieneś pójść do lekarza.

Egert nie odpowiedział. Starając się z trudem opanować wstrząsające nim dreszcze, wsiadł na konia. Nocny patrol nieco się przeciągnął, lecz do samego rana oficer czuł na sobie pytające spojrzenia podwładnych, zapewne obawiających się, czy znowu nie spadnie z konia.

Kilka dni później pułk wyjechał na manewry.

Przejazd odbył się ze stosowną pompą. Jak nakazywał obyczaj, ćwiczenia poprzedziła parada. Prawie wszyscy mieszkańcy Kavarrena zebrali się na nadbrzeżu, przy czym przedstawiciele ważnych rodów zjawiali się pod miniaturowymi dynastycznymi sztandarami, przy czym ojcowie rodzin wymachiwali obnażonymi szpadami niczym pałeczką kapelmistrza. Burmistrz zjawił się w płaszczu wyszywanym w podobizny bestii heraldycznych. Chłopcy przeznaczeni w przyszłości do służby w pułku, kiedy osiągną odpowiedni wiek i wzrost, ustawieni byli w

kolumnę i kilkakrotnie przemaszerowali w tę i z powrotem. Na czele oddziału kroczył piętnastoletni młodzik, zamykał zaś pochód trzylatek w mundurku z drewnianym kindziałem u pasa. Różnica wieku odzwierciedlała się w możliwościach maszerowania: malec był bardzo zdyszany, parę razy nawet się potknął, próbując nadażyć za starszymi, nie płakał jednak, rozumiejąc najwidoczniej, jaki spotkał go zaszczyt.

Później przed oczami zebranych pojawił się wreszcie główny powód zgromadzenia. Przejechali pod wodzą kapitana na pysznych rumakach, każdy dzierżąc w prawicy uniesione w salucie ostrze szpady. Najodważniejsze dziewczęta wyskakiwały z tłumu wprost przed końskie piersi i zarzucały na klingi gwardzistów fiołkowe wieńce, co oznaczało wyraz gorącego uczucia. Najwięcej kwiatnych pierścieni otrzymał wedle rangi kapitan, sporo dostał ich także Soll, który zresztą wyglądał tego ranka blado i niezdrowo. Nad głowy ciżby wlatywały podrzucane kwiaty i kapelusze. Miało się wrażenie, jakby odprowadzano gwardzistów na wojnę, chociaż wszyscy wiedzieli, że za trzy dni pułk cały i zdrowy spokojnie wróci do domu.

Mieszczanie skończyli fetowanie, gwardziści zaś, minąwszy miejską bramę, wyjechali na główny trakt, kierując się w stronę, gdzie już tydzień temu przygotowano obóz wojskowy.

Wokół była wiosna w pełnym rozkwicie. Soll siedział w siodle przygarbiony, w żaden sposób nie radując się pięknem rozświetlonego słońcem pejzażu po obu stronach drogi. Poprzednią noc spędził bezsennie. Przed północą nawiedził go kolejny koszmar, doczekał zatem świtu, wymieniając kolejne świece w lichtarzach. Parada go wcale nie pocieszyła, odwrotnie, odczuł nowy wstrząs, zdał sobie bowiem sprawę, że nie znosi samego widoku obnażonej szpady. Wielkie nieba! Widok gołej klingi nie przywodził teraz temu słynnemu zabijace miłych myśli o sławie i zwycięstwie, lecz kiedy spoglądał na ostre żelazo, myślał o rozciętej do kości skórze, o krwi i bólu, których konsekwencją będzie śmierć...

Koledzy spoglądali nań z ukosa. Oficjalna wersja głosiła, że zakochał się nieszczęśliwie. Domyślano się, robiąc przegląd różnych kandydatek, że sercem oficera zawładnęła piękna i nieprzystępna Toria, narzeczona zabitego studenta. Tylko Karwer nie brał udziału w plotkach, lecz obserwował wszystko w milczeniu.

Zjechawszy z głównej drogi, dotarli nad krawędź głębokiego wąwozu. Grudy ziemi posypały się w przepaść spod kopyt. Kapitan wydał rozkaz. Egert zadrżał,

ujrawszy gładko ostrugane bez jednego sęka bierwiono, przerzucone na drugą stronę.

Niegdyś w związku z zakładem Soll przegalopował nad samą najgłębszą przepaścią. Wielekroć, kiedy stapał po gładkiej nawierzchni kładki, zamierało mu serce, radując się świadomością wielkiego niebezpieczeństwa, które pozwoliło mu się wykazać odwagą. Nie zadowolając się osobistym ryzykiem, zachęcał także innych, wykorzystując oficerską rangę i magiczne słowo: „tchórz”, prowokował na tym pniu pojedynki... Zdarzyło się, że ktoś spadł na dno wąwozu i złamał nogę. Egert nie pamiętał, jak nazywał się ten biedaczek, który okulał po wypadku i musiał opuścić pułk.

Wszystko to przypomniało się Egertowi w chwili, gdy jego koledzy na rozkaz kapitana zeskakiwali z koni w pobliżu kłody.

Ustawili się w szyku. Młodych i niedoświadczonych ustawił kapitan oddzielnie, a porucznik Dron, instruktor młodych rekrutów, zaczął im wyjaśniać z poważną miną sens ćwiczenia. Chwilę potem kapitan, nie chcąc tracić czasu, nakazał zaczynać.

Sprawa wydawała się prosta: przejść na drugą stronę wąwozu i czekać tam na pozostałych. Chłopcy pełniący rolę ordynansów, wzięci specjalnie na manewry do rozmaitych posług, mieli odprowadzić konie do obozu. Egert z trudem wyplątał wodze ze zgrabiałej dłoni i przekazał je patrzącemu nań z uwielbieniem podrostkowi.

W stosownym porządku gwardziści jeden za drugim przechodzili po kładce, jedni z popisową brawurą, inni ze źle skrywaną obawą, jedni biegiem, drudzy ostrożnie stawiając nogę za nogą. Soll zamykał kolumnę. Widział, jak buty kolegów przesuwają się po gładkim drewnie i usiłował zrozumieć, skąd wzięły się to dziwne, lepkie uczucie w sercu i nagła słabość w kolanach?

Nigdy jeszcze nie odczuwając prawdziwego strachu w obliczu niebezpieczeństwa, nie od razu pojął, że zwyczajnie się boi. Tak bardzo, że nogi mu miękną, a żołądek wywraca się boleśnie...

Łańcuszek gwardzistów coraz bardziej małał po tej stronie. Młodzieńcy, którzy po raz pierwszy przeszli dziś ową próbę, podskakiwali radośnie po drugiej stronie, wzywając okrzykami pozostałych do wejścia na kładkę. Zbliżała się kolej Egerta. Chłopcy stajenni, którzy dawno mieli odprowadzić konie, czekali jeszcze, mając rzadką okazję zobaczyć nowy popis zręczności porucznika Solla.

Karwer, ostatni z poprzedzających Egerta, wszedł na pień. Początkowo szedł powoli, dosyć rozważnie, mniej więcej pośrodku potknął się jednak lekko i dokończył

przejście rozpaczliwie machając rękami. Dawniej jego starszy kolega nie omieszkałby zagwizdać pogardliwie na chwiejącego się przyjaciela, tym razem jednak, robiąc krok w stronę kładki, wstrzymał tylko oddech.

Pozostali gwardziści byli już po drugiej stronie i wszyscy patrzyli wyczekująco na swego idola.

Zmusił się, by iść dalej. Wielkie nieba, czemu tak drżą mu kolana?!

Oblizął spierzchnięte wargi i zrobił kolejny krok. Zachwiał się, łapiąc dłońmi powietrze. Na tamtym brzegu rozległy się śmiechy: koledzy uznali, że zręcznie parodiuje tych, którzy gorzej sobie radzili.

Zrobił jeszcze pół kroku. Ujrzał przed oczami duszy kamieniste dno wąwozu i swoje okrwawione ciało, leżące na kamieniach...

Uniósł zasmucone oczy na niebezpieczne przejście i podjął decyzję.

Cofnął się szybko i złapał nieco teatralnym gestem za pierś w okolicy serca. Zadrzał, jakby wstrząsany konwulsjami i zeskakując z kłody, upadł na ziemię.

Miotając się na posłaniu zeszłorocznego listowia usiłował niejasno wyobrazić sobie bóleści, o których do tej pory tylko słyszał, gdy mówiono o ataku padaczki. Dobrze byłoby mieć pianę na wargach, lecz w ustach akurat było sucho jak w wyschłej studni, tak więc niedostatek symptomów trzeba było nadrobić gwałtownością ruchów.

Zdziwione śmiechy z przeciwległej krawędzi zamieniły się w okrzyki przerażenia. Pierwszy podbiegł do niego tenże podrostek, któremu powierzył swego konia. Wielkie nieba! Solla aż piekły uszy ze wstydu i poniżenia, lecz nie miał wyboru. Wił się i miotał niczym wyrzucona na brzeg ryba, charcząc i zachłystując się, dopóki kapitan z Karwerem i Dronem nie otoczyli go ze wszystkich stron. Dziesięć minut trwało przywracanie go do przytomności. Ściskając zęby i wywracając oczy Soll starał się jak najbardziej przypominać na pół martwego. O ile jednak prawdziwi nieboszczycy w takich sytuacjach stygną i zaczynają sinieć, Egert purpurowiał ze straszliwie palącego go wstydu.

Przejęty nagłym atakiem porucznika, kapitan natychmiast odesłał go do miasta. Chciał początkowo dać choremu towarzysza, lecz Egert zdołał się od tego wymówić. Dowódca uznał, że nawet w tak ciężkiej niemocy jeden z jego najlepszych gwardzistów wykazuje prawdziwe męstwo.

Ojciec Solla przejął się tym zdarzeniem nie mniej od kapitana. Ledwie Egert zdążył

ściągnąć buty i opaść na fotel, kiedy usłyszał stukanie do drzwi, miarowe, lecz stanowcze. Na progu stanął Soll senior, a za nim wszedł niewysoki człowieczek w długim chałacie lekarza.

Egert zmuszony był opowiedzieć o swoim niedomaganiu i dać się zbadać.

Medyk starannie ostukał go małym młoteczką, osłuchiwał, obmacał, a nawet obwąchał. Później zaglądał mu badawczo w oczy, odciągając dolne powieki. Egert odpowiadał przez zaciśnięte zęby na drobiazgowo pytania, przy czym niektóre sprawiały, że się rumienił. Nie chorował dotychczas. Rany? Najwyżej parę draśnień. Blizna na policzku? Niefortunny wypadek, o którym zdążył zapomnieć.

Soll senior wielce się niepokoił. Omal sobie nie powyłamywał palców. Badając jamę ustną pacjenta, lekarz prawie urwał mu język. Otarł później dłonie śnieżnobiałą ściereczką i zaproponował z westchnieniem klasyczną kurację, rekomendowaną przez wszystkich zakłopotanych doktorów: puszczenie krwi.

Chwilę potem dostarczono do sypialni sporą miednicę. Lekarz otworzył swą czarną torbę i wyłożył na czysty obrus lśniące w słonecznym blasku lancety i skalpele. Zadzwięczały małe, szklane bańki. Staruszka służąca przyniosła świeże prześcieradło.

Owe przygotowania sprowadziły na Egerta czarną rozpacz. Chwilami dochodził do wniosku, że lepiej już byłoby wrócić na manewry. Ojciec, uradowany, że może chociaż w niewielkim stopniu wesprzeć cierpiącego syna, dopomógł mu zdjąć koszulę.

Przygotowania były skończone. Kiedy jednak młodzieniec ujrzał okrutne ostrze w dłoni lekarza, zrozumiał, że nie obejdzie się bez rozlewu krwi.

– Mój synu – szepnął zatroskany ojciec – rzeczywiście jesteście bardzo chory...

Wcisnąwszy się w kąt, zasłaniając ciężkim świecznikiem, Egert wyjął:

– Nie chcę... Zostawcie mnie w spokoju!

Stara klucznica poruszała bezgłośnie ustami. W drzwiach sypialni stanęła niemłoda już kobieta, matka Egerta.

Lekarz rozejrzał się wokół po wszystkich obecnych, potem znów spojrzał uważnie na półnagiego pacjenta, którego wspaniałe mięśnie wyraźnie rysowały się pod gładką skórą. Wzruszył ramionami z rezygnacją.

– Niestety...

Narzędzia wróciły do torby. Rozstrojony Soll starszy daremnie usiłował wydobyć z doktora, co mogło znaczyć owo „niestety”? Czy z Egertem jest naprawdę

źle?

Lekarz spakował spokojnie instrumenty, potem zaś pokręcił głową i rzekł, jakby bardziej do dzików na gobelinach, niż do rodziny Sollów:

– Młody człowiek jest... hm, hm... w zasadzie zdrowy. Tak, proszę państwa... Lecz jeśli przeżywa jakieś duchowe niepokoje, to już nie jest kwestia medyczna.

*

Wielkie nieba! Mężny Harsie, Opiekunie Wojowników, jak mogłeś do tego dopuścić?

Porucznik Egert Soll był głęboko zraniony, zwłaszcza jeśli chodziło o jego miłość własną. Najbardziej niemiły w tym wszystkim był fakt, że godność oficera została naruszona nie przez kogoś obcego, lecz jakby od środka.

Całą godzinę przestał przed zwierciadłem, przyglądając się sobie badawczo. Z lustrzanej tafli spoglądał na niego pozornie ten sam, dobrze znany stary znajomy: szaroniebieskie oczy, jasne włosy i zrastająca się rana na policzku. Będę miał szramę, stwierdził, wodząc palcem po skaleczeniu. Miał więc nowy znak szczególny. No cóż, blizna na twarzy mężczyzny świadczy o jego męstwie...

Nachuchał na lustro i zrobił palcem ukośny krzyżyk na zaparowanej powierzchni. Za wcześnie popadać w rozpacz. Jeśli nawet jego dusza jest chora, wiedział, jak ją uleczyć.

Zmieniwszy płócienną koszulę na jedwabną, Egert wyszedł z domu, nie słuchając napomnień zatroskanego rodzica.

Każdy gwardzista wiedział, że żona kapitana, piękna Dilia, miała słabość do porucznika Solla. Dlaczego nie dowiedział się jeszcze o tym sam kapitan, pozostawało zagadką.

Wizyty u Dili dostarczały Egertowi podwójnej satysfakcji, ponieważ, radując się gorącymi objęciami kapitanowej, upajał się także ryzykiem i własną arogancją. Szczególnie lubił całować kobietę, nasłuchując przybliżających się na schodach kroków jej męża. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli dowódca podlegany zazdrością nakryje porucznika w swoim łóżku. Nawet żelazne nerwy kapitanowej chwilami nie wytrzymały, kiedy podejrzliwy małżonek pukał do drzwi sypialni. Egert śmiejąc się, wyskakiwał przez okno lub do komina, chwytając odzież po drodze. Ani razu nie zdarzyło się łotrzykowi zgubić guzika czy sprzączki, nie potknął się na parapecie i nie uczynił zbędnego hałasu... Zastygła Dilia słyszała tylko

szmer pod oknem i ciężkie kroki męża koło łoża. Kolejny raz czujny małżonek nie znalazł ani śladu obcego mężczyzny.

Wizyty u kapitanowej zawsze uskrzydlały Egerta, miał więc nadzieję, że kolejna wyzwoli go od dziwnej przypadłości.

Zmierzchało się już. Egert jak dawniej nie lubił szarej godziny, lecz myśl o czekających go rozkoszach sprawiła, że zapanował nad tym uczuciem. Pokojówka była, naturalnie, od dawna przekupiona. Otulona w azurowy peniuar Dilia przywitała kochanka z szeroko otwartymi oczyma.

– Niebioso, a manewry?!

Zdziwienie szybko rozplynęło się w uśmiechu, rozanielonym i chytrym zarazem. Jak bardzo trzeba być rycerskim, żeby chyłkiem opuścić obóz wojskowy, by spotkać się z ukochaną! Pokojówka przyniosła na tacy wino i półmisek z owocami, przyozdobiony pawim piórem, znakiem gorącej miłości. Zadowolona Dilia przeciągnęła się na pościeli jak syta kocica.

– Och, Egercie... Gotowa byłam już źle myśleć o tobie – rzekła z dwuznacznym uśmieszkiem. – Wolaleś ostatnio zajmować się walką niż miłością... Zazdrościłam pojedynkującym się z tobą!

Potrząsnęła głową w taki sposób, by ciemne loki rozłożyły się bardziej malowniczo.

– Jeśli nawet rzeczywiście kogoś zabiłeś, czy to jest powód, żeby na tak długo zostawiać swoją Dilię?

Egert, starając się nie patrzeć w ciemny kąt sypialni, wymamrotał jakiś uroczy komplement. Kobieta zamruczała i mówiła dalej aksamitnym głosem:

– Ale teraz... twój wyczyn daje mi prawo wybaczyć. Wiem, czym są manewry dla gwardzisty... Odrzuciłeś dla mnie swą ulubioną zabawę i zostaniesz za to wynagrodzony.

Dilia pochyliła się ku niemu z półotwartymi ustami i mężczyzna poczuł zapach różanych perfum.

– Odpowiednio wynagrodzony...

Wstrzymał oddech. Zręczne paluszki zmagaly się tymczasem z guzikami munduru.

– Niech mój mąż sobie śpi pod namiotem, stając się pastwą komarów, prawda, Egercie? Mamy dla siebie całą noc... I ranek. A także następny dzień. Tak, Egercie? Ładnie ci z tą szramą... Zróbmy wszystko, żeby spędzić ten czas jak najprzyjemniej...

Pomogła mu zdjąć ubranie. Nurkując za nią w pościeli, poczuł jakim żarem bije jej atlasowa skóra. Wodząc dłońmi po gładkiej talii, nagle się wzdrygnął. Jego dłonie natrafiły na metalową opaskę, rozgrzaną ciepłem ciała. Dilia zaśmiała się dźwięcznie.

– To pas cnoty! Podarunek od twego kapitana, Egercie!

Zanim zdążył się w tym połapać, wydobyła spod poduszki mały, stalowy kluczyk.

Zapomniał na jakiś czas o swoich problemach, śmiejąc się z całej duszy, gdy słuchał historii tegoż klucza, „zrodzonego z mydełka”. Przed wyjazdem kapitan postanowił skorzystać z łaźni. Dilia zadbała o wszystko i kiedy zazdrośnik omdlewał pod strugami gorącej wody oraz razami brzoźowych witek, zdołała wykraść kluczyk, wiszący zwykle na mężowskiej szyi, i odcisnęła go w kawałku mydła. Kapitan odjechał na manewry czysty i szczęśliwy...

Pas cnoty spadł z brzękiem na posadzkę.

W domu panowała martwa cisza. Reszta służby miała naturalnie wychodne, a pokojówka już się położyła. Pieszcząc kapitanową, Egert nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, że od wojskowego obozu do miasta są tylko dwie godziny drogi.

– Och, Soll – szeptała namiętnie kobieta, obnażając w rozkosznym uśmiechu piękne ząbki. – Jak to już dawno... Obejmij mnie mocniej...

Egert uczynił to, czując także przyływ gorącej fali namiętności. Piękność wyprężyła się, jakby jego pocałunek dotarł do samego centrum rozkoszy. Gnąc się w słodkich i rytmicznych poruszeniach oboje byli gotowi zatonać całkowicie w oceanie miłości, kiedy nagle ucho Solla wyłowiło jakiś szmer za drzwiami.

Tak się kurczy rozżarzona stal, gdy rzuca ją do zimnej wody. Egert zamarł. Jego skóra pokryła się w mgnieniu oka zimnym potem. Kapitanowa oprzytomniała nieco i rozwarła przepelnione zdumieniem oczy.

– Egercie?

Przełknął głośno lepka, gęstą ślinę. Szmer się powtórzył.

– To pewnie myszy – oświadczyła z westchnieniem ulgi. – Co się z tobą dzieje, ukochany?

Egert sam tego nie wiedział. Oczyma duszy widział pochylonego za drzwiami kapitana, podglądającego ich przez dziurkę od klucza.

– Pójdę zobaczyć – wydyszał i ruszył ku drzwiom ze świecznikiem w dłoni.

Małeńka szara myszka wyskoczyła mu spod nóg, lecz będąc najwyraźniej

odważniejszą od porucznika, nie uciekła prosto do norki, ale obserwowała go uważnie czarnymi ślepkami, stojąc w ściennej dziurze.

Egert był gotów ją zabić.

Kobieta czekała na niego z lekceważącym uśmiechem.

– Ech, ci gwardziści... Co to za kaprysy, Soll, czy to żarty? Chodź do mnie, mój poruczniku...

Znowu go objęła, lecz Egert, gładząc zrećźnie jej ciało, pozostawał zimny i jakby najeżony.

Przybliżając wargi do jego ucha, zaszeptała wdzięcznie:

– Jesteśmy naprawdę sami... Twój kapitan jest teraz daleko, Egercie. Nie usłyszysz jego kroków na schodach. Jest teraz pod namiotem w obozie. Pilnuje swego stada... To odpowiedzialny oficer, więc sprawdza warty co godzina. Obejmij mnie, mój dzielny Egercie, mamy dla siebie całą noc.

Ukołysany jej szeptem, przestał w końcu nasłuchiwać i młoda krew znów wzięła górę. Jego ciało ożyło i nabrało twardej gibkości. Dilia jęczała z rozkoszy i gryzła jego ramię. Egert wbił się w nią z całej siły, czując nadchodzący moment absolutnego szczęścia, gdy nagle usłyszał stuknięcie drzwi wejściowych i z dołu zaczęły zbliżać się czyjeś kroki.

Egertowi pociemniało w oczach. Cała krew uciekła mu z oblicza, pobladłego w jednej chwili jak chusta. Na delikatną skórę piękności znowu skapnęły krople zimnego potu. Egert odsunął się od niej na brzeg łóżka, trzęsąc się jak w gorączce.

Z dołu dobiegały stłumione głosy. W kuchni zadźwięczały naczynia. Egert zdumiał się, jak bardzo się ostatnio wyostrzył jego słuch! Znowu kroki... Stłumione przekleństwo, głośnie skrzypienie schodów...

– To służba wróciła – wyjaśniła Dilia znużonym głosem. – Brawo, Egercie... Tak się nie postępuje z ukochaną...

Siedząc na skraju pościeli, objął dłońmi gołe ramiona. Niebiosa, za co to wszystko?! Miał ochotę uciec, nie oglądając się za siebie, nie chciał jednak pozostawić nieświadomej niczego kobiety. Myśląc o tym, zacisnął szczęki.

– Co z tobą, przyjacielu? – zapytała cicho za plecami.

Miał ochotę gryźć własną dłoń. Nie poczuł jednak zbyt silnego bólu, więc rozwarł zaciśnięte zęby.

– Egercie... – W jej głosie pojawiła się nutka urazy. – Już mnie nie kochasz, poruczniku Soll?

Jestem chory, chciał jej odpowiedzieć, lecz w porę ugryzł się w język. Jakie to wszystko głupie...

– Kocham – odpowiedział ochryple.

Służący na dole pokładli się wreszcie spać i dom znowu pograżył się w ciszy.

– Wygląda na to, że na próżno zdjęłam pas cnoty? Przepelnione jadłem słowa ugodziły go niczym sztylet wbity w plecy.

Znowu się przemógł. Oblany zimnym potem wpełznął pod koronkową kołdrę. Z równym skutkiem Dilia mogłaby obejmować zimnokrwistą jaszczurkę. Odwróciła się odeń, urażona. Zdrętwiałymi dłońmi chwycił ją i przyciągnął do siebie.

Jego ciało okazało się nad podziw zdrowe i sprawne. Chociaż przeżył dwukrotny szok, znowu zapragnął miłości i zapłonął, jak polane wodą ognisko, rozpalające się ponownie z jednej iskierki.

Dilia także się ożywiła. Kilka następnych chwil sypialnię wypełniały triumfalne jęki. Egert zmierzał do celu, nie myśląc już o przyjemności, byle tylko szybciej z tym skończyć i ocalić choćby resztki dawnej reputacji. Niewiele brakowało do upragnionego finału, podczas gdy mieszkańcy domostwa, miasta i świata oblanego księżycowym, kojącym blaskiem pograżeni byli w głębokim śnie. Nic więc, zdawałoby się, nie przeszkadzało porucznikowi dokończyć dzieła, gdy znowu ujrzał oczyma duszy kapitana wdzierającego się do komnaty w towarzystwie Drona i innych gwardzistów. Wizja była tak wyraźna, że dostrzegał nawet spękane żyłki w białkach oczu dowódcy... Wydało mu się, że dłoń zdradzanego męża wyciąga się ku kołdrze i zaraz nastąpi szarpnięcie...

Całkiem zmiękł, jak wypatroszony flak. Wszystko było na próżno: kolejne usiłowania okazały się bezpłodne, wręcz żałośnie śmieszne. Egert Soll, najlepszy kochanek w mieście, skazany był tym razem na klęskę.

Dilia zaśmiała się gorzko.

Egert zerwał się, porwał kłęb odzieży i skoczył do okna. Po drodze zgubił połowę ubrań i potracił stolik, zwalając na podłogę tacę z winem i owocami. Wskoczywszy na parapet, przestraszył się wysokości pierwszego piętra, lecz za późno było się zatrzymywać. Wyskoczył za okno z rozpędu i wylądował gołym zadkiem na klombie, łamiąc rododendrony i zasługując na wieczystą klątwę ogrodnika. Ubierał się w biegu, płacząc rękawy i nogawki, płacząc ze wstydu. Biegł ile sił w nogach do domu. Na jego szczęście do świtu pozostało jeszcze parę godzin i nikt nie zobaczył słynnego porucznika w tak żenującej sytuacji.

Kiedy gwardziści wrócili do miasta pospieszyli przede wszystkim dowiedzieć się o zdrowie porucznika Solla. Blady i osłabiony Egert z kwaśnym uśmiechem zapewnił przybyłych, że jego stan się poprawia.

Plotka o kompromitacji z Dilią stała się pożywką dla nieprzyjaznych języków już następnego dnia i przekazywano ją sobie z prawdziwą satysfakcją, lecz większość w głębi duszy w nią nie wierzyła, uważając, że podła kapitanowa mści się na byłym amancie.

Jedyną pociechą dla Solla okazała się samotność. Spędzał kolejne dni zamknięty w swoim pokoju albo błąkając się po opustoszałych ulicach. W trakcie owego wałęsania się przysłała mu do głowy myśl straszna w swej prostocie: a co będzie, jeśli to, co się z nim dzieje, nie jest tylko przejściowym niedomaganiem, ale będzie go nękać ciągle, całymi miesiącami albo latami?

Został na jakiś czas zwolniony od zbiórek i patroli. Starannie unikał towarzystwa kolegów, a o spotkaniu z jakąś kobietą bał się nawet myśleć. Zaniedbana szpada stała w kącie, jak ukarany dzieciak. Cały dom wypełniały ciężkie westchnienia Solla seniora. Podobnie jak jego syn rozumiał, że ta sytuacja nie może ciągnąć się zbyt długo. Egert będzie musiał w końcu wyzdrowieć albo opuścić pułk.

Czasem pod drzwiami pokoju syna pojawiała się matka. Stała kilka minut, potem powoli odchodziła do swoich komnat. Pewnego razu natknęła się na Egerta w salonie. Tym razem nie milczała, jak zwykle, lecz ostrożnie dotknęła mankietu jego koszuli.

– Co się z tobą dzieje, synku?

Stając na palcach, położyła mu dłoń na czole, jakby chcąc się przekonać, czy nie ma gorączki.

Ostatni raz pytała go o coś pięć lat temu. Od dawna odwykł rozmawiać z własną matką i zapomniał dotyku jej drobnych palców na czole.

– Egercie... co się stało?

Stropiony, nie zdobył się nawet na jedno słowo w odpowiedzi.

Od tego czasu zaczął także unikać rodzicielki. Jego samotne przechadzki stawały się coraz bardziej przygnębiające. Pewnego razu, sam nie wiedząc jak, zabłądził na miejski cmentarz.

Ostatni raz był tutaj jako dziecko. Wszyscy jego krewni i przyjaciele wciąż

żyli na szczęście, dlatego też Egert nie rozumiał tych, którzy odwiedzali miejsce ostatniego spoczynku. Znalazłszy się za płotem, zadrżał i zatrzymał się. Cmentarzysko zdało mu się czymś dziwnym, przerażającym, jakby nie z tego świata.

Kaleki stróż wyjrzał ze swojej budki i skrył się zaraz. Egert zamierzał się wycofać, ale zamiast tego ruszył powoli ścieżką między mogiłami.

Groby bogaczy były przyozdobione marmurem, biedniejszych granitem, zdarzały się też figury wyciosane z drewna. Prawie wszystkie jednak były tradycyjnym wyobrażeniem znużonych ptaków, przysiadłych na nagrobkach.

Szedł dalej. Od dłuższej chwili czuł się nieswój, lecz jak zaczarowany nie potrafił przestać czytać kolejnych, na wpół startych napisów. Spadł nagły deszcz. Jego krople ściekały po kamiennych dziobach i bezradnie spuszczone skrzydłach, spływały strużkami między wbitymi martwo w grobowe płyty szponami... Zza szarej zasłony, która przesłoniła światło dnia, przed oczyma Egerta wychylały się orły spoczywające na marmurowych płytach, a także mniejsze ptactwo, jaskółki, czy też bezgłowe żurawie. W dużych grobowcach z ogrodzeniem pochowane były całe rodziny. Na jednym z nich siedziały nieruchomo dwa przytulone do siebie gołębie, do innego przywarła zmęczona sikorka. Zalany strugami wody napis zatrzymał na chwilę porucznika: „Znowu pofrunę...”.

Deszcz spływał po twarzy Solla. Zmusił się, by zawrócić w stronę wyjścia. Z ziemi unosiła się wilgotna, siwa mgiełka.

Zatrzymał się na samym brzegu cmentarza.

Na poboczu ścieżki znajdowała się świeża mogiła bez żadnej rzeźby, przykryta gładką granitową płytą. Odczytał napis: „Dinar Darran”.

Tylko tyle. Nic więcej. Może to ktoś inny, pomyślał zasmucony Egert. Może jakiś inny Dinar...

Zbliżył się, z trudem powłóczęc nogami. Dinar Darran. Kareta u wejścia „Wspaniałego Miecza” i panna niezwyklej urody. Krzywa linia przed noskami oficerskich botfortów. Czerwone wypieki na jej policzkach. „Dinarze?!”.

Soll wzdrygnął się, tak wyraźnie usłyszał głos Torii. Jakby dźwięk tłukącego się szkła... Dinarze?! Dinarze?! Dinarze?!!!

Na tym grobie nigdy nie usiadł rzeźbiony ptak.

Stróż ponownie wychylił się ze swej budki, nie spuszczać z Egerta zdziwionego, uważnego spojrzenia.

Soll odwrócił się i uciekł ile sił w nogach.

Dni mijały. Co pewien czas zjawiał się goniec od kapitana z ciągle tym samym pytaniem: jak czuje się porucznik Soll i czy jest w stanie wrócić do służby? Poślaniec odchodził jak niepyszny z ciągle tą samą odpowiedzią: porucznik czuje się trochę lepiej, ale wrócić do służby jeszcze nie może.

Parę razy pojawił się także Karwer. Za każdym razem przyszło mu wysłuchać przeprosin, przekazanych przez służącego: że młody panicz jest niestety nadal zbyt osłabiony, nie może więc osobiście spotkać się ze starym przyjacielem.

Gwardziści powoli przyzwyczajali się popijać bez Solla. Jakiś czas zajmowali się historią jego nieszczęśliwej miłości, lecz z czasem temat zniknął sam z siebie. Posługaczka Feta w tawernie u bramy miejskiej niekiedy ciężko wzdychała potajemnie i ocierała zażawione oczy, ale wkrótce się pocieszyła towarzystwem innych przystojnych mężczyzn z epoletami na ramionach.

W końcu poślaniec od kapitana zadał sakramentalne pytanie trochę inaczej: czy porucznik Soll w ogóle jest w stanie kontynuować służbę? Po chwili zastanowienia, Egert odpowiedział twierdząco.

Następnego dnia został wezwany na ćwiczebne walki. Były one toczone za pomocą przytępionego oręża i zawsze prowokowały ironiczne uwagi Egerta: jak niby można nauczyć się unikać niebezpieczeństwa mając w ręku tępe ostrze? Obecnie sama myśl o tym, że trzeba będzie stanąć oko w oko z uzbrojonym przeciwnikiem wywoływała u niego dreszcz strachu.

Następnego ranka po bezsennej nocy posłał do koszar sługę z wieścią, że jego stan się pogorszył. Goniec wychodził już z domu, lecz nie zdołał go na dobre opuścić, ponieważ powstrzymał go od tego zagniewany Soll starszy.

Mocno chodziły mu szczęki, gdy ponury jak chmura gradowa stanął w drzwiach pokoju syna.

– Mój synu... najwyższy czas na coś się zdecydować. – Westchnął głęboko. – Zawsze uważałem, że wyrosłeś na prawdziwego mężczyznę. Co ma oznaczać ta twoja dziwna choroba? Czyżbyś miał zamiar odejść z pułku, w którym służba jest najwyższym zaszczytem dla każdego szlachetnie urodzonego młodzieńca? Mam nadzieję, że tak nie jest. Jak jednak wyjaśnić twą odmowę zjawienia się na ćwiczeniach?!

Egert spoglądał na swego ojca, człeka już niemłodego i trochę schorowanego. Widział żyły na pomarszczonej szyi, głębokie bruzdy między władczo zmarszczonymi

brwiami, oczy błyszczące oburzeniem.

– Wielkie nieba! Obserwuję cię już od paru tygodni... Gdybyś nie był moim synem i gdybym nie znał cię wcześniej... przysięgam na Harsa, uznałbym, iż nazwa twojej choroby brzmi: tchórzostwo!

Egert drgnął, jak od uderzenia. Cała jego jaźń burzyła się od takiej obrazy, chociaż w głębi serca musiał przyznać, że ojciec powiedział prawdę.

– W naszym rodzie nigdy nie było tchórza – szepnął ojciec zdławionym głosem. – Musisz wziąć się w garść...

Być może Soll senior chciał powiedzieć coś jeszcze gorszego, tak nerwowo zacisnął wargi, podczas gdy nabrzmiewała mu żyła na skroni. Być może chciał rzucić ojcowską klątwę lub wygnać syna z domu, lecz powstrzymał się i powtórzył tylko znacząco:

– W naszym rodzie nigdy nie było tchórza!

– Daj mu spokój – dało się słyszeć zza szerokich pleców starego Solla.

Błada, wciąż przygarbiona niewiasta, niezbyt często pozwalała sobie wtrącać się do męskich rozmów.

– Daj mu spokój... Cokolwiek by się z nim teraz działo, po raz pierwszy od lat...

Urwała nagle. Być może chciała powiedzieć, że po raz pierwszy od lat nie słyszy w jego głosie tej drapieżnej, okrutnej nuty, która ją tak przerażała i czyniła obcym jej własne dziecko. Nie oznajmiła jednak tego głośno, a tylko popatrzyła na syna długo i ze współczuciem.

Egert wstał, wziął szpadę i wyszedł z domu.

Pokazowe walki odbyły się tego dnia bez udziału porucznika Solla, ponieważ ledwie wyszedł za bramę, nie skierował się wcale do koszar, lecz przemknął się pustymi zaułkami ku bramie miejskiej.

Zatrzymał się przed tawerną. Trudno powiedzieć, co go skłoniło, by otworzyć szerokie, doskonale mu znane drzwi.

Rano lokal był jeszcze pusty. Ktoś przemykał się w głębi między stolikami. Egert podszedł bliżej. Ujrzał osobę pochyloną nad podłogą, którą przecierała ścierką. Nuciała jakąś melodię bez słów. Śpiew urwał się, kiedy oficer wziął krzesło i usiadł na nim. Plecy rozprostowały się. Służąca Feta, zdyszana i czerwona na twarzy, upuściła z radości mokrą szmatę.

– Pan Egert!

Uśmiechając się z przymusem, kazał podać sobie wina.

Na podłodze, blatach stołów i oparciach krzeseł igrały słoneczne promienie. Gdzieś brzęczała mucha, odbijając się od szklanej szyby. Mocząc wargi w winie Egert wpatrywał się bezmyślnie w desenie drewnianego blatu.

Słowo zostało wypowiedziane i teraz powtarzał je sobie w myślach bez przerwy, podrygując jak od bólu. Tchórzostwo. Wielkie nieba, on tchórzył! Stchórzył wielokrotnie do tego przy świadkach, z których najważniejszym był on sam, sławny niegdyś z odwagi, bohater pułku, porucznik Soll...

Odstawił szklankę i zaczął obgryzać paznokcie. Tchórze są zdradliwi i godni pożałowania. Nieraz widział jak tchórzą inni, dostrzegał symptomy strachu: bladeść, niepewność, trzęsące się portki... Teraz sam odczuł, jak to jest. Strach wydaje się z zewnątrz czymś nikczemnym i nędznym, lecz od wewnątrz staje się katem, nieustępliwym dręczycielem...

Potrząsnął głową. Czyżby na przykład Karwer odczuwał coś podobnego, kiedy się lękał? Czyżby wszyscy ludzie...

Feta chyba z dziesięć razy podchodziła ze szmatką, by wytrzeć do czysta jego stolik.

– Nie kręć się tak, wiercipięto – odpowiedział w końcu na jej proszące spojrzenie. – Usiądź ze mną.

Usiadła tak ochoczo, że aż skrzypnęło dębowe krzesło.

– Czego pan sobie życzy, panie Soll?

Przypomniawszy sobie, jak ciskał we framugę nad jej głową noże i kindżały i oblał się zimnym potem.

Zauważyła jak pobladł, więc powiedziała współczująco:

– Pan Egert tak długo chorował...

– Feto – zapytał, spuszczać oczy – boisz się czasem czegoś?

Uśmiechnęła się promiennie, sądząc chyba, że porucznik żartuje jak dawniej.

– Boję się tylko nie usłużyć panu Sollowi odpowiednio, bo wtedy szefowa mnie wyrzuci...

– No tak – pytał dalej cierpliwie – i czego się jeszcze boisz?

Zatrzepotała rękami.

– No, na przykład ciemności – próbował jej podpowiedzieć. – Boisz się mroku?

Dziewczyna posmutniała, jakby przypominając sobie coś niemiłego. Odparła w końcu niechętnie:

– Tak, tylko... po co to panu wiedzieć?

– A wysokości? – kontynuował, ignorując zadane pytanie.

– Wysokości także – przyznała cicho.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Feta wpatrywała się w blat stołu. Kiedy Egert zrozumiał, że nie dowie się od niej niczego więcej, dziewczyna wzdygnęła się i szepnęła:

– Wie pan, a najbardziej pioruna... Jak walnie gdzieś blisko! Ita mi mówiła, że w jej wiosce jedną dziewczynkę grom poraził na śmierć...

Westchnęła ciężko. Przestraszona swą szczerością, zaczęła mówić prędko, jakby chcąc owym potokiem słów zatrzeć uprzednią niezręczność.

– Boję się takie pluskiew, karaluchów, włóczęgów, niemych żebraków, właścicielki, myszy... Myszy jeszcze nie są takie straszne, można to przezwyciężyć...

– Przezwyciężyć? – powtórzył jak echo. – A jak ty... Co czujesz, kiedy się boisz?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Po prostu się boję... Jakby w głębi serca. Czuję jak słabnę i...

Jej buzia pokryła się purpurą, która miała chyba ukryć jeszcze jeden element odczuwanego strachu.

– Feto – zapytał cicho – czy bardzo się bałaś, kiedy rzucałem w twoją stronę nożami?

Zatrzęsła się na wspomnienie tamtego incydentu.

– Nie, skąd! Przecież wiedziałam, że ma pan celną dłoń...

W tej chwili zawołała z kuchni karczmarka i dziewczyna uciekła, przeprosiwszy.

Słoneczne łaty powoli wędrowały ze stołu na podłogę. Egert siedział przygarbiony i wodził palcem po krawędzi pustej szklanki.

Feta go nie rozumie. Nikt na całym świecie go nie rozumie. Świat, którego był do tej pory panem i władcą, jego przyjemny światek usunął mu się spod nóg. Celował teraz w niego ostrzami szpad, zębatymi krawędziami kamieni, lekarskimi lancetami... Ten nowy świat pełen jest złowrogich cieni i nocnych widzeń, z powodu których nie może usnąć bez światła świec. Stał się bezradny i bezsilny jak mucha z oderwanymi skrzydełkami. Co się stanie, kiedy dowiedzą się o tym inni?!

Stuknęły ciężkie drzwi frontowe. Do tawerny wpadła grupa gwardzistów z Karwerem na czele.

Egert pozostał na miejscu, lekko się tylko sprężył, jak do skoku. Koledzy natychmiast go okrążyli. Zadzwońło mu w uszach od gromkich powitań, a od przyjacielskich poklepywań rozboleło go ramię.

– Właśnie o tobie mówiliśmy! – przebił wszystkich tubalny głos Drona. – Jak to powiadają: „o wilku mowa, a wilk tu...”.

– A mówili niektórzy, że Soll dogorywa! – zawołał wesoło jeden z młodszych.

– Niedoczekanie! – zaśmiał się Lagan. – Wszystkich nas przeżyje! Skoro siedzi w karczmie, znaczy się, zdrowy...

– Siedzi w karczmie, lecz gardzi druhami – zauważył z goryczą Karwer, ściągając na siebie parę karcących spojrzeń.

Soll uniósł z wysiłkiem oczy i spojrzał na przyjaciela. Zdziwił się, kiedy spotkali się wzrokiem. Młodszy dziwnie mu się przypatrywał, jakby poszukiwał odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Wokół nich kręciły się już Ita i Feta. Ktoś wznosił toast za powrót do zdrowia porucznika Solla. Wypili. Egert się zakrztusił. Kątem oka dostrzegwał, że Karwer nie spuszcza zeń badawczego spojrzenia.

– Co tak przycichłeś, pustelniku? – zaciekał się wesoło Lagan. – Gwardzista schnie i więdnie bez dobrej kompanii, jak roślinka bez wody.

Młodzi, OI i Bonifor zaśmiali się nazbyt głośno.

– Przysięgnęłbym, że tworzył tymczasem romans w listach – zasugerował Dron. – Podczas patrolu widziałem, jak świeciło się u niego do rana.

– Tak? – zdziwił się Karwer, a pozostali cmoknęli z satysfakcją.

– Ciekawe, której piękności poświęcał swoje nocne czuwania – zastanawiał się głośno największy pułkowy romantyk.

Egert siedział wśród tego gwaru, uśmiechając się kwaśno, bez przekonania. Najgorzej znosił natrętne spojrzenie Karwera.

– Masz pozdrowienie od Dillii – odezwał się tenże, jak na zawołanie. – Odwiedziła nas i pytała, przy okazji, czemu na ćwiczeniach brakuje Solla...

– Swoją drogą, co mamy powiedzieć kapitanowi? – podchwycił Dron.

Egert zgrzytnął zębami. Najchętniej by teraz zniknął, lecz ucieczka oznaczałaby porzucenie ludzi, którzy przyjaźnie się do niego odnosili.

– Wina! – zawołał do karczmarki.

Dwie i pół godziny później Egert dokonał ważnego dla siebie odkrycia: wypity w doborowym towarzystwie alkohol rozproszył mrok w jego duszy.

O zmierzchu rozbawiona gromada gwardzistów ruszyła w stronę „Solidnej Tarczy”, przy czym Soll wrzeszczał i śmiał się nie gorzej od innych. Wciąż jednak rejestrował mimochodem uważne spojrzenie Karwera, lecz było mu już wszystko jedno. Radował się odzyskanym we własnym mniemaniu poczuciem siły, odwagi i swobody.

Wszystkie żywe istoty, które znalazły się na drodze podchmielonej kompanii, uciekały na boki, w żadnym razie nie pragnąc wpaść im pod rękę. Latarnik zapalał lampy na bulwarze i niewiele brakowało, żeby hulacy wyciągnęli spod jego nóg drabinkę. Egert śmiał się na całe gardło. Światła latarń tańczyły mu przed oczami. Wszyscy obchodzili ich długim lukiem, kłaniając się uprzedzająco grzecznie. Duszna atmosfera późnej wiosny pełna była zapachów. Soll łowił nozdrzami aromat rozgrzanej rzeki, świeżo skoszonej trawy, mokrych kamieni, dziegciu, czyichś perfum i ciepłego nawozu... Obejmując jedną ręką Karwera, drugą zaś wszystkich po kolei, był święcie przekonany, że jego choroba minęła i jak każdy ozdrowieniec miał prawo czuć całą pełnię radości życia...

Przed wejściem do „Solidnej Tarczy”, nieopodal miejsca, gdzie niegdyś wysiedli z karety student z narzeczoną, znajdowała się wśród wybojów jezdni spora i głęboka kałuża. Nie wysuszyły jej wiatr ani słońce, istniała zazwyczaj od wczesnej wiosny aż do progu lata, a można było nawet podejrzewać, że dotrwa do jesieni.

Obecnie odbijało się na jej ciemnej, oleistej powierzchni wieczorne niebo. Na jej brzegu chwiały się podpity krawczyk.

Widać było kim jest od pierwszego wejrzenia. Z cienkiej szyi zwieszał się przybrudzony centymetr, a płócienny fartuch miał pomazany kredą. Słomiane włosy zachodziły dwiema falami za uszy. Krawczyk patrzył w kałużę, czkając z cicha.

Karwer zaśmiał się na jego widok. Pozostali dołączyli się doń przyjaźnie, lecz na tym się skończyło. Czeladnik spojrział na nich mętным okiem, gwardziści zaś wyminęli go i skierowali się ku drzwiom gospody.

Trzeba było trafu, że dokładnie w tej chwili, gdy Soll przechodził obok niego tamten nagle stracił równowagę i zrobił gwałtowny krok do przodu. Ciężki drewniany chodak opadł w sam środek kałuży i znaczna część wywołanej tym cuchnącej fontanny prysła na porucznika Egerta.

Został ochlapany od stóp do głów. Brudne bryzgi zaplamiły mundur i koszulę,

zalały twarz i szyję. Czując ściekające po policzkach zimne, tłuste strugi, Egert zastygł, mierząc pijaczka szklistym spojrzeniem.

Gwardziści okrążyli krawczyka zwartą grupką. Spoglądali na Egerta z obawą, na czeladnika zaś ze współczuciem i ciekawością. Rzemieślnik zdawał się bardziej od nich pijany, więc nadzwyczaj dzielny: wcale się nie wystraszył panów żołnierzy, a może po prostu jeszcze ich nie zauważył. Z chłodem naukowca oglądał uważnie swój zabłocony chodak i oblanego oficera.

– Ryjem go do wody – spokojnie zasugerował Dron.

Młodziutki Bonifor aż podskoczył, przeczuwając świetną zabawę.

– Mogę ja?

– To człowiek Solla – stwierdził beznamiętnie Karwer.

Porucznik prędko się ocknął, podskoczył do krawczyka i... nagle wytrzeźwiał. Rzeczywistość objawiła mu się na nowo, tłumiąc odczucia wiosny, swobody i powracającej odwagi. Egert osłabł na samą myśl, że za chwilę znowu poczuje lęk. I rzeczywiście, wystarczyło pomyśleć o strachu, gdy poczuł narastającą w żołądku zimną kulę. Powinien był wyciągnąć rękę i chwycić chłopaka za kołnierz, lecz dłoń oficera opadła jak nieżywa.

Wielki Harsie, dopomóż!

Drżąc z wysiłku, sięgnął w końcu jednak po kark czeladnika. Zdołał chwycić mokrą dłonią kołnierz jego kurtki, tamten zaś, otrząsnął się, strącając jego rękę.

Gwardziści milczeli. Soll czuł spływające prędko po plecach strużki zimnego potu.

– Żal mi go – wydusił w końcu. – Pijany głupiec!

Jego koledzy spojrzeli po sobie. Tymczasem czeladnik, jakby pragnąc zaprzeczyć słowom gwardzisty lub też pragnąc kontynuować swe naukowe doświadczenia, niespiesznie podniósł nad kałużą drugi drewniany chodak...

Wojskowi odskoczyli wraz, na miejscu pozostał tylko Soll, jak przykuty, inkasując kolejną, jeszcze większą porcję ciekłego błota. Krawczyk zatoczył się, z trudem utrzymując równowagę, ocenił swoje dzieło i uśmiechnął się głupkowato.

– Zabije go – stwierdził półgłosem Dron. – Przekleństwo...

Twarz, uszy i szyja Egerta zniknęły pod strugami brudnej cieczy. „Uderz go! – podpowiadał mu rozum ostatnim zdrowym zmysłem. – Stłucz tamtego, niech cię potem odrywają od jego bezwładnego ciała, co z tobą, Egercie, nie powinieneś tego znosić spokojnie, musisz go pobić!”

Gwardziści milczeli. Rzemieślnik uśmiechał się głupio.

Zdrętwiała dłoń Egerta ujęła rękojeść szpady. „Nie tak! – syczał dalej rozum. – Nie wyciągaj szpady na bezbronного człowieka z ludu!”.

Szpada na bezbronного...

Czeladnik trzeci raz chciał tupnąć nogą, patrząc teraz już prosto w oczy oficera. Najwidoczniej był tak pijany, że ze wszystkiego, co działo się wokół niego wyciągał jedynie korzystne dla siebie wnioski. Widział tylko strugi ochlapujące twarz jakiegoś przechodnia.

Czeladnik trzeci raz podniósł nogę, lecz w tym momencie porucznikowi Dronowi puściły nerwy. Rzucił się do przodu z nieartykułowanym wrzaskiem i jego pięść wylądowała na podbródku bezczelnego szczeniaka. Zdziwiony czeladnik przewalił się na wznak i znieruchomiał.

Egert odetchnął. Był cały oblany cuchnącą, błotnistą cieczą. Dziesięć par zdumionych oczu patrzyło, jak ścieka po złotych galonach uniformu.

Pierwszy przerwał milczenie Lagan.

– Zabiłbyś go, Egercie – rzekł, jakby się usprawiedliwiając. – Taki jesteś wstrząśnięty! Może i należałoby go zabić, ale nie tutaj i nie teraz. Schlał się, głupek, do nieprzytomności... Cóż poradzisz: prostak... Słyszysz mnie, Egercie?

Soll pozostawał wciąż nieruchomy i zapatrzony w siebie. Niebiosa! Dron sądził, że sparaliżowała go wściekłość!

Ktoś trącił go w mokry rękaw.

– Egercie... Co cię tak zamurowało? Dron ma rację, lepiej, że go nie zabiłeś... Gdyby zabijać wszystkich prostaków, nie zostałby żaden rzemieślnik... Chodźmy...

Oli i Bonifora wchodzili już do gospody, oglądając się niecierpliwie na resztę. Ktoś wziął Solla za łokieć.

– Chwileczkę – syknął Karwer, sprawiając, że wszyscy spojrzeli nań ze zdziwieniem. – Chwileczkę – powtórzył głośniejszym głosem. – Panie Dron i inni... Według was porucznik Soll postąpił właściwie?

– Co za głupoty – burknął ktoś w odpowiedzi – bezsensowne rozważania właściwie, czy niewłaściwie... Nijak nie postąpił i dobrze, że głupek został żywy...

– Niedobrze się stało, że wpadł w furję – stwierdził Dron pojednawczo. – Wystarczy już, chodźmy, Karwerze...

W tym momencie zdarzyło się coś dziwnego. Karwer przecisnął się między kolegami i stanął w tym samym miejscu, gdzie stał uprzednio pijany krawczyk.

Rozprysnął kałużę wojskowym butem.

Zapadła grobowa cisza. W stronę Solla trysnęła kolejna struga i lepkie błoto znów zaplamiło jego mundur, spłynęło po szramie na policzku, skleiło jasne włosy w brudne sople.

– Co? – bąknął ktoś. – Co to?

– Egertcie – powiedział cicho Karwer – będziesz nadal tak stał?

Głos jego przybliżał się i oddalał, jakby uszy Solla ktoś zapchał watą.

– Będzie tak stał, panowie – stwierdził Karwer i posłał kolejną cuchnącą strugę w stronę byłego przyjaciela.

Lagan i Dron złapali Karwera za ramiona. Młodzieniec nie sprzeciwiał się i dał się odciągnąć na bok.

– Nie denerwujcie się tak, panowie. Spójrzcie na Solla, on się wcale nie trzęsie z wściekłości! Wiecie, jak nazywa się ta jego choroba?

Egert z trudem rozkleił wargi, żeby wydusić z siebie żałość:

– Zamknij się...

– No tak – kontynuował tamten z zapalem. – Wybaczcie, panowie, lecz jesteście ślepi jak drużyna kretów...

Korzystając z tego, że stropieni koledzy go puścili, skoczył do kałuży i ponownie ochlapał Solla.

Z okien „Wspaniałego Miecza” wychyliły się głowy licznych ciekawskich, sterczące niczym grzyby z kobiałki.

– Przecież jest pijany! – zawołał histerycznie Bonifor. – W końcu to gwardzista...

– Już nie jest gwardzistą! – wrzasnął Karwer. – Jego honor został splamiony, tak samo, jak jego mundur!

W tym momencie spojrzenia Egerta i Karwera spotkały się.

Ów druh wasal od dawna go dyskretnie obserwował. Kilka lat przebywania w jego cieniu nauczyło go umiejętności wykorzystywania sytuacji. Teraz ugodził go prosto w serce. Triumfował na całego i w owych okrutnych oczach mógł Egert odczytać całą historię ich wielkiej przyjaźni.

Zawsze byłeś ode mnie dzielniejszy, mówiły oczy Karwera. Zawsze byłeś silniejszy i zręczniejszy. Czyż nie płakałem czasem z powodu mej cierpliwej wierności? Przypomnij sobie, jak spokojnie znosiłem twoje głupie żarty, niemal się ciesząc, że raczysz ze mnie żartować! Fortuna kołem się toczy. Teraz ja jestem od

ciebie dzielniejszy, Egercie, i dopadł cię sprawiedliwy los.

– Przesadziłeś, Karwer! – krzyknęło kilka głosów.

Sprawiedliwie będzie, Egercie, jeśli zajmiesz swoje miejsce, odpowiednie dla tchórza.

– Pojedynek, Soll! – zachrypiał Dron. – Musisz go wyzwać!

Egert zauważył, jak jego były druż mrugnął do niego. Gdzieś na dnie duszy Karwera zapewne błąkała się szalona obawa: a co będzie, jeśli jednak naprawdę mnie wyzwie i będzie pojedynek?

– Pojedynek, Soll – słyhać było wokół nich. – Wyzwij go... Teraz albo jutro, jak wolisz. O świcie przy moście. Pojedynek! Pojedynek!

Egert poczuł ten sam symptom strachu, który przemilczała Feta. Wciąż powtarzające się słowo: „pojedynek” sprawiało, że było mu coraz ciężej na duszy.

Karwer, wpatrując się w niego badawczo, dostrzegł to i zrozumiał, że może niczego się nie obawiać.

Pojedynek... Pojedynek...

Gdzieś na dnie serca porucznika miotał się dawny Soll, trzęsąc się z bezsilnej złości. Kusił, żeby wyciągnąć szpadę i wykreślić jej czubkiem linię u stóp Karwera. Strach jednak przeważał i opanował całkowicie duszę byłego oficera, złamał go i sparaliżował, sprawiając, że uczynił rzecz najgorszą dla mężczyzny: odmówił pojedyнку.

Cofnął się o krok. Ciemne chmury kłębiły się nad jego głową jak szalona karuzela. Ktoś jęknął, ktoś inny krzyknął ostrzegawczo... W tej chwili Soll odwrócił się na pięcie i zwyczajnie uciekł.

Tego wieczoru, pozostawiwszy w domu ubłocony mundur, wzięwszy ze sobą jedynie podróżny sakwojaż, gnany nieznośnym lękiem, a jeszcze mocniej palącym wstydem, Egert uciekł z miasta.

Rozdział 3

Za brudną szybką prędko zapadał wieczór. Dylizans podskakiwał na wybojach, a Eger siedział wciśnięty w kąt, bezmyślnie popatrując na przesuwaną się za oknem monotony pejzaż.

Minęły trzy tygodnie, odkąd opuścił Kavarren. Poczucie końca świata, końca życia, które owładnęło duszą Egerta i sprawiło, że porzucił dom, miasto i mundur, który był jego drugą skórą, owo męczące uczucie zostało tymczasem nieco przytłumione. Po prostu siedział w kącie zakurzonego pojazdu, podpierając dłonią brodę, patrząc w okno i starając się nie myśleć o niczym.

Jego sakwojaż nie zmieścił się na półce i teraz kolebał się pod nogami, utrudniając wsunięcie ich pod siedzenie. Miejsce przeznaczone na bagaże wypełnione było po brzegi niezliczonymi węzełkami i koszami wędrownego przekupnia. On sam, żółtawy, żyłasty staruszek, siedział naprzeciw Egerta. Ten doskonale wiedział, że miałby pełne prawo przesunąć kłopoty współpasażera, żeby znaleźć miejsce dla swojej torby, ale nie kiwnął nawet palcem w swojej sprawie.

Obok staruszka siedziała urocza, młodzianka, trochę nieśmiała osóbką. Było widać, że panienka po raz pierwszy wyrwała się spod ojcowskiej opieki i podróżowała, poszukując pracy albo męża, zależy, co los przyniesie. Zainteresowała się Sollem, lecz z braku odzewu z jego strony, biedaczka wodziła teraz palcem po szybie z obrażoną minką.

Obok Egerta siedział smętny subiekt w nieokreślonym wieku. Miał niezwykle długi nos sinej barwy i krótkie palce, poplamione atramentem. Mężczyzna uznał go w myślach za wędrownego rachmistrza.

Dylizans toczył się dostojnie. Kupiec przysnął, przylgnąwszy policzkiem do framugi okienka, panna bezskutecznie łowiła natrętą muchę, księgowy patrzył nieruchomo w przestrzeń, a Egert, którego niewygodna pozycja sprawiała, że bolały go plecy i cierpły nogi, myślał o tym, co było i co będzie.

Przeżywszy ponad dwadzieścia lat w Kavarrenie i nigdy nie oddalając się stamtąd zanadto, miał teraz szansę poznać świat, lecz owa możliwość bardziej go stresowała niż radowała. Świat okazał się nieprzyjemnym, bezforemnym zbiorem miasteczek, wiosek, dworców i dróg, którymi wędrowali ludzie. Odpychający, czasem

niebezpieczni, najczęściej obojętni, lecz przede wszystkim mu nie znani. Soll czuł się zaniedbany, wymęczony, zaszczuty. Obecnie, przymknąwszy powieki i wsłuchując się w miarowy stukot kół, kolejny raz rozpaczliwie zapragnął, żeby cała niedawna przeszłość okazała się idiotycznym snem. Przez chwilę szczerze uwierzył, że zaraz zbudzi się w swojej pościeli i unosząc powieki ujrzy dziki na gobelinach, zawoła sługę, obmyje się czystą wodą w srebrnej miednicy, stając się dawniejszym Egertem Sollem, nie zaś nieszczęsnym tchórzliwym włóczęgą. Wierzył w to do tego stopnia, że zaczął się bezwiednie uśmiechać. Palce dłoni przesunęły się po policzku, jakby chciał przegonić ogarniającą go drzemkę.

Palce natrafiły na długą bliznę. Wzdrygnął się i otworzył oczy.

Przekupień pochrapywał głucho, panna złapała w końcu muchę i zamknęła owada w zaciśniętej piąstce, wsłuchując się z zaciekawieniem w przytłumione bzykanie nieszczęsnego stworzonka.

Wielkie nieba! Całe jego poprzednie, szczęśliwe i sensowne życie rozpadło się na tysiąc kawałków, spadających w niezgłębioną przepaść. Za nim były tylko hańba i cierpienie, które strach było wspomnieć. Przed nim mglista niewiadoma, o której strach było myśleć. Za co to wszystko?!

Bez przerwy zadawał sobie to pytanie. Podstawę jego wszystkich obecnych kłopotów stanowiło tchórzostwo, które niewiadomym sposobem załęgło się w sercu dzielnego przedtem mężczyzny. Jakim cudem mogło nastąpić takie przeobrażenie? Gdzie jest źródło choroby?

Pojedynek z nieznanym. Wracał do niego wielokrotnie w myślach i nie przestawał się dziwić. Czyżby jedna porażka mogła aż tak go odmienić? Jedna niespodziewana przegrana, jaka zaszła bez świadków...

Zacisnął zęby ze wszystkich sił i spojrzał w okno, za którym przesuwiał się ciemny las.

Końskie kopyta uderzały równomiernie o drogę. Kupiec zbudził się i rozsuptał węzełek z kawałkiem chleba i upieczonym udkiem kurczęcia. Egert odwrócił odeń oczy, gdyż poczuł się głodny. Panna skróciła wreszcie udręki muchy i także sięgnęła do węzełka, w którym okazały się być bułeczka i kawałek sera.

Rachmistrz w sposób oczywisty zastanawiał się, czy także nie pora śniadać, kiedy nagle rytm końskich kopyt uległ wyraźnemu zaburzeniu.

Dyżanszem szarpnęło, najpierw do przodu, potem trochę na bok. Stangret krzyknął z kozła ze strachem. Z tyłu i po bokach dał się słyszeć tętent obcych koni.

Kupiec zbladł jak kreda, a jego dłoń, dzierzżąca udko kurczęcia, zatrzęsała się mocno.

Panienka rozglądała się ze zdziwieniem. Na jej ustach białe niestarte okruszki. Rachmistrz czknał. Egert, niczego nie pojmując, lecz przeczuwając coś złego, wbił się głębiej plecami w wytarte oparcie.

Z przodu coś ciężkiego spadło na ziemię. Dylizans zwolnił tak gwałtownie, że Soll nieomal wpadł na kupca.

– Zatrzymać się! – zawołał groźny męski głos gdzieś z tyłu. – Stój!

Konie pociągowe rżały rozpaczliwie.

– Wielkie nieba! – jęknął kupiec. – Tylko nie to!

– Co to? – zapiszczała panienska.

– Rozbójnicy – wyjaśnił spokojnie rachmistrz, jakby siedział wciąż w swoim kantorze.

Nieszczęsne, bojaźliwe serce Egerta podeszło mu do gardła, a w żołądku narastała kula zimna. Skulił się na siedzeniu i przymknął oczy w panice.

Dylizans wreszcie stanął. Woźnica coś tam błagalnie bełkotał, potem krzyknął i zamilkł. Ktoś szarpnął z zewnątrz klamkę drzwiczek pojazdu.

– Otwierać!

Ktoś trącił w ramię Egerta.

– Młody człowieku...

Zmusił się, by otworzyć oczy i zobaczył pochyloną nad sobą bladą twarzyczkę z gwałtownie trzepoczącymi rzęsami.

– Młodzieńcze – szeptała panienska – powiedz, że jesteś moim mężem. Proszę cię... Bo oni mogą...

Kierując się instynktem słabej istoty, szukającej ochrony silniejszego, chwyciła jego rękę niczym tonący brzytwę. Jej spojrzenie było tak przepełnione błaganiem o pomoc, że Egertowi zrobiło się gorąco jak w łaźni. Sięgnął do boku, szukając szpady, ledwie jednak musnął gardę, cofnął dłoń jak oparzony.

– Młodzieńcze...

Egert odwrócił wzrok.

Z zewnątrz znowu silnie szarpnięto drzwiczki, światło w okienku przesłoniła czyjaś postać.

– Otwierać!!

Soll zadrzał na dźwięk tego głosu. Spływały nań fale strachu i każda kolejna przerastała poprzednią. Czuł zimny pot na całym ciele.

– Trzeba otworzyć – stwierdził flegmatycznie rachmistrz.

Kupiec wybałuszał oczy, ściskając kurczowo niedojedzone udko.

Subiekt sięgnął dłonią ku zasuwce drzwi. W tym momencie panna, szukająca rozpaczliwie pomocy u Egerta, zauważyła ciemną dziurę pod przeciwległym siedzeniem.

– Chwileczkę – zwracał się uspokajająco do czekającego na zewnątrz księgowy. – Zasuwka się zacięła, chwileczkę...

Panna jednym zręcznym ruchem wcisnęła się pod siedzenie i spuściła za sobą materiał, pokrywający kanapę, co całkiem ją zasłoniło.

Soll słabo pamiętał, co się później zdarzyło.

Jego otumaniona lękiem świadomość zarejestrowała niespodzianie schowek, dający słabą szansę ratunku. Była ona, co prawda, minimalna, lecz półprzytomny mózg Egerta nie chciał tego zrozumieć, ponieważ wypełniała go tylko jedna myśl: uciec!

Wyciągnął dziewczynę spod kanapy jak jamnik wyciąga lisa z nory. Naturalnie broniła się ze wszystkich sił, a nawet, zdaje się, ugryzła go w rękę, usiłując się ukryć ponownie, lecz Soll był silniejszy. Oszałały z przerażenia, sam wcisnął się w ciemną szczelinę i dopiero w tej chwili zrozumiał, co uczynił.

Nie umarł ze wstydu tylko dlatego, że w tym momencie otworzyły się drzwiczki i kolejna fala strachu zamroczyła jego świadomość. Pozostali pasażerowie byli zmuszeni opuścić pojazd. Przez gęstą zasłonkę Egert zobaczył toporne buciory z ostrogami, potem kosmatą łapę, sięgającą do podłogi, wreszcie brodate oblicze z parą gorejących oczu.

– Ha! Tu jesteś, ptaszku!

W świadomości Egerta nastąpiła kolejna przerwa.

Zdaje się, że wcale się nie opierał. Wywlekli go z pojazdu. Konie dyliżansowe potrząsały trwoźnie łbami, popatrując na pień drzewa, zalegający w poprzek drogi. Zbójcy właśnie wiązali ręce woźnicy, który usłużnie je podsuwał, uśmiechając się żałośnie. Z dachu spadały wężełki i kosze przekupnia, część z nich została już splądrowana.

Obszukali Egerta. Łupem napastników padły rodowa szpada i złote guziki kurtki. Rachmistrzowi zabrali mieszek, kupiec mógł jedynie pochlipywać bezradnie, patrząc jak wyłamują zamki jego kuferków. Panienkę trzymało na razie tylko dwóch. Kręciła głową, spoglądając to na jednego, to na drugiego, mówiąc coś błagalnie.

Rozbójników było pięciu, a może sześciu. Egert nie był w stanie zapamiętać ani jednej twarzy. Skończywszy grabić, ukryli zdobycz w jukach, po czym zgromadzili się wokół dyliżansu. Rachmistrza związali razem z kupcem, woźnicę przywiązali do drzewa. Nie skrupowali tylko Egerta, on jednak i tak nie mógł ruszyć ręką ani nogą.

Potem zbójcy ciągnęli losy z czapki. Soll z trudem uświadomił sobie, czego dotyczy losowanie. Czarnobrody kiwnął głową, zadowolony. Dwaj młodszy zbójce puścili dziewczynę, on zaś ujął ją władczy gestem za ramię i poprowadził do pojazdu.

Były oficer widział jej oczy okrągłe z przerażenia i drżące wargi. Szła bez oporu, co pewien czas zwracając się do pogramcy z tą samą błagalną prośbą. Czarnobrody wepchnął ją do środka. Jego kompani rozsiedli się wyczekująco na trawie. Dyliżans zakotłosał się, zaskrzypiały miarowo resory, a ze środka dobiegł przyduszony cienki głosik.

Zbójce pociągnęli potem ponownie losy. Egert stracił poczucie czasu i miał wrażenie, jakby jego jaźń uległa rozdwojeniu: w jednej chwili rzucał się na bandziorów, krusząc im żebra i łamiąc karki, prędko jednak zdawał sobie sprawę, że siedzi jak poprzednio na ziemi, wczepiony w trawę skurczonymi palcami i nie obezwładniony, a jednak bezwładny.

Znowu nastąpiła luka w jego świadomości. Nie mógł sobie później niczego przypomnieć. Czuł uderzenia gałęzi na twarzy. Zdawało mu się, że biegnie, lecz nogi, jak w złym śnie, uginały się i odmawiały chwilami posłuszeństwa. Silniejsze od strachu i bólu okazało się jedno, najważniejsze pragnienie: nie istnieć, nigdy nie przyjść na ten świat, skoro po tym wszystkim, co przeżył, stał się... Coś, co przerosło chimerę lęku, rozdzierało mu serce i całe wnętrze.

Później ogarnęła go ciemność i wszystko się skończyło.

Stary pustelnik, mieszkający w ziemiance przy strumieniu, nieraz znajdował w lesie zagubionych ludzi.

Pewnego chłodnego poranka natknął się na czternastoletnią dziewczynkę. Biała i sztywna jak posąg, siedziała oparta plecami o pień, zaciskając dłonie na pustym koszyku. Nigdy się nie dowiedział, kim była i co ją przywiodło do zguby.

Innym razem znalazł także dziewczynę okrwawioną i posiniaczoną, bredzącą w malignie. Zaniósł ją do swego schronienia, lecz następnego dnia musiał ją również

pochować.

Trzecim znaleźnikiem był mężczyzna.

Był młody i przystojny, znacznie wyższy od eremity, więc ciężko go było taszczyć przez las. Ledwo dysząc, starzec obmył go źródlaną wodą. W owej chwili nieznajomy otworzył oczy.

Pustelnik ucieszył się. Przynajmniej temu nie będzie musiał odprawić pogrzebu! Wzniósł ręce i wydał radosny dźwięk. Niemowa od urodzenia, tylko w taki sposób umiał okazywać swoje uczucia.

Po powierzchni strumienia ścieliły się wodne trawy. Ich ciemnozielone łodygi próbowały rozpaczliwie popłynąć z nurtem, lecz uwięzłe w mulistym dnie korzenie powstrzymywały je od tego. Nad ruczajem wisiały w powietrzu tęczowe ważki, duże i niemądre jak damskie ozdoby.

Egert Soll przesiadywał całymi dniami nad wodą, patrząc na falujące pnącza i owady. Czasem urozmaicał sobie widok. Schyliwszy się nad ciemną wodą, widział w niej odbicie chudego włóczęgi ze szramą na policzku, której nie zdołała pokryć rzadka, ryżawa bródka.

Pustelnik okazał się całkiem niegroźnym osobnikiem, lecz Egert potrzebował tygodnia, by zacząć spoglądać na niego bez drżenia. Dobroduszny staruszek przygotował dla gościa posłanie z wysuszonej trawy i dzielił się z nim pożywieniem, rybą albo grzybami i nie wiedzieć z czego wypiekanymi placuszkami, którymi się zajadał. Oczekiwał w zamian niewiele: przynieść chrust z drugiego brzegu strumyka, porąbać wcześniej przygotowane polana. Prędko stało się oczywiste, że dla takiego mężczyzny jak Soll, to niewielki wysiłek.

Przez strumień przerzucono kładkę: trzy wąskie deski, byle jak powiązane sznurkami. Woda sięgała w tym miejscu Egertowi do pasa. Mostek wisiał prawie nad samą powierzchnią, lecz wolał nie powierzać cienkim deskom ciężaru swego ciała.

Eremita przyglądał się z daleka, jak młody i silny mężczyzna próbuje pokonać tę przeszkodę. Dwa niepewne kroki po kładce, potem odwrót. Egert zdjął buty i próbował przejść w bród, lecz znowu się cofnął, gdyż ścierpły mu stopy od lodowatej wody. Nikt nigdy nie dowiedział się, co pomyślał w owej chwili stary samotnik, tym bardziej, że przyzwyczajony był zachowywać swoje myśli dla siebie.

Następnego dnia Egert znowu usiłował przejść przez strumień. Tym razem szedł na czworakach, kurczowo wczepiając się palcami w deseczki. Były gwardzista,

mokry, trzęsący się, z walącym niespokojnie sercem, zdecydował się otworzyć oczy dopiero, gdy poczuł twardy grunt pod stopami.

Staruszek obserwował go, siedząc u wejścia ziemianki, lecz Egert nie miał już sił na wstyd. Tamten był równie niemym świadkiem, jak sosny, niebo, czy strumyk...

Rąbać drwa także było niełatwo. Siekiera z długim toporzyskiem przywiodła na myśl szafot, egzekucję, śmierć... Szerokie ostrze żelźca kryło w sobie groźbę bólu, poćwiartowanego ciała, oddzielenia mięsa od strzaskanych kości, potoków krwi. Egert ujrzał oczyma duszy, jak ostrze spada na jego łydkę lub kolano, tnie, rąbie i łamie...

Nie czuł się na siłach, by wziąć do ręki tak niebezpieczne narzędzie. Swoją drogą, staruszek nie naciskał na niego.

Dzień za dniem spędzał więc, patrząc na wodę i ważki. Bez przerwy wspominał dziwne przypadki porucznika Solla, które z największego chwata uczyniły zahukanego włóczęgę.

Wolałby niczego nie wspominać. Bardzo zazdrościł pustelnikowi. Tamten wydawał się na ogół nie zastanawiać się nad niczym, a na jego porośłym niezbyt gęstą bródką licu jawiły się tylko nieziemska łagodność i niesamowity spokój. Takie uczucia były na razie niedostępne Sollowi. Wstyd palił go bez przerwy tak mocno, że chwilami miał ochotę bić głową o ziemię.

Eremita odchodził od niego za każdym razem, kiedy dostrzegał w oczach byłego oficera tego rodzaju udrękę. Z daleka obserwował uważnie gościa z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Nie tylko wspomnienia dręczyły Solla. Nigdy przecież jeszcze nie musiał spać na słomie, pożywiać się suszonymi grzybami i obchodzić się bez zmiany bielizny. Wychudł i zapadł się w sobie, oczy się nieco zapadły, piękne niegdyś, jasne włosy pozlepiały się i splątały, ściał je w końcu nożem gospodarza. Jego żołądek buntował się wciąż, nie przyzwyczajony do leśnej diety. Wargi miał spękane, lico ogorzałe. Musiał prać jedyną koszulę w lodowatym potoku i myć się w nim także. Pustelnik wielce się dziwował, na co potrzebne jego gościowi owe pracochłonne i niepotrzebne, jego zdaniem, działania.

Najtrudniejsze były pierwsze dwa tygodnie. Z nastaniem ciemności, kiedy las zamieniał się w kłębowisko podejrzanych szmerów i mrocznych cieni, Egert wciskał się w kąty ziemianki i przykrywał głowę rogoża jak wystraszony malec. Czasami z głębi boru dochodziło przeciągłe wycie, a wówczas oczekiwał bezsennie świtu,

zatykając uszy.

Zdarzały się jednak też ciche, jasne wieczory, jakie spędzał wspólnie z wiecznie milczącym starcem przy nikłym ognieku na progu ziemianki. Raz uniósł głowę ku niebu i w gwiazdnym chaosie rozpoznał znajomy gwiazdozbiór.

Ucieszył się, lecz prawie natychmiast zrozumiał, że gwiazdozbiór ten przypomina zbiór pieprzyków na szyi pewnej kobiety, którą znał wprawdzie niezbyt długo, ale nigdy jej nie zapomni, ponieważ jej imię pozostało pamiętne jak wspomnienie nieszczęścia...

Potem było mu już lżej. Pewnego dnia Egert poszedł po chrust i już przy samej kładce zorientował się, że zapomniał wziąć sznurek. Wrócił do ziemianki. I, rzecz dziwna, skomplikowany i męczący proces przeprawy na drugi brzeg przeszedł tym razem znacznie łatwiej niż zwykle. W każdym razie Egert tak to odebrał. Za drugim razem specjalnie zawrócił od mostka i jak gdyby otrzymawszy dodatkowy zastrzyk odwagi, przeszedł na drugi brzeg nieco chwiejnie, lecz prawie bez pomocy rąk.

Od tej chwili jego życie stało się prostsze, chociaż zarazem bardziej urozmaicone. Mnóstwo drobnych, często prawie bezmyślnie wykonywanych czynności, zdawało się chronić go przed poczuciem grozy istnienia. Nie wstępował na cienką kładkę, nie wróciwszy wcześniej do ziemianki, nie musnąwszy dłonią pnia wyschłego drzewa na tym brzegu i nie policzywszy uprzednio w myślach do dwunastu. Każdego wieczora wrzucał do źródła trzy gałązki, co miało uchronić go od nocnych koszmarów. Pokonując powoli obawę, odważył się w końcu nawet sięgnąć po topór i całkiem udatnie porąbał polana w obecności radośnie zdumionego pustelnika.

Pewnego dnia, kiedy młody mężczyzna siedział jak zwykle nad wodą, pytając jak zawsze siebie o przyczynę swoich nieszczęść, eremita, który zwykle nie narzucał mu się z towarzystwem, tym razem podszedł doń i położył mu dłoń na ramieniu.

Egert drgnął. Starzec wyczuł jak naprężają się mięśnie barku pod zniszczoną koszulą. W jego oczach pojawił się wyraz współczucia.

– Tak? – spytał nastroszony Soll.

Starzec usiadł ostrożnie obok niego i powiodł kościstym palcem po swoim policzku od skroni do podbródka.

Wstrząśnięty Soll także odruchowo podniósł dłoń i musnął palcami fatalną szramę.

Staruszek kiwnął głową z zadowoleniem, że został zrozumiany. Drapał swój

policzek tak długo, dopóki na jego policzku nie pojawiła się czerwona smuga, podobna do blizny Egerta.

– No i co z tego? – spytał ponuro Egert.

Pustelnik spojrział na niego, potem w niebo. Spochmurniał na twarzy, zamachał pięścią przed własnym nosem, zamknął oczy i znowu przesunął palcem po policzku.

– Mmm...

Soll milczał, niczego nie rozumiejąc. Eremita uśmiechnął się smutno, wzruszył przepaszając ramionami i poszedł do swej ziemianki.

Niekiedy pustelnik udawał się gdzieś na cały dzień. Wracał z koszem pełnym jedzenia. Dostyc prostego i prymitywnego, jak uznalby zapewne porucznik Soll, lecz niezmiernie smakowitego z punktu widzenia włóczęgi Egerta. Najwyraźniej starzec odwiedzał jakichś życzliwych mu ludzi.

Pewnego pięknego dnia Egert zdobył się na to, by poprosić starca, aby wziął go ze sobą.

Szli dostyc długo. Pustelnik kroczył przodem, niewiadomym sposobem odnajdując ledwie widoczną ścieżkę. Soll przyciskał mocno paluszek lewej dłoni do wielkiego palca prawej, co miało go chronić przed lękiem pozostania w tyle i zabłądzenia w lesie.

Wokół panowała już wczesna jesień, drzewa zaczęły tracić listowie. Soll stapał ostrożnie po żółtym kobiercu listowia, przy czym zdawało mu się, że na każdy jego krok reaguje cichym westchnieniem. Drzewa opuszczały ciężko ku ziemi obnażone częściowo, osłabłe gałęzie. Każda skaza na grubej korze przypominała mężczyźnie jego bliznę. Przyciskając mocno najmniejszy palec lewej dłoni do wielkiego prawicy, szedł śladem niemego przewodnika. Nie ucieszył się szczególnie, kiedy las skończył się i przed ich oczami ukazała się mała osada.

Za płotami słyhać było ujadanie psów. Egert stanął jak wryty. Pustelnik obejrzał się i zamruczał uspokajająco. Z najbliższej bramy wybiegło dwóch wyrostków. Na ich widok Egert złapał odruchowo swego przewodnika za ramię.

Chłopcy zamarli jakieś dziesięć kroków od nich, z zapartym tchem i szeroko otwartymi oczami oraz ustami. W końcu starszy z nich zawołał wesoło:

– Zobacz! Stary Orzeszek przygarnął jakiegoś Znajdę!

Osada była niewielka i zaniedbana. Składała się z dwudziestu gospodarstw, pośrodku znajdowała się wieżyczka ze słonecznym zegarem, a na uboczu stał dom miejscowej czarownicy. Życie tutaj toczyło się leniwie i monotonnie. Nikt, oprócz dzieciaków, nie zainteresował się specjalnie przybyciem Egerta, jakiegoś Znajdy ze szramą, którego przygarnął Orzeszek. Słyszając propozycję, by najął się do jakiejś roboty i przezimował w osadzie, przybysz tylko ponuro pokręcił głową. Zimować tutaj? Po co? Szukać ludzkiego towarzystwa? Równie dobrze mógłby wrócić do domu w Kawarrenie, do rodziców i pokoju z kominkiem i gobelinami.

Egert przede wszystkim doszedł do wniosku, że nie ma już domu, ojca ani matki. Najwyższa pora pogrzebać i opłakać porucznika Solla, skoro na jego miejscu pojawił się Znajda ze szramą na policzku.

Zima zdawała się jednym długim majakiem.

Choć zahartowany w dzieciństwie, Egert jednak przeziębził się z nastaniem pierwszych mrozów. Jego gospodarz niejedną raz przekonał się już, jak trudno zimą wykopać mogiłę w przemarzniętej ziemi.

Soll miotał się na posłaniu ze słomy, dławiąc się kaszlem. Staruszek był bardziej fatalistą niż uzdrowicielem. Okrywał rogoża chorego i poił wywarem z ziół. Upewniwszy się, że zasnął, szedł do lasu z łopatą, słusznie uważając, że jeśli będzie rozkruszał ziemię po trochu, to we właściwym momencie dół osiągnie odpowiednią głębokość.

Egert nic o tym nie wiedział. Kiedy otwierał oczy, widział pochylone nad sobą zatroskane, pomarszczone oblicze albo pociemniałe belki stropu, wyłobione przez korniki. Pewnego razu ocknął się i zobaczył Torię.

„Dlaczego tutaj jesteś?” – miał ochotę zapytać. Chociaż nie mógł mówić, mimo wszystko zadał owo pytanie, niemo jak jego gospodarz.

Nie odpowiadała. Siedziała z głową pochyloną na ramię, jak jeden z kamiennych ptaków na czyjejs mogile.

„Dlaczego tutaj jesteś?” – spytał ponownie.

Poruszyła się lekko.

„A czemu ty jesteś tutaj?”

Gorączka paliła go mocno. Czuł się, jakby wbili mu do każdego oka płonąca pochodnię.

Zjawiała się też jego matka. Czuł chwilami jej dłoń na czole, lecz nie był w

stanie unieść powiek. W jego duszy walczyły ze sobą ból i strach, że jej nie pozna, że nie pamięta jej twarzy...

Pustelnik kręcił głową ze smutkiem i ruszał do lasu z łopata pod pachą.

A jednak stało się tak, że mróz zelżał, a Egert ciągle żył. Pewnego pięknego poranka, słaby jak wiosenna muszka, bez niczyjej pomocy wytoczył się na próg ziemianki i uniósł twarz ku słońcu. Zdawało się, że jego twarz składała się teraz tylko z wielkich oczu i szramy.

Pustelnik odczekał jeszcze parę dni, potem zaś, sapiąc i ocierając czoło, zasypał niepotrzebną mogiłę, przy której się tak natrudził.

Stara wiedźma mieszkała na uboczu. Egert nakreślił ukradkiem krąg na drodze, potem zaś, przyciskając na chwilę wiadome palce, nieśmiało zastukał do wrót.

Przygotowywał się do tego wiele dni. Wielekroć pustelnik próbował dać mu coś do zrozumienia, przesuując palcem po szramie. Wreszcie Soll zebrał się na odwagę i wybrał się samodzielnie do osady odwiedzić czarownicę.

W obejściu panowała cisza, najwidoczniej starucha nie trzymała psów. Wiosenny wiatr obracał powoli sterczącą z dachu ciężką chorągiewkę: osmalone koło, z doczepionymi doń pomarszczonymi strzępkami, w których Egert, przyjrząwszy się dokładniej, rozpoznał żabie skórki.

Usłyszał w końcu szuranie ciężkich kroków. Zadrżał, lecz pozostał na miejscu, zaciskając zęby. Skrzypiąca furka otworzyła się na poły. Na przybysza skierowało się niebieskie i okrągłe jak szklana kula, wielkie oko.

– A, Znajda ze szramą...

Furka otworzyła się szerzej i mężczyzna, pokonując nieśmiałość, wszedł na dziedziniec.

Za płotem znajdowała się buda kryta słomą. Egert podskoczył nerwowo, widząc siedzącą przed nią drewnianą, osmołowaną figurę zwierza z krzywymi gwoździemi w półotwartej paszczy. Zamiast oczu miał czarne dziury. Egertowi jednak wydało się, że gdy przechodził obok, błysnęły czujnie przez chwilę.

– Wejdz.

Wszedł do ciasnej i pełnej niepotrzebnych, porozrzucanych byle jak przedmiotów, izby, zarazem mrocznej i tajemniczej. Drewniane bale ścian poutykane były zwykłą trawą.

– Po co przyszedłeś, Znajdo?

Starucha patrzyła na niego jedynym okrągłym okiem. Drugie było zamknięte, jakby powieka przyrosła do policzka. Egert wiedział już, że nie ma do czynienia ze złą wiedźmą, przeciwnie, jest lubiana w osadzie za swoje uzdrowicielskie umiejętności. A jednak drżał mimowolnie pod jej przenikliwym spojrzeniem.

– Po co przyszedłeś? – powtórzyła.

– Zapytać o coś – wykrztusił Egert.

Oko mrugnęło.

– Los twój się zaplątał...

– Tak.

Starucha potarła w zadumie nieco zadarty nos.

– Zobaczmy... Niech no na ciebie spojrzę...

Niedbale unosząc dłoń, wzięła z półki grubą świecę, zapaliła ją, pocierając knot palcami, a chociaż był biały dzień, przybliżyła płomień do twarzy obcego.

Egert zeszytniał. Zdawało mu się, że od płomienia wionie chłód zamiast ciepła.

– Niezły z ciebie ptaszek – stwierdziła wciąż zadumana wiedźma. – Coś cię odmieniło... Egercie...

Soll zadrżał.

– Twoja szrama – podjęła, jakby mówiła bardziej do siebie niż do niego – to piętno... Któż tak piętnuje...

Przybliżyła oko do jego twarzy i natychmiast odskoczyła. Źrenica omal nie wyskoczyła z orbity.

– Na świetlistą ropuchę!!! Wynoś się stąd!

Chwyliła z nieoczekiwaną siłą ramię osłupiałego Egerta i wypchnęła go za drzwi.

– Precz! Odejdź i nie wracaj!... Nie dam rady z nim walczyć...

Zanim zdołał się opamiętać, stał już przy furcie. Oparł się plecami o parkan.

– Nie wyganiaj mnie, staruszko! Ja...

– Poszczuję psa! – zagroziła.

W tej chwili drewniany pies zwrócił ku niemu osmaloną mordę...

Egert czym prędzej wyskoczył za furkę. Najchętniej uciekłby jak najszybciej, lecz drżące nogi załamały się pod nim i runął twarzą na drogę.

– Co mam robić?! – zaszeptał z rozpaczą, zwracając się do martwego żuka, leżącego na poboczu.

Furtka znów otwarła się odrobinę.

– Szukaj wielkiego czarownika... Potężnego... A do tej osady więcej nie przychodź, bo z życiem nie ujdiesz...

Po czym się zatrzęsnęła.

Część druga

TORIA

Rozdział 4

Przez witrażowe okna wpadały dwa słoneczne łuki, tworząc na kamiennej posadzce wesołą grę barwnych światła, ożywiających mroczne biblioteczne wnętrza. Zza grubych murów dochodził stłumiony, monotony zgiełk. W Wielkiej Auli właśnie miał się rozpocząć wykład rektora. Trzecie okno, wychodzące na plac, po raz pierwszy otwarte szeroko tej wiosny, przynosiło odległy, lecz tętniący radością życia poszum miasta: pieśni i okrzyki, tupot kopyt i skrzypienie kół, śmiech, bicie dzwonu i końskie rżenie.

Kończyła już prawie pracę. Długi spis tytułów upstrzony był licznymi krzyżykami. Wózek biblioteczny uginał się pod ciężarem zdjętych z półek opasłych foliów. Toria kolejny raz postawiła stopę na szczeblu drabinki, lecz tym razem na nią nie weszła. Zamknęła oczy i przyłgnęła policzkiem do ciepłego, wygładzonego licznymi dłońmi drewna.

Znów przyszyła wiosna. Szeroko otwarte okno na plac. Ulubiony przez nią cierpki zapach starych ksiąg zmieszał się z woniami rozgrzanego miejskiego kurzu, trawy i nawozu. Wkrótce rzeka będzie ciepła, a na jej brzegach zakwitną poziomki. To naprawdę dziwne, że miała ogromną ochotę wytarzać się w trawie. Poleżeć w słońcu, czując pod policzkiem przygniecione pędy, bezmyślnie patrzeć jak pszczoła penetruje wnętrze kwiatka. Śledzić wzrokiem mrówkę, wędrującą po pniu...

A Dinara nie ma. Nie ma go już od roku. Wędrują nad nim w trawie mrówki... Tuż obok leży stos ksiąg, za oknem praży słońce, na rzece przekrzykują się wioślarze, lecz Dinara nigdzie nie ma, ponieważ głęboki, ciemny dół w ziemi, który przypominała sobie z dreszczami lękliwego niedowierzania, dół, do którego obcy ludzie spuścili nędzną trumnę... To ma być Dinar?! Nigdy nie pojedzie na jego grób, ponieważ zakopane tam zwłoki nie są nim.

Westchnęła ciężko, otwierając oczy. Barwne słoneczne plamy przesunęły się bliżej ściany. Z tego powodu siedzący w kącie biały kot, pogromca myszy i szczurów, wydawał się pstrokaty jak pajac. Para okrągłych, złotych ślepi spoglądała na dziewczynę z wyrzutem.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Sprawdziła, czy drabinka jest stabilna, podwinęła skraj ciemnej spódnicy i pewnie wspięła się na górę, jak robiła to już

tysiące razy.

W lewym kolanie odezwał się tępy, niezbyt silny ból. Tydzień temu potknęła się na schodach i upadła, rozdzierając pończochę i uderzając w nogę. Pończochę zacerowała potem stara służąca, która sprzątała jej oficynę dwa razy w tygodniu. Kiedy zostały same, poczciwa niewiasta zaczęła wzdychać i załamywać ręce: taka śliczna panienka, a cały rok w jednej sukience! Żeby tak chociaż wyskrobać trochę grosza na parę jedwabnych pończoszek... Kapelusz, pantofelki... Taki klejnot wymaga oprawy.

Toria uśmiechnęła się i oblizwała wargi. Na dolnej pozostała niewielka blizna w miejscu, gdzie rok temu zagryzła usta do krwi.

Ucichł zgiełk za ścianą, najwidoczniej rektor wszedł na katedrę. Dzisiaj ma opowiedzieć studentom o niezwykłych zjawiskach zachodzących, zdaniem uczonych, na krańcu Ziemi, u samych Wrót Wszechświata.

Panna znowu uśmiechnęła się do siebie. Nikomu nie dane było przekonać się, co tak naprawdę znajduje się u owych Wrót. Ojciec powiada: „Kto znalazł się na tamtym progu, nic już nam nie opowie”.

Otóż i najwyższa półka. Nad głową Torii kołysały się strzępy zakurzonej pajęczyny. Pająkom pozwalano mieszkać pod sufitem. Ojciec żartuje, że po śmierci stanie się pająkiem i będzie pilnował biblioteki.

Spojrzała w dół bez emocji, nie miała bowiem lęku wysokości. Wyciągnęła dłoń w stronę pozłaczanych grzbietów, po namyśle jednak cofnęła ją.

Tuż pod sufitem znajdowało się okrągłe okienko, przez które można było zajrzeć do Auli. Zdarzało się, że kiedyś wspinała się tutaj, by pomiędzy szeregami pochylonych głów znaleźć tę jedną, jedyną: czarną, rozczochraną, tak wzruszająco mądrą... Mieli taką zabawę: Dinar powinien był wyczuć jej spojrzenie i podnieść wzrok.

Złapała się właśnie na tym, że myśl o ukochanym nie wywołuje, jak poprzednio, tak silnego bólu. Wspominała go ze smutkiem, lecz już bez owego bezbrzeżnego cierpienia, jakim wypełnionych było wiele nocy i dni...

Ojciec mówił jej, że tak się stanie. Nie mogła i nie chciała w to uwierzyć, lecz jak zwykle miał rację.

Wspomniawszy ojca, zwróciła się znowu ku książkom.

Znalazła potężne tomisko w zwykłej, czarnej okładce. Grzbiet wydał jej się zachęcający. O prorocत्वach informowały srebrem tłoczone litery.

Poczuła ciarki na plecach. Zachował się jedyny egzemplarz tej książki. Wiele wieków temu wybitny mag poświęcił jej całe życie, a teraz ona, Toria, weźmie ją do rąk i zanieśli ojcowi, który dopisze dzięki niej nowy Rozdział swego dzieła. Kilka wieków później być może ktoś z takim samym szacunkiem weźmie drżącymi rękami to dzieło i dowie się, czemu poświęcił się dziekan Łujan.

Zeszła ostrożnie na dół i postawiła ostatni krzyżyk w swoim spisie. Historia przepowiedni znalazła się na stosie innych ksiąg.

To już koniec pracy na dzisiaj. Przez okno wpadł świeży podmuch wiatru, unosząc kłęby kurzu z książek, wywołując kichnięcie kota wartownika. Toria odruchowo poprawiła lok, spadający na czoło i wyjrzała na zewnątrz.

Oślepił ją blask słoneczny i ogłuszył gwar licznych głosów. Plac zawirował w jej oczach jak ukraszona wielobarwnymi wstęgami karuzela. Przekrzykiwali się przekupnie przy straganach. Wolno sunęły pstre parasolki przechadzających się dam. Widać było patrol, prowadzony przez oficera w czerwono-białym mundurze, marszczącego groźnie tradycyjnie wystrzyżone brwi, lecz nie mogącego się najwyraźniej powstrzymać przed obejrzeniem za wyjątkowo urodziwą kwiaciarką. Ulicznicy smygali pod nogami spacerowiczów, handlarzy i innych goniących za swoimi sprawami. Nad tłumem przepływały niczym żaglowe statki wspaniałe, niesione przez lokajów lektyki.

Masywny, surowy gmach sądu wyglądał w świetle słońca jak wielka, niegroźna ropucha, wygrzewająca pomarszczony grzbiet na słońcu. Toria przesunęła spojrzenie po okrągłym słupie przed żelaznymi wrotami. Na drzwiach wyciosane były groźne słowa: „Strzeż się prawa!”, na słupie zaś znajdowała się miniaturowa szubienica ze szmacianą kukłą wisielca.

Obok sądu wznosiła się baszta z zamkniętymi na głucho okienkami. U jej wejścia drzemali strażnicy, a nieopodal żywo o czymś rozprawiało trzech ludzi w szarych opończach z kapturami, bez wątplenia słudzy Świętego Widziadła Łaszą. Nieboskłon wznosił się nad placem niczym błękitny klosz.

Panna westchnęła rozkosznie. Słoneczne promienie muskały jej policzki niczym ciepłe palce. Kot wskoczył na parapet i usiadł obok niej. Położyła dłoń na jego grzbiecie i w tym momencie odczuła jak silnie jest związana z tym placem, miastem, księgami, kotem i uniwersytetem... Uśmiechnęła się radośnie, po raz pierwszy od roku, który wypełniał ponury mrok.

Tłumy hałasowały, przemieszczały się, kręciły jak kolorowe warzywa w

wielkim garncu. Wzrok dziewczyny przesunął się powoli po kapeluszach, parasolkach, mundurach, bukietach, straganach, wypomadowanych fryzurach i umalowanych twarzach, koronkach, szmatach i ostrogach. Nagle całą uwagę skupił pewien dziwnie wyglądający osobnik.

Toria zmrużyła powieki. Ten człowiek co rusz ginął w tłumie, lecz nie przeszkodziło jej to zauważyć z daleka pewną niedorzeczność w jego zachowaniu. Zdawało się, że przemierzał się nie po ludnym placu, ale przeskakiwał z kępki na kępkę po grząskim bagnie.

Zdumiona dziewczyna przyglądała mu się coraz uważniej. Osobnik poruszał się ostrożnie, jakby zgodnie z wyznaczoną wcześniej marszrutą. Kiedy dotarł do słupa latarni, wczepił się weń kurczowo zaciśniętymi palcami i stał tak jakiś czas z opuszczoną głową, niby odpoczywając. Potem zaś, decydując się na kolejny krok w swym niełatwym życiu, ruszył dalej powoli z widocznym wysiłkiem.

Przechodnie nie zwracali na niego szczególnie uwagi. On sam nie wyglądał na mieszczanina, wręcz przeciwnie, raczej na wiejskiego włóczęgę. Na widok uzbrojonego patrolu gwałtownie uskokzył w bok, niemal wywracając sprzedawcę pieczonych jabłek. Słyszając jego wrzaski, dziwny żebrak odskoczył w przeciwną stronę.

Jak bardzo owa droga przez mękę wydawałaby się skomplikowana, jej celem był w sposób oczywisty dla obserwującej go Torii uniwersytet. Nieznajomy zbliżał się doń powoli, lecz nieuchronnie. W końcu zdołała dostrzec jego twarz.

Jej serce zabiło mocno, potem na chwilę zamarło i znowu załomotało z całej mocy. Toria nie zdążyła jeszcze pojąć przyczyny owej reakcji, ale czuła, że ciepło słoneczne zniknęło, ją zaś owionął lodowaty powiew.

Rozpoznała twarz tego dziwnego człowieka. Przynajmniej tak się jej wydało w pierwszej chwili. Po chwili, przygryzając dolną wargę, stwierdziła w myśli: to On.

I zarazem nie on. Tamten nie miał szramy na policzku, a przede wszystkim jego oczy nie błyszczałyby taką zgryzotą i smutkiem. To nie mógł być On, taki brudny, obszarpany i wycieńczony. A jednak, chociaż znikły oznaki szlachectwa i bogactwa, widać wciąż było ślady niegdysiejszej urody. Toria skrzywiła usta z odrazą. Jest przystojny jak Tamten...

Włóczęga podszedł całkiem blisko. Wiosenny wiatr rozwiewał jego splątane, jasne włosy. Stał nieruchomo przed gmachem uniwersytetu, jakby nie mając odwagi przekroczyć progu.

To nie on, powiedziała do siebie. Na pewno nie, powtarzała rozumnie, chociaż przeczyło temu ciągle mocno bijące serce. Zapadnięta, udęczona twarz ze straszną szramą na policzku, niepewność ruchów, brudne łachmany...

Toria wychyliła się, uważnie przyglądając nieznajomemu, jakby chciała go przeniknąć na wskroś. Tamten wyczuł owo spojrzenie i uniósł głowę.

Pod oknem stał Egert Soll. Toria zrozumiała to w mgnieniu oka. Wczepiła się palcami dłoni w parapet, drapiąc go paznokciami i nie odczuwając bólu. Stojący pod oknem zrobił się trupio bładny pod warstwą kurzu i opalenizny.

Zdawało się, że ujrzał najstraszniejszy widok w swym życiu. Zareagował, jakby zamiast panny w otwartym oknie zobaczył ognistą przepaść, z której wysunęła się paszcza pramatki wszystkich piekielnych bestii. Chwilę stał jak wryty, potem odwrócił się i rzucił do ucieczki, wywołując spłoszone okrzyki potracanych kwaciarek. Jeszcze moment i już go nie było na widoku. Zniknął w barwnym kręgu...

Dziewczyna długo stała w oknie, ssąc bezmyślnie skaleczony palec. Potem zaś, zapominając całkiem o wózku zawalonym książkami, opuściła bibliotekę.

Egert wszedł do miasta o świcie, kiedy tylko otwarto bramę. Liczne ochronne rytuały, jakie wcześniej wymyślił, pomagały mu poradzić sobie ze strachem. Trzymając mocno guzik koszuli, poruszał się zgodnie z zamierzonym planem od jednego kamienia milowego do drugiego, od latarni do latarni. Droga przez to się wydłużała, ale za to w duchu upewniał się, że zdoła tym sposobem uniknąć różnych niebezpieczeństw.

Jego wspaniały Kawarren okazał się w porównaniu z tym miastem maleńką, prowincjonalną miejsciną. Zrozumiał to, błędząc zatłoczonymi ulicami, pełnymi przechodniów i powozów. Ten natłok wrażeń wywołał zamęt w głowie człowieka, który spędził dłuższy czas w odosobnieniu. Co rusz musiał opierać się o ścianę lub jakiś słup, aby odetchnąć, przymknąwszy zaczerwienione oczy.

Pustelnik zaopatrzył go na drogę w węzełek z serem i plackami. Droga do miasta okazała się długa, wypełniona trwogą. Placuszki skończyły się przedwczoraj, mężczyznę, więc mdliło z głodu.

Celem tej drogi przez mękę był uniwersytet. Soll dowiedział się, że może tam znaleźć prawdziwie wielkiego maga. Niestety, nie zdołał dowiedzieć się, jak się ów nazywa. Przypadkowi przechodnie, których odważył się zagadnąć, odsyłali go wszyscy na główny plac. Tam właśnie znajduje się uniwersytet i wiele innych

ciekawych rzeczy, które mogą być ciekawe dla obcego... Ściskając guzik i wędrując od rogu do rogu ulicy, szedł więc dalej.

Wielki plac przypominał wrzący kocioł. Ze wszystkich sił starając się zapanować nad zawrotami głowy, mężczyzna przebijał się przez gęsty tłum. Przed oczami jawiły mu się tylko oderwane detale: grube wargi, zapaćkane sosem; zgubiona podkova; wybałuszone końskie oko; zeschnięta kępa trawy w szczelinie między brukowcami. W końcu nieomal wpadł na okrągły, czarny słup. Kiedy uniósł głowę, stwierdził z lękiem, że stoi pod miniaturową szubienicą, a szklane oczy szmacianego wisielca martwo nań spoglądają.

Odskoczył, niemal potrącając osobnika w szarej opończy. Tamten obejrzał się ze zdziwieniem, jednak skryta pod kapturem twarz pozostała niewidoczna. Egert szedł dalej wśród tłumu. Tym razem wszedł prawie w drogę zbrojnemu patrolowi w czerwono-białych uniformach. Ci poważni, groźni osobnicy wyglądali tak, jakby tylko czyhali na takiego włóczęgę jak on. Przed oczyma Solla natychmiast objawiły się wizje aresztu, chłosty, długiej katorgi, uskoczył zatem w bok.

Grupka zakapturzonych mężczyzn stała w pobliżu, o czymś żywo rozprawiając. Egert zauważył, że ludzie obchodzili ich dookoła, na podobieństwo rwącej rzeki, opływającej skalistą wysepkę. Twarze tamtych również skrywały kaptury, co nadawało owym osobnikom prawdziwie złowieszczy wygląd. Mężczyzna wystraszył się ich bardziej niż strażników, ominął zatem grupę szerokim łukiem.

Nareszcie stanął przed gmachem uniwersytetu. Wstrzymał na chwilę oddech. Przed wejściem do świątyni nauki zastygły nieruchomo żelazna żmija i drewniana małpa. Nie wiedział, że symbolizowały one mądrość i pęd ku wiedzy.

Należało po prostu wejść po schodkach i nacisnąć miedzianą, wypolerowaną dotykami licznych dłoni klamkę. Stał jednak dalej, nie będąc w stanie zrobić jednego kroku. Budynek przytłaczał go swym ogromem. Za tymi drzwiami kryła się tajemnica, tam właśnie znajdował się „wielki czarownik”, który wiedział, co przyniesie przyszłość nieszczęsnemu włóczędze... Przez głowę przemknęło zasłyszane gdzieś zdanie, że wszystkich studentów trzeba było dla dobra nauki. Osłabionemu wydało się, że żmija spogląda nań z pogardliwą nienawiścią, małpa zaś szczyrzy się ironicznie.

Zlany potem, przestępował z nogi na nogę, gdy nagle nowe, trwożne przeczucie kazało mu podnieść wzrok.

Stojąca w otwartym na oścież oknie młoda kobieta spoglądała na Solla uważnie i przenikliwie.

Przepychał się między ludźmi, zbierając przekleństwa i szturchańce. Uciekał z placu jak najdalej, dalej od uniwersytetu i szeroko otwartego okna, gdzie ciągle bieleło widmowe oblicze Torii, narzeczonej zabitego studenta. Byle dalej! Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nie powinien był odwiedzać tego miasta. Powinien teraz jak najszybciej je opuścić, wydostać się z sieci wąskich, przepelnionych uliczek...

Jednak atmosfera owego grodu, przepelniona sytą obojętnością i leniwym, odświętnym zadowoleniem, zawładnęła nim, niczym kimś przeznaczonym na ofiarę. Egertowi wydało się, że miasto przypomina monstrualny żołądek i zaczyna trawić go powoli lecz nieubłaganie, aby całkiem go unicestwić.

– Hej, odsuń się, włóczęgo!

Zaturkotały wielkie koła na kamiennej jezdni. W aksamitnym półcieniu karety przesunęło się nad Egertem czyjeś dumne lico. Spuścił oczy, dostrzegając w świeżej koleinie rozjechanego na miazgę insekta.

– Z drogi, włóczęgo!

Mieszczki wołały z okien, co pewien czas wylewając potok pomyj, a wówczas nawoływania zamieniały się w pyskówki.

Przekupnie nawoływali:

– Grzebyki kościane i szylkretowe! Cudowny preparat na porost włosów na głowie. Usuniesz nim także zbędne owłosienie spod pachy!

– Cyrulik! Bańki, pijawki, krwi upuszczanie! Golenie bród!

Banda uliczników zaczepiała i drażniła odzianego jak spod igły paniczyka. Pod ścianami kulili się żebracy. Wiatr szarpał strzępkami ich łachmanów, a wyciągnięte nieruchomo ręce zdawały się ogołocionymi, uschłymi gałązkami. Wodzili błagalnym wzrokiem za przechodniami, wydając jęki niemal nieruchomymi, zwiędłymi wargami:

– Daj, panie, daj...

Szybko do bramy. Egert skręcił w znajomy, jak mu się zdawało, zaułek, lecz ulica okazała się fałszywym tropem, gdyż wywiodła go na obudowany kamieniem kanał. Zielonkawa woda wionęła zgnilizną. Nad kanałem przerzucony był długi, szeroki most. Mężczyzna w ogóle nie przypominał sobie tego miejsca, więc najwyraźniej zabłądził.

Postanowił zapytać kogoś o drogę. Pierwsza osoba, jaką się odważył zagadnąć,

stateczna mieszcza w wykrochmalonym czepeczku, życzliwie i drobiazgowo wyjaśniła mu, jak dojść do głównej bramy. Idąc za jej wskazówkami, minął parę uliczek, ostrożnie przeszedł przez zatłoczone skrzyżowanie, skręcił, gdzie mu doradzono i nieoczekiwanie wyszedł znów na ten sam most nad kanałem. Na zatęchłej wodzie podskakiwały wodomierze.

Przeklinając niewiastę w czepeczku, Egert znów zebrał się na odwagę i zapytał o drogę wątłą dziewczeczkę w ubogim stroju służącej. Jej stłumione radosne westchnienie uświadomiło szybko Sollowi, że w jej oczach nie jest nędznym oberwańcem, lecz ewentualnym, całkiem atrakcyjnym konkurentem do ręki. Nie przyniosło mu to satysfakcji, raczej sprawiło przykrość. Dziewczyna dość szczegółowo wyjaśniła mu, jak dotrzeć do bramy, przy czym jej objaśnienia stanowiły kompletne przeciwieństwo tych, jakich wcześniej udzieliła niewiasta w czepeczku.

Pospiesznie dziękując nieco rozczarowanej służącej, Egert znów ruszył w drogę. Rozglądając się niespokojnie, mijał kamienne ławy, aptekę z żywymi pijawkami w słojach i ziółkami w puzdrach, sklep z galanterią, gdzie na witrynie błyszcząły guziki srebrne, kościane, perłowe. Ciemny zaułek z pustymi ścianami okazał się jaskinią rozkoszy. Co pewien czas wychylała się ku mężczyźnie z półmroku słodka twarzyczka, lecz znikwała zaraz, gdy bezbłędnie rozpoznawała nędzarza, nie zaś potencjalnego klienta. Jedwabne podwiązki, poprawiane na pończoszkach, trzaskały zachęcająco i odstręczająco zarazem.

Zaułkiem tym wyszedł na okrągły plac z niewielkim pomnikiem pośrodku. Głowę figury skrywał kamienny kaptur. Przypomniawszy sobie przerażających go ludzi w podobnych strojach, nie od razu zdecydował się podejść bliżej i przeczytać napis wykuty na cokole: „Święte Widziadło Łaszą”.

Od dziecka słyszał o tym Świętym Widziadle, lecz wyobrażał je sobie trochę inaczej, chyba wspanialej. Nie w głowie mu było teraz się nad tym zastanawiać. Nabrał powietrza w płuca i znowu zapytał o drogę, tym razem niewysokiego sprzedawcę lemoniady. Młodzieniec twierdził, że do bramy były już tylko dwa kroki. Uradowany Egert ruszył szeroką, niezbyt tłoczną ulicą. Minął dom kręgarza, z przytwierdzoną nad drzwiami sporej wielkości drewnianą kulą, dom końskiego weterynarza z trzema ogonami w szyldzie, piekarnię i całkiem wykończony, po raz kolejny znalazł się przy tym samym moście nad cuchnącym kanałem.

Zdawało się, że jakaś niewidzialna moc nie chciała wypuścić go z zaklętego kręgu. Załamany, wsparł się o kamienną balustradę. Gdzieś wysoko nad jego głową

okiennica uderzyła o ścianę i ktoś otworzył okno. Egert spojrział do góry.

Z małego okienka wychylała się dziewczyna. Sollowi pociemniało w oczach. Błede policzki, jakby wyciosane z marmuru, ciemne włosy, gwiazdozbiór pieprzyków na szyi... Cofnął się gwałtownie i w tym samym momencie zorientował się, że to nie Toria, że w rzeczywistości ujrzał niewiastę z licem krągłym i pomarszczonym, o włosach koloru zbutwiałej słomy...

Z trudem ruszył w drogę powrotną. Na skrzyżowaniu zapytał kolejno dwóch ludzi, którzy życzliwie i chętnie wskazali mu dwie kompletnie różne drogi.

Zaciskając zęby, ruszył przed siebie, polegając już tylko na wyczuciu i licząc na łut szczęścia. Minał kilka ulic i z niepokojem zauważył dwóch małych uliczników, idących w ślad za nim w bezpiecznej odległości.

Oglądał się na nich coraz częściej. Umorusane, lecz skupione liczka malców migały w tłumie coraz bliżej. Coraz bardziej spięty Egert odwrócił się kilkakrotnie w ich stronę. Chłopcy nie cofnęli się, zdawało się, że jest ich więcej. Spierzchnięte wargi rozciągały się w uśmieszkach. Teraz szła za nim cała rozradowana banda.

Przyspieszył kroku. Strach w nim narastał, zaciskając zimne kleszcze na krtani i sprawiając, że miał nogi jak z waty. Coraz bardziej czuł się kozłem ofiarnym, a owo poczucie zdawało się także udzielać jego prześladowcom, zachęcając ich do nagonki.

Rozpoczęła się obława.

Nawet się nie zdziwił, kiedy poczuł uderzenie kamienia na plecach, przeciwnie, zrobiło mu się lżej, że nie musi dłużej czekać na cios, który nastąpił... Potem nastąpiły kolejne.

– Ho, ho! – rozległy się uradowane okrzyki w ulicy. Przechodnie oglądali się z niechęcią i szli dalej, zajęci swoimi sprawami.

– Ho, ho, ho... Stary, daj nam niuch tabaki... Obejrzyj się, stary!

Egert prawie biegł. Resztki godności nie pozwalały mu zwyczajnie uciec.

– Stary, masz portki dziurawe! Zobacz!

Kilka małych kamyków wylądowało na jego udach, plecach i karku. Po chwili prześladowcy go dogonili i czyjaś silna dłoń złapała go za rękaw, aż trzasnęły szwy.

– Ej, ty! Mówi się do ciebie!

Mężczyzna zatrzymał się. Okrążyli go zwartym kręgiem chłopaków w różnym wieku od ośmiu do czternastu lat. Nie którzy mieli szczyrby po wybitych zębach, niektórzy ocierali smarki rękawami, ale wszyscy błyskali wrogo oczami spod zmrużonych powiek. Zmieszanie ofiary najwidoczniej cieszyło ulicznych myśliwych,

tym bardziej że najstarszy z nich ledwie dorastał Sollowi do piersi.

– Stary... Kup od nas bułeczkę... Daj pieniędzy! Poczłukie czegoś ostrego i cienkiego na plecach, jakby szpilki lub igły. Szarpnął się, a wtedy banda zaniósł się gromkim śmiechem.

– Patrzcie, jak skacze!

Kolejne ukłucie. Ból sprawił, że w oczach Egerta pojawiły się łzy.

Dorosły, silny mężczyzna stał w kręgu słabszych odeń malców, upajających się w danej chwili poczuciem totalnej bezkarności. Nie wiadomo jakim sposobem wyczuli jego tchórzostwo, czyniące go idealnym materiałem na ofiarę, uosabiali zatem bezwiednie zasadę niepisanego prawa, że każda ofiara znajdzie swojego kata.

– Zatańcz jeszcze raz... Śmieszny dziad... Hej, dokąd to!

Kolejne ukłucie okazało się nie do zniesienia. Egert runął na oślep, zwałając jednego z nóg. W ślad za nim poleciały kamienie i nawoływania:

– Łapcie go! Łapcie!

Długonogi Soll biegł oczywiście szybciej niż najbystrzejszy z miejscowych malców, lecz ulica wiła się zdradliwie przed jego oczami, wiodła do ślepych zaułków albo zamkniętych bram. Ścigający rzucali mu się pod nogi, wyskakując z siebie tylko znanych przejść. Cały czas ciskali weń kamieniami, nawołując się wzajem. W pewnej chwili Egertowi wydało się, jakby brał udział w czymś koszmarnym śnie. Bolesne uderzenie w kolano przekonało go jednak, że tak wygląda teraz jego realne życie.

Nareszcie umknął pogoni.

Przedzierał się przez jakieś chaszczce, spotkał też po drodze pomarszczoną, bezzębną staruszkę, zażywającą tabakę z wielkiej tabakiery, która wskazała mu zakrzywionym palcem labirynt ciasnych uliczek. Towarzyszyły mu teraz niezmiernie zmęczenie, nieco przytępiony strach, wreszcie chwilowa radość na widok miejskiej bramy...

Którą właśnie zamykano.

Jej ciężkie skrzydła powoli się do siebie zbliżały, popychane przez poczerwieniałych z wysiłku wartowników. W zmniejszającej się przerwie znikwały skrawki nieba i drogi.

Co się dzieje, pomyślał Egert.

Ostatkiem sił przebiegł placyk, lecz podwoje zawarły się już z łoskotem, brzęknęły wrzeczadze, zatrzasnęła ogromna kłódka.

Soll stał u żelaznej bramy, ozdobionej odpychającymi figurami smoków i

innych gadów. Zdawało się, że ich ślepia spoglądają na niego z ponurą obojętnością. Dopiero teraz spostrzegł, że zapadał już zmierzch i zrozumiał, iż brama będzie zamknięta całą noc.

– Hej, ty! – Ostry okrzyk postawił go z nawyku na baczność. – Czego tu chcesz?

– Chciałbym... wyjść – wybełkotał z wysiłkiem.

– Czego?

– Wyjść... z miasta.

Tłustawy, raczej dobroduszny z wyglądu wartownik uśmiechnął się szeroko.

– Jutro, przyjacielu. Trochę się spóźniłeś... Zdarza się. Z drugiej strony, co za przyjemność wędrować nocą po lesie? To zła godzina. Zaczekaj, wędrowcze, aż wszędzie słońce. O świcie bramę otworzymy.

Egert odszedł bez słowa. Było mu już wszystko jedno. Rankiem wrota się zaklinują albo nie wszędzie słońce, albo stanie się coś jeszcze innego... Skoro nieznana, wroga siła, igrająca z nim cały dzień od chwili niespodziewanego spotkania z Toria, nie miała zamiaru wypuścić go z miasta, nie zdoła z niego wyjść i umrze tutaj żalosną śmiercią tchórza...

Placyk przed bramą opustoszał. Egert miał ochotę legnąć gdziekolwiek z zamkniętymi oczami i przestać myśleć.

Odszedł od bramy ledwie powłócząc nogami.

Z szerokiej bocznej ulicy wypadła szumna kawalkada kilku młodych jeźdźców na pysznych rumakach. Egert odruchowo ocenił wartość każdego wierzchowca i zauważył dobrą postawę jadących. Czekał aż przejadą. Nagle jeden z młodzieńców, siedzący na wielkim, karym koniu, oddzielił się od reszty i podjechał wprost na Egerta.

Trwało to sekundę i całą wieczność zarazem. Soll nie był w stanie się poruszyć.

Nogi miał jak wrośnięte w ziemię. Czuł się jak drzewo, czekające na zbliżającego się drwala. Koń biegł lekko i zgrabnie, jakby płynął w powietrzu, tylko ziemia pod jego kopytami trzęsła się coraz bardziej. Soll widział coraz bliżej wroni łeb ogiera i jego szalone ślepia, odrobinę spieniony pysk, szeroką i silną pierś, mogącą zgnieść człowieka w jednej chwili.

Uderzył go w nozdrza ostry odór, gdy rumak powoli stanął dęba.

Patrzył, jak tuż przed jego twarzą zawisły koński łeb i przednie kopyta, na

których widział dokładnie wszystkie gwoździe w podkowach... Kopyta uniosły się wysoko nad jego głową i zobaczył okryty potem brzuch z kosmatą kitą na podbrzuszu... Podkowy tratowały niebo, gotowe w każdej chwili go zmiażdżyć.

Stracił na chwilę zmysły, mniej więcej na pięć sekund.

Stał jak poprzednio pośrodku placu. Tętent kopyt niknął w pobliskim zaułku, podobnie jak gromki śmiech. Po nodze Egerta ściekała powoli cienka strużka ciepłej cieczy.

Lepiej już było zginać.

Zza pleców słyszał chichot strażników. Zdawało mu się, że boleśnie rozsada jego czaszkę. Szacunek do siebie, resztki godności i woli Egerta Solla kurczyły się i niknęły w ogniu całkowitego poniżenia.

Niebo wirowało mu nad głową, ziemia kołysała się pod nogami, jakby znalazł się między ogromnymi żarnami, które miały go zetrzeć na proch.

– Egercie – szeptały doń wola i duma – to już koniec. Przypomnij sobie oślizgłe błoto na twarzy i tamtą dziewczynę w dylizansie... Przypomnij sobie prawdziwego Solla i odpowiedz: dlaczego taki mężczyzna, jak ty, godzi się żyć dalej w takim bydlęcym stanie?! Doszedłeś na skraj przepaści. Jeszcze krok i całe twoje życie, wraz z dobrymi wspomnieniami o domu i rodzicach, zaprą się ciebie i wyklną na wieki. Dopóki pamiętasz jeszcze, jaki powinien być prawdziwy mężczyzna, powstrzymaj zzerającego cię od środka potwora!

Wartownicy dawno już o nim zapomnieli i nastąpiła ciemna, bezksiężycowa noc, rozświetlona tylko nielicznymi latarniami. Pod jedną z nich czerniało szerokie koryto u studni, z którego przybywający do miasta poili zmęczone wierzchowce. Obecnie było przy nim pusto.

Egert podszedł bliżej. Kamienne ścianki przenikały dłonie chłodem i zachęcały by zajrzeć do wionącego wilgocią wnętrza. Gładka powierzchnia wody odbijała światło latarni, mroczne niebo i człowieczą sylwetkę, jakby wyciętą z zakopconej blachy.

Rozejrzał się pospiesznie. W pobliżu znalazł odłamek brukowca, chłodny i ciężki jak płyta nagrobna. Chciał go czymś uwiązać u swojej szyi, lecz nie miał sznura, a pasek się wciąż ześlizgiwał. Jęcząc i trzęsąc się ze strachu Soll w końcu rozchylił koszulę i wsunął głaz za pazuchę. Zimny dotyk kamienia na obnażonej piersi sprawił, że się wzdrygnął.

Podtrzymując go dwojgiem rąk, wszedł na drewnianą kładkę i stał jakiś czas,

odpoczywając. Miasto spało, gdzieś tam w ciemności skrzypiały drewniane chorągiewki od wiatru, a z dali dobiegało nawoływanie nocnej straży: „Śpijcie dobrze, cni mieszczanie...”.

Śpij dobrze, powiedział sobie Egert. Przycisnął kamień do piersi jak ulubionego kotka i przełożył nogę przez ściankę studni. Siedział teraz okrakiem na cembrowinie. Jeszcze jeden wysięk i druga noga, choć zdrętwiała i sztywna, zawisła nad wodą. Wspierał się teraz brzuchem o krawędź, podczas gdy nogi nie miały żadnego oparcia. Pozostało tylko odepchnąć się od murowanej cembrowiny dłońmi i kolanami. Ciało spadnie w dół, zanurzy się w wodzie, skryty za pa zucha kamień pociągnie na dno, a głębia zmyje z Egerta lęk i upokorzenie. Jeszcze tylko...

Mięśnie drżały konwulsyjnie. Starając się zdławić strach wszelkimi siłami, próbował rozprostować zsiniałe palce, wczepione kurczowo w krawędź. Gdyby tak ktoś ściął za jednym zamachem szabli te przekłete dłonie... Egert nie miał jednak pomocnika, natomiast kamień za pazuchą utrudniał kąsanie rąk, które wtedy mogłyby się rozewrzeć. Jeszcze jeden wysięk...

W końcu strach przed śmiercią całkowicie zerwał zaporę.

Soll wtopił się w ścianę całym ciałem, łokciami, stopami i kolanami. Nie do końca jeszcze sobą władając, podciągnął się ku górze, rozpaczliwie chwytając powietrze. Pragnął wyskoczyć ze skóry i uciekać, byle się tylko ratować... Zachłystując się ze strachu, przewalił się przez krawędź i upadł na ziemię. Kamień wytoczył się na jezdnię, a oszalały Soll odczołgał się na bok, drżąc i szlochając.

Wartownik wychylił się z budki strażniczej i schował się ponownie, nie dostrzegając niczego szczególnego. „Spijcie dobrze, cni mieszczanie...” – nawoływała straż.

Egert oparł się plecami o latarnię i zdołał w końcu zapanować nad sobą. Sprawilo to jednak, że uświadomił sobie do końca całą okropność swego położenia.

Przestał być panem samego siebie. Strach uczynił jego życie nieznośnym, a śmierć niemożliwą. Nie ucieknie przed tym. Przez całe życie, aż do śmierci, będzie bał się wszystkiego, godził na męki poniżenia, nienawidził siebie samego i gnął za życia, dopóki nie zwariuje...

– Nie! – krzyknęło coś w jego duszy. – Nie!!!

Przy koszuli nie było już ani jednego guzika. Egert chwycił ponownie kamień brukowy i rzucił się z nim do studni. Jednym skokiem był przy krawędzi...

Gdy jednak znów spojrzął na ciemną wodę, strach przed śmiercią złamał jego

wolę, jak cienką gałązkę. Oprzytomniał leżąc na ziemi, mokry jak zgoniona mysz...

Płakał, gryząc palce. Wzywał niebiosą na świadka, lecz były mroczne i milczące, jak to zazwyczaj w nocy. Pragnął umrzeć i chciał zatrzymać serce samą myślą, lecz ono biło dalej, chociaż boleśnie nierówno.

Nagle poczuł czyjeś spojrzenie na sobie.

Było tak silne, że wyczuł je całym ciałem. Spiał się wewnątrz, nie śmiejąc poruszyć się, lecz cudzy wzrok nie spopielił go, wbrew nadziei. Zdawało się, że spoczął na jego ramionach niczym ciężkie dłonie. Soll zacisnął zęby i podniósł powoli głowę.

W odległości kilku kroków stał w świetle latarni nieznajomy, siwowłosa mężczyzna. Twarz miał niemłodą, chociaż bez brody, pokrytą siecią zmarszczek. Zdawała się nieprzenikniona jak maska. Stał nieruchomo i przyglądał się Sollowi z trudno uchwytnym wyrazem oczu spod przymrużonych powiek.

Egert westchnął. Z jakiegoś powodu od razu zrozumiał, że obcy nie skrzywdzi go w żaden sposób, lecz zarazem odczuł tłący się na dnie duszy nieokreślony niepokój. Wolałby, żeby świadek jego hańby i rozpacz przepadł czym prędzej w mroku. Odwrócił się, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie niczyjego towarzystwa.

Minęła krótka chwila. Przenikliwe spojrzenie wciąż spoczywało na Egercie.

Soll cierpiał, jakby przypiekano go gorącym żelazem. W końcu nie wytrzymał i zaczął:

– Ja...

Zaciął się zaraz, nie znajdując słów. Nieznajomy wciąż patrzył, lecz nie zamierzał przyjść mu z pomocą.

– Pan... – zaczął znowu Egert, tknięty nagle jedną myślą. – Pan – podjął trochę pewniej – mógłby mi jakoś pomóc?

Tamten zamrugnął oczami.

– Pomóc? – odpowiedział uprzejmym pytaniem.

Soll podniósł się z trudem i podszedł do studni, znowu biorąc do rąk ciężki kamień.

– Tylko trochę popchnąć... do wody.

Nocny przechodzień milczał.

– To się zdarza, prawda? – dorzucił pospiesznie Egert. – Bardzo tego chcę... Proszę mi pomóc.

Tamten przesunął spojrzeniem po kamieniu, potem przeniósł je na twarz Egerta, później na studnię, wreszcie znowu na młodego mężczyznę.

– Bardzo chcę – podjął błagalnie Egert. – To konieczne... Muszę... Sam nie jestem w stanie. Proszę...

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc – odrzekł powoli nieznajomy.

W duszy Solla zgasła świeżo zbudzona nadzieja.

– Więc – powiedział cicho – proszę stąd odejść. Będę musiał znowu spróbować sam.

Nieznajomy pokręcił przecząco głową.

– Nie sędzę, aby się to panu udało, Egercie.

Soll upuścił kamień. Przełknął z trudem gęstą ślinę, spoglądając na obcego ze strachem.

– Pan Egert Soll, jak sędzę? – zapytał tamten, jak gdyby nigdy nic.

Egert mógłby przysiąc, że nigdy wcześniej nie spotkał tego człowieka. Obcy uśmiechnął się, jakby czytając w jego myślach.

– Nazywam się Łujan i jestem dziekanem tutejszego uniwersytetu.

Soll milczał. Przed oczami mignęły mu przez moment wielki gmach i dziewczyna w szeroko otwartym oknie. Dziekan tymczasem podszedł do studni i niefrasobliwie przysiadł na krawędzi cembrowiny.

– No cóż, porozmawiajmy, Egercie...

– Skąd pan mnie zna? – wykrztusił Soll.

Białe zęby dziekana błysnęły w świetle latarni. Uśmiechnął się i potrząsnął głową, jakby zdumiony naiwnością pytania.

– Jest pan czarownikiem?! – spytał młodzieniec, w przeblysku nagłej iluminacji.

– Jestem magiem – skorygował dziekan. – Magiem i wykładowcą. A ty kim jesteś, Egercie Sollaru?

Egert wpatrywał się z natężeniem w spokojne, nieprzeniknione oblicze. Przybył do tego miasta spotkać się z magiem, miał nadzieję na owo spotkanie i obawiał się go zarazem, lecz pojawienie się Torii wszystko poplątało. Stracił już wszelką nadzieję i oto nagle stał przed tym siwym mężczyzną w czarnej szacie dziwnego kroju, przypadkowym lub może nieprzypadkowym obserwatorem jego żalonych prób samobójczych. Język odmówił mu posłuszeństwa, a rozum nie znalazł odpowiedzi na proste pytanie uczonego.

Dziekan westchnął.

– No cóż, Egercie. Wiem mniej więcej, kim byłeś dawniej. A teraz?

– Teraz... – zająknął się i zaczął znowu – teraz chcę umrzeć.

Dziekan znów się uśmiechnął, tym razem nieco pogardliwie, jak się wydało Sollowi.

– Nic z tego nie będzie, Sollu. Człowiek, który nazaczył cię ową szramą, nie pozostawił ci wyboru.

Dłoń Egerta drgnęła, końce palców musnęły znamię na policzku. Dziekan uniósł się lekko. Nie ustępował wiele wzrostem wysokiemu rozmówcy.

– Wiesz, jaka to szrama, Egercie?

Zbliżył się doń tak bardzo, że młodzieniec się cofnął. Dziekan skrzywił się z irytacją.

– Nie bój się...

Ujął ostrożnie twardymi palcami podbródek Egerta i obrócił ku światłu okaleczony policzek. Przyglądał się mu dłuższą chwilę, potem puścił podbródek, westchnął zatroskany i znowu przysiadł na krawędzi studziennej cembrowiny.

Egert stał niczym żywy posąg. Jego rozmówca potarł skroń w skupieniu.

– Spoczywa na tobie klątwa – oświadczył w końcu, patrząc gdzieś w bok. – Potężna i straszna. Szrama jest jej znakiem, symbolem. Tylko jeden człowiek mógł pozostawić ci taką pamiątkę, lecz o ile wiem, nader rzadko wtrąca się on w cudze sprawy... Czym mu tak bardzo się naraziłeś?

– Komu? – szepnął Soll, nie rozumiejąc nawet w połowie słów dziekana.

Tamten znowu westchnął, zmęczony, ale cierpliwy.

– Dobrze pamiętasz wygląd tego, który cię zranił?

Egert stał, patrząc w ziemię. Drgnął potem i uniósł głowę.

– Klątwa?

Dziekan skrzywił się samym kącikiem warg.

– Nie domyślałeś się tego?

Soll przypomniał sobie w tej chwili starego pustelnika i wiejską wiedźmę, która wpadła w panikę, zbadawszy jego bliznę.

– Tak... – zaszeptał, znowu spuszczaając oczy.

Latarnia zamigotała, tknięta porywem wiatru.

– Tak – powtórzył Egert. – Wydawał się starcem, ale walczył jak... Teraz wszystko jasne. Był czarodziejem? To znaczy... magiem, jak pan?

– Czym się mu naraziłeś, Sollarze? – zapytał ponownie dziekan, marszcząc brwi. Egert poruszał bezdźwięcznie wargami. Przed oczyma wciąż mu się przesuwała scena ostatniego pojedynku z lokatorem „Wspaniałego Miecza”.

– Niczym – odrzekł w końcu. – Nie chciałem pojedynku. To on...

Uczony pochylił się w jego stronę.

– Musisz zrozumieć, że ten człowiek nie zajmuje się głupstwami. Musiałeś zrobić coś, co jego zdaniem zasługiwało na srogą karę. Pytam więc: co to było?

Sollarz milczał. W głowie miał mętlik wspomnień, przepływających chaotycznie, ogłuszających go brzękiem stali, śmiechem Karwera, wrzaskiem gawiedzi, cienkim głosikiem Torii: „Dinarze?!”...

Siwy nieznajomy był przy tym. A odchodząc, rzucił mu przeciągłe spojrzenie...

Potem była tawerna przy bramie. Co rzekł wtedy ten dziwny człowiek? Czoło Sollarza pokryło się potem, gdyż słowa te wryły mu się w pamięć, jakby zostały wypowiedziane przed chwilą: „Piję zdrowie porucznika Sollarza, bohatera podszytego tchórzem!” Bohatera podszytego tchórzem...

– Kim on jest? – zapytał głucho.

Dziekan nie odpowiedział. Egert podniósł głowę i zrozumiał, że tamten oczekuje odpowiedzi na dwukrotnie zadane pytanie.

– Zabiłem człowieka w pojedynku – przyznał Egert, ciągle tym samym tonem.

– Wszystko odbyło się zgodnie z regułami.

– To wszystko? – spytał oschle uczony.

Sollarz skrzywił się boleśnie.

– To był głupi przypadek... Tamten chłopak nawet nie miał szpady... Nie chciałem go zabić... ale tak wyszło.

Sollarz z rozpaczą w oczy uczonego i zobaczył, jak bledną odbłaski latarni na jego surowym obliczu. Czarne niebo szarzało powoli, a w rzednącej ciemności pojawiały się kontury domostw.

– Zapłaciłeś – rzekł dziekan wciąż bardzo chłodno – za bezzasadne okrucieństwo. Ten, który rzucił klątwę, obdarzył cię wiecznym tchórzostwem. Być może nawet nie myślał o karze, tylko chciał cię unieszkodliwić. Uchronić tych, którzy wejdą ci w drogę... Tych, którzy zazwyczaj nie noszą szpady...

Nad miastem świtało. Dziekan wstał z pewnym wysiłkiem, jakby historia Egerta go wyczerpała.

– Panie dziękuję! – zawołał Soll, przerażony, że uczonego zaraz go zostawi. – Jest pan przecież wielkim magiem. Tyle już przeszedłem... Szukałem... Szukałem u pana pomocy. Błagam, niech mi pan powie, co trzeba zrobić. Przysięgam, zrobię wszystko, tylko proszę zdjąć ze mnie tę... tę szramę.

Latarnia zgasła. Z budki wytoczył się zaspany wartownik i spojrzał ze zdziwieniem na włączoną rozmawiającego pośrodku placu z dobrze ubranym jegomościem. Gdzieś tam otwierały się z trzaskiem okiennice, nawoływała mleczarka. Plac ożywał się powoli, zapełniał różnorodnym tłumkiem, czekającym na otwarcie bramy.

Dziekan pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie zrozumiałeś mnie, Egertie... Nie zrozumiałeś, z kim wtedy zetknął cię los. Klątwe, rzuconą przez Tułacza, może zdjąć tylko Tułacz.

Wrzeczadze opadły z bramy. Tłumek stojący pod nią ożywił się. Stalowy łańcuch zagrzechotał w obejmach. Nowi strażnicy, którzy właśnie przybyli, zaczęli rozwierać ciężkie skrzydła.

– I co mam teraz zrobić? – zapytał szeptem Egert. – Szukać tego... Tułacza? Kim on jest? I gdzie mogę go znaleźć?

Szczyty dachów zabłyśły w słońcu, kiedy promienie zaigrały na blaszanych i miedzianych dachówkach.

– Nikt nie wie tak naprawdę, kim jest – odparł dziekan z wyrozumiałym uśmiechem. – A co do poszukiwania... Skąd ta pewność, że zechce z tobą rozmawiać?

Egert potrząsnął głową.

– No, jak to... On ze mną tak postąpił... Zrobił mi to... I nie będzie chciał ze mną gadać?!

Trząśnięty jak w napadzie furii.

– Za jakiegoś studenta... Tak, zabiłem! Ale to był pojedynek... Z Tułaczem również! Lepiej, żeby mnie zabił! Stałem przed nim bezbronny... Śmierć za śmierć. To jednak, co mi zrobił, jest gorsze od śmierci. Zazdroścę tamtemu studentowi! Umarł godnie, z bronią w ręku... I był... kochany...

Zaciął się w tym momencie. Wydało mu się, że dostrzegł jakiś cień, który zjawił się na chwilę na twarzy rozmówcy. Na dnie zmrużonych oczu zapłonęły chłodne ogniki. Ich spojrzenie zgasło cały zapal Egerta.

– Powiniennem znaleźć tego... Tułacza – powtórzył głucho. – Odchodzę.

Znajdę go albo gdzieś zdechnę pod płotem.

W ostatnich słowach zadźwięczała odrobina nadziei. Dziekan jednak pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Wszystko może się jeszcze zdarzyć, rzekła rybka do patelni...

Po czym odwrócił się i odszedł. Egert patrzył za nim bezradnie.

Przy bramie zagrano na trąbie, oznajmiając nowy dzień. Miasto dawało sygnał mieszkańcom i przybyszom, że najwyższy czas zająć się swoimi rozlicznymi sprawami.

Odchodzący dziekan zatrzymał się nagle. Obejrzał przez ramię, potarł czoło, jakby się nad czymś zastanawiając. Uśmiechnął się w końcu niepewnie. Egert przyglądał się mu szeroko rozwartymi oczami.

Uczony zawrócił, idąc powoli, nadal zamyślony.

– W zasadzie wcale nie trzeba szukać Tułacza – wycedził, pokaszując z zakłopotaniem. – Odwiedza nasze miasto co roku w wigilię Dnia Wszelkiej Radości.

Egert zamarł na chwilę. Obliznął wyschnięte wargi i spytał szeptem:

– I spotkam go tutaj?

– Niekoniecznie – odparł z uśmiechem dziekan – ale to całkiem możliwe.

Egert usłyszał łomot własnego serca.

– Dzień Wszelkiej... Radości? Kiedy?

– Jesienią.

Poczuł jak jego serce zamarło.

– Tak długo czekać – szepnął niemal z płaczem. – Tak długo...

Dziekan ponownie potarł czoło w zadumie, potem uśmiechnął się kącikiem ust i ujął Egerta za ramię, jakby podejmując decyzję.

– Wiesz co, Egercie... Załatwię ci status wolnego słuchacza na uniwersytecie, lecz otrzymasz wikt i opierunek jak pełnoprawny student. Do ewentualnego spotkania z twoim przyjacielem Tułaczem pozostało pół roku. Dobrze byłoby wzbogacić tymczasem swą wiedzę, żeby zechciał w końcu z tobą rozmawiać. Niczego nie obiecuję, ale chcę ci pomóc, rozumiesz?

Egert milczał. Propozycja dziekana bardzo go zaskoczyła. Przez głowę przemknął mu widok kobiety w otwartym oknie.

– A przede wszystkim – dodał dziekan, widząc jego rozterkę – w uniwersytecie będziesz całkowicie bezpieczny. Rozumiesz?

W otwartą bramę wjeżdżały sznurem furmanki. Powożący chłopci z

okolicznych wiosek rozglądali się, oganiając od natrętnych malców, których oczy i lepkie dłonie chciwie szukały zdobyczy leżącej na wozach. Egert spochmurniał, przypomniawszy sobie wczorajszy incydent.

– Nad czym się tak długo zastanawiasz? – spytał łaskawie dziekan.

– Tak? – odparł Egert, wzdrygając się. – Przecież powiedziałem, że... że się zgadzam.

Rozdział 5

Dwa łóżka z wysokim, drewnianym oparciem i stary stolik pod wąskim okienkiem, to wszystko, co mogła pomieścić nędzna klitka z niskim, spadzistym sufitem. Okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec uniwersytetu. W tej chwili było tam pusto, tylko niestrudzona staruszka, sprzątająca dwa razy w tygodniu, przemierzała go w różne strony ze szmatą lub miotłą.

Egert zeskoczył z parapetu i wrócił na swoje łóżko. Miał obecnie mnóstwo czasu, by rozmyślać, leżąc na wznak i wpatrując się w szare zacieki na suficie.

Minął wiosna i lato, potem nadejdzie jesień. Egert odginał palce, odliczając kolejne miesiące. Przyjdzie Dzień Wszelkiej Radości, a wówczas do miasta przybędzie człowiek o przenikliwych oczach i bezrzęsych powiekach, z drgającymi nozdrzami i niebezpieczną szpadą w pochwie. Człowiek dysponujący niewidzialną, a przez to jeszcze bardziej groźną mocą...

Soll westchnął i obrócił się twarzą do ściany. Po ciemnym kamieniu wędrował niewielki pajęczek, unosząc wysoko cienkie, wygięte w stawach nogi.

Brać studencka była bardzo różnorodna. W bursie mieszkali i stołowali się najbiedniejsi. Zamożniejsi młodzieńcy, których także było niemało, wynajmowali stancje na mieście. Egert unikał jednych i drugich. Po kilku dniach pobytu w uniwersytecie, napisał do Kawarrenu, do ojca. Nie wdając się w szczegóły, oznajmił tylko w liście, że jest cały i zdrow oraz prosi o przysłanie pieniędzy.

Odpowiedź przyszła szybciej niż się spodziewał, najwidoczniej poczta działała sprawnie. Nie otrzymał z domu ani jednego słowa współczucia, czy pocieszenia na skrawku papieru. Mógł za to zapłacić za stołówkę i pokój, kupić nowe ubranie i naprawić zniszczone buty. Pozycja wolnego słuchacza nie dawała mu prawa noszenia chlubnej ozdoby studentów: trójgraniastego kapelusza ze srebrnym frędzlem.

Owe drobiazgi wcale nie zajmowały jego myśli, kiedy błądził wzrokiem po skośnym suńcie ciasnego pokoiku. Oczyma duszy spoglądał na dom z herbem nad bramą. Konny posłaniec przywozi list... Ojciec otwiera wymiętą kopertę drżącymi dłońmi... Na progu czeka matka, wyczerpana, posiwiata, z szalem zsuwającym się z pleców...

A może wcale tak nie było. Może ojcu wcale nie drżały ręce, gdy pod ławką

pieczęcią ujrział imię syna. Może tylko uniósł brew i zaciskając zęby, rozkazał służącemu wysłać pieniądze temu nieudacznikowi, plamiącemu honor rodziny...

Drzwi do pokoju otworzyły się. Soll drgnął, odwrócił się i usiadł na łóżku.

Współlokator Egerta, syn aptekarza z przedmieścia, uśmiechał się wesoło.

Nazywał się Kajetan, lecz w całym uniwersytecie i niemal całym mieście zwano go Lisem, najpierw za plecami, później w oczy. Cztery lata młodszy od kolegi, wyglądał jak chłopaczek z powodu niskiego wzrostu, wąskich ramion i dziecięco gładkiej, pyzatej fizjonomii. Chwacko zadarty nos pokrywały niezliczone piegi, a małe piwne oczka umiały w jednej chwili zmienić częsty złośliwy wyraz w rozbrajająco naiwny.

Lis był jedynym człowiekiem w uniwersytecie, z którym Egert zdołał zamienić parę słów, nie licząc oczywiście dziekana Łujana. Pierwszego dnia, pokonując nieśmiałość, zapytał kolegę, czy widział tutaj panienkę o ciemnych włosach. Niełatwo mu to przyszło, ale nie mógł dłużej znieść niepewności. W pierwszej chwili obawiał się, że Lis wybuchnie śmiechem i odpowie, że na porządną uczelnię dziewcząt się nie dopuszcza. Istotnie się roześmiał.

– Coś ty, brachu! Za wysokie dla nas progi!... Na imię ma Toria i jest córką dziekana. Ładna, prawda?

Lis gadał dalej, Egert zaś słyszał jedynie łomot własnej krwi w skroniach. W pierwszym odruchu chciał uciekać stąd, dokąd oczy poniosą, opanował się jednak ogromnym wysiłkiem woli. Przypomniawszy sobie rozmowę u studni...

Dziekan stał mu się ojcem. Co za los!

Spędził bezsenność z powodu tego odkrycia, chociaż po raz pierwszy od dawna leżał w czystej pościeli. Głowę przykrył kołdrą, aby odizolować się od przepelnionej groźnymi szelestami ciemności, tarł zaczerwienione oczy i myślał gorączkowo: a może to wszystko jest tylko czarodziejską sztuczką? Miasto, uniwersytet, dziekan – to nie może być dziełem przypadku. Zwabili go w pułapkę i zamknęli w niej, by się zemścić...

Następnego dnia spotkał w wąskim korytarzyku dziekana. Zapytał o coś nieistotnego. Czując na sobie spokojne spojrzenie tamtego, zrozumiał, że jeśli naprawdę znalazł się w pułapce, jest zbyt słaby, aby się z niej uwolnić.

Przyglądano mu się z ciekawością. Musiał odpowiadać na wiele pytań, powtarzać swe imię niezliczoną liczbę razy, wzdrygając się z powodu nieoczekiwanych dotknięć. Bardzo pomagały mu rytuały ochronne, obawiał się jednak

przy tym, że zostaną zauważone i stanie się pośmiewiskiem.

Studencka brać prędko doszła do wniosku, że Egert jest wyjątkowo zamkniętym w sobie osobnikiem i lepiej zostawić go w spokoju. Soll wielce był zadowolony z takiego obrotu rzeczy i nawet chodzenie na wykłady stało się dlań trochę mniej uciążliwe.

Studenci dzielili się na cztery kategorie w zależności od przebytych lat nauki. Pierwszorzoczników zwano „dopytywaczami”, dlatego że w ciągu pierwszego roku objawiali więcej dobrych chęci niż wiedzy. Tych z drugiego roku zwano „rozumiejącymi”, trzeciego – „starającymi”, gdyż mogli pretendować już do pewnej uczoności. Najstarsi zwali się „wtajemniczonymi”, chociaż Lis twierdził, że tylko nieliczni adepci wiedzy mogli dostąpić owego zaszczytnego miana. Sporo z nich wykładało się podczas letniej sesji i wracało do domu niedoszłymi magistrami.

Kajetan był na drugim roku, był zatem „rozumiejącym”. Egertowi wydawało się, że przede wszystkim rozumiał zalety nocnych eskapad i wesołych zabaw. Studenci z różnych lat chętnie się ze sobą przyjaźnili i trzymali razem. Grupa co pewien czas chodziła na swoje zajęcia, lecz kiedy wszyscy spotykali się w Wielkiej Auli, każdy starał się zaczerpnąć jak najwięcej wiedzy od wykładowcy na właściwym dla siebie poziomie. Podobnie ze wspólnej miski, stojącej na chłopskim stole, dziadunio wyławia warzywa, dzieciak kaszkę, a pan domu kawałek mięsa.

Za każdym razem, gdy przekraczał próg sali wykładowej, Egert zaciskał szczęki i splatał palce w kieszeni, by zapanować nad strachem. Ogromne wnętrze wydawało mu się złowrogie. Z rzeźbionego sufitu spoglądały nań płaskie, kamienne twarze, a w ich białych oczach czytał ironię pomieszaną z groźbą. Kryjąc się w kącie, przekonał się, że ławka była bardzo niewygodna, drętwiały w niej plecy i kolana. Patrzył tępo na wysoką, rzeźbioną katedrę, tracąc wątek wykładu w ciągu kilku minut.

Pan rektor przemawiał skrzypiącym głosem, lecz dość sugestywnie o rzeczach tak trudnych i skomplikowanych, że Egert szybko zrezygnował z prób zrozumienia. Poddawszy się, wiercił się w ławce, wsłuchując się w stłumione szepty i śmieszki studentów, wpatrzony w taniec drobinek kurzu w smudze słonecznej, potem obserwował linie we wnętrzu swej dłoni i wzdychał, czekając na koniec wykładu. Niekiedy, sam nie wiedząc dlaczego, unosił oczy ku niewielkiemu, okrągłemu okienku pod sufitem, wychodzącemu chyba na bibliotekę.

Potężnej postury, obdarzony donośnym głosem wykładowca, wyglądał bardziej na rzeźnika niż uczonego. Z jego przemowy Egert wyławiał jedynie

oddzielne słowa: „nawiasem mówiąc”, „jak widać”, „czego należało oczekiwać...”. Czasem profesor zajmował się całkiem osobliwymi sprawami. Mieszał jakieś ciecze w szklanych kolbach, podkręcał płomień palnika, zachowując się niczym jarmarczny kuglarz. Innym razem kroił żywcem żaby. Egert, który dawno już postradał męstwo, zakrywał dłońmi oczy i mruczał coś, przygarbiony.

Studenci słuchali wykładowcy z mniejszym lub większym zainteresowaniem, przycichając lub wierząc się i szepcząc dla odmiany. Wśród studenterii trafiały się także gapy i bałwany, jednak zdaje się, nawet najgorszy z nich rozumiał z wykładu więcej od Egerta.

Najciekawsze były wykłady dziekana Łujana. Jego osobowość wywoływała w duszy Egerta sprzeczne uczucia: strach, nadzieję, ciekawość, pragnienie pomocy. Wzdrygał się pod jego spojrzeniem. Jakkolwiek Soll byłby zajęty sobą, nie mógł nie dostrzegać oznak szczególnej czci, jaka otaczała dziekana.

Wszelkie szmery i chichoty cichły natychmiast, gdy dziekan pojawiał się w auli. Egert widział na własne oczy, że spotykając go na korytarzu sam rektor kłaniał się z szacunkiem, studenci zaś dosłownie zamierali, jak króliki na widok węża, ci zaś, którym odpowiedział na powitanie lub obdarzył uśmiechem, uważali się za szczęśliwców.

Łujan był magiem. Szeptano o tym powszechnie, chociaż w jego wykładach nie było niczego magicznego. Opowiadał o dawnych czasach, miastach dawno obróconych w ruinę, wojnach, które wyludniały całe krainy... Egert słuchał, jak długo był w stanie, kiedy jednak pojawiało się zbyt wiele nazw i dat, które mu nic nie mówiły, męczył się, tracił wątek, nie mogąc niczego zapamiętać i rozpraszał uwagę. Pewnego razu zadał Lisowi pytanie: czy dziekan nie uczy studentów magii? Odpowiedzią było spojrzenie pełne współczucia i dosyć niegrzeczny gest, oznaczający, że Soll chyba zwariował.

Żaden student nie nosił broni. Jeśli Egert czuł się bezbronny, jakby nagi bez pasa obciążonego śmiercionośnym żelazem, nie zauważył, żeby tęsknił za tym któryś z jego nowych kolegów. Mieszkańcy bursy niemal co wieczór wyruszali odważnie do miasta, a ich hałaśliwe powroty o północy albo i nad ranem nieraz przerywały czujny sen Egerta. Pod sklepieniami stropami uniwersytetu rozlegały się doskonale znane studentom, lecz nie Sollowi, wesole pieśni. Uczelnia tętniła swoim życiem, lecz on czuł się w niej obcy od stóp do białej czupryny, czuł się cudakiem, przybłądą.

Lis zwał się ciężkim zadkiem na krzesło, które, dźwigając już w ciągu wielu

pokoleń niejednego młodziana, zaskrzypiało ostrzegawczo. Egert uśmiechnął się blade w odpowiedzi na pytające spojrzenie złośliwych, piwnych oczek.

– Snujesz marzenia? – zainteresował się poważnie Lis. – Marzenia dobre są na śniadanie, na obiad przydałoby się coś bardziej konkretnego... No nie?

Soll znowu uśmiechnął się z przymusem. Obawiał się trochę tego chłopaka. Rudy syn aptekarza potrafił być dokuczliwy i bezlitosny jak osa. W pełni zasłużył na swoje przezwisko i nawet do Egerta dochodziły słuchy o jego wyskokach. Jeden z jego figli rozegrał się na oczach Solla.

Był sobie student, niejaki Honza, syn zubożałego arystokraty z zapadłej prowincji, chłopak wiecznie skwaszony i ciągle z czegoś niezadowolony. Egert nie wiedział, czemu akurat jego Lis obrał sobie za swą ofiarę. Kiedy jednak zjawił się w auli, wyczuł silną, choć starannie skrywaną uciechę. Koledzy mrugali do siebie i zatykali usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Soll jak zawsze zaszył się w swym kącie i zaobserwował zeń, że centrum owego rozbawionego podniecenia jest właśnie Lis.

Kiedy wszedł Honza, na sali wykładowej rozległ się normalny, codzienny rwetes. Kolega z ławki przywitał wchodzącego i nagle odskoczył zdumiony. Zapytał o coś półgłosem. Honza również spojrzał nań ze zdziwieniem.

Istota konceptu Lisa objawiła się Egertowi trochę później, tymczasem jednak przyglądał się, nie rozumiejąc, jak wszyscy spoglądający na Honzę otwierają szeroko oczy i zaczynają szeptać teatralnie z siedzącym obok kolegą. Honza zadrzał i nie wiedzieć czemu chwycił się za nos.

Sprawa była prosta: wszyscy obecni po kolei, jedni z troską, inni ze złośliwą radością, wypytywali nieszczęsnego, co takiego stało się z jego nosem, iż wyrósł taki długi?

Honza opędał się i odgryzał złośliwcom, coraz bardziej ponuro. Następnego dnia powtórzyło się to samo. Studenci, natknąwszy się na niego w holu, chmurzyli lica i odwracali oczy. Doprowadzony do ostateczności biedaczek zwrócił się w końcu do Solla:

– Posłuchaj, kolego... Chociaż ty mi powiedz... czy coś stało się z moim nosem?

Egert przestąpił z nogi na nogę, wpatrując się w pytające oczy tamtego. W końcu wykrztusił:

– No, rzeczywiście... Trochę przydługi...

Honza splunął i odszedł. Wieczorem roześmiany Lis, który uznał Solla za

wspólnika spisku, opowiedział, jak nieszczęsny prowincjusz zdobył kawałek sznurka i zmierzył nim niesforny nos. Ukrył miarkę pod pierzyną, lecz jego pokój pod nieobecność właściciela, nawiedził Kajetan i nieco skrócił sznureczek.

Łatwo sobie wyobrazić, jak zareagował Honza, gdy postanowił zmierzyć nos ponownie! Niemal cały uniwersytet, przyczajony pod oknami jego pokoiku, usłyszał przeraźliwy wrzask. Przeklęty nos wydłużył się mniej więcej na pół paznokcia...

Egert wzdrygnął się i przestał wspominać. Z dziedzińca dobiegł długi przeciągły dźwięk, brzmiący jak wycie zakutego w stal potwora, samotnego i uwięzionego. Na ten zew Egert czuł ciarki chodzące po plecach, choć Lis dawno już mu wyjaśnił, że jest to odgłos cyklicznego obrzędu w Wieży Łaszą. Szare kaptury lubią tajemnice i czort jedyny wie, jakie tam odprawiają rytuały... Wieża huczała owym rykiem czasem raz, czasem dwa razy dziennie, zdarzało się jednak, że milkła na cały tydzień. Mieszczanie przyzwyczaili się do tych dziwnych dźwięków i nie zwracali na nie uwagi. Tylko Egert miał ochotę zatykać uszy w takim momencie. Jego reakcja wywołała uśmiešek Lisa.

– Mój tatko miał taką suczkę... Nie cierpiała gwizdka. Gdy tylko go słyszała, wpadała w szał. Całkiem jak ty, tyle że nie wyjesz...

Dźwięk umilkł. Egert odetchnął.

– Naprawdę nie wiesz, co oni wyprawiają w tej swojej Wieży?

Słudzy Łaszą byli z daleka rozpoznawalni w swych szarych opończach z opadającymi na twarz kapturami, wzbudzali w mieszczanach popłoch i uszanowanie, które Egert podzielał w całej pełni.

Lis zmarszczył nos.

– Różne sprawy – odparł w zadumie. – Samego prania mają sporo. Ich długie habity zmiatają z ulicy wszelki kurz i śmiecie. Są potem powalane i ubłocone, aż strach.

Soll parsknął z rozdrażnieniem.

– A ten dźwięk? – wydusił głucho. – To wycie?

Lis się ożywił.

– To ich praczka, jak znajdzie dziurkę, zaraz zaczyna wrzeszczeć... i wyzywać.

– Skąd wiesz? – zapytał Egert, zaciskając zęby.

– Trzeba chodzić na wykłady – odrzekł tamten z uśmiechem.

Egert westchnął. Od paru dni nie chodził na wykłady. Miał tego wszystkiego dosyć, lecz nie czuł się na siłach tłumaczyć to Lisowi.

Kajetan wy dostał z kieszeni kurtki niezwyklej rozmiarów ogórek. Oglądając krytycznie swą zdobycz, kątem oka zerkał na kolegę, czy jest zainteresowany. Egert patrzył na warzywo ze źle skrywaną obawą.

Lis wyszczerzył zęby, a oczy błysnęły mu zapowiedzią nowego figla. Popuściwszy pasa, ukrył ogórek w spodniach, tworząc z przodu imponujące wybrzuszenie.

– Dzisiaj będę tańczył z moją śliczną Farri...

Obejmując niewidzialną partnerkę z romantycznym wyrazem twarzy, zrobił kilka tanecznych kroków. Sterczący ogórek podrygiwał pod spodniami w rytmie jego poruszeń, jak było zamierzone.

– Może być – stwierdził Lis i dodał z troską: – Żeby tylko nie wypadł, kiedy ją mocniej obejmę. Dobra, idę.

Schował warzywną protezę do kieszeni, ściągnął niemal w biegu swój połatany płaszcz z wieszaka, na progu się jednak zatrzymał i rzucił przez ramię:

– A tak przy okazji, pytał o ciebie pan dziekan. Bądź zdrowy.

Soll siedział nieruchomo, słuchając cichnących w korytarzu kroków kolegi. W jednej chwili zapomniał o Lisie z ogórkiem, nawet o wyciu dobiegającym z Wieży Łaszą.

„Pytał o ciebie pan dziekan”.

Dzekan odnosił się do Solla tak samo jak do wszystkich, jakby to nie on przyprowadził go pewnego ranka na uniwersytet, jakby nigdy nie zdarzyła się trudna rozmowa u studni. Egert był po prostu wolnym słuchaczem, lecz mieszkał w bursie jak każdy student. Nikt go nie poganiał w sprawie chesnego, dopóki on sam nie zagadnął w tej sprawie starego intendenta. Jego dobroczyńca, dziekan, kiwał mu na powitanie głową, do tego Toria była jego córką, co oznaczało, że zabity Dinar mógł zostać jego zięciem...

Od chwili pojawienia się Solla na uniwersytecie, dziekan nie okazywał mu większego zainteresowania. A teraz... Jednak zauważył jego nieobecność na wykładach. A może chodziło raczej o tamto pamiętne spotkanie w korytarzu?

Doszło do niego cztery dni wcześniej.

Egert przyszedł na wykład później niż zwykle. Zza przymkniętych drzwi dochodził skrzypiący głos rektora. Młodzieniec pojął, że się spóźnił, lecz nie odczuł z tego powodu irytacji ani skruchy, a tylko rodzaj ulgi. Zawrócił, żeby odejść i usłyszał

turkot drewnianych kółek na kamiennej posadzce.

Ten cichy dźwięk niemal go ogłuszył. Zza węgła wynurzył się wózek biblioteczny, niewielki stolik na kółkach. Ugiął się pod stosem książek. Egert jak zakłęty wpatrywał się w złocenia na okładkach. Na samym wierzchu spoczywał niewielki tomik, zamknięty na srebrną sztabkę. Przez chwilę go podziwiał, potem drgnął jak od szturchańca i podniósł wzrok.

Przed nim stała Toria. Mógł podziwiać każdy szczegół jej pięknej twarzyczki. Wysoki kołnierz czarnej sukni zakrywał szyję, włosy miała gładko szesane i tylko jeden niesforny kosmyk spadał na wysokie, dumne czoło.

Egert zapragnął, by kamienne płyty posadzki rozstały się pod nim i skryły go przed jej wyniosłym, wzgardliwym spojrzeniem. Podobnie jak podczas pierwszego spotkania w Kawarrenie, spoglądała nań ze spokojem, nawet z ironią. Dopiero potem, po pojedynku ze studentem, pojawiły się rozpacz i poczucie straty... Soll zadrżał na całym ciele, wspominając trzecie spotkanie, kiedy zobaczył w jej oczach chłodną, pozbawioną złości, odrazę.

Wielkie nieba! Był prawdziwym tchórzem, skoro najbardziej bał się spotkać z nią twarzą w twarz.

Panna nie spuściła oczu, on zaś nie mógł oderwać od niej wzroku, w zasadzie tego nie pragnąc. Zobaczył jak wyniosła duma w jej oczach zamieniła się w chłodne zdziwienie, a na jej czole pojawiły się dwie równoległe zmarszczki. Potem Toria pchnęła lekko wózek i zerknęła na niego jakby pytająco. Stał jak skamieniały, niezdolny ruszyć z miejsca. Westchnęła i kącik jej ust drgnął tak samo jak u dziekana, jakby zirytowała ją niedomyślność Egerta. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, że stoi jej na drodze. Odsunął się, uderzając potylicą o ścianę, wciskając się w zimne kamienie mokrymi, drżącymi plecami. Toria przeszła obok niego. Wyczuł jej zapach, woń wilgotnej trawy...

Turkot wózka dawno już ucichł w głębi korytarza, a on stał ciągle, przyparty do muru i patrzył w ślad za nią.

Córka weszła do gabinetu ojca, cicho zamykając za sobą drzwi.

Dzekan siedział za wielkim, masywnym biurkiem. Trzy świece w wysokim lichtarzu roniły krople gorącego wosku na ciemny, wypalony miejscami blat. Gęsie pióro cicho skrzypiało. Przygotowane przez Torię zakładki zwisały z książek kolorowymi kiściami.

Bez słowa stanęła za plecami Łujana.

Od dziecka miała ten niezbyt kulturalny zwyczaj: podkradała się do zajętego pracą ojca, zaglądała mu przez ramię, patrząc oczarowana na pióro zaczerniające biały papier. Matka krzyczała na nią z tego powodu. Nie wypada podglądać, a poza tym przeszkadza ojcu w pracy! Ojciec tylko się śmiał. Toria nauczyła się czytać, zaglądając przez ramię.

W danej chwili dziekan zajęty był ulubionym tematem, przyczynkami do historii magów. Toria zauważyła, widząc dwa ukośne krzyżyki na początku strony, że koncepcja nie pojawiła się od razu. Chwilę rozkoszowała się skrzypieniem pióra, aż wreszcie przed jej oczami litery ułożyły się w słowa: „... próżne domysły. Wydaje się jednak, że im mniejszą mocą obdarzony jest mag, tym bardziej usiłuje pokryć ten niedostatek zewnętrznymi efektami. Piszący te słowa znał kiedyś pewną starą wiedźmę, która obłożyła całą wioskę daniną, przy czym życzyła sobie być obdarowywana wyłącznie szczurzymi sercami. Trudno dociec, skąd wzięła się u staruszki owa dziwaczna potrzeba, autorowi wydaje się jednak, że martwe szczury służyły tylko jednemu celowi: podporządkowaniu dusz wszystkich wieśniaków czarownicy. Historia pełna jest poważniejszych przykładów. Często kuglarskie sztuczki wzbudzały respekt nie tylko u ciemnego chłopstwa. Przypomnijmy, co stwierdził Baltazar Est w swoich *Krótkich zapiskach*, które nawiasem mówiąc nie są wcale takie krótkie: Jeśli nad siedliskiem maga dzień i noc wiszą czarne chmury, jeśli okna goreją krwistoczerwonym światłem, jeśli w przedpokoju zamiast służącego spotkacie smoka na łańcuchu, zaniedbanego, a przez to niemile woniejącego, jeśli wreszcie naprzeciwko wam wyjdzie ktoś z przenikliwym spojrzeniem i zakrzywioną laską w ręce, możecie być absolutnie pewni, że macie przed sobą kiepskiego czarodzieja, wstydzącego się własnej słabości. Najmarniejszy ze znanych mi magów nigdy nie zdejmował wyszytego runami płaszcza, sądzę, że nawet w nim spał. Najpotężniejszy i najgroźniejszy z moich współbraci, którego imienia nie wymienię, wolał nosić prostą, nieozdobną odzież...”.

Dziekan przestał pisać i odłożył pióro.

– Cytujesz z pamięci? – zdziwiła się Toria.

Dziekan uśmiechnął się z odrobiną samozadowolenia.

– Widziałam... jego – oznajmiła cicho.

Natychmiast pojął, że jego córka nie mówi o wielkim magu Baltazarze.

Jedna ze świec zaskwierczała. Toria wyprostowała się, wzięła z biurka szczypcę i przycięła knot. Cicho spytała:

– A swoją drogą, kim był ten potężny i groźny mag, który według Esta tak lubił znoszoną odzież?

Dziekan uśmiechnął się.

– Nauczyciel Esta. Umarł sto lat temu.

Zamilkł i spojrzał pytająco na córkę. Zdawała się roztargniona, widział jednak, że wszystkie jej myśli krążą, niczym psy na uwięzi, wokół jednego przedmiotu. W końcu ów przedmiot objawił się tylko jednym słowem:

– Soll...

Urwała. Dziekan życzliwie czekał na ciąg dalszy. Panna odsunęła z trudem opasłą księgę i przysiadła na skraju biurka.

– To naprawdę robi wrażenie... Szrama i... cała reszta. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo się zmienił. Nie znałeś go wcześniej.

Zamilkła na chwilę, wiercąc stopką w wąskonosym pantofelku.

– Porucznik Soll... Błyszczący, nadęty pęcherz... Nic z tego nie zostało, jedynie cienka powłoka. Powiedz, ojczy, jak to...

Znowu urwała, próbując coś zrozumieć, w końcu wzruszyła ramionami.

– Rozumiem – stwierdził, tym razem ze smutnym uśmiechem. – Oczywiście nigdy mu nie wybaczysz.

Potrząsnęła głową.

– Nie o to chodzi: przebaczyć, czy nie przebaczyć. Gdyby tak Dinar zginął przygnieciony padającym drzewem albo spadającym ze skały kamieniem? Czy wtedy znienawidziłabym kamień?

Ojciec cicho gwizdnął.

– Według ciebie Egert Soll nie odpowiada za swoje postęпки, całkiem jakby był zwierzęciem, drzewem albo kamieniem?

Toria poderwała się, najwidoczniej niezadowolona, że powiedziała zbyt wiele. Z rozdrażnieniem zerwała zwisającą nitkę z rękawa.

– Nie to chciałam rzec... Niegodzien jest mojej nienawiści. Nie mam zamiaru mu przebaczać lub wręcz przeciwnie. Jest jak pusta kukła, rozumiesz? Nie interesuje mnie. Obserwowałam go nie od dziś...

Przygryzła wargę. Niejeden raz wchodziła na najwyższy szczebel bibliotecznej drabinki, żeby zajrzeć w okrągłe okienko, wychodzące na Wielką Aulę. Egert siedział zawsze w tym samym miejscu, w ciemnym kącie, daleko od katedry. Obserwowała jego wysiłki, gdy próbował pojąć sens wykładu, potem zaś rozpacz i rezygnację.

Zaciskając usta, próbowała wzniecić w sercu nienawiść i patrzeć na niego obojętnym wzrokiem. Czasem odczuwała jednak w stosunku do niego współczucie, czasem pojawiała się irytacja. Nie wiadomo dlaczego, właśnie w takich chwilach Soll unosił głowę i spoglądał w okienko, zdawało się, patrząc jej prosto w oczy, chociaż nie mógł jej przecież zobaczyć...

– Gdybyś ujrzała go tam, u studni – rzekł cicho dziekan – i co się z nim działo... Wierz mi, został głęboko zraniony.

Boleśnie szarpnęła opadający na czoło pukiel włosów. Przed jej oczami pojawiły się sceny, które wolałaby całkiem zapomnieć.

Dobrze pamiętała śmiech Egerta i protekcyjny wyraz przymrużonych oczu podczas okrutnej, śmiertelnej zabawy z Dinarem... Poczerniały sztych szpady wystający z pleców ukochanego, kałużę krwi na piasku...

Dzekan czekał cierpliwie, aż córka zdoła zebrać myśli.

– Rozumiem – powiedziała w końcu – że ciebie zainteresował, niczym eksponat. Jako człowiek naznaczony przez Tułacza. Nosiciel jego klątwy. Dla mnie jednak pozostaje tylko oprawcą, którego pozbawiono rąk... Dlatego fakt, że teraz mieszka w bursie i chodzi po tych samych korytarzach, którymi chodził Dinar, właśnie dlatego...

Zmarszczyła twarz, jakby poczuła odór zgnilizny i zamilkła. Zwinęła niesforny kosmyk i zaczesła do góry, ale i tak opadł po chwili.

– Sprawia ci to przykrość – rzekł miękko ojciec. – Może nawet ból. Uwierz mi jednak, że to konieczne. Wycierp jeszcze trochę, proszę cię.

Znowu potargała w zadumie nieposłuszny lok, potem niby bezmyślnie wzięła z biurka nóż i odcięła pukiel.

Przywykła wierzyć ojcu we wszystko i do końca. Ufali mu ludzie, ufali zwierzęta, a nawet żmije. Kiedy była małą dziewczynką, widziała raz, jak wywołał gadzinę ze stogu siana, w którym buszowali wiejscy chłopcy. Żmija wydawała się mocno spłoszona. Łujan, który nie był jeszcze wtedy dziekanem, krzyknął ostro na wystraszonego chłopca, który pragnął zabić zwierzę. Schował żmiję do sporej kieszeni płaszcza i wyniósł do lasu. Toria szła razem z nim i wcale się nie bała. Było dla niej oczywiste, że wszystko, co robi jej ojciec, jest słuszne i nie ma w tym niczego niebezpiecznego. Położył żmiję na trawie, a potem długo i surowo ją napominał. Zapewne pouczał, że nie należy kasać ludzi, myślała mała Toria. Gadzina nie śmiała odpełznąć, dopóki nie otrzymała specjalnego pozwolenia. Kiedy dziewczynka

opowiedziała o tym matce, ta tylko zmarszczyła brew i przygryzła wargi. Mama nigdy nie wierzyła ojcu do końca.

Toria słabo pamiętała konflikty wstrząsające od czasu do czasu niewielką rodziną. Być może ojciec przewidująco się o to postarał, żeby pamiętała o matce wszystko, co najlepsze. Tak czy inaczej, od owego fatalnego wieczoru, gdy stała się półsierotą, zapomniała o tego rodzaju drobnostkach.

Znacznie później zaczęła pojmować, co oznaczało krótkie słowo „on”, wymawiane przez matkę z ironią, złością lub głuchym żalem. W jej ustach i tak dźwięczało zawsze tak samo. Tego wieczoru poróżniła się z „nim” mocno. Po raz pierwszy też Łujan, po wielu latach pobłażliwości dla żony, naprawdę się zbuntował.

Właściwie mówiąc, wyglądało to tak, jakby się zbuntował, gdyż najprawdopodobniej od początku wiedział, co z tego wyniknie. Najpierw prosił, potem groził, później zamknął żonę w pokoju. Rzuciła mu w twarz takie słowa, że Toria, cała drżąca w łóżeczku za zasłonką, zalewała się łzami strachu i goryczy. W pewnym momencie Łujan zmienił zdanie i dał żonie zwyczajnie uciec. Pożegnalne trzaśnięcie drzwiami było tak silne, że poleciały z nich drzazgi.

– Nie powinienem był jej na to pozwolić – mówił wiele lat później z goryczą do dorosłej córki. – Nie powinienem...

Toria dzieląc z ojcem ból i poczucie winy, przyciskała twarz do jego piersi.

Tamtą noc Łujan spędził bezsennie. Mała Toria, budząc się co pewien czas, widziała zapaloną lampę na biurku i przechadzającego się po pokoju ojca. Nad ranem ubrał się bez słowa i wyszedł z domu, jakby spiesząc komuś z pomocą, chociaż było za późno. Nawet magowie nie potrafili wskrzeszać zmarłych. Matka Torii była już martwa, kiedy wykopał ją z ogromnej zasy na leśnej drodze...

– Nie powinienem był jej na to pozwolić... Zślepiła mnie urażona duma, ale jaki sens obrażać się na niewiastę?

– Nie jesteś temu winien – odpowiedziała mu córka.

On jednak powtarzał z uporem:

– Jestem winien...

Lis wrócił o północy.

Najpierw dał się słyszeć pod oknem stłumiony chichot i nieczytelny bełkot, potem ktoś zawył żałośnie jakąś pieśń, gwałtownie przerwana, jakby niefortunny śpiewak dostał kułakiem po karku.

Potem zmał ciszę odgłos kroków na korytarzu i zaskrzypiały drzwi. Lis wtoczył się do pokoju, nie bacząc na kompletną ciemność.

Drewniane łóżko zatrzeszczało pod ciężarem jego ciała, ubranie zaszeleściło, a na podłogę upadły buty, jeden po drugim. Lis przeciągnął się i ziewnął słodko, wspominając zapewne dzisiejsze sukcesy, w których niepoślednią rolę odgrywała ogórkowa proteza. Zaczynał zasypiać, kiedy rozległ się cichy głos kolegi.

– Kajetanie...

Łóżko Lisa znów zatrzeszczało, kiedy zdziwiony przewrócił się na bok.

– Czemu nie śpisz?

Błoga senność w głosie Lisa była z pewnością efektem wypitego dzisiaj wina.

– Kajetanie – powtórzył Soll, wzdychając – opowiedz mi wszystko, co wiesz o naszym dziekanie.

Zapadła cisza tak głęboka, że słychać było cykającego w oddali świerszcza. Stuknęła gdzieś okiennica, potem znowu było cicho.

– Głupiec jesteś, Soll – odezwał się w końcu Lis całkiem trzeźwo. – Nie masz o czym gadać w środku nocy...

Zamilkł na chwilę, sapiąc z irytacją, w końcu podjął rozdrażniony:

– Jesteś chyba bliżej niego... To twój znajomy, tak jakby...

– Tak jakby – odparł Soll szeptem.

– No więc... lepiej śpij.

Łóżko Lisa znowu jęknęło rozpaczliwie, gdy odwrócił się twarzą do ściany.

O szybę tłukła się rozpaczliwie ćma. Ciche uderzenia jej maleńkich skrzydełek to zamierały, to znów ożywały z nową siłą. Bez względu na to, czy się miało oczy zamknięte, czy otwarte, widziało się jednakową, gęstą ciemność. Egert przycichł, tym bardziej, że w mroku czuł się bardzo nieswój.

Znowu trzasnęło łoże Kajetana, tym razem bardziej dobitnie.

– A czego chcesz od pana dziekana? – rozległ się jego świszczący głos w ciemnościach. – Co masz do niego? I co jemu do ciebie?

Soll podciągnął kołdrę pod brodę i odpowiedział w stronę niewidzialnego sufitu.

– Obiecał mi... pomóc. A ja... sam nie wiem. Boję się go. Do tego jeszcze ona...

– Jaka ona? – zainteresowała się ciemność.

– Ona... Toria.

Wargi Egerta z trudem wymówiły to imię.

– Toria? – powtórzył pytająco Lis, zarówno lekliwie jak i marzycielsko.

Głęboko westchnął i rzucił ze smutkiem:

– Zapomnij.

Gdzieś daleko w mieście nawoływała się nocna straż.

– Ojciec uczy ją... czarów? – spytał Egert z zamierającym sercem.

Lis miotał się znów rozdrażniony w pościeli.

– Głupi się urodziłeś i głupi umrzesz... On nikogo nie uczy magii! To nie arytmetyka ani jakieś rzemiosło...

Znowu chwila ciszy, macona tylko trzepotaniem ćmy i poirytowanym sapaniem Lisa.

– Ale przecież jest magiem? – znowu zapytał Soll, przełamując nieśmiałość. – Wielkim magiem? Właśnie dlatego ja...

Chciał powiedzieć, że właśnie dlatego przyszedł do tego miasta, żeby spotkać wielkiego maga, o którym słyszał po drodze i w gospodach. Chciał to powiedzieć, lecz zaciął się, obawiając się mówić o sobie więcej, niż należało. Na szczęście Lis tego nie zauważył. Teraz jego łóżko całe chodziło.

– Ja... – zaczął znowu Soll, lecz kolega mu przerwał.

Głos rudego Kajetana zabrzmiał niezwykle jak na niego poważnie, a nawet patetycznie.

– Jestem drugi rok na uniwersytecie... Mogę ci powiedzieć, że dziekan Łujan... być może nie jest do końca człowiekiem.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Nie czyni nikomu zła. Na pewno nikt na świecie nie zna lepiej od niego historii. Masz jednak rację, że się go boisz, Soll. Raz się zdarzyło... Tylko o tym nie rozpowiadaj!... Widziałem to na własne oczy! Na placu pojawiła się starucha z bębniem. Bębniła, zebrząc o jałmużnę. Mówiono o niej, że ma złe oko i lepiej ją omijać z daleka. Byłem tego ciekaw i kiedyś podszedłem bliżej... Nagle patrzę: nadchodzi dziekan. Kiedy mijał staruchę, obejrzał się nagle i spojrzał... Stałem w pobliżu i niemal mnie ten wzrok powalił! Wiedźma przestała bębnić i jak zasyczała! Coś tam szeptała niezrozumiale, zgrzytliwie jak zardzewiały mechanizm. Wtedy dziekan jej odpowiedział jednym słowem, lecz w taki sposób, że potem słyszałem je w głowie jeszcze trzy dni. Poprowadził ją za sobą. Nie chwycił dłońmi, lecz jakby na niewidzialnej smyczy. Poszedłem za nimi jak głupi na miękkich nogach. Skręcili do

bramy i wtedy starucha... zniknęła, a na jej miejscu skręcała się wielka żmija z rozwartą paszczą... Dziekan uniósł dłoń i z tej dłoni...

Lis urwał nagle. Soll z trudem opanowywał nerwowe dreszcze.

– I co? – wykrztusił w końcu.

Lis podniósł się i wstał z łóżka. Macał dłońmi po stole w poszukiwaniu krzesiwa.

– I co?! – nalegał Egert.

– I – rzekł głucho Kajetan, krzesząc iskry – dziekan zapytał: Czego chcesz? A ona zasyczała: wolnego słuchacza Solla na pożarcie...

Zapłonęła jedyna świeczka. Egert, spocony jak mysz, przełknął ślinę i odetchnął z ulgą. Bez wątplenia etatowy uczelniany żartowniś wszystko to zełgał.

Lis stał pośrodku pokoju ze świecą w lekko trzęsącej się dłoni, a wraz z nim drżał na ścianie jego cień.

Obaj udawali śpiących aż do świtu. Rankiem, spędziwszy kilka minut na kontemplacji krzywej blizny na zarośniętym policzku, Egert przełamał się i udał na wykład.

Dziekan opuścił swój gabinet trochę wcześniej niż zwykle. Ujrawszy go w drugim końcu korytarza, młodzieniec uskoczył do najbliższej ciemnej niszy. Łujan przeszedł obok nie zauważając go albo nie chcąc zauważyć. W tym momencie dogonił go Lis.

Egert go nie widział, słyszał tylko dziwnie nieśmiały, potulny głos Kajetana, jakby prosił o wybaczenie.

– Przeklęty długi język – dotarło do Egerta. – Sam nie wiem, jak to się stało. Przysięgam, będę odtąd milczał, jak grób!

Dziekan odpowiedział coś spokojnie i łagodnie. W głosie Lisa pojawiła się weselsza nutka. Dał się słyszeć stukot jego oddalających się kroków.

Dziekan postać chwilę zadumany, potem zawrócił i zatrzymał się na wprost wnęki. Spojrzał w jej głąb i rzekł cicho:

– Egercie...

Gabinet dziekana wydawał się ogromny, niewiele mniejszy od Wielkiej Auli. Słoneczne światło tonęło w ciężkich portierach, aksamitne zasłony spoczywały na oknach niczym ciężkie powieki na zmęczonych oczach, pogrążając komnatę w półmroku.

– Spójrz, Egercie... Na pewno jesteś ciekaw, więc rozejrzyj się...

Pośrodku pokoju znajdowało się biurko z potrójnym mosiężnym kandelabrem. Po obu jego stronach stały dwa fotele z wysokimi, rzeźbionymi oparciami, z tyłu zaś, na pustej, gładkiej ścianie pobłyskiwało rozwinięte ptasie skrzydło, wykonane z metalu.

– To pamiątka po moim mistrzu. Nazywał się Orlan. Opowiem ci o nim później.

Egert, ostrożnie stąpając, przeszedł się wzdłuż ściany. Blade, naznaczone szramą oblicze odbiło się na mętnym szklanym kloszu z płonąca świecą w środku. Obok, na okrągłym, koślawym stoliku znajdowały się srebrne figurki ludzi, zwierząt i ogromnych owadów. Wykonane z wielkim artyzmem, zdawały się wszystkie spoglądać w jeden punkt. Egert przyjrzał się im bliżej. Spojrzenia figurynek utkwione były w czubku krawieckiej igły, sterczącej z bezforemnej bryłki smoły drzewnej.

– Możesz się przyglądać. Tylko niczego nie dotykaj.

Wielkie nieba! Egert prędzej odgryzłby sobie palec, zanim odważyłby się dotknąć wypchanego szczura, zakutego w prawdziwy łańcuch. Obnażone zęby dawno zabitego gryzonia zdawały się błyszczeć świeżą śliną.

Dwie wielkie szafy, nieprzystępne jak wartownicy, zamknięte były na solidne, masywne zamki. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami, zapewne magicznymi. Egert drgnął, kiedy zauważył, że grzbiet jednego z tomów porastał gęstą, lśniąca sierścią.

Odechciało mu się dalszego oglądania. Odskoczył od półki i spojrzał nieśmiało na dziekana.

Ten zaś powoli uchylił skraj portiery, wpuszczając więcej światła do wnętrza. Niedbale zasiadł w jednym z foteli.

– No cóż, Egercie... najwyższy czas porozmawiać.

Zachęcony gestem, Soll przysiadł posłusznie na samej krawędzi drugiego fotela. W częściowo odsłoniętym fragmencie okna dostrzegł kawałek błękitnego nieba.

– Jakiś czas temu – zaczął powoli dziekan – niedawno, według skali ludzkiego życia, żył pewien człowiek. Był młody i utalentowany w magii z łaski niebios. Stałby się z czasem magiem o niezwykłej mocy, gdyby nie pewne niespodziewane i przykre wydarzenie w jego życiu...

Przerwał na chwilę, jakby oczekując, że słuchacz odnajdzie w jego słowach

jakiś sekretny zamysł. Soll zacisnął palce na drewnianych podłokietnikach.

– Zdarzyło się – podjął dziekan – że w swym zadufaniu przekroczył granicę oddzielającą żart od zdrady i ciężko uraził przyjaciół. Został za to odpowiednio ukarany, pozbawiony przez trzy lata ludzkiej powierzchowności, utracił także magiczny talent. A przecież ów dar zdawał się być częścią jego duszy, jego świadomości, jego istoty! Tak więc, ponizony i odtrącony, utracił wszystko, udał się w drogę prób i błędów...

Znowu urwał, jakby chciał skłonić słuchacza, by dokończył historię za niego, lecz Egert milczał, próbując zrozumieć, jaki związek ma ta opowieść z jego własnym losem.

Łujan uśmiechnął się lekko.

– Tak, Egercie, prób i błędów... Taka droga się przed nim otworzyła i przeszedł ją do samego końca. Ty także znalazłeś się na podobnej drodze, tylko... to jednak inna droga i nikt nie wie, co cię czeka na końcu. Człowiek, o którym opowiadałem, nikogo nie zabijał...

Egert poczuł się jak przypalony gorącym żelazem. Ból przeszył go na wskroś, choć w spokojnym głosie dziekana nie było nawet cienia wyrzutu. Błękit nieba za szybą pociemniał nagle. Gdzieś na dnie świadomości przemknęła myśl: Dokoła się. Teraz trzeba będzie za wszystko zapłacić. Skoro Toria jest jego córką, a Dinar miał być jego zięciem...

– Ale – wybąkał – ja przecież tego nie chciałem... To był uczciwy pojedynek, przecież nie chciałem go zabijać, panie dziekanie... Wcześniej także...

Zreflektował się nagle i urwał. Mag wciąż spoglądał nań wyczekująco, więc poczuł się zmuszony kontynuować:

– Wcześniej także zabijałem w pojedynkach. Dwa razy. Za każdym razem uczciwie. Ludzie, którzy zginęli od mojej szpady, także mieli rodziny, przyjaciół... Ich krewni jednak przyznali, że śmierć w pojedynku nie jest hańbą, a zwycięzca nie jest mordercą.

Dzekan wstał, milcząc. Zamyślony przeszedł się wzdłuż półek z książkami, muskając co pewien czas ozdobne grzbiety. Egert obserwował go z głową wciśniętą w ramiona, gotów na wszystko: błyskawicę z czubków palców lub zakłęcie zamieniające go w płaza.

Mag odwrócił się w końcu do niego i spytał szorstko:

– Wyobraź sobie, że spotkasz Tułacza. Co mu powiesz? To, co przed chwilą

słyszałem?

Egert spuścił głowę.

– Nie wiem, co mu powiedzieć – przyznał szczerze. – Miałem nadzieję...

Może pan mnie nauczy, jak powinienem...

Znowu zamilkł, gdyż własne słowa wydały mu się żalną, bezsensowną paplaniną. Chciałby rzec, iż doskonale rozumie, że dziekan ma powody nienawidzić zabójcę studenta Dinara. Być może okazane mu miłosierdzie było jedynie odroczeniem nieuniknionej kary. Chciał powiedzieć, że pojmuję, iż ojciec Torii nie ma żadnego obowiązku pomagać mu w spotkaniu z Tułaczem, przeciwnie, dziekan ma prawo uznać, że klątwa tchórzostwa spadła nań sprawiedliwie i że Soll powinien nosić szramę do końca swoich dni... I w końcu Egert gotów był przyznać, że bardzo mocno, choć beznadziejnie, liczy na jego pomoc.

Chciał to wszystko powiedzieć, lecz język odmówił mu posłuszeństwa.

Dziekan podszedł do biurka i podniósł wieko sporego piórnika. Egert patrzył bezmyślnie na niezwyklego kształtu kałamarz, piasecznicę z miedzianą kulką na wieczku, wiązkę różnobarwnych piór i parę nożyków do ich zaostrenia.

Dziekan uśmiechnął się.

– Nie bez powodu opowiedziałem ci o czarodzieju, który stracił magiczny dar. Być może wiedza o jego losie pomoże ci w jakiś sposób. A może i nie.

Wydobył z wiązki piór jedno wyjątkowo długie, wygładził je z lubością i zaczął ostrzyć nożykiem.

– Pół wieku temu byłem małym chłopcem, mieszkającym na przedgórzu. Moi rodzice i wszyscy krewni pomarli podczas Czarnego Moru. Najważniejszym człowiekiem w moim życiu stał się mój mistrz, Orlan. Jego domek był przyklejony do skały niczym gniazdo jaskółcze. Byłem pisklęciem w tym gnieździe. Pewnego wieczoru mój nauczyciel spojrział w Wodne Zwierciadło. Widzisz, Egercie... Mag, który osiągnął odpowiedni stopień mocy, nabrawszy wody z pięciu źródeł i wymawiając zaklęcie, może ujrzeć w owym zwierciadle to, co jest skryte przed oczami zwykłych ludzi. Mój mistrz spojrział... i umarł, gdyż pękło mu serce. Nigdy się już nie dowiem kogo lub co zobaczył. Zostałem sam, mając trzynaście lat, lecz pochowałszy Orlana jak nakazywał obyczaj, nie szukałem nowego mistrza. Jakiś czas potem zdołałem samodzielnie stworzyć Wodne Zwierciadło. Długo pozostawało mroczne i gotów byłem już popaść w rozpacz, kiedy pewnego razu tafla się rozjaśniła i zobaczyłem...

Dziekan odłożył naostrzone pióro i wziął następne.

– Zobaczyłem nieznanego, stojącego przed ogromnymi, okutymi żelazem wrotami. Wizja trwała przez chwilę, zdążyłem jednak zauważyć zardzewiałą sztabę, odsuniętą do połowy. Słyszałeś kiedykolwiek o Wrotach Wszechświata?

Spojrzał badawczo na słuchacza. Wierząc się w fotelu, Egert poczuł się głupi jak but. Wzruszył ramionami. Dziekan się zaśmiał.

– Nie pojmujesz, dlaczego ci to wszystko opowiadam? Być może niepotrzebnie. Lecz jeśli pragniesz rozmawiać z Tułaczem... Bo przecież wciąż tego chcesz?

Drzwi wejściowe skrzypnęły cichutko, lecz ten dźwięk rozległ się w uszach Solla jak wystrzał. Do gabinetu weszła Toria.

Egert wcisnął się głębiej w fotel. Dziewczyna zatrzymała się chwilę na widok gościa, potem jak gdyby nigdy nic podeszła do biurka i postawiła na nim niewielką tackę z kawałkiem chleba i szklanką mleka. Porozumiawszy się wzrokiem z dziekanem, przysiadła na skraju mebla, kręcąc stopką w wąskonosym trzewiku.

– Nieźle namieszałem w głowie panu Sollowi swymi opowieściami – oznajmił dziekan, zwracając się do córki.

Ta uśmiechnęła się kwaśno.

Dziekan znowu zwrócił się do Egerta, który nie rozumiał ani słowa z tej wypowiedzi, nie mogąc doczekać chwili, kiedy będzie mógł wstać i wyjść. Nie patrząc na Torię, czuł na sobie jej obojętne spojrzenia, jakimi co jakiś czas go mierzyła.

Minęło kilka minut, zanim Soll odzyskał zdolność pojmowania tego, co mówił dziekan.

– To moje najważniejsze dzieło, trud całego życia... Na razie nosi tytuł *Historia magów*. Do tej pory nikt nie miał takich jak ja możliwości zebrania całej wiedzy o wielkich magach z przeszłości. Sporo z nich przeszło do legendy, niektórzy żyli całkiem niedawno, są też żyjący nadal. Byłem uczniem Orlana, któremu poświęciłem obszerny rozdział, i znałem dobrze Larta Legiara... Tobie naturalnie nie te imiona nie mówią, lecz nawet pomniejszy mag odczuwa wielki szacunek, słysząc o nich...

Egert poczuł, że głowa zaczęła mu ciążyć, jakby była z ołowiu. Zdało mu się, że gabinet zawirował wokół, a nieruchoma pozostała tylko, jak alabastrowa maska, twarzyczka Torii.

– Wiem, że jest ci trudno, Soll.

Dziekan znów siedział w fotelu. Soll napotkał jego wzrok i natychmiast oprzytomniał, jakby zlano go zimną wodą. Dziekan patrzył przenikliwie, jakby nawlekał rozmówcę na niewidzialną igłę.

– Rozumiem to, jednak droga doświadczeń nigdy nie jest łatwa. Nikt nie wie, czym się zakończy twoja podróż, ale postaram się pomóc, jak umiem. Torio – zwrócił się czule do córki – czy książka dotycząca klątw jest tutaj, czy w bibliotece?

Toria bez słowa podeszła do odpowiedniej półki i zdjęła z niej niewielką książeczkę w skórzanej oprawie z miedzianymi okuciami.

– O zaklęciach? – zapytała spokojnie. – Proszę...

Dziekan ostrożnie wziął książkę do ręki, drugą dłonią startł kurz i zdmuchnął resztki pyłu.

– Proszę, Egercie. Mam nadzieję, że ta książka pomoże ci... zrozumieć głębiej, co się z tobą stało. Nie musisz szybko zwracać, pożyczam ją na długi termin.

– Dziękuję – powiedział Egert nieswoim, drewnianym głosem.

Żył raz pewien człek, a był okrutny i chciwy. Pewnego razu, podczas ciężkiego mrozu, do drzwi jego domu zastukała kobieta z niemowlęciem. Pomyślał: dlaczego mam wpuścić tę żebraczkę? I nie otworzył drzwi. Kobieta z dzieckiem zamarła podczas strasznej zamieci w wielkiej zaspie. Konając, wyrzekła straszne słowo w ludzkich ustach. Człowiek ten został przeklęty: nigdy więcej nie mógł rozpaść ognia. Drobną iskierką w palenisku, ognisko lub fajka z tytoniem, każdy ogień dymił i gasł natychmiast, kiedy tylko się doń przybliżał. Sam zaczął stygnąć i gasnąć, jak płomień w deszczu. Nie mogąc się rozgrzać, umierał, szepcząc: zimno mi...

Soll skulił się z zimna, westchnął i przewrócił kartkę.

W jednej wiosce zdarzyła się zaraza i wielu ludzi zmarło. Usłyszawszy o tym nieszczęściu, przybył do wsi znachor. Był jeszcze młody, lecz zdolny i doświadczony. Lecząc ludzi ziołami, wędrował od domu do domu. Zaraza mogła i jego dosięgnąć, lecz na szczęście nie tknęła. Część ludzi wyzdrowiała. Wszyscy pytali: jaką mocą dysponuje młody lekarz? Jaka niepojęta siła kryje się w jego dłoniach i ziołach? Dlaczego choroba go oszczędziła? Wystraszyli się nieznannej mocy i unicestwili ją razem z lekarzem. Okazało się jednak, że owa zbrodnia nie przeszła bezkarnie. W prędkim czasie wioska opustoszała, a nikt nie wiedział, gdzie podziali się mieszkańcy. Mędrcy powiadają, że wszyscy zostali przeklęci, od starego do małego, a przepadli w

nieznanej otchłani, dopóki nie pojawi się ktoś i nie zdejmie klątwy.

Książka była stara i każda połówka stronica zawierała ponurą i straszną opowieść. Soll z trudem opanowywał nerwowe dreszcze, a jednak czytał dalej, ze wzrokiem jakby przykutym do czarnych szeregów liter.

Zdarzyło się, że na drodze trzech zbójów zatrzymało podróżnika. Był jednak biedny i nie zyskali żadnego łupu. Rozzłoszczeni, zbili go bezlitośnie... Umierając, rzekł im: Byłem łagodny i dobry, niczego złego wam nie zrobiłem, dlaczego więc mnie tak potraktowaliście? Przeklinam was: niechaj nie znosi was ziemia!

Wędrowiec zmarł. Gdy tylko opadły mu powieki, ziemia uciekła spod nóg rozbójników.

Przerażeni, zaczęli uciekać, lecz z każdym krokiem powierzchnia rozwierała się coraz mocniej i chwytła ich za nogi. Już w ziemi po kolana błagali o litość, lecz klątwa została rzucona, a usta przeklinającego zamarły na wieki. Ziemia nie chciała dłużej nosić rozbójników, więc ugrzęzli w niej po pas, później po pierś, aż wrzeszczące gęby zasypał piasek i tylko czarne dziury zostały w miejscu, gdzie oni...

Nie doczytał do końca. Z niewidocznego stąd placu dał się słyszeć smętny dźwięk z Wieży Zakonu Łaszą. Egert znów westchnął i przewrócił kartkę.

Szedł przez wieś czarodziej, zgrzybiały i złośliwy staruch. Potknął się o leżący na drodze kamień, upadł więc i połamał swe kruche kosteczki. Wrzasnął i przeklął kamień. Od tego czasu ludzie omijają owo miejsce. Kamień drga, jakby wstrząsany cierpieniem, a nieliczni śmiałkowie widzieli, jak ze szczeliny wycieka kropla po kropli ciemna posoka...

Odłożył na chwilę dzieło. Już od paru dni przed jego oczyma przebiegały w rzędach liter dziwne i przygnębiające historie, które niedowiarek nazwałby baśniami, lecz na pewno nie człowiek z krzywą szramą na policzku.

Był raz człowiek, który ożenił się z prześliczną dziewczeczką i kochał ją z całej duszy. Młoda żona była jednak zbyt piękna, więc we śnie jawiły mu się koszarne wizje jej zdrady. Przepętniony gniewem i strachem, wypowiedział słowa, które stały się przekleństwem: niechaj każdy mężczyzna, na którego ona spojrzy miłośnie chociaż przez chwilę, skona w okropnych mękach!

Młoda kobieta była mu jednak absolutnie wierna i ani razu nie spojrzała czule na innego mężczyznę. Mijały lata szczęśliwego małżeńskiego pożycia, a ich dzieci zaczęły podraastać. Najstarszy syn zmężniał, zamieniając się z chłopca w młodzieńca. Pewnego razu, oszołomiony pierwszą miłością, wrócił do domu o świcie. Czekająca

na ganku matka, popatrzyła na syna, na jego lśniące oczy i szerokie ramiona, gibką sylwetkę i młodzieńczy zapach wzrokiem pełnym głębokiej miłości.

Kłątwa spadła na syna, gdyż przekleństwo nie określało rodzaju uczucia. Oszalała z bólu rodzicielka wydrapała sobie oczy, skoro zabiły jej pierwородnego jednym spojrzeniem...

Na podwórzu uniwersytetu rozkwitała zieleń, kryjąca w swym gęstym wnętrzu donośnie grające świerszcze. Niewidoczne owady wznosiły hymny na cześć życia. Nastął czas popołudniowego lenistwa. Ciepły wiatr niósł zapachy świeżej ziemi i kwiatów. Przed Sollem leżała otwarta księga, obojętna jak niemy świadek.

Pewna bogata dama miała piękną córkę. Panna zakochała się w wędrownym śpiewaku, postanowiła więc uciec z domu, by wyjść za niego za mąż. Sprawa się jednak wydała. Odkrywszy zamiary zakochanej parki, matka wpadła w furję, a będąc obznajomioną z magią, rzuciła klątwę: Niech mężczyzna, który naruszy niewinność jej córki nie zazna szczęścia, nie ujrzy więcej świata i zapomni swego imienia!

Panna długo i gorzko płakała. Wędrowny śpiewak odjechał daleko i nikt nie chciał wysłać swatów do posażnej i urodziwej dziewczyny. W końcu jednak pewien zubożały szlachcic zgodził się wziąć ją za żonę. Zaraz po weselu, w noc poślubną pan młody przywiódł do małżeńskiego łóża prostego, jurnego stajennego...

Następnego dnia okazało się, że stajenny oślepił i więcej nie zobaczył świata, ogłupiał i zapomniał swego imienia, aż usechł, nigdy nie zaznawszy szczęścia. Pan młody zaś cieszył się potem żoną i doczekał liczego potomstwa, choć niedługo trwało małżeńskie szczęście, ponieważ...

Do pokoju wleciał trzmieł. Pasiasta, puszysta kulka. Krążył pod skośnym sufitem, odbił się od ramy okiennej i spadł na poóółkłe stronice. Zahuczał gniewnie i wyfrunął przez okno. Soll przetarł dłonią zmęczone oczy.

Dlaczego dziekan Łujan życzył sobie, żeby on to wszystko przeczytał?

Od wieków spadały klątwy zarówno na złoczyńców, jak i czasem na ludzi niewinnych. Z tymi ostatnimi odczuwał Egert rodzaj solidarności. Był także ofiarą klątwy. Wszystkich owych żyjących przed wiekami ludzi dotknęło podobne nieszczęście. Na jego drodze zjawił się Tułacz i jednym ruchem szpady odmienił całe życie...

Wcześniej nie zdarzyło mu się tak długo studiować żadnej książki. Bolały go pochylone plecy a także przepracowane oczy. Pomyślawszy chwilę o odpoczynku, Egert westchnął i znowu sięgnął po książkę.

W domu samotnej wdowy ukrył się zbiegły włóczęga. Ścigali go książęcy strażnicy, lecz niewiasta pożałowała go i ukryła w piwnicy. Kiedy zjawili się u niej srodzy, uzbrojeni po zęby żołnierze, biedaczka wystraszyła się jednak i wydała uciekiniera. Strażnicy natychmiast go powiesili. Gdy miał już pętlę na szyi zdążył jeszcze powiedzieć: Coś uczyniła, niewierna! Niech już do końca życia nikt ci nie uwierzy!

Zmarłego pochowano blisko domu wdowy, niemal pod oknem. Od tej chwili ludzie odwrócili się od niej, ponieważ jej nie wierzyli, ani słowom jej, ani postępkom, toteż zasłynęła w okolicy jako zła wiedźma...

Zdarzyło się jednak, że przez wioskę przejeżdżał biały jak gołębek staruszek. Zaszedł do domu nieszczęsnej i rzekł jej: Wiem, jakie cię spotkało nieszczęście, chociaż nie do końca zawinione. Powiem ci, jak można zdjąć ową klątwę!

Wysłuchała go. Doczekawszy północy, wyszła przed dom na mogiłę, która porosła tymczasem pokrzywą i ostem. W jednej dłoni niosła dzban wody, a w drugiej ostry sztylet, który zostawił jej starzec. Stała nad grobem, spozjrzała w twarz księżycowi w pełni i rzekła martwemu w ziemi: Oto woda, a to ostra stal. Dam ci się napić, lecz zdejmij ze mnie czar!

Wyrzekłszy te słowa, wbiła głęboko ostrze w grzbiet nagrobka, aż po rękojeść. Potem połała mogiłę wodą i wróciła do domu. Rano ujrzała, że na grobie wyrosło młode drzewko, olcha. Kobieta zrozumiała, że klątwa została zdjęta i wielce się uradowała. Od tego dnia żyła w szczęściu i spokoju, o drzewko zaś dbała niby o własne dziecię...

Soll z trudem oderwał wzrok od równych linijek: „klątwa została zdjęta, klątwa została zdjęta”. Wciąż powtarzał te słowa, słysząc je w poszumie wiatru, świergotaniu ptaków, w czyichś krokach na korytarzu bursy. Klątwa została zdjęta.

Wielkie nieba! Warto było noce i dni garbić się nad tą okropną książką, żeby jakby mimochodem natknąć się wreszcie na historię ze szczęśliwym zakończeniem. Dziekan Łujan jest niezwykle mądrym człowiekiem. Klątwa została zdjęta...

KLĄTWA MOŻE BYĆ ZDJĘTA.

Głupkowato uśmiechnięty, spoglądał w okno, obserwując jak wśród traw ściga motyla jakiś bezpański pies. Zapomniał o zimnych nocach pod mostami i kłującym zmęczeniu nóg. Teraz w duszy uganiał się jak ten szczeniak za motylkiem. Był szczęśliwy.

Jestem szczęśliwy, pomyślał. Wstał i zataczając się jak pijany, wszedł na

parapet.

Nadchodził ciepły, wiosenny wieczór. Nad podwórcem uniwersyteckim widniał kwadrat błękitnego, przedwieczornego nieba, po którym powoli, jakby na pokaz, krążyły gołębie. Oświetlone promieniami zachodzącego słońca białe ptaki wydawały się różowe, jak owocowe lizaki. Mężczyźnie chciało się płakać i krzyżeć na całe gardło, tak jakby ciężar klątwy już przestał istnieć i blizna zniknęła z policzka, zmyta jak brudna plama. Nie mając odwagi śpiewać, ograniczył się do tego, że radośnie uśmiechnął się do psa biegającego po trawie.

– Hej, Soll! – usłyszał za plecami zdziwiony okrzyk.

Wciąż jeszcze uśmiechnięty Egert odwrócił się w stronę drzwi. Na progu stał Lis, wytrzeszczając oczy i także szczerząc się od ucha do ucha.

Przed bystrymi oczami aptekarskiego syna nic się nie mogło ukryć, toteż zauważył szczególne względy, jakimi obdarzył dziekan Łujan wolnego słuchacza Solla, powierzając mu cenne dzieło. Już od paru dni skręcała Lisa ciekawość, lecz ponieważ odnosił się do dziekana z lęklwym szacunkiem, nie odważył się zajrzeć do książki ani zadać wprost pytania Egertowi. Obserwując, jak Soll spędza całe noce i dni nad pożółkłymi stronicami traktującymi o magii, poczuł respekt także do niego. W sumie uradowała go zmiana nastroju współlokatora, toteż ucieszył się, kiedy kolega zgodził się wybrać wraz z nim tego dnia na miasto.

Przy głównym wejściu do uniwersytetu Lis nie omieszkał poklepać zadek drewnianej mały, wygładzony setkami dłoni. Soll zebrał się na odwagę i poszedł za przykładem kolegi.

Ten tradycyjny gest dodał mu pewności siebie. Wieczór był ciepły, pełen przyjemnych dźwięków i zapachów, nieco przytłumionych nadciągającym zmierzchem. Niebo ciemniało, lecz daleko jeszcze było do nadejścia nocy. Egert szedł z głową odchyloną do tyłu, czując jak wiatr igra z jego włosami i całym ciałem odczuwając niemal zapomniane wrażenie radosnego spokoju.

Spotkali po drodze hałaśliwą grupkę studentów. Egert rozpoznał znajome twarze. Lis na jeden uścisk dłoni poświęcił prawie pół godziny. Dalej poszli razem. Soll starał się trzymać blisko Lisa i starannie wykonywał rytuały ochronne: zaciskał w pięść prawą dłoń, lewą zaś chwycił za guzik.

Na początek zawadzili o niewielką traktiernię z jednym sporym stołem w centrum, z podwieszoną pod sufitem klatką, w której siedział tłusty, flegmatyczny

królik. Przybytek zwał się „Pod Zajacem”. Weseli studenci osuszyli szklanice wina. Kwaśny cienkusz sprawił Sollowi znacznie większą przyjemność niż wszelkie wykwiłtne trunki, jakie pił dawniej.

Rozradowana grupa wytoczyła się na ulicę. Lekko podchmielony Egert poczuł się na tyle pewnie, że zapomniał o ochronnych zabiegach. Lis kroczył przodem, jako prowodyr. W jakimś zaułku wyłowili dwie bystrookie dziewczki, toteż kompania szła dalej przy akompaniamencie ich nieustannego pisku i chichotu.

Następna tawerna zwała się „Upojenie” i zatrzymali się w niej dłużej. Egert nie wylewał za kołnierz, zaś dziewczynki, nieomylnym instynktem wyłuskawszy najprzystojniejszego studenta, kłębiły się wokół niego jak rybki wokół nadzianego na wędkę smakowitego kaska.

Coś ich pędziło dalej. Ujrawszy światełko w oknie na parterze, Lis z niespodziewaną dla tak wątego ciała siłą podniósł na rękach chętną dziewczkę i zręcznie podwinąwszy jej spódnice, przykleił obnażoną częścią do szyby. Dziki wrzask, jaki rozległ się z wewnątrz, wywołał niepohamowany rechot studenterii, która aż trzymała się za brzuchy. Wziąwszy dziewczynę pod ramię, przywódca poprowadził dalej swoje stadko, nie czekając, aż wyskoczy z domu rozsierdzony obywatel.

Figiel wszystkim się bardzo spodobał. Lis powtórzył go wielokrotnie z pomocą przyjaciół, chwytając na zmianę panienki. Za którymś razem trzeba było salwować się ucieczką, gdyż gospodarz poszczuł ich psem. Ten incydent był szczególnie niemiły dla Solla, gdyż znany mu dobrze strach przypominał o sobie lodowatą kulą w żołądku i miękącymi nogami. Biegł jednak za pozostałymi, Lis zaś tak pociesznie naśladował bezsilnego łańcuchowego burka, że Egert w końcu przestał się bać.

Tawerna „Miła Fantazja” wbrew nazwie nie zachęcała, by w niej dłużej posiedzieć. Egert doszedł do wniosku, że wesołą kompanię wypłoszyły przede wszystkim zasiadające w kącie ponure, zakapturzone postaci w szarych opończach. Chociaż Sług Łaszą było tylko trzech, studenci bez słowa zawrócili i wyszli. Soll udał się w ślad za nimi, z lekka żałując owej decyzji. Jak się wkrótce okazało, niepotrzebnie, gdyż następna karczma „Jednooka Mucha” okazała się lepsza niż dotychczas odwiedzane.

Przybytek ów służył za miejsce spotkań niejednemu pokoleniu żaków. Jakby przez analogię do Wielkiej Auli wzdłuż sporej izby ciągnęły się długie ławy i stoły, w kącie zaś znajdowało się coś na kształt uniwersyteckiej katedry. Przysiadając swoim

zwyczajem na skraju ławki, Egert wsłuchiwał się w niezliczone sprośne kuplety, których jego nowi koledzy znali całą masę. Rumieniąc się jak niewinna panienka, to znów pokładając się ze śmiechu, Soll podchwycił w końcu refren:

Nie trać czasu, miły, nie gadaj!

Cała płonę, bo dziurka niesmarowana!

Wracali w całkowitej ciemności. Egert trzymał rękaw Lisa, żeby nie zabłądzić. Obaj byli mocno pijani. Kiedy wtoczyli się do swego pokoju, Lis przede wszystkim postarał się skrzesać ognia, przy czym upuścił na podłogę sprzączkę od płaszcza. Siadł na łóżku i oznajmił, że droga jego życia jest wyschła i chropawa jak psi język. Współczując druhowi i pragnąc mu dopomóc, Soll zaczął szukać sprzączki na czworakach, trzymając świecę w zębach. Kiedy zajrzał pod swoje łóżko, zauważył pod ścianą ciemny, zakurzony przedmiot.

– Hej! – zaciekał się Lis. – Co tak pod łóżkiem buszujesz?

Egert podniósł się z książką w dłoni.

– No proszę – skonstatował jowialnie kolega, ściągając trzewik. – To pewnie tego chłopaka, który tu mieszkał przed tobą. A sprzączki nie znalazłeś?

Soll postawił świeczkę na stole i położył obok swoje znalezisko. Stał kurz z okładki i rozłożył posklejane stronicę.

Była to historia wojen i wodzów. Przewróciwszy parę kartek, Egert natrafił na złożoną we czworo kartkę. Jedna strona była czysta, tylko w jednym rogu czernił się jakiś znaczek, na drugiej zaś stronie...

Soll jakiś czas spoglądał na rysunek i wytrzeźwiał gwałtownie, jakby zlany kubłem zimnej wody. Był to portrecik Torii.

Twórca był bez wątpienia niedoświadczony, lecz utalentowany, postarał się uchwycić przede wszystkim wyraz jej oczu, ową spokojną życzliwość, z jaką panna spoglądała na Egerta przy pierwszym spotkaniu. Ujrzał dobrze znane pieprzyki na szyi, długie rzęsy i wargi rozchylające się w uśmiechu...

Lis czknał, rzucając na podłogę drugi trzewik.

– Co tam znalazłeś?

Z trudem odrywając wzrok, Soll przykrył rysunek dłonią, jakby była to jego tajemnica, której Lis nie powinien poznać...

Przytomniejąc, otworzył książkę na pierwszej stronie, szukając podpisu właściciela.

Były tam dwie litery: „D. D. „

Egert poczuł uderzenie gorąca do głowy.

– Kajetanie – zapytał szeptem, starając się brzmieć spokojnie – kto tutaj wcześniej mieszkał?

Lis milczał chwilę, wyciągnięty na łożku.

– Mówili mi, że całkiem sympatyczny chłopak, imieniem Dinar. Nie miałem okazji go poznać. Zanim tu przyszedłem, wyjechał i gdzieś zginął zabity...

– Kto go zabił? – wyrwało się Egertowi.

– A skąd mogę wiedzieć? – mruknął Lis. – Jakiś łotr, ale nie wiem jak i gdzie... Nie stój jak słup, może byś zgasił świeczkę?

– Egert zdmuchnął płomyk i jakiś czas stał nieruchomo w ciemnościach.

– Podejrzewam – mamrotał sennie kolega – że musiał być sympatyczny, bo jakżeby inaczej Toria... córka dziekana... chciała wyjść za niego. A podobno się z nim zaręczyła i dawali na zapowiedzi...

– Mieszkał w tym pokoju? – wyszeptał Egert sztywnymi wargami. – Spał w tym łożku?

Lis ułożył się wygodniej.

– Nie bój się. Nie zjawia się tu jego widmo. To nie był taki typ, żeby swoich byłych koleżków po nocach straszyć... Mówiłem, że porządny był... Lepiej już śpij.

Coś tam jeszcze zaburczał nieartykułowanie, aż dał się słyszeć równy oddech.

Egert przemógł się, rozebrał i położył, naciągając kołdrę na głowę. Spędził tak całą noc, z zamkniętymi w mroku oczyma i zatkanymi uszami mimo zupełnej ciszy.

Każdego ranka, budząc się, Dinar Darran widział nad sobą ten sam pochyły sufit z dwiema szparami w rogu. Ich zarys przypominał szeroko otwarte oko. Codziennie przychodziło Egertowi na myśl to porównanie, ale może tamten widział rzecz inaczej?

Codziennie Dinar zdejmował płaszcz z haczyka wbitego w ścianę nad łożkiem i wyglądał przez okno. Przed jego oczyma rozciągał się bez wątpienia ten sam obrazek, jaki teraz widział Soll: podwórzec uniwersytecki z zielonym klombem pośrodku, pusta ściana po prawej i rząd wąskich okienek po lewej, a naprzeciwko masyw głównego budynku z dwoma balkonami. W tym momencie na jednym z nich woźny otrzepywał kurz ze starej mapy, wyszytej jedwabiem na aksamicie, sprawiając, że tuman pyłu ulatywał wokół balkonu.

Człowiek zabity przez Solla mieszkał w tej ciasnej klitce, codziennie chodził

na wykłady, czytał podręcznik historii wojen i wodzów, sam jednak nie nosił broni i nie odczuwał takiej potrzeby. Toria, wtedy jeszcze wesoła i spokojna, nie zamknięta w sobie i wyalienowana, jak obecnie, z przyjemnością się z nim spotykała każdego dnia. Mieli mnóstwo wspólnych tematów do rozmów, przesiadując czasami w bibliotece lub auli, czy też w jakimś pokoiku na uboczu. Czasem Dinar zapraszał Torię do siebie, a wtedy swoim zwyczajem przysiadła na skraju stolika i kręciła ostrym noskiem trzewiczka...

Potem pojawił się temat małżeństwa. Z pewnością Dinar miał niezłego stracha, prosząc dziekana o rękę jego córki. Okazało się jednak, że dziekan był mu życzliwy, toteż szczęśliwi narzeczeni wybrali się w podróż... Przedślubną? Raczej ekspedycję naukową. Poszukiwali jakichś rękopisów... Tak czy owak, celem ich podróży stał się Kawarren, gdzie w karczmie zasiadał w grupie kolegów Egert Soll...

Nieodgadnione zamiary dziekana Łujana. Całkiem nieprzypadkowo wolne miejsce po Dinarze dostało się jego zabójcy. A książka z portretem? Ile dni przeleżała w ciemnym kącie pod łóżkiem, czekając, aż znajdzie ją Egert?

Rankiem, gdy kroki odchodzącego Lisa zmieszały się z tupotem innych, spieszących na zajęcia studentów, Egert zrzucił wreszcie kołdrę z głowy i wstał.

Był cały obolały po bezsennej nocy. Książkę schował pod poduszką. Egert odważył się popatrzeć na portret przy dziennym świetle.

Nigdy jeszcze prawdziwa, żywa Toria nie patrzyła na Solla tak, jak teraz, na rysunku. Zapewne spoglądała tak tylko na Dinara, on zaś, jak to zakochany, próbował uwiecznić to spojrzenie na papierze i podzielić się ze światem swoją radością. A może było inaczej. Być może portrecik w ogóle nie był przeznaczony dla cudzych oczu i Soll popełnia wykroczenie, rozkoszując się nim przez długie minuty...

Z trudem oderwawszy wzrok, spojrzął na wyszczerbiony blat stolika. Ciężar na sercu, dręczący go całą noc, nasilił się i zamienił w melancholię.

Prawie nie pamiętał twarzy Dinara. Ani razu nie spojrzął mu w twarz. Pamiętał tylko skromny, ciemny strój, drżący głos i nieudolne szermowanie cudzą szpadą. Gdyby ktoś go spytał, jakiego koloru były oczy albo włosy Dinara, nie umiałby odpowiedzieć. Nie pamiętał.

O czym myślał nieznajomy młodzian, wykonując ołówkowy szkic? Rysował z pamięci, czy Toria siedziała przed nim, chichocząc wobec trochę niezręcznej sytuacji? Dlaczego tych dwoje musiało zjawić się w Kawarrenie, jakie złe fatum pchnęło ich do tej podróży i dlaczego zły los pokierował dłonią Egerta?... Przecież wcale nie chciał...

Nie chciałem tego, rzekł do siebie, lecz ciężar na sercu nie ustępował, jakby ktoś zaciskał na nim rdzawe, żelazne szpony. Próbując przypomnieć sobie oblicze Dinara, całkiem realnie wyobraził go sobie, siedzącego przy stoliku w tym pokoju. Bał się spojrzeć w tamtą stronę, by nie napotkać jego spojrzenia.

Nie chciałem, powiedział Egert do wyobrazonego Dinara. Nie chciałem ciebie zabijać, sam się nadziałem na sztych... Czy jestem mordercą?!

Dinar nie odpowiadał. Rdzawe szpony zaciskały się...

Otrząsnął się i przewrócił stronicę, zakrywając nią portrecik. Spojrzał na czarne szeregi liter i przebiegł machinalnie oczyma kilka razy ten sam urywek, będący jakby odpowiedzią na jego myśli: „Uważa się, że Hars, Opiekun Wojowników, był w niepamiętnych czasach realną osobą i wykazywał się wielką walecznością i okrucieństwem... Opowiadano, że dobijał rannych, również takich, których dałoby się jeszcze uratować, czynił więc to nie z miłosierdziem, lecz z czysto pragmatycznej przyczyny: ranny będzie dla wszystkich ciężarem, lepiej więc go zakopać niż...”

Dinara zakopali pod gładką, nieozdobną płytą. Szpada przebiła go na wskroś. Ostatnim, co ujrzał w życiu, była twarz jego zabójcy. Czy zdążył pomyśleć o Torii? Jak długo trwała dlań sekunda konania?

Cmentarz pod murami miejskimi Kawarrenu... Ptaki, zastygłe na nagrobkach. I napis na jednym z nich: „Znowu pofrunę”.

Rdzawe szpony zacisnęły się w kułak. Egert odczuł nieznośne poczucie winy. Nigdy jeszcze nie odczuwał tak moc no nieodwracalności tragicznych wydarzeń na tym świecie pełnym fatalnych przypadków i nieubłaganej śmierci. Niektóre rzeczy dają się naprawić, innych nie da się cofnąć, chociaż żal...

Z trudem się opamiętawszy, Soll zdał sobie sprawę, że ścisną w dłoni kartkę z portretem. Długo potem wygładzał na stole pomięty papier. Przygryzając dolną wargę, zastanawiał się, co powinien teraz uczynić. Czy Toria wie o rysunku? Być może szukała go i martwiła się, nie mogąc znaleźć, a może zapomniała o nim przygnieciona nieszczęściem. Możliwe też, że nigdy nie widziała portretu, a Dinar stworzył go w porywie natchnienia, a później ukrył?

Schował rysunek do książki, po chwili jednak nie wytrzymał i spojrział nań znowu. Ostatni raz, powiedział sobie, bo chcąc nie chcąc, trzeba oddać książkę dziekanowi. Być może to jakaś pułapka i lepiej byłoby odłożyć znalezisko z powrotem w ką. Może jednak to ważna dla Torii pamiątka? Rysunek należy do niej. Soll odda go dziekanowi, on zaś sam zdecyduje, czy i kiedy pokaże go córce...

Kiedy podjął decyzję, zrobiło mu się lżej na duszy. Ściskając książkę w dłoni, podszedł do drzwi, zamierzając iść do dziekana. Zawrócił. Posiedział chwilę przy stoliku, potem wziął wolumin pod pachę, zacisnął zęby i wyszedł na korytarz.

Droga okazała się długa i trudna. Idąc nią, Soll zdał sobie sprawę z bezsensowności swego pomysłu. Zjawi się u dziekana, odda książkę, przyznając tym samym, że widział rysunek... Czyj? Zabitego narzeczonego Torii, ofiary bezmyślnego okrucieństwa...

Dwukroć zawracał. Spotkani po drodze studenci spoglądali nań ze zdziwieniem. Ściskając książkę zdrętwiałymi palcami, Soll stanął wreszcie u drzwi gabinetu. Gotów był dać drapaka, czuł się bowiem jak ktoś zmuszony przyznać się do osobistej podłości.

Całym sercem pragnął, by dziekana nie było w gabinecie. Serce zamarło, gdy usłyszał znajomy głos:

– Egert? Wejdz, proszę.

Stalowe skrzydło na ścianie mętnie połyskiwało, a regały z książkami zdawały się groźnie chylić nad przybyszem. Dziekan porzucił pracę i wstał na przywitanie gościa. Egert spuścił oczy, nie mogąc znieść jego spojrzenia.

– Przyszedłem... oddać...

– Już przeczytałeś? – zdziwił się dziekan.

Soll westchnął ciężko i zaczął od nowa:

– To nie ta książka. Tę... znalazłem.

Nie czując się na siłach mówić więcej, wyciągnął dłoń z fatalnym tomikiem.

Czy drgnęła dłoń Egerta, czy Łujan ujął książkę niezręcznie, w każdym razie zafurkotała kartkami niczym żywa istota i nieomal upadła na podłogę. Biała kartka zatoczyła łuk w powietrzu i spadła u stóp młodzieńca. Narysowana Toria rozchyliła wargi do uśmiechu...

Minęła chwila, podczas której dziekan nawet nie drgnął. Egert schylił się powoli, jak we śnie i podniósł portret. Pokonując sam siebie, wręczył go dziekanowi. Inna dłoń wyrwała mu go z taką siłą, aż zaszeleścił rozdarty papier.

Soll podniósł wzrok i ujrzał stojącą blisko, drżącą, pobladłą z gniewu Torię. Egert cofnął się przed jej nienawistnym spojrzeniem.

Być może chciała powiedzieć, że Soll popełnił świętokradztwo, skoro rysunek Dinara splugawiły dłonie jego zabójcy, że dotykając własności jej narzeczonego, Egert przekroczył wszelkie granice niegodziwości. Być może chciała to wszystko

powiedzieć, ale przyływ gniewu odebrał jej zdolność mówienia. Wszystkie skrywane dotychczas uczucia miała jednak wypisane na twarzy. Człowiek splamiony krwią Dinara plugawił swą obecnością nie tylko mury uniwersytetu, lecz także pamięć o jej ukochanym.

Nie spuszczać morderczego spojrzenia z Egerta, Toria wyrwała z dłoni ojca książkę Dinara. Głęboko wciągnęła powietrze, żeby coś powiedzieć, lecz zamiast tego uderzyła z całej siły młodzieńca książką po twarzy.

Głowa Solla zachwiała się. Wyczerpawszy w uderzeniu całą dławiającą ją wściekłość, dziewczyna odzyskała zdolność mówienia. Słowa pojawiły się razem z następnym uderzeniem.

– Bydlaku! Jak śmiesz!

Wątpliwe, by sama rozumiała, na co może lub nie może osmielić się Egert. Całkiem tracąc panowanie nad sobą, biła go książką po twarzy, krzycząc:

– Jak śmiesz, łajdaku! Wynoś się!

Zalewała się łzami rozpaczy.

– Toria!

Dziekan chwycił dłoń córki. Niedługo się wrywała. Opadła na kolana, zanosząc się histerycznym łkaniem.

– Nienawidzę go... nie... na... widzę...!

Egert stał nieruchomy, niezdolny zrobić kroku. Wokół warg spływała na podbródek krew z rozbitego nosa.

Siedział na krawędzi kanału, spoglądając od dołu na łukowaty mostek, na omszałe kamienie pobłyskujące od wody, solidną kładkę, rzeźbioną balustradę, stąpające nogi i turkoczące koła, buciory, trzewiczki, bosc stopy, czarne od brudu, a potem znowu koła, kopyta, trzewiki...

Co pewien czas zanurzał w wodzie poplamioną chustkę do nosa i ponownie przykładał do twarzy. Krew nie płynęła już tak obficie, lecz jej widok nieodmiennie wstrząsał Egertem.

Patrzył na gładką powierzchnię wody i wspominał płacz Torii.

Po raz pierwszy ujrzał jej łzy. Nie uroniła ani jednej nad trupem Dinara ani na pogrzebie. Soll wprawdzie nie uczestniczył w ceremonii, lecz dowiedział się o tym od kogoś.

Nie była z tych, które płaczą przy świadkach. Widocznie ból stał się nie do

wytrzymania, a Egert najwidoczniej po to zjawił się na tym świecie, aby przysparzać jej cierpień. Chętnie uwolniłby świat od swej osoby, ale nie wiedział jak. Tułacz nie pozostawił mu wyboru...

Tułacz.

Egert wyrzucił chusteczkę, wyglądającą jak brudna szmatka. Będzie musiał wrócić na uniwersytet. Musi spotkać się z przejeżdżnym lokatorem „Wspaniałego Miecza”. Będzie musiał przekonać nieznajomego, straszego człeka, ubłagać go, jeśli będzie trzeba na kolanach, by zdjął kłatwę, bo inaczej Egert oszaleje.

Podniósł się z trudem i wszedł na most. Uskoczył przed nadjeżdżającą kareta. Szedł powoli dobrze znaną ulicą, ostrożnie się rozglądając i starając nie wychodzić na jej środek, by uniknąć dalszych zagrożeń. Czuł na twarzy piekące ślady uderzeń.

Przechodząc placikiem gdzie znajdowała się pośrodku kamienna statua Widziadła Łaszą, ominął z daleka grupkę osobników w szarych opończach. Miał wrażenie, że jest przez nich obserwowany spod kapturów, lecz w tejże chwili zakonnicy odwrócili się i poszli swoją drogą.

Nad wejściem do perfumerii przyciągała oko czerwienią ogromna, sztuczna róża, emblemat cechowy. Pęk kwiatu przypominał raczej główkę kapusty, zwieszając się z miedzianego, skrzypiącego szyldu. Na witrynach stały w szeregach, jak żołnierze podczas apelu, flakoniki perfum. Egertowi zakręciło się w głowie od gęstych, zmieszanych zapachów, dochodzących z otwartych drzwi. Przeszedł prędko dalej i nagle zamarł. Dziwny, niewytłumaczalny impuls kazał mu się zatrzymać.

W emanującym aromatami wnętrzu spadł z brzękiem i rozbił się jakiś ciężki przedmiot. W ślad za tym dały się słyszeć cienki, dziecięcy okrzyk i połajanki starszych. Po chwili ze sklepu wyskoczył wysoki mężczyzna, otrzepujący z gniewną miną polany czymś rękaw. Zapewne klient. Później właściciel sklepu, którego Egert rozpoznał po różyczce wytatuowanej na dłoni, wyciągnął za ucho mniej więcej dwunastoletniego ucznia.

Scenki tego rodzaju nie były niczym zaskakującym w dzielnicy rzemieślniczej. Majstrowie często wymierzali kary, przechodnie zaś przyjmowali obojętnie wrzaski karconych czeladników, spiesząc w swoich sprawach. Mały naraził się ogromnie, kupiec był rozsierzdzony nie na żarty. Stojąc o kilka kroków, Egert widział jak mistrz krzepko macha rzemieniem, tak że tatuowana róża zdaje się ożywiać i rozchyłać płatki.

Chłopaczek tkwił między mocno zaciśniętymi kolanami kupca. Soll widział

czerwone od targania ucho pod kosmykiem jasnych, słomianych włosów, oczy zaokrąglone ze strachu, z drugiej zaś strony zaróżowioną część ciała między spuszczonej spodniami a podciągniętą koszulą.

Kupiec uderzył. Egerta ogarnęła fala bólu.

Stał blisko. Niepojętym sposobem ból bitego chłopca spłynął nań z taką siłą, jakby ktoś go obdzierał ze skóry rzeźniczym sposobem. Dołączyło się do tego coś jeszcze gorszego. Soll pojął w jednej chwili, że perfumiarz lubi katować, dając upust przepelniającemu go rozdrażnieniu i że w zasadzie jest mu wszystko jedno, kogo bije, byle tylko mógł poczuć przewagę i ukoić udręczoną duszę. Egert nie zdążył się nawet zdziwić temu wszystkiemu, kiedy coś go zaniósło na jezdnię. Ktoś krzyknął, razy sypały się jeden za drugim, a Soll poczuł, że zaraz zemdleje.

Uciekł bez namysłu. Potem znowu szedł, ledwie powłócząc nogami. Z każdego okna, każdej bramy i każdego zaułka emanował ból, wzbierając wysoko jak woda na tamie.

Odbierał tylko nikłe sygnały, słabsze albo silniejsze. Ktoś tam płakał, ktoś odbierał razy, ktoś je zadawał, ktoś znowu cierpiał z powodu, że nie jest tym, kim chciałby być. Jedno okno dosłownie buchało złem: jakiś osobnik skryty w ciemnościach pokoju pragnął zadać komuś gwałt. Odczucie to sprawiło, że Egert zdołał przyspieszyć kroku. W karczmie była bójka. Soll poczuł ciarki na skórze, wyczuwając czyjś zapał, z jakim tamten zadawał ciosy pięściami.

Miasto zawisło nad młodzieńcem, niczym kawał gnijącego sera, upstrzonego dziurami okien i drzwi. Ze wszystkich stron płynęły ku niemu fale agresji, które czuł całą skórą. Wydało mu się nawet, że widzi jej kosmate smugi, drżące jak galareta. Przemoc przeplatała się z cierpieniem, cierpienie wywoływało przemoc. Mąciło mu się od tego w głowie.

Dosłownie cudem dotarł do uniwersytetu, a może prowadziła go intuicja. Przy wejściu ktoś zawołał na niego i nie doczekawszy się odpowiedzi, dogonił go.

– Hej, Soll! – wołał zdziwiony Lis. – Co z tobą, zdaje się, że ktoś ci dał po gębie?

Złośliwe zwykle, piwne oczka patrzyły nań współczująco. Lis zapewne nie po raz pierwszy był w podobnej sytuacji. Patrząc na jego okrągłą, dziecięcą buźkę, Soll pojął, że kolega naprawdę go żałuje i nie ma w tym żadnego udawania.

– No nic, brachu – mówił dalej Kajetan, uśmiechając się szerzej. – Morda nie szklanka, całkiem jej nie rozbijesz. Będzie od tego twardsza...

Gmach uniwersytecki wydawał się oazą błędnego spokoju pośród morza zła. Osłabiony Soll wsparł się o ścianę i blado uśmiechnął.

Po blacie biurka dziekana toczyły się porcelanowe koraliki, które zsunęły się z rozerwanej nici. Spora ich część zniknęła w stosach papierów, inne stoczyły się na podłogę i skryły się w szczelinach posadzki. Powoli, z metodycznością godną lepszej sprawy, Łujan zbierał jeden za drugim na lewą dłoń, z której wleciał po chwili chrabąszcz.

Buczące owady krążyły pod sufitem, wylatywały przez półotwarte okno i znowu wracały. Toria siedziała milcząca w kącie, z twarzą zakrytą włosami.

– Skrucha jest dobrą rzeczą – oznajmił dziekan z westchnieniem, wypuszczając pod sufit kolejnego owada – oczywiście do pewnego stopnia. Każde, nawet najgłębsze jezioro ma swoje dno. Gdzie by się, w przeciwnym wypadku, kryły raki?

Toria milczała.

– Gdy miałaś dziesięć lat – podjął, pocierając koniuszek nosa – sprowokowałaś bójkę z wiejskimi chłopakami. Matka jednego z nich przyszła potem do mnie ze skargą. Wybiłaś mu dwa zęby. A może trzy, pamiętasz?

Toria pozostawała nieruchoma.

– Potem zaś – dodał, unosząc znacząco palec – przychodził do nas codziennie i wywoływał ciebie na łowienie ryb albo do lasu, czy jeszcze gdzie indziej... Pamiętasz?

Córka szepnęła zza fali włosów:

– Łatwo ci mówić. A Dinar...

Znowu zamilkła, nie chcąc dalej płakać. Stara książka i zapomniany rysunek rozdrapały na nowo rany i teraz od nowa przeżywała swą stratę.

Jeden z owadów zderzył się z półką i spadł na podłogę, poleżał chwilę nieruchomo, potem znowu pofrunął, bucząc gromko.

– Wiesz przecież, jak lubiłem Dinara – rzekł cicho dziekan. – Był dla mnie jak przybrany syn. Tak było. Wierz mi, do dzisiaj gorzko żałuję waszego wspólnego niedosłego życia, nienapisanych książek i nienarodzonych dzieci. Był obiecującym młodzieńcem, miłym i utalentowanym, a jego zguba była krzyczącą niesprawiedliwością... Zauważ jednak, że Soll... wiem, że niemiłe ci już samo nazwisko... mógł ukryć tę książkę, wyrzucić ją, oddać kucharce na podpałkę, czy też

sprzedać... Postanowił jednak oddać ją mnie, a przeze mnie tobie. Rozumiesz, jakiej odwagi to wymagało?

– Odwagi? – powtórzyła wzgardliwie. – Odwaga i obecny Soll? To równie absurdalne jak...

– Jak taniec meduzy z bębenkiem – spokojnie dokończył dziekan.

Zaskoczona Toria nie odpowiedziała.

Jej ojciec obserwował w zadumie korowód owadów pod sufitem, mamrocząc pod nosem słowa starej, dziecinnej piosenki:

– *Meduza zatańczy z bębenkiem, kret ostrygi na obiad przyniesie...*

Spuścił ciężko dłoń na blat biurka, jakby chciał zmiażdżyć muchę.

– W tym wypadku masz rację... Wspominając jednak Dinara, szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, że w podobnej sytuacji byłby zdolny napawać się tak nienawiścią. Nie umiem sobie tego wyobrazić. A ty?

– Temat zamknięty, ojcze! – krzyknęła.

Łujan znów westchnął i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć do córki: jak cię jeszcze mam przekonywać? Toria zerwała się, odrzuciwszy włosy na plecy. Jej zapłakane oczy spotkały się ze spokojnymi źrenicami dziekana.

– Temat zamknięty! Dinar umarł, leży już w ziemi... I nikt oprócz mnie nie ma prawa sądzić, jakby postąpił! Dinar był mój i do mnie należy pamięć o nim. A ten... Soll... miał czelność... To przecież morderca, więc dlaczego mu pozwalasz... Nie chcę go znać ani widzieć. Jak on mógł... Dotykać... Patrzeć... A ty...

Szloch przerwał jej słowa. Chrabąszcze krążyły pod sufitem w nieustannym korowodzie. Dziekan ciężko wstał zza biurka.

W jego dłoniach była delikatna, drżąca i mokra jak zabłąkany kociak. Objął ją niepewnie, nie chcąc jeszcze bardziej denerwować, wszak od dawna nie była już dzieckiem. Toria zastygła na chwilę, a zaraz potem wtuliła się w pierś ojca, okrytą czarnym kaftanem.

Trwali tak jakiś czas. Toria się wyplakała, potem odsunęła od ojca.

– Ty wiesz lepiej – rzekła nieco zawstydzona, patrząc w podłogę. – Myślę, że jeszcze pożałujesz, że przyjąłeś tego człowieka, ojcze. Kiedyś był przynajmniej odważny, teraz stał się tchórzem. To jeszcze gorsze. Nie tutaj jego miejsce, ale między sługami Łaszą!

Dzekan zmarszczył brwi. Przesunął palcem po grzbietach książek, szczególnie czule gładząc pokryty sierścią.

– Zastanawiam się – powiedział półgłosem, nie odwracając głowy – dlaczego Tułacz tak z nim postąpił? W jakim celu? Czy to nie wszystko jedno: jeden łądak więcej, jeden mniej?

Toria westchnęła ciężko.

– Nie nam sądzić, dlaczego Tułacz postąpił tak, a nie inaczej. Myślę, że uczynił słusznie. Chciałabym spotkać go i uścisnąć mu dłoń.

Dziekan skinął głową.

– Można uścisnąć jego dłoń... jeśli się człowiek odważy.

Toria uśmiechnęła się krzywo.

– Dawno temu – kontynuował – bardzo chciałem spotkać Tułacza, a teraz jestem szczęśliwy, że do tego nie doszło. Któż to wie, kim jest naprawdę...

Przygarbiona dziewczyna ruszyła ciężkim krokiem w stronę drzwi. Już na progu zatrzymała się chwilę i obejrzała przez ramię, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnowała.

Łujan uniósł oczy ku górze. Chrabąszcze zamieniły się w koraliki i z chrzęstem rozsypały po podłodze.

Minęło kilka dni. Każda ich minuta była dla Solla wypełniona masą nieprzyjemnych, zagmatwanych refleksji. Lis wyjechał na krótko do rodziców na przedmieściu, Egert pozostał więc sam w pokoju i napawał się samotnością, tęskniąc od czasu do czasu.

Nowe dłań, męczące zjawisko, odczuwanie całą skórą cudzego cierpienia i przemocy, nieco się w nim stępiło, przytańło, niczym żądło w osim odwłoku. Egert cieszył się każdą chwilą wytchnienia, wiedział jednak, że owa niemiała właściwość wcale go nie opuściła i jeszcze da znać o sobie.

Najgorsze były godziny poświęcone myślom o Torii. Próbował je odgonić, lecz podstępnie wracały, lepkie i grząskie jak rozmyta glina, na dodatek pełne niezdecydowania. Zmęczony ową walką, brał do ręki książkę o zaklęciach i siadał z nią przy oknie.

I zaklęta była owa studnia. Woda w niej była zatruta, powiadano też, że w skrzypieniu kołowrotu dały się słyszeć żałosne jęki.

Zamek był przeklęty. Od tej pory jego kręte schody wiodły do podziemnych otchłani, na wieżach rozsiadły się rozmaite stwory. Kto wszedł na zamkowe mury, ujrzał wokół siebie same zgliszcza, kto zaś wszedł do zamkowych komnat, nie wrócił już między żywych.

Pewnego dnia osamotnienie Solla okazało się tak nieznośne, że przemogło strach. Nie miał sił spotykać się z dziekanem ani z kolegami studentami, postanowił wyjść do miasta, z głową pełną mrocznych i smutnych myśli.

Szedł powoli, z głową wciśniętą w ramiona, obawiając się własnych odczuć. Mijały kolejne minuty. Mieszkańcy miasta budzili się, kramarzyli, pracowali i bawili się, lecz fale ich namiętności docierały do Egerta rzadko i słabo. Być może owe słabe odgłosy były tylko płodem jego wyobraźni. W każdym razie trochę się uspokoił. Kupił sobie rurkę z kremem i zjadł z wielkim apetytem.

Machinalnie oblizując pusty już wafelek, Soll stał na wygiętym mostku, wsparty o balustradę. Od dziecka lubił patrzeć na wodę. Obecnie, śledząc oczyma za jakąś powoli tonącą szmatą, przypomniał sobie most u bramy miejskiej Kawarrenu, mętną wiosenną Kawę i nieznanego o przenikliwych, świetlistych oczach, który zdecydował o dalszym losie Egerta...

Potrząsnął głową, próbując przegnać wspomnienia i niechętnie oderwawszy się od balustrady, ruszył w powrotną drogę.

W niewielkim, pustym akurat zaułku siedział żebrak. Ziemia dookoła niego przykryta była połami jego obszernego płaszcza, a z szerokiego, podartego rękawa sterczała nieruchomo sucha, szerniała dłoń, niczym uschła gałąź. Siedział nieruchomo, jak widmo, tylko wiatr mierzwił siwe włosy, całkowicie zakrywające twarz.

Trudno było zrozumieć od kogo żebrak spodziewał się otrzymać jałmużnę w takim miejscu, gdzie wokół nie było żywej duszy, ściany pozbawione były okien, a wyciągnięta dłoń wskazywała jedynie parę psów, bezwstydnie kopulujących na samym środku uliczki. Żebrak nie podejmował w związku z tym żadnych wysiłków, siedział dalej jakby wykuty z kamienia.

Tysiąc razy zdarzyło się Sollowi przechodzić koło żebrzących, nie zaszczyciwszy ich nawet jednym spojrzeniem, jednakże zapomniany w ślepym zaułku starzec z wyciągniętą dłonią sprawił, że drgnęło mu serce. Być może ujął go swym cierpieniem, a być może dręczyło go wciąż poczucie osobistej klęski. Dłoń Solla samoistnie powędrowała do sakiewki: miał w niej jeszcze dwie złote monety, dziesięć srebrnych i tyle samo miedzianych. Egert wydobył miedziak i przełamując lęk podszedł do staruszka, zamierzając rzucić pieniądze do czarnej dłoni.

Żebrak poruszył się. Wśród siwych kosmyków błysnęło dwoje oczu, a po ulicy rozległ się nieoczekiwanie głośny, przeszywający okrzyk:

– Po... dziękować...

W tym momencie sucha dłoń pochwyciła nadgarstek Solla z taką siłą, że były oficer krzyknął mimo woli.

Z jakiejś bramy wynurzył się, jak duch, zdrowo wyglądający młodzik z rumianą gębą rzeźnika. Żebrak z niewiarygodną szybkością przebiegł wolną dłonią po odzieży Egerta i oderwał mieszek od jego paska. Wyglądało na to, że nie jest jeszcze taki stary. Sakiewka wylądował z brzękiem w dłoniach współnika. Egert, sparaliżowany w pierwszej chwili paniką, zaczął się w końcu wrywać.

– Sza!

W prawicy młodzieńca pojawił się nagle szeroki, dobrze naostrzony nóż.

– Cicho sza!

Egert nie był zdolny wydobyć krzyku z zaciśniętego gardła ani zaczerpnąć powietrza. Młodzik zręcznie narzucił mu na szyję sznurową pętlę, wykręcając jednocześnie ręce do tyłu. Z pewnością było dla niego jasne, że najlepiej od razu udusić ograbionego mieszkańca miasta, żeby w razie czego nie rozpoznał rabusia. Soll próbował się słabo wrywać, lecz strach wciąż go paraliżował.

Sznur na szyi drgnął. Nagle rozległ się skądś tupot nóg i gromkie:

– Stać!

Głowa Solla opadła na ziemię, lecz zaraz potem poczuł, że pętla przestała się zaciskać. Zerwał się i wyprostował. Żebrak w długim płaszczu i jego współnik uciekali biegiem z zaułka, a tupot podkutych butów odbijał się od gładkich ścian. Zniknęli za rogiem i odgłos zaczął powoli cichnąć.

Na jezdni wałały się kawałek sznura i nieszczęsna sakiewka. Soll nie był zdolny zrobić kroku. Czyjaś dłoń podniosła mieszek i wyciągnęła go w stronę właściciela.

– To pańskie, nieprawdaż?

Przed Sollem stał niewysoki, dość młody jeszcze człowiek w szarej opończy z kapturem. Egert drgnął mimowolnie, widząc habit bractwa Łaszą. Uśmiechając się lekko, Sługa Świętego Widziadła odchylił kaptur z czoła.

Kiedy jego twarz stała się całkowicie widoczna, okazało się, że nie ma w niej niczego strasznego ani złowieszczonego. Jego szaroniebieskie oczy, takiego samego koloru jak Egerta, spoglądały nań ze współczuciem.

– Był pan w niebezpieczeństwie... Z pełną sakiewką lepiej się nie włóczyć pustymi zaułkami. Był pan bardzo nieostrożny, młody człowieku...

Zwrócił się tak, chociaż sam był niewiele starszy od niego.

– Tamci... uciekli? – spytał Soll, nie wierząc własnym oczom.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Wystraszyłem ich... Miejskie rzezimieszki są zdradliwe i tchórzliwe, a jak pan widzi...

Musnął kaptur.

– Cieszę się wśród nich pewnym autorytetem.

Egert przeżył w tym mieście kilka miesięcy i wiedział, że sam widok szarej opończy mógł skłonić łapserdaków do ucieczki, nie tylko dwóch, ale nawet całą szajkę. Skinął pospiesznie głową, nie znajdując słów podziękowania. Sługa Łaszą znowu podsunął mu ocaloną sakiewkę, z ośmielającym uśmiechem.

– To wszystko, co mam... Dziękuję – wymamrotał Egert, jakby się usprawiedliwiał.

Tamten kiwnął głową, jakby przyjmując podziękowanie.

– Pieniądze to nie wszystko. Mogli pana zabić.

– Dziękuję – powtórzył gorąco Soll, nie wiedząc, co dalej robić i o czym rozmawiać. – uratował mnie pan i nie wiem, jak mam jeszcze dziękować.

Sługa Łaszą roześmiał się bezdźwięcznie, lecz zaraźliwie.

– Nie ma potrzeby... Uczciwi ludzie powinni się wzajemnie wspomagać, inaczej na świecie zostaliby sami łajdacy. Jestem brat Fagirra... A pan jest mieszczaninem?

Egert przedstawił się, jak wypadało. Usłyszawszy o uniwersytecie, Fagirra wyraził satysfakcję.

– Tak, to miejsce godne odpowiednich młodych ludzi... Jakie nauki pan głównie studiuje?

Zmieszany Egert wydusił z siebie, że interesuje się zwłaszcza historią. Fagirra kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Historia wydaje się najbardziej ciekawa ze wszystkich nauk. Dawne legendy, księgi o wojnach i bohaterach, prawodawcach, magach... Myślę swoją drogą, że to zapewne wykładający ją dziekan Łujan zachęcił pana do owego przedmiotu?

Egert ucieszył się: pan Fagirra zna pana dziekana?

Sługa Łaszą poprawił go delikatnie: po pierwsze, należy o nim mówić „brat”, poza tym nie miał zaszczytu poznać osobiście dziekana, aczkolwiek sława mądrości pana Łujana od dawna rozchodziła się poza uniwersytetem.

Długo gwarzyli po przyjacielsku, przechodząc od zaułka do zaułka. Sollowi wydało się trochę dziwne, że tak po prostu rozmawia z człowiekiem w szarej opończy. Do tej pory zakonnicy Łaszą wydawali się mu nieco straszni i niedostępni dla zwykłych śmiertelników. W końcu odważył się to powiedzieć nowemu znajomemu, wywołując u mnicha prawdziwą wesołość.

Gdy się już dostatecznie wyśmiał, poklepał Solla po ramieniu.

– Ech, Egercie... Imię i dzieło Łaszą okryte są tajemnicą, do której mało kto bywa dopuszczany. Jesteśmy Sługami Tajemnicy.

– Pytałem – wymamrotał nieśmiało Soll – wielu ludzi, ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić, czym jest bractwo Łaszą...

– Fagirra spoważniał.

– Opowiadają o nas mnóstwo bzdur i domysłów, jak to zazwyczaj o czymś nieznanym. A pan, Sollu, chciałby istotnie dowiedzieć się czegoś więcej?

Egert nie był tego pewien do końca, lecz nie zdradził się ze swym wahaniem.

– Tak... oczywiście.

Fagirra pokręcił głową w zadumie.

– No cóż, Egercie... Zakon Łaszą okazuje zaufanie tylko nielicznym, lecz od pierwszego wejrzenia stwierdziłem, że dobrze panu z oczu patrzy. Jutro, przyjacielu, pojawi się rzadka możliwość wstąpienia do środka naszej Wieży... Chciałby pan tego?

Egert cały się skręcał pod przenikliwym spojrzeniem zakonnika, lecz nie miał odwagi odmówić.

– Tak.

Fagirra kiwnął głową radośnie.

– Czuje się pan nieswojo, rozumiem... Proszę wierzyć, że nie każdego spotyka taki zaszczyt, lecz jedynie wybrańców. Będę czekał na pana o siódmej wieczorem na rogu ulicy Fiołkowej. Wie pan, gdzie to jest?

Dodał później, kiedy się już pożegnali.

– A tak w ogóle proszę o pełną dyskrecję. Łasz jest Tajemnicą. Rozumiemy się? Do widzenia.

Egert skłonił głowę i długo patrzył za odchodzącym człowiekiem w szarej opończy.

Lis wciąż jeszcze gościł u rodziny, toteż nie miał kto zapytać Solla, czemu jest taki zafrasowany. Egert przewyciężył pragnienie, by zwrócić się o radę do dziekana, choć

skłaniały go do tego bezsenna noc i wypełniony rozterką, długo wlokący się dzień.

Koledzy studenci, widząc, że wychodzi, życzyli mu miłego wieczoru i udanej randki. Odpowiadał coś ni w pięć, ni w dziewięć.

W drodze na miejsce spotkania zdążył jeszcze utwierdzić samego siebie w przekonaniu, że wizyta w Wieży Łaszą to tradycja, niemal obowiązek dla każdego tutejszego mieszczanina, a zatem owo przypadkowe zdarzenie zapowiada pomyślny zwrot w jego życiu. Ostatecznie, pomyślał także, wszystko może nie dojść do skutku, skoro brat Fagirra nie stawia się na umówione spotkanie.

Czekał na niego. Soll wzdrygnął się, gdy z cienia wynurzyła się zakapturzona sylwetka.

Egert słabo pamiętał drogę krętymi zaułkami. Przed oczami miał skraj szarej opończy, ciągnący się po miejskim bruku. W jego duszy walczyły ze sobą dwa sprzeczne uczucia: strach przed wejściem do Wieży i strach przed odmową. Wbrew oczekiwaniom, Fagirra nie wprowadził gościa główną bramą. Zaułek zamienił się nagle w tunel tak ciemny, że Egert nie mógł dostrzec człowieka pobrzękującego pękiem kluczy i zawiązującego oczy młodzieńcowi.

Stropiony, ślepy, prowadzony pod rękę, cierpiący z powodu odzywającego się niczym stary ból zęba strachu, został w końcu gdzieś doprowadzony. Z oczu zdjęto zasłonę. Stał przed ogromną, ciężką kotarą z czarnego aksamitu, wionącą jakimś słabym, gorzkawym, nieznanym Sollowi aromatem.

– Wolno tu panu być – szepnął mnich wprost do ucha, przy czym krawędź jego kaptura zawadziła o policzek Solla. – Tylko być i milczeć, nie ruszać się z tego miejsca i nie odwracać głowy.

Egert przełknął gęstą ślinę, wypełniającą usta. Fagirra oczekiwał odpowiedzi, więc skinął głową z wysiłkiem.

Do gorzkawego zapachu kotary domieszał się inny, łagodniejszy, słodkawy, przypominający kadzidło. Patrząc na czarną ścianę materii, słyszał z niezwykłą ostrością mnóstwo dźwięków, bliskich i oddalonych, przytłumionych i szeleszczących, jakby chmara motyli trzepotała się w szklanej bani, uderzając skrzydłami o jej przezroczyste ścianki.

Wypełnione szmerami milczenie zamieniło się w zupełną ciszę. Egert zdążył policzyć w myślach do pięciu, gdy zasłona drgnęła i rozległ się przeciągły, niepodobny do niczego dźwięk, który sprawił, że całe ciało mężczyzny pokryło się potem. Było to wycie pradawnego potwora. Ten sam daleki jęk, który słyszeli ludzie

na placu i który tak długo niepokoił wyobraźnię Egerta, dobywał się teraz z pobliskiego cienia.

Aksamit zakołysał się i opadł ciężko, zamieniając się w ciemny dywan. Przed oczyma zdumionego Solla ukazała się niebywałych rozmiarów komnata.

Trudno było pojąć, jakim cudem we wnętrzu Wieży mogło istnieć tak ogromne pomieszczenie. Soll wystraszył się w pierwszej chwili, lecz rozejrzawszy się, dostrzegł otaczający salę rząd wysokich zwierciadeł. Na wypełnioną fałdzistym aksamitem przestrzeń wyszedł, wielokrotnie powielony w lustrzanej głębinie, długowłose karzeł, w płomienistym, oślepiająco jasnym stroju. Dwoma dłońmi uniósł do ust szeroką rurę i z pewnym wysiłkiem wy dobył z niej ten sam porażający zmysły dźwięk. Z odwróconego do góry wylotu wypłynął gęsty, siny dym.

Zaszeleścił materiał opuszczanych kapturów. Ognisto-czerwona plama zniknęła wśród szarych opończy. Do uszu Solla dobiegł szeleszczący szept: „Łasz... asz... aszsa...”. Gdzieś daleko rozległa się cichutka, lecz wprawiająca w odrętwienie pieśń i znowu powtórzył się dźwięk szerokiej rury, a nad pochylonymi szarymi grzbietami zaczęły się tworzyć z dymu widmowe kontury.

Soll zadrżał. Dym emanował niezwykle silnym, przyjemnym a zarazem męczącym zapachem. „Łasz... asz... aszsa...” – dźwięk przybliżał się lub oddalał. Egertowi przywidział się przybój na brzegu szarego morza.

Okutane w habity postaci wstawały na ogół płynnie i zgrabnie, chwilami jednak ktoś zrywał się, jakby tknięty strasznym domysłem. Sala powoli opustoszała i na środku pokrytej aksamitem podłogi ukazał się płasko rozciągnięty starzec. Siwe włosy otaczały jego pomarszczone oblicze niczym księżycowe promienie. Ludzie w szarych opończach wrócili i wówczas Soll ujrzał tę siwą głowę unoszącą się niczym piana grzywa na szczycie fali stworzonej z kapturów.

Ten niepojęty, czarodziejski obrzęd, ciekawy, lecz dosyć monotony, ciągnął się minutami, a może godzinami. Soll stracił poczucie czasu. Kiedy poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza i zorientował się, że stoi w szeroko otwartym oknie, a pod sobą ma znajomy plac, widziany po raz pierwszy z takiego miejsca, wszechobecny Fagirra położył mu dłoń na ramieniu i szepnął do ucha:

– Znam co najmniej dziesięciu najbogatszych i ważnych ludzi w tym mieście, którzy chętnie daliby sobie uciąć rękę, by dostąpić szczęścia uczestniczenia w naszych obrzędach.

Odwrócił się w stronę placu i nadstawił twarz pod wiatr. Szerokie rękawy

opadły w dół, odkrywając przedramiona i Soll mimowolnie zatrzymał wzrok na zielonkawym tatuażu, odznace uprzywilejowanego cechu fehmistrzów.

Fagirra uśmiechnął się, wychwyciwszy owo spojrzenie.

– Drogi, wiodące ludzi w progi Łaszą, tajemne są i pokrętne... Chodź za mną, Egercie. Spotkał cię niezwykle zaszczyt. Nasz Mistrz chce z tobą porozmawiać.

Włosy Mistrza okazały się z bliska jeszcze bielsze, jak błyszczący w słońcu śnieg lub obłoki w słoneczny dzień, czy też bielejące na słońcu płótno. Jego gabinet pełen był kadzidlanych zapachów. Półprzytomny Egert odpowiadał machinalnie na pytania: tak, jest wolnym słuchaczem na uniwersytecie; tak, dziekan Łujan jest bez wątpienia wielkim magiem i wspaniałym człowiekiem... Nie, do tej pory nie osiągnął wielkich sukcesów w nauce, lecz ma nadzieję, że z czasem...

Mętny wywód o tych nadziejach został łagodnie przerwany.

– Jest pan najwyraźniej nieszczęśliwy, prawda, panie Soll?

Egert zaciął się i zamilkł. Nie odrywał oczu od purpurowego, mechatego kobierca, okrywającego ściany.

– Proszę się nie krępować... Mało kto jest w stanie to dostrzec od pierwszego wejrzenia. Zdarzyło się panu jakieś nieszczęście?

Napotkawszy mądre, wyrozumiałe spojrzenie Mistrza, Egert poczuł silne pragnienie, by opowiedzieć o kłątwie i o Tułaczu. Nabrał powietrza w płuca, lecz zdołał w końcu tylko żałośnie wyjąkać:

– Ja... ja...

Urwał, zawstydzoną swą słabością. Mistrz odczekał chwilę, potem uśmiechnął się dobrotliwie.

– Niestety, wielu ludzi okazuje się w końcu nieszczęśliwymi. Słabymi, bezsilnymi, bezbronnymi... Prawda, Egercie?

Sollowi wydało się, że z oczu siwowłosego starca bije dla niego jakaś nadzieja. Pochylił się do przodu i potwierdził pospiesznie:

– Tak.

– Człowiek jest bezbranny, gdy jest samotny – podjął zadumany Mistrz. – Lęk jest udziałem samotnych. Prawda, Egercie?

Soll znów przełknął ślinę. Nie był pewien, do czego Mistrz zmierza, lecz na wszelki wypadek przytaknął. – Tak.

Mistrz wstał, przy czym siwa grzywa efektownie się zakołysała.

– Ma pan przed sobą trudną drogę, Egercie, lecz na jej końcu odzyska pan siły. Nie jest przyjęte rozmawiać z neofitami o wielkich tajemnicach Łaszą. Wystarczy, jeśli dowiesz się, że Święte Widziadło słyszy teraz każde nasze słowo. Nie mogę od razu odkryć przed tobą wszystkich tajemnic, wyjaśnienia których żąda twoja dusza, lecz zapraszam cię do naszego bractwa. Staniesz się wojownikiem Łaszą. Czy istnieje w naszym świecie zaszczytniejsza służba?! Z czasem poznasz wiele sekretów, od tej jednak chwili będziesz miał za sobą Święte Widziadło I legiony jego Sług. Każda uraza wobec ciebie stanie się obrazą dla zakonu, nawet czyjeś krzywe spojrzenie, rzucone w ślad za tobą, zostanie ukarane szybko i nieodwracalnie. Każdy twój postępki, nawet krwawa zbrodnia, zostanie ci wybaczone, jeśli uznamy, że był to sprawiedliwy czyn w oczach Łaszą. Spójrz jak boją się i szanują braci naszego zakonu. Sam widok szał o rej opończy wywołuje lękliwy dygot, a wkrótce – Mistrz podniósł głos, unosząc zarazem prawą dłoń – wkrótce ów dygot zamieni się w hołdowniczy pokłon. Moc i wszechwładza zamiast strachu w samotności. Słyszysz, Egercie?

Soll stał jak rażony gromem. Propozycja Mistrza spadła nań tak nagle, że z trudem zbierał rozpierzchnięte myśli.

Mistrz milczał, czekając. Jego mądre, choć zmęczone oczy zdawały się spoglądać w samą głębię duszy Egerta.

Egert chrząknął i wyksztusił z trudem:

– A... co powinienem zrobić... żeby...

Mistrz przyszedł mu z pomocą.

– Zaufałem ci, Egercie, jak brat Fagirra, który zaufał ci od pierwszego wejrzenia. Na razie powinieneś po prostu milczeć. To będzie pierwsza próba. Milczeć o tym, że spotkałeś naszego brata, że byłeś w Wieży, że uczestniczyłeś w jednym z tajemnych rytuałów... Nie powtarzaj też nikomu naszej rozmowy. Kiedy upewnimy się, że potrafisz dochować tajemnicy i być niemy jak głaz, wówczas... Wówczas poznasz kolejne nasze warunki. Wierzę, że nie będą ponad twoje siły. Nasze dzisiejsze rozstanie kryje w sobie zapowiedź kolejnego spotkania. Szara opończa obdarzy cię godnością i wiarą, wzniesie cię ponad motłoch... Do zobaczenia, Soll.

Fagirra w całkowitym milczeniu wyprowadził Egerta z Wieży tajnym wyjściem, lecz innym niż poprzednio, które zawiodło go w objęcia Łaszą.

Rozdział 6

Egert nie opowiedział nikomu o swoim pobycie w Wieży. Minęło kilka tygodni, lecz bractwo Łaszą nie wykazało tymczasem żadnych oznak dalszego zainteresowania wolnym słuchaczem Sollem. Uspokoił się trochę, skoro podjęcie decyzji odsuwało się na czas bliżej nieokreślony.

Niejeden raz przymierzał sobie w myślach szarą opończę. Kiedy tylko usłyszał długi, przenikliwy dźwięk od strony Wieży, przypominał sobie gorzkawy zapach ciężkiego aksamitu, powolny taniec zakapturzonych cieni i oblicze srebrnowłosego Mistrza. Obietnica bezpieczeństwa, a z czasem potęgi okazała się dla Egerta ogromną pokusą, jednakże za każdym razem, gdy myślał o płaszczu z kapturem, odczuwał szczególną, duchową niedogodność. Coś mu przeszkadzało myśleć o tym, coś go niepokoiło i drażniło. Soll brał to na karb swego braku odwagi, a jednak szybko się nauczył unikać myśli o zakonie Łaszą, jak też jego sług, spotykanych przypadkiem na ulicy.

W mieście nastał czas letnich upałów. Nawet głębokie i wąskie zaułki były w samo południe zalane słońcem od ściany do ściany. Oczy bolały od poblasków promieni, skaczących po powierzchni kanałów. Brzeg rzeki pod miastem służył za miejsce swobodnych pikników. Zalewający się potem mieszczanie okrywali się liśćmi łopianu, wchodząc do wody, mieszczki kąpały się wśród szuwarów w gronie zaufanych przyjaciółek. Stawały się jednak ofiarami Lisa, który nauczył się pływać pod wodą z długą trzcinką w zębach i nigdy nie przepuszczał okazji podpłynięcia do kąpiącej, aby musnąć jej wystające części ciała.

Egert należał do niewielkiej grupki wybranych studentów, obserwującej podchody Lisa i wymyślającej zabawy typowe dla uczonych młodzieńców. Przy brzegu słyszeć było pluskanie, gwizdy i chichoty. Zarzuciwszy sieci, rybacy ugaszczali swych towarzyszy świeżą zupą rybną. Egert siedział większość czasu na brzegu. Do wody wchodził tylko po pas. Zostało to zauważone, lecz skończyło się jedynie na życzliwych żartach.

Nazbyt szybko nadeszła pora sesji egzaminacyjnej, dającej możliwość przejścia na następny rok: „dopytywacze”, chcieli się stać „rozumiejącymi”, „rozumiejący” – „starającymi”, ci zaś jak najszybciej „wtajemniczonymi”. Cały

uniwersytet rozpalila goraczka, zewszad wygladaly przekrwione oczy, polprzytomne od slęczenia nad podręcznikami. Egert obserwował, jak kolejni zacy wchodzili do gabinetu rektora, jedni z radosną pewnością siebie, inni z nieskrywanym strachem. Wielu, jak się okazało, wierzyło w przesady typu spluwanie przez ramię, zaklęcia, specjalne splatanie palców. Nasz bohater rozpoznał ze zdumieniem swoje własne rytuały ochronne.

Nie miał okazji doświadczyć tego, co się działo za budzącymi grozę drzwiami. Powiedzieli mu, że za wielkim biurkiem rektora siedział on sam, dalej dziekan Łujan i wszyscy wykładowcy, jakich mieli w ciągu roku okazję wysłuchać z uniwersyteckiej katedry. Mówili, że wszyscy egzaminują bardzo surowo, szczególnie pan dziekan. Nie każdemu studentowi udawało się wytrzymać owo napięcie, przy czym co najmniej połowa nieszczęśników oblała egzamin z przyczyny surowego maga.

Tuż przed sesją Lis wpadł w totalną panikę. Postanowił zdyscyplinować sam siebie. Najdelikatniejszymi określeniami, jakie wobec siebie stosował było: „debilny półgłówek” i „bezmózgi osioł”. Kajetan wlepił wzrok w podręcznik, a potem z rozpaczą rzucał go na podłogę i wyciągnięty na łóżku oznajmiał Egertowi, że z całą pewnością obleje egzamin. Nie można jednak być wiecznym „rozumiejącym”, a ojciec nie da więcej pieniędzy, zostanie więc pomocnikiem w jego aptece, gdzie nawet muchy zdychają od zapachu rycyny. Kiedy Soll przedkładał mu nieśmiało, że należałoby chyba zwrócić się o pomoc do dziekana, Lis zamachał dłońmi, zatupał nogami, nazwał szaleńcem i wyjaśnił, że takie posunięcie całkiem by starczyło, aby na zawsze wylecieć z uczelni.

W dzień egzaminu Lis stał się innym człowiekiem. Jego koledze nie udało się wydobyć zeń ani jednego słowa. Przed drzwiami sławetnego gabinetu kłębiły się grupy strwożonych, przerzucających się nabytą wiedzą młodzieńców. Wielu miało na twarzy zastygły wyraz linoskoczka, stąpającego po wysoko zawieszonym sznurze z ognistym kołem w zębach. Wychodzący z gabinetu również wprawiali kolegów w radość na zmianę z rozpaczą. Soll prawdziwie ucieszył się, że jako wolnemu słuchaczowi nie będzie mu dane stanąć przed srogim uniwersyteckim sądem.

Niespodziewanie dla samego siebie, Kajetan zdał jednak egzamin. W totalnej euforii zaproponował koledze wyjazd na przedmieście, w gościnę do jego rodziny. Egert zawahał się chwilę, ostatecznie jednak odmówił.

Studenci, mając przed sobą dwa miesiące wakacji, snuli plany na lato. Większość zamierzała spędzić je w domu rodzicielskim, w dworku albo chałupie.

Część najbiedniejszych żaczków zamierzała najać się do roboty w jakimś gospodarstwie, proponując to samo Egertowi. Wspomniał ciężką chłopską dolę, gdy był u pustelnika i także odmówił.

Lis wyjechał i Soll znów został sam.

Opustoszały kuluary uniwersytetu, podobnie jak bursa, a wieczorami tylko w nielicznych oknach pojawiało się światelko. Stary sługa, uzbrojony w pochodnię i tłuczek, każdej nocy stróżował, robiąc obchód. Stara kucharka przynosiła obiady dla dziekana, jego córki i pozostałych na miejscu żaków, w tym również dla Egerta.

Nieoczekiwanie otrzymał wieści z domu i mógł wyrobić sobie nowy pogląd na swą sytuację.

Tym razem do pieniędzy załączony był krótki liścik. Egert zdrzął, widząc charakter pisma ojca. Soll senior o nic nie pytał, lecz poinformował oschle syna, że został pozbawiony rangi oficerskiej i usunięty z pułku, przy czym zdarto publicznie epolety z jego zbryzganego błotem munduru. Wakat porucznika zajął młody Karwer Ott, który, nawiasem mówiąc, usiłował się wywiedzieć, gdzie obecnie znajduje się Egert.

Czytając list, przeżywał od nowa swój zadawniony wstyd. Potem poczuł, że tęskni za Kawarrenem.

Mnóstwo razy wspominał dom z bojowym herbem nad bramą, snując rozpaczliwe, bezsensowne plany. Widział siebie w marzeniach wchodzącego potajemnie do miasta i do swoich pokojów. Wszystko w sekrecie, albowiem nikt nie wybaczył mu dezercji, świadkowie zaś jego ponizenia z pewnością zjawiliby się specjalnie, aby plunąć w naznaczone szramą oblicze... Jak zresztą dogadać się z ojcem, spojrzeć w oczy matce? Niestety, dopóki klątwa nie została zdjęta, nie ma po co wracać do rodzinnego miasta.

Jego myśli pobiegły w inną stronę. Z każdym mijającym dniem przybliżało się spotkanie z Tułaczem. Sprawa tego spotkania prześladowała go tak natrętnie, że Tułacz jawił mu się w snach. Wierzył, że klątwa zostanie zdjęta, a on sam wróci w glorii do swego miasta. Bez lęku przejedzie główną ulicą w przytomności ludu i gwardzistów, a potem wyzwie Karwera na pojedynek.

Siedząc w półmroku swej klitki, Egert drzął z radości na samą myśl o tym. Cóż to będzie za wspaniałe wyzwanie: tłum zamilknie, Karwer zblednie i spróbuje się uchylić, a wówczas Soll wyśmieje przy wszystkich jego tchórzostwo. Następnie skrzyżują klingi i zabije byłego druha, który został jego śmiertelnym wrogiem, jako że

każda podłość zasługuje na karę...

Soll drgnął. Jego marzenia zniknęły, jak pieśń przykrytego dłonią świerszcza.

Zabił trzech ludzi. Pierwszy zwał się chyba Tolber i był głupkowatym, prostodusznym zabijaką. Egert nawet nie pamiętał, o co im poszło: może o kobietę, a może przyczyną był alkohol... Pojedynek nie trwał zbyt długo, jakkolwiek tamten rzucił się na Egerta niczym dzik bojowy, Soll jednak parował jego wściekle ciosy błyskotliwymi kontratakami. W końcu jego szpada wbiła się w brzuch przeciwnika, on zaś, czując pulsowanie wrzącej krwi w żyłach, wiedział jedynie, że zwyciężył...

Nie był w stanie przypomnieć sobie imienia drugiego, który też zginął z jego ręki. Nie był gwardzistą, lecz jakimś zarozumiałym szlachcicem, który przyjechał do miasta zabawić się. Zabawił się i pijany jak świnia, walnął Egerta w szczękę i nazwał szczeniakiem. Co prawda był starszy o dwadzieścia lat... Zostawił wdowę z trzema córkami, jak dowiedział się Soll na pogrzebie.

Wielkie nieba, a cóż miał czynić?! Miał znosić podobne urazy i nie ukarać agresora? Są na tym świecie wdowy i sieroty, lecz szlachcic dostał to, na co zasłużył, podobnie jak ten pierwszy... Tylko Dinar zginął niewinnie...

Trzy panienki, najstarsza miała ledwie dwanaście lat. Zrozpaczona niewiasta. Kto jej doniósł o śmierci męża?... Gdyby chociaż przypomnieć sobie imię tego hulaki... Lecz pamięć bywa wybiórcza, chętnie usuwając w cień rzeczy niemiłe.

Gdzieś daleko w głębinie ciemnego korytarza czule śpiewał konik polny. Był późny wieczór. Trzęsąc się na całym ciele, Egert zapalił pięć świec. Była to karygodna rozrzutność, lecz pokój rozjaśnił się, niczym za dnia. Mężczyzna zobaczył w mętnej tafli metalowego lustra, wiszącego we wnęce przy drzwiach, odbicie swojej twarzy ze szramą.

W tej samej chwili zdolność odczuwania cudzego bólu wróciła z taką siłą, że aż się zatoczył.

Niebiosa! Miasto znajdowało się za grubymi murami, lecz wydawało się Egertowi świeżo rozdartą raną. Uniwersytet był prawie pusty, tak samo jak bursa, lecz odczuwał pobliskie cierpienie, jak tępo, bezlitośnie nawracająca migrena.

Na samą myśl, że trzeba będzie iść ciemnym korytarzem i schodami, zaczęły mu się trząść kolana. Chwyciwszy spoconymi dłońmi świeczki, trzy do prawej, dwie do lewej, otworzył drzwi łokciem.

Nisze ziały mrokiem, kolumny tworzyły pokraczne, przerażające cienie. Twarze wielkich uczonych, wyobrażone na płaskorzeźbach, śledziły Solla

wzgardliwymi spojrzeniami. Żeby nieco poprawić sobie nastrój, zaczął szeptać drżącym głosem:

Nie trać czasu, miły, nie gadaj!

Cała płonę, bo dziurka niesmarowana!

Gorący wosk ściekał mu po palcach, lecz nie czuł tego. Wyczuwał, że źródło bólu znajduje się w bibliotece.

Spod masywnych wierzei błyskało światło. Egert postanowił zapukać, lecz skoro obie dłonie miał zajęte, poskrobał drzwi noskiem buta. Z wnętrza rozległ się zdziwiony głos dziekana.

– Tak?

Przez jakiś czas Egert usiłował nacisnąć miedzianą klamkę, nie wypuszczając przy tym płonących świec i być może jego usiłowania zakończyłyby się sukcesem, lecz właśnie w tej chwili podwoje rozwarły się i stanął w nich Łujan. Nie on był jednak źródłem, lecz ktoś kryjący się w półmroku za książkami.

– To ja – powiedział Soll, chociaż dziekan na pewno poznał go od razu. – To ja...

Urwał, nie wiedząc, co mówić dalej. Dziekan zastanowił się chwilę, potem cofnął, zapraszając Solla do wejścia.

Toria siedziała wedle swego zwyczaju na skraju biurka, a pusty wózek biblioteczny przywarł u jej stóp niczym wierny pies. Nie widział jej od tamtego dnia, gdy postanowił odnieść dziekanowi książkę Dinarą i oberwał nią po twarzy. Teraz oczy jej skrywała ciemność, nie mógł zatem widzieć skierowanego na siebie spojrzenia, lecz odczucie jej nieustającego cierpienia stało się silniejsze, jakby sam jego widok wywołał nowy atak bólu.

– Tak, Soll? – zapytał oschle dziekan.

Rozmawiali o mnie, zrozumiał natychmiast, samemu nie wiedząc, skąd wzięła się owa pewność.

– Przyszedłem zapytać – odparł cicho – o zdejmowanie zaklęć. O klątwy, jakie zostały zdjęte. Czy istnieje możliwość uwolnienia się... od ludzkiej winy?

Toria powoli przeniosła spojrzenie na ojca, lecz nie ruszyła się z miejsca i dalej milczała. Dziekan zasępił się, porozumiewając wzrokiem z córką.

– Nie rozumiem?

Mocniej bolała Torię lewa skroń. Egert miał ochotę przyłożyć dłoń do własnej. Odezwała się głuchym, spokojnym głosem z ciemności.

– Zapewne pan Soll chciałby się dowiedzieć, czy ma jakąkolwiek szansę zmazać swoją winę...

Serce Egerta ścisnęło się boleśnie. Ledwie poruszając wargami, wyszeptał w ciemną przestrzeń:

– Nie... Ja...

Zabrakło mu słów. Toria siedziała nieruchomo, niczym posąg, nie okazując na zewnątrz swej udreki.

– Lepiej sobie pójdę – podjął. – Będzie wam lżej. Ja tylko... Proszę wybaczyć.

– Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi. Za plecami usłyszał ciężkie westchnienie panny. Targnął nią taki spazm, że Egert znów się zatoczył.

Dziekan najwyraźniej także poczuł, że dzieje się coś niedobrego. Spojrzawszy szybko na córkę, zerknął na natręta niezyczliwie i podejrzliwie.

– Co się z tobą dzieje, Soll?

Egert oparł się ramieniem o drewnianą framugę.

– Nie ze mną... Nie widzi pan? To ona źle się czuje. Powinien mieć pan tego świadomość. Jak może pan pozwalać, żeby ona...

Stracił dech w piersiach. Ojciec i córka patrzyli nań badawczo. Kleszcze spazmu powoli się rozwarły i Egert poczuł ulgę w sercu Torii.

– Trzeba chyba – mówił dalej szeptem – zawiązać mokrą chustę na głowie. Już wychodzę. Nie wiem, czym zawiniłem. Wiem, że jestem zabójcą... To, co się ze mną stało, jest ceną, jaką płacę. Być może – dodał drżącym głosem – Tułacz nie ulituje się nade mną i nie zechce zdjąć szramy? No cóż. Lepiej się pani czuje?

Nawet w półmroku można było zobaczyć jak wielkie stały się jej oczy.

– Soll? – szybko zawołał dziekan.

Toria uczyniła w końcu to, na co Egert miał od dawna ochotę, czyli przyłożyła dłoń do skroni.

– Jedno słowo, a odejdę z uniwersytetu – rzekł Egert ledwie dosłyszalnie. – Jestem tutaj bezużyteczny, a mój widok sprawia jej przykrość... Wszystko rozumiem.

Przekroczył próg, wyszedł na korytarz i dopiero teraz zauważył, że kurczowo ściskane świece całkiem zalały poparzone dłonie, odzież i obuwie.

– Soll! – usłyszał za plecami.

Nie zamierzał się odwracać, lecz dziekan złapał go za ramię i odwrócił, wpatrując się w wyczerpane oblicze młodzieńca. Spojrzenie była tak uporczywe, że Egert się zląkł.

– Zostaw go – poprosiła cicho Toria.

Także stała w przejściu. Zdawało się, że jej cierpienie nieco zelżało, przede wszystkim ból głowy.

Dziekan chwycił Solla za łokieć i zaciągnął z powrotem do biblioteki, posadził przemocą na skrzypiącym krześle. Dopiero wtedy zwrócił się do córki:

– Może od razu powinnaś wypić miksturę?

– Miałam nadzieję, że się obejdzie – odparła, patrząc w bok.

– A teraz?

– Teraz mi lepiej...

Dziekan zerknął pytająco na Egerta.

– Tak, Soll? Rzeczywiście lepiej?

– Tak – potwierdził, z trudem poruszając wargami.

Śweczki pogasły. Z trudem rozwarł palce i wyrzucił ogarki na podłogę.

Wokół lampy nad biurkiem z cichym szelestem krążyły ćmy, a przez okno wychodzące na plac, dało się słyszeć nawoływanie nocnej straży.

– Dawno to masz? – niedbale, jakby mimochodem, spytał dziekan.

– To nie jest stałe – oznajmił Soll, wpatrzony w ćmy. – Raz mi się kiedyś zdarzyło, a dziś po raz drugi... Nie panuję nad tym. Może już pójdę?

– Torio – rzekł dziekan z ciężkim westchnieniem – masz może jakieś pytania do pana Solla?

Milczała. Choć odwrócony od niej, czuł jednak na sobie jej zdumiony wzrok.

Miasto dusiło się od letniego żaru, a uliczni sprzedawcy lemoniady w ciągu jednego długiego dnia zarabiali więcej niż normalnie przez cały tydzień. Przechodnie śniali się z gorąca, a z Wieży Łaszą częściej niż zwykle dobiegał znajomy dźwięk.

Wędrowni straganiarze chronili swe głowy słomianymi parasolami z zasłoną jedwabnych strzepów, wydawało się więc, że po ulicy pełzają ogromne, kolorowe meduzy. W budynku uniwersyteckim kłęby kurzu tańczyły w promieniach słońca, okrywając grubą warstwą katedry, ławki i parapety, posągi uczonych i mozaikowate podłogi. Gorąco było zarówno w pokojach dla służby, jak i w gabinecie dziekana, który nieprzerwanie pracował nad żywotami wielkich magów, w komnacie jego córki, a także w bursie, gdzie przebywał osamotniony wolny słuchacz Soll.

Zaniedbująca sprzątanie staruszka zajmowała się obecnie głównie dostarczaniem obiadów. Toria wzięła na siebie obowiązek przygotowywania dla ojca

śniadań i kolacji. Dobrze wiedziała, że zatopiony w pracy, mógłby cały dzień nie przełknąć kawałka chleba. Sama więc chodziła codziennie na zakupy, przynosiła mu jedzenie i starannie pilnowała, żeby zjadał wszystko do ostatka.

Egert prawie nie wychodził z pokoju. Siedząc przy oknie, widział niejedną raz, jak Toria przechodzi przez dziedziniec z koszykiem w dłoni. Po paru letnich, burzliwych ulewach pozostała na środku długo nieschnąca, wielka kałuża. Pewnego razu na drodze wracającej z bazaru panny pojawił się pluskający się w niej wróbel.

Być może zresztą nie był to wróbel. Ze swego punktu obserwacyjnego Soll mógł równie dobrze uznać za jakiego bądź ptaka owo stworzenie o mokrych, nastroszonych piórach. Ptaszyna w każdym razie miała wyraźną frajdę z ciepłej kąpieli i nie dostrzegała nadchodzącej dziewczyny.

Panna zwolniła kroku, potem się zatrzymała. Egert mógł podziwiać jej pięknie rzeźbiony, niczym na starej monecie, profil. Czekał, aż przeskoczy kałużę i pójdzie dalej, lecz chyba jej się nie spieszyło. Ptak taplał się dalej z samozadowoleniem, ona zaś cierpliwie czekała.

Wreszcie zakończył swe ablucje i nadal nie zwracając uwagi na delikatną, dziewczęcą postać, podfrunął na najbliższy balkon, by się osuszyć. Toria przełożyła koszyk do drugiej ręki, z sympatią skinęła mokrej ptaszynie i ruszyła dalej swoją drogą.

Kiedy wracała z rynku następnego dnia, miała okazję natknąć się dla odmiany na niejakiego Solla.

Upuszczony koszyk omal nie upadł na ziemię, lecz na szczęście mężczyzna zdążył chwycić go obiema dłońmi. Zaskoczeni niespodziewanym spotkaniem, milczeli chwilę oboje, mierząc się wzrokiem.

Toria nie mogła przyznać przed samą sobą, że Egert po raz kolejny ją zadziwia. Widoczna była zachodząca w nim kolejna przemiana: oblicze ze szramą pozostało wprawdzie znużone i smutne, lecz z oczu zniknął wyraz zaszczucia, który dostrzegła kiedy zjawił się w jej mieście. Teraz miał po prostu oczy zwykłego, zmęczonego człowieka.

Ostatnio dość często łapała się na tym, że myśli o nim. Uznała te myśli za niewłaściwe, a jednak nie potrafiła się ich wyzbyć. Wstrząsające okazało się dla niej wyznanie w bibliotece, że jest zdolny odczuwać jej ból, ale jeszcze bardziej zdumiało ją, że ma on poczucie winy, według niej nie do pomyślenia u typowego mordercy. Sama nie zaznała nigdy czegoś podobnego, pragnęła zatem ujrzeć go ponownie i

zbadać dokładnie, czy rzeczywiście pojął własną nikczemność? Czy wszystko jest tylko grą, żalną próbą wywołania współczucia i złagodzenia kary?

– Proszę mi oddać koszyk – rzekła oschle.

Nic innego nie przyszło jej w tym momencie do głowy.

Soll posłusznie wyciągnął w jej stronę swą zdobycz. Zakotływały się zielone lodygi pęku szczypiorku, spod których wystawała szyjka butelki wina i spory kawał żółtego sera.

Pochwyciwszy rączkę koszyka, poszła dalej korytarzem, z odchylonym w bok wolnym ramieniem, dzięki któremu zachowywała równowagę.

Zdażyła dojść do węgła korytarza, gdy usłyszała za plecami ochryple, niepewne pytanie:

– Może pomóc?

Zatrzymała się, choć nie od razu.

– Co? – rzuciła przez ramię.

Soll powtórzył propozycję udreńczonym głosem, jakby przeczuwając odmowę.

– Pomóc... Widzę, że pani ciężko...

Stała chwilę zmieszana. Na końcu języka miała nieprzyjemną odpowiedź, ale przygryzła go. Kolejny raz przypomniała sobie ciężki tom uderzający w policzek ze szramą, w okrwawione wargi... Bolała ją potem ręka, ale jeszcze bardziej serce, jakby zbiła bezpańskiego psa.

– Proszę bardzo – odparła w końcu z ostentacyjnym chłodem.

Nie od razu zrozumiał, a zrozumiawszy, nie podszedł natychmiast, jakby się obawiał, że znów go uderzy. Toria marszczyła brwi, patrząc w drugą stronę.

Koszyk znowu wrócił do jego rąk i poszli dalej w milczeniu, ona z przodu, on za nią. Minęli bez słowa dziedziniec i weszli do części gospodarczej. W pustej kuchni Toria przejęła zakupy i niedbałym gestem cisnęła na stół.

Soll zdawał sobie sprawę, że najwyższy czas zawrócić i wyjść, a jednak został. Być może czekał na podziękowanie?

– Dziękuję – rzuciła Toria.

Soll westchnął, ona zaś spytała nieoczekiwanie dla samej siebie:

– Wcześniej nigdy pan nie odczuwał... cudzego bólu?

Egert nie odpowiadał.

– No tak – zaczęła sama sobie wyjaśniać – gdyby wcześniej pan czuł coś takiego... nie mógłby tak po prostu wbijać szpady w brzuch drugiego człowieka,

nieprawdaż?

Natychmiast pożałowała tych słów. Soll skinął głową niemrawo.

– Nie mógłbym – potwierdził beznamiętnie.

Panna wydobywała z koszyka warzywa: pęki cebuli, marchwi, pietruszki. Egert patrzył zauroczony, jak w ślad za tym pojawiła się słodka bułka z makiem, osełka żółtego masła i dzbanuszek śmietany.

– A teraz – podjęła bezlitośnie – w tej sekundzie... jest pan w stanie to odczuwać?

– Nie – odparł ponuro. – Gdyby trwało to bez przerwy, zwariowałbym, nie doczekawszy spotkania z Tułaczem.

– Tylko wariat może czekać na spotkanie z Tułaczem – odcięła się Toria i znowu tego pożałowała, widząc, jak tamten blednie.

– Dlaczego?

Nie była zadowolona, że rozmowa poszła w takim kierunku, toteż zawinięty w szmatkę biały ser cisnęła na blat z pewnym rozdrażnieniem.

– Dlaczego?... Ma pan o nim jakiegokolwiek pojęcie?

Egert przesunął powoli palcem po bliźnie.

– Czy to wystarczający dowód?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzał na nią po raz pierwszy, nie odrywając oczu, smutny i pełen winy, czym ją nieco speszył. Aby ukryć zmieszanie, odgryzła bezmyślnie kawałek słodkiej bułki.

Soll, jak się jej wydało, przełknął ślinę i odwrócił się. Uradowana, że może odwrócić niezręczną sytuację, strzepnęła z warg okruszki i zapytała szybko:

– Jest pan głodny?

Wcześniej nie przychodziło jej do głowy, że mieszkając w bursie, dostaje jedzenie tylko raz dziennie, które przynosi mu wynajęta służąca. Nieco wstrząśnięta owym odkryciem, wahała się chwilę, w końcu podsunęła mu kawałek makowej bułeczki.

– Proszę. Niech pan je.

Pokręcił głową przecząco.

– A czy pani – zapytał, patrząc gdzieś w bok – wie coś więcej o Tułaczu?

– Proszę wziąć bułkę – nakazała nieustępliwie.

Chwilę spoglądał na smakowity kąsek, wreszcie wyciągnął dłoń i na jedno mgnienie dotknął jej palców.

Oboje odczuli tę chwilową niezręczność. Toria z nowym zapałem wypakowywała zakupy, Egert zaś, opamiętawszy się po chwili, wbił białe zęby w pieczywo.

Zerkała, jak je. W mig uporał się białym mięszem i posypaną makiem skórką, a potem skłonił się wdzięcznie.

– Dziękuję. Jest pani bardzo miła.

Skrzywiła się ironicznie. Cóż za uprzejmy młodzieniec! Znowu spojrzął jej prosto w oczy.

– Więc... nie wie pani niczego więcej o Tułaczu?

Wydobyła z szuflady nóż kuchenny i sprawdziła czubkiem palca, czy ostrze się nie stępiło. Nieprędko odpowiedziała pytaniem:

– Nie rozmawiał pan o tym z moim ojcem? Jeśli ktokolwiek na tym świecie naprawdę dużo wie o pańskim znajomym, to jest nim na pewno mój ojciec, rozumie pan?

Egert wzruszył ramionami ze smutkiem.

– No tak... Tylko ja niewiele rozumiem z tego, co mówi pan dziekan.

Zdumiał ją swoją szczerością. Kilka razy przejechała ostrzem noża po osetce, potem rzekła, ze szczególnym wzruszeniem:

– Nic dziwnego. Pan zapewne wcześniej odbierał głównie lekcje szermierki? Przeczytał pan chociaż jedną książkę, oprócz elementarza?

Oczekiwała, że znowu zblednie lub spuści oczy albo nawet wyjdzie. Skinął jednak głową twierdząco.

– To wszystko prawda... ale cóż począć. I tak żadna księga nie powie mi, jak spotkać Tułacza i jak z nim rozmawiać... żeby mnie zrozumiał.

Toria zamyśliła się chwilę, potem powoli rzekła, bezmyślnie bawiąc się nożem:

– Jest pan zupełnie przekonany, że to spotkanie jest konieczne? Myśli pan, że bez tej szramy stanie się lepszy?

Dopiero teraz opuścił głowę i zamiast jego twarzy ujrzała czub splełanych, jasnych włosów. Długo nie odpowiadał, wreszcie rzekł do podłogi:

– Proszę mi wierzyć, że... to konieczne. Albo się od tego uwolnię, albo umrę, rozumie pani?

Nastąpiła długa chwila ciszy, tak długa, że nać pietruszki zaczęła więdnąć na słońcu. Toria przenosiła wzrok z opuszczonej głowy Solla na słoneczny blask za

oknem i stało się dla niej jasne jak słońce, że stojący przed nią człowiek nie kłamie i niczego nie udaje. Naprawdę wybierze śmierć, jeśli klątwa szramy nie zostanie zeń zdjęta.

– Tułacz – zaczęła cicho – zjawia się w Dzień Wszelkiej Radości. Nikt nie zna jego dróg ani szlaków, choć powiadają, że w jeden dzień umie pokonywać niewyobrażalne przestrzenie. Jednak w ten świąteczny dzień zjawia się tutaj z pewnego określonego powodu. Pięćdziesiąt lat temu, tego samego dnia, na głównym placu... nie widać z tego okna... przed gmachem sądu wyznaczona była kaźń. Była jedną z karnawałowych rozrywek. Skazali pewnego włóczęgę za bezprawne posługiwanie się darem magicznym...

– Jak to? – wyrwało się Egertowi.

– Jakoby podawał się za maga, nie będąc nim naprawdę... To sprawa mroczna i zawikłana. Skazano go na ścięcie. Zebrał się wielki tłum. Skazaniec położył głowę na pieńku... Potem miał być pokaz fajerwerków... Kat uniósł topór... I w tym momencie skazaniec znikł, jakby go w ogóle nie było! Nikt nie wie, w jaki sposób. Może jednak rzeczywiście był magiem. Raczej nie uratowało go Widziadło Łaszą, jak niektórzy gadali...

Egert drgnął, lecz dziewczyna tego nie zauważyła.

– Od tego czasu w Dzień Wszelkiej Radości wyznacza się egzekucję, lecz jednemu z wylosowanych skazańców darowują życie. Ciągają losy na szafocie. Jednego wypuszczają, a pozostałych... traktują, jak każe prawo. Potem zaczynają się karnawałowe hulanki i wszyscy się radują, Egercie.

Złapała się na tym, że ni z tego, ni z owego, zwróciła się do niego po imieniu. Spoważniała.

– Cóż począć, taki obyczaj. Pan zapewne chętnie obejrzałby kaźń?

Odwrócił się i odparł z ledwie dosłyszalnym wyrzutem:

– Wątpię. Zwłaszcza, gdy sobie wyobrażę, co mogłoby się wtedy ze mną stać... Gdyby powróciła owa zdolność współodczuwania... Dlatego nie sądzę.

Spuściła wzrok, zawstydzona.

– Nie wiem, dlaczego to wszystko opowiadam – wycodziła przez zęby. – Ojciec uważa, że Tułacz ma jakiś związek z osobnikiem, który tak niespodzianie uszedł spod topora. Zarówno przed tym wydarzeniem, jak i potem owego człowieka spotykały wielkie próby życiowe, pod wpływem których przeszedł przemianę. Wszystko to dosyć niejasne, lecz mój Ojciec uważa, że ten właśnie człek jest

Tułaczem.

Nastąpiła znowu długa przerwa w rozmowie. Zadumana Toria drapała blat stołu czubkiem noża.

– I każdego roku – podjął powoli Egert – przychodzi tego samego dnia?

Wzruszyła ramionami.

– Nikt nie wie, o co chodzi Tułaczowi, panie Soll.

Zmierzyła wzrokiem rozmówcę i dodała niespodziewanie arogancko:

– Myślę jednak, że pan mało go obchodzi.

Egert odruchowo potarł szramę.

– No cóż... Będę więc musiał go zainteresować.

Wieczorem tego samego dnia odwiedził Egerta dziekan Łujan.

W pokoiku panował półmrok. Egert siedział przy oknie, a obok niego leżała na parapecie księga o zaklęciach, chociaż jej akurat nie czytał. Spoglądając na podwórzec nieruchomymi, szeroko otwartymi oczyma, widział nimi plac, na którym pośrodku morza ludzkich głów wznosiła się samotna wysepka szafotu. Wspominał także badawcze spojrzenie Torii, nóż tnący pietruszkę i topór tnący czyjąś szyję... Przypomniawszy sobie także niejasną opowieść dziekana o magu, który został ukarany utratą magicznego daru. Potem jego myśli pomknęły w stronę zakonu Łaszą. Oczyma duszy ujrzał Święte Widziadło, podobne jak dwie krople wody do rzeźbionego wizerunku. Zakutane w opończę, schodziło z postumentu i ratowało skazańca, porywając go z pieńka...

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Drgnął, wylękniony, ale nie ruszył się z miejsca, jakby z nadzieją, że odgłos był tylko złudzeniem. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy i w progu stanął dziekan.

W gęstniejącym mroku Soll nie zdołałby dojrzeć linii na własnej dłoni, lecz twarz przybysza, stojącego o kilka kroków, widoczna była doskonale, uosabiając wcieloną beznamietność.

Egert zerwał się z krzesła, jak użądłony. Pojawienie się tak ważnej osoby w ubogiej klitce, którą Egert przyzwyczał się uważać już za swój dom, wydawało się czymś tak niepojętym, jak zjawienie się słonecznego bóstwa w wężowej jamie.

Dziekan spojrzał pytająco na Solla, jakby wolny słuchacz miał zamiar podjąć jakąś kwestię. Soll milczał, albowiem całkiem go zamurowało.

– Proszę o wybaczenie – rzekł dziekan trochę drwiąco (Soll nie mógł się

oprzeć wrażeniu, że Toria jest bardzo podobna do ojca, nie tyle powierzchownością, co różnymi nawykami) – że zjawiam się tutaj niespodziewanie. Podczas naszego ostatniego spotkania mówiłeś, że gotów jesteś opuścić uniwersytet i motywowałeś to własną, hm, bezużytecznością... a raczej niewiedzą. Mówiłeś to poważnie?

Brudny, spadzisty sufit zwałił się Egertowi na kark. Wyrzucają go stąd! I mają do tego pełne prawo.

– Tak – potwierdził głucho – jestem gotów odejść. Wszystko rozumiem.

Milczeli obaj jakiś czas, dziekan beznamyślnie, Soll z niepokojem.

– Ja... – wybełkotał w końcu Egert, nie wytrzymując milczenia – naprawdę czuję się bezużyteczny, panie dziekanie. Nauka jest dla mnie jak... niebieski firmament dla mrówki. Być może zajmuję czyjeś miejsce?

Oblał się nagle zimnym potem, przerażony własnymi słowami. Czyjeś miejsce. Miejsce Dinara.

Dziekan potarł skroń, przy czym załopotał szerokim rękawem.

– No cóż, Soll... Rozumiesz w zasadzie prawidłowo. Nie ma co liczyć na twoje naukowe sukcesy, a jako wolny słuchacz nie jesteś, prawdę mówiąc, specjalnie gorliwy... Jednakże...

Dziekan wydobył z fałd ciemnej odzieży średnich rozmiarów tom w skórzanej oprawie i mniejszą książeczkę w miękkiej okładce.

– Poprosiłem Torię, żeby znalazła dla ciebie coś łatwiejszego na początek. Na szczęście potrafisz czytać. Kiedy uporasz się z tymi dziełkami, dostaniesz kolejne. Nie wstydź się pytać, kiedy czegoś nie zrozumiesz, a być może Toria udzieli ci korepetycji... A może nie, gdyż obawiam się, że ma za mało cierpliwości.

Łujan skłonił pożegnalnie głowę i już za progiem rzekł nostalgicznie:

– Kto, jak kto, ale Dinar miał na pewno wrodzony dar pedagogiczny.

Wspaniały dar polegający na tym, że nie narzucał innym swoich wniosków, lecz sprawiał, że słuchacz sam powoli do tego dochodził... To była jego ulubiona gra, dająca mu szczęście i satysfakcję... Spokojnie, Soll, nie mdlej. Nie mówię tego przeciwko tobie. Sam jednak rozumiesz, że nie znajdę dla ciebie czasu, dlatego pomyślałem, że najlepiej pomógłby ci właśnie Dinar. Nic jednak nie poradzimy, skazany jesteś na samodzielność.

Dziekan odszedł. Dopiero w tej chwili Egert zdał sobie sprawę, że stoi w kompletnej ciemności, w której nie można zobaczyć ludzkiej twarzy, ubrania, czy książek. Poczul gęsią skórę na całym ciele. Wyciągnął dłoń w stronę leżących na

stole książek. Skórzana okładka była chłodna w dotyku, kartonowa szorstka jak surowe płótno.

*

Księgi zatytułowane były: *Struktura wszechświata* i *Rozmowy z młodzieżą*. Autora pierwszej Egert wyobraził sobie jako zasuszonego starca, który przekazywał swą wiedzę jasno, lecz zwięźle, wymagając od czytelnika nieustannej uwagi. Twórca drugiej lubował się w długich dygresjach, opatrzonych przypisami i zwracał się do odbiorców „kochane dzieci”, toteż wydawał się dobrodusznym, nieco sentymentalnym tłuścioszkiem.

Kolejne stronicie książki w papierowej oprawie wywoływały pogłębiające się znużenie, natomiast przez rozdziały skózanego tomu przedzierał się niczym przez cierniste krzewy. Oczy przywykły w końcu do codziennego czytania i nie łzawiły jak poprzednio. Egert urządzał sobie także poranną przechadzkę po mieście, by rozprostować bolące plecy.

Szedł powolnym, spacerowym krokiem, jak człowiek niezdecydowany, w którą stronę się udać. Za każdym razem okazywało się jednak, że dziwnym trafem same nogi niosły go na pobliski bazar. Wędrował zatem między rzędami kramów, próbując gdzieś smalcu, ówdzie śmietany, oglądając ryby i owoce, dopóki w ciżbie twarzy i kapeluszy jego wzrok nie odnalazł czarnowłosej główki Torii.

Od razu go zauważała, lecz sprawiała wrażenie, że jest zajęta zakupami i nie ma powodu się rozglądać na boki. Przechodząc od straganu do straganu, wybierając towar i targując się o cenę, zapełniała powoli koszyk. Soll trzymał się jej w pobliżu, by nie tracić z oczu, ale także nie wchodzić w paradę.

Zakończywszy zakupy, panna ruszała w powrotną drogę. Egert za każdym razem odczuwał niezręczność, kiedy okrążając stragany długim łukiem, pojawiał się na jej drodze.

Witała go oschle i bez zdziwienia. Odbierając z jej dłoni plecioną rączkę koszyka, zawsze czuł ciarki na plecach.

Milcząc wracali do uniwersytetu. Błądząc niekiedy wzrokiem, Toria widziała mocne, opięte koszulą ramię i dłoń wystającą z podwiniętego rękawa. Koszyk w owej dłoni zdawał się lekki jak piórko i tylko kolejne kroki wprawiały w ruch mięś nie pod białą, nietkniętą opalenizną skórą. Odwracała wzrok. Przechodzili przez podwórzec ku zabudowaniom gospodarczym i rozstawali się, nadal w milczeniu, u wejścia do kuchni. Czasem Egert dostawał w nagrodę bułkę z masłem albo ociekający miodem

plaster, czy kubek mleka. Uchodząc ze zdobyczą, Soll wracał do siebie z lekkim sercem i siadał z książką, licząc godziny do kolejnego spotkania.

Parę razy Toria próbowała, jakby powiedział dziekan, „udzielić mu korepetycji”. Niestety, owe próby zakończyły się niepowodzeniem: nauczycielka i uczeń rozstawali się zniechęceni i rozdrażnieni. Te dodatkowe zajęcia zakończyły się pamiętną sceną, kiedy córka dziekana, rozpoczynając wywód o filozoficznych aspektach wszechświata i ludzkości, rzekła mimo woli:

– Prawda, Dinarze...

Urwała i napotkała wystraszony wzrok słuchacza. Natychmiast straciła wątek. Tego wieczoru dwoje ludzi przebywających w oddalonych skrzydłach wielkiego gmachu oddawało się poważnym, niewesołym rozmyślaniom.

Ostatecznie wywiązało się pomiędzy nimi coś na kształt chłodnej neutralności. Toria odpowiadała na powitania, Egert zaś nauczył się nie drzeć, gdy słyszał w korytarzu stukot jej obcasików.

W tym czasie na straganach pojawiły się dynie i arbuzy. Ciepłe dni przeplatały coraz chłodniejsze noce, a do uczelni zaczęli wracać opaleni, w większości dobrze odkarmieni w domowych pieleszach, studenci.

Zmieciono kurz z sal i korytarzy. Kucharka także wróciła i wzięła się do roboty, tak więc Toria nie miała powodu chodzić codziennie na rynek. Główna sprzątaczką trzepała poduszki i pierzyny, wzbijając tumany pierza, jakby na dziedzińcu starły się w śmiertelnym boju stada gęsi i kaczek. Każdego ranka przed głównym wejściem zjawiało się kilku młodzieńców z węzełkiem na ramieniu. Byli to nowicjusze, przyszli adepci, którzy przyjechali z dalekich wiosek i miasteczek. Gapili się z otwartymi gębami na żelazną zmiję i drewnianą małpę, peszyli się, gdy ich ktoś o coś spytał, a potem nieśmiało postępowali za panem dziekanem, zapraszającym ich na rozmowę. Potem część abiturientów ruszała ze smutkiem w drogę powrotną. Egert współczuł tym, którym odmówiono, zwłaszcza, że każdy z nich bardziej zasługiwał na miano studenta niż on.

Swoją drogą, letnie dni, spędzone nad książką, przyniosły jednak jakieś skromne rezultaty. Liznąwszy nieco wiedzy, czuł się znacznie pewniej, choć naturalnie, nie pozjadał wszystkich rozumów. Gdy zwrócił *Rozmowy z młodzieżą*, otrzymał w zamian sporych rozmiarów tomisko pod niezmiernie długim tytułem: *Filozofia gwiazd, kamieni, ziół, ognia i wody, a także ich wpływ na właściwości ludzkiego ciała*, jako dodatek barwnie ilustrowaną *Anatomię*.

Obrazki zaskoczyły go, trochę zszokowały, lecz zarazem wzbudziły ogromną ciekawość. Zadziwił się splotem naczyń krwionośnych, przemyślną konstrukcją kośćca i wielkimi rozmiarami wątroby. Do tej pory sądził, w prostocie umysłu, że ludzkie serce wygląda identycznie jak różowe serduszko wyrysowane na marginesie miłosnego listu, zdumiał się więc, ujrawszy na ilustracji skomplikowany, przypominający z kształtu kobzę, zbiór miechów i rurek. Straszliwy szkielet, któremu brakowało jeszcze tylko kosy w ręce, rozpościerał na kolejnej karcie całą swą zgrozę. Na szczęście otaczające go komentarze ze strzałkami rozpraszały myśli o śmierci, pobudzając zarazem umysł do zadawania pytań.

Wracający z domu Lis zastał kolegę nad podręcznikiem anatomii.

Spotkanie było serdeczne i burzliwe. Miedziane włosy Lisa opadały na ramiona, spalony słońcem nos łuszczył się jak pieczony ziemniak, a jego zachowanie nie stało się ani trochę bardziej poważne, czy też stateczne. W węzélku przywiózł pieczoną gęś z suszonymi śliwkami, pęto kaszanki, wypiekane w domu placuszki oraz całe mnóstwo różnorodnych owoców. Na samym dnie worka znajdował się bukłak gęstego jak krew wina. Jadło, które kochająca matka przygotowała na cały ty dzień, zostało pochłonięte w parę godzin. Lis mógł sobie być łobuziakiem i przecherà, ale na pewno nie był skąpcem.

Pierwszy kielich zamącił w głowie Sollowi. Patrzył, bezmyślnie uśmiechnięty, jak pokój zapełnia się kolegami studentami. Wkrótce nie zostało skrawka miejsca na łózkach ani na parapecie. Wszyscy śmieli się głośno, gadali o niczym, oblizywali zatłuszczone palce i wznosili toasty za zdrowie gospodarza, pijąc wprost z bukłaka. Opustoszywszy dobytek Lisa, wciąż zgłodniali niczym stado szarańczy, postanowili ruszyć na miasto. Soll nie miał wprawdzie pieniędzy, postanowił jednak iść ze wszystkimi.

Byli chwilę „Pod Zającem”, potem zasiedli w „Upojeniu”, gdzie biesiadowała także kompania strażników miejskich, którzy zapewne zeszli właśnie ze służby. Egerta peszyło trochę takie sąsiedztwo, ale tamci przyjęli studentów z sympatią, bez jakichkolwiek oznak nieprzyjaźni. Odpowiednia dawka chmielu zamąciła w głowie Egertowi i przytłumiła nieustający lęk.

Między dwiema grupami krążyły butelki, wymieniano się pozdrowieniami i niewinnymi żarcikami. Potem strażnicy rozpoczęli typową zabawę mundurowych, to jest rzucanie sztyletami do namalowanej na ścianie tarczy. Studenci przycichli. Najlepiej ciskał nożem barczysty, groźnie wyglądający młodzieniec ze skórzaną

opaską na włosach, z krótkim mieczem u pasa. Egert przyjrzał się broni z zainteresowaniem, gdyż u niego w Kawarrenie nikt takiego oręża nie używał.

Noże i kindżały wbijały się w drewno bliżej lub dalej centrum tarczy, namalowanej w kształcie dość nieregularnego jabłka. Strażników wciągnęła gra i zaczęli zakładać się na pieniądze. Barczysty właściciel krótkiego miecza zdołał nieźle obłupić mieszki kolegów, gdy nagle jednemu z nich przyszło do głowy rzucić wyzwanie tego już podpitym studentom.

Po krótkim zamieszaniu, ktoś tam postanowił stanąć w szranki, broniąc honoru uniwersytetu. Lis wiercił się między nimi, udzielając rad i starając się znaleźć jak najbliżej tarczy, przy czym strażnicy łagodnie, ale stanowczo odpychali go z powrotem na miejsce zaznaczone kredą na podłodze. Niestety, rzucone przez studentów noże nie chciały się jakoś wbijać w ścianę. Uderzały płazem o tarczę i spadały na podłogę, wzbudzając śmiechy i żarty wśród straży miejskiej. Jak na razie nikt się o to nie obraził.

Studenci przegrali trzy butle wina, garść srebrników i paradny kapelusz Lisa. Ten ostatni, będąc z natury hazardzistą, nie chciał przyjąć do wiadomości klęski swej drużyny i w końcu sam spróbował szczęścia. Osiągnął swymi rzutami tyle, iż stracił resztę pieniędzy oraz skórzany pas dobrej jakości.

Wcale tym nie zniechęcony Lis gotów był teraz zastawić nawet aptekę swego ojca i pewnie tak by się stało, gdyby jego oczy nie spoczęły akurat na poweselałym od piwa i rozanielonym ogólną atmosferą Egercie.

– Hej, Soll! – zawołał Lis, podwiązując sznurkiem spodnie. – Nie zagrasz z nami? Może byś rzucił choć raz, tylko szkoda ci forsy?

Egert wstał, uśmiechając się z przymusem. W tej chwili poczuł silną więź z posmutniałymi, przegranymi kolegami. Zwłaszcza zrobiło mu się żal utraconego skózanego paska.

Barczysty strażnik z rzemienną przepaską uśmiechnął się, wręczając kindżał Sollowi. Egert zmierzył wzrokiem odległość do tarczy, przymknął jedno oko... i w jednej chwili powrócił dawno zapomniany, lecz trwale nabyty mechanizm.

Ręka sama się uniosła do rzutu. Kindżał w jego dłoni zdawał się ożyć, jak zmijka. Ostrze śmignęło rozmazanym łukiem i z trzaskiem wbiło się w sam środek malowanego jabłka.

Wokół zaległa niezwykajna cisza. Strażnicy spoglądali po sobie ze zdumieniem, jakby nie wierzyli własnym oczom i chcieli się upewnić, czy wszyscy

widzą to samo albo może chmiel ich całkowicie zamroczył? Studenci skamieniali z opadniętymi szczękami. Moment osłupienia przerwał Lis:

– Jak to zrobisz?... – zapytał bełkotliwie.

Barczysty strażnik zrobił krok w ich stronę i energicznie potrząsnął mieszkciem.

– Stawiam złocisza... Po pięć rzutów, może być?

Egert uśmiechnął się nieśmiało.

Dalej wszystko rozegrało się bardzo szybko. W całkowitej niemal ciszy, przerywanej tylko niekiedy westchnieniami podnieconej publiki i głuchymi uderzeniami ostrzy o drzewo, Soll odzyskał pas i kapelusz Lisa, wszystkie przegrane pieniądze oraz te, które osiłek wygrał od swych kolegów. Oczy i dłonie Egerta pracowały samodzielnie, wypełniając dawno wyuczone czynności. Kindzały płaśały w jego dłoniach na podobieństwo szeleszczącego wachlarza, wlatywały w powietrze i znowu, jak zaklęte, wracały do jego ręki. Rzucił nimi niemal nie patrząc, jakby w natchnieniu, a wszystkie jakimś niepojętym sposobem trafiały w jedno i to samo miejsce, czyli środek tarczy, który zamienił się w dziurę, najeżoną drzazgami.

– Klnę się na Harsa – rzekł z respektem barczysty strażnik – ten chłopak nie przesiedział całego życia nad książką, na pewno nie!

Nagle dobra passa skończyła się. Egert spojrzał na ostrze i zadrzał, uświadamiając sobie, iż jest to zabójcze narzędzie i wyobrażając przebite ciało. Nikt jednak nie zauważył jego zmieszania, gdyż studenteria, wydobywszy się z osłupienia, zaczęła objawiać gwałtowną euforię.

Okrażyli Solla, ściskali mu dłoń, klepali po plecach. Strażnicy podchodzili kolejno i gratulowali z poważnymi minami. Poszli przepić odegrane pieniądze do „Jednookiej Muchy”. Do triumfujących studentów dołączyła para dziewczek, zachwyconych urodą i dzielnością jasnowęlosego Egerta.

Impreza na cześć Egerta w studenckiej knajpce przeciągnęła się do północy. Egert poznał dawną przyjaciółkę Lisa, rozchichotaną panienkę imieniem Farri. Drocząc się, krzywiła z urazą usteczka, by zaraz potem rzucić się miłemu na szyję, jednocześnie kokietując pozostałych, by wzbudzić zazdrość kochanka. Skończyło się to tak, że Lis przeprosił Egerta wraz z całą kompanią i wzięwszy dziewczynę za rękę, zniknął z nią gdzieś na zapleczu.

Od tej chwili wieczera przestała Egerta bawić. Z trudem uwolnił się od oblegających go pańienek i wy dostał na ciemną ulicę. Ledwie skręcił za róg, natknął

się na człeka w obszernej opończy. Twarz była skryta pod kapturem.

– Dobry wieczór, Soll – rozległo się w ciemnościach.

Głos brzmiał sympatycznie i należał bez wątpienia do Fagirry. Egert cofnął się o krok. Podczas kilku miesięcy, jakie minęły od jego wizyty w Wieży Łaszą, zdążył przekonać sam siebie, że bractwo przestało się nim interesować i nie chce go już przyjąć w swoje szeregi, pojawienie się znajomego zakonnika było więc jak grom z jasnego nieba.

– Zdziwił się pan? – rzekł Fagirra, uśmiechając się w cieniu kaptura. – Cieszę się, iż mogą panu obwieścić, że pierwsza próba, próba dochowania tajemnicy, zakończyła się sukcesem. Dał pan radę... Musimy porozmawiać. Lepiej oddalmy się od gwarne go tłumu.

Z „Jednookiej Muchy” istotnie dobywały się śmiechy i wrzaski, przemieszane z pijackimi śpiewkami, Egertowi wydały się jednak bliskie, niczym matczy na kołysanka.

– Tak – wymamrotał bez przekonania – oczywiście...

Wziąwszy Solla pod rękę, Fagirra wciągnął go do jakiegoś cichego zaułka. Młodzieniec obawiał się, że za chwilę otworzy się przed nimi kolejne tajne przejście do Wieży Łaszą.

Mnich zatrzymał się. W mroku błysnęły jego białe zęby.

– Cieszę się, że pana widzę, Soll, w dobrym zdrowiu i nastroju... Mamy mało czasu. Wkrótce, zgodnie z wolą Łaszą, staniemy się współpracownikami, braćmi. Na razie wystarczy, by się pan dowiedział, że świat się zmienia, a właściwie już się zmienił. Ludzie zbyt daleko odeszli od Łaszą, na własną zgubę. Rozumie pan, Egercie? Co za głupcy... Miejski sędzia słuchał rad naszego Mistrza, jest jednak obecnie ciężko chory, a kto wie, jak zachowa się jego następca? Już teraz słyszy się głosy wrogie Łaszowi... Na własną zgubę to mówią, Egercie, na zgubę!

Młodzieniec słuchał mnicha, niewiele rozumiejąc i nawet nie próbując zrozumieć, gorączkowo zastanawiając się jednocześnie, czego może chcieć od niego zakonnik.

– Nadchodzi czas próby... dla wszystkich mieszkańców, Egercie. Jakiej konkretnie, dowiesz się w chwili wyświęcenia. Trzeba zdążyć pojednać się z Łaszem, zanim nadejdzie... to, co nieuniknione. Przeżyjesz to z nami, podczas gdy inni zginą marnie...

Mnich mówił coraz szybciej i zarliwiej, jego oczy błyszczały w ciemnościach.

Z każdym jego słowem Soll odczuwał coraz większy przestach, jakby usłyszał nad spokojnie śpiącym miastem łopot ogromnych skrzydeł anioła śmierci.

– Wkrótce, Egercie... ale masz jeszcze czas. Powinieneś przejść drugą próbę. Zgodnie z wolą Łaszą będzie zarazem ostatnia. Wieża skryje cię, gdy zostaniesz wyświęcony, przed tym... co tutaj nastąpi. Jesteś gotów posłuchać?

– Tak – odparł Egert mimowolnie.

Fagirra pochylił kaptur ku twarzy Solla.

– Posłuchaj. Oto warunki ostatniej próby. Po pierwsze, milczeć, jak poprzednio. Po drugie, co najważniejsze, masz patrzeć i słuchać. Będziesz naszymi oczami i uszami, Egercie. Sam Mistrz będzie odbierał twoje raporty. Spotykasz na uniwersytecie naszych zwolenników i wrogów. Musimy zorientować się, kto jest kim. Mistrza interesuje szczególnie pan dziekan i jego piękna córka. Patrzeć i słuchać. Z pewnością zostałeś wtajemniczony w plany związane z pisaniem przez niego dziełem?

Egert poczuł się jakby oblany wrzątkiem, co sprawiło, że całkiem zapomniał o strachu. Czuł jak pała go uszy i policzki i cieszył się, że zakonnik nie może tego dojrzeć w mroku. No cóż, dawny Soll, osławiony kawarreński zabijaka, zakończyłby tę rozmowę w jednej chwili. Dawny Soll umarł jednak, a ten ze szramą mógł tylko szepnąć drżącym głosem:

– Niestety, przeceniacie moje możliwości. Nic nie wiem o planach pana dziekana.

Fagirra ujął go przyjacielsko za ramię.

– To właśnie próba, Soll. Trudna próba, nie przeczę. Zapewne niełatwo będzie się tego dowiedzieć, ale przecież nie będzie to niemożliwe, nieprawdaż?

– Nie wiem – szepnął Egert. – Nie jestem pewien.

– Soooll – przeciągnął z wyrzutem mnich – mój drogi przyjacielu... Zrobiłeś już pierwszy krok, byłeś świadkiem – tajnego obrzędu... Okazano ci zaufanie. Czy nie należy go potwierdzić? Przeżywasz teraz chwilę słabości, a cena za nią może się okazać wielka, by nie rzec, nieludzka... Nie poddawaj się lękowi, bo to pogorszy sytuację. Wierz mi, rozmawiam z tobą jak z naszym przyszłym bratem. Łatwiej ci będzie składać raporty Mistrzowi, czy też mnie na początek?

Egert z trudem opanowywał targające nim dreszcze. Ponieważ dłonie mnicha nadal spoczywały na jego ramionach, tamten doskonale to wyczuwał.

– Tobie – szepnął Egert, pragnąc, żeby się to wreszcie skończyło.

Fagirra milczał chwilę, potem rzekł łagodnie:

– Bardzo dobrze. Sam cię odnajdę. Twoim zadaniem jest patrzeć i słuchać. I jak najwięcej pytać, wypytywać, ale bez przesady. Dziekan jest mądry...

Chciał już odejść, ale wstrzymał się jeszcze.

– Nie powinieneś robić z tego problemu, Egercie. Potem zrozumiesz. Podajemy ci pomocną dłoń, dając niebywałą szansę. Pojmiesz to później, na razie musisz nam zaufać. Rozumiesz?

Egertowi zabrakło sił na odpowiedź.

Historia z kindzałami stała się słynna na uniwersytecie i sprawiła, że nawet całkiem nieznanymi dotychczas Sollowi studenci podchodzili do niego, by uścisnąć mu prawicę i spytać o cokolwiek. Rozpoczął się rok akademicki. Egert nie opuszczał wykładów, lecz było mu bardzo ciężko.

Po ostatnim spotkaniu z Fagirra postanowił przestać włóczyć się po mieście, choć wcale nie było pewne, czy mury uniwersyteckie ochronią go przed sługami zakonu Łaszą. Egert dobrze wiedział, że strach zdradza go na każdym kroku i czyni bezwolną ofiarą każdego, kto chciałby się czegoś o nim dowiedzieć, zwłaszcza o jego przeszłości. Zakon Łaszą wie albo się domyśla, że młodzieniec jest tchórzem, co oznacza, że stał się ich zakładnikiem i jego wrodzona duma ani szlachectwo go nie zbawia, w chwili, gdy ugną się pod nim drżące kola na, suchy język uwięźnie w ustach, aby w końcu wymamrotać słowa zdrady...

Przeciągły, donośny dźwięk z Wieży wprawiał go w przerażenie.

Pewnego dnia zebrał się w sobie i postanowił pójść do dziekana, przyznać się do wszystkiego. Kiedy zbliżał się do gabinetu, ujrzał oczami duszy twarz Fagirry i usłyszał jego świszczący szept, zapowiadający przyszłe nieszczęścia. Egert zdołał wydobyć z siebie tylko jedno pytanie: Co się stanie... albo co się nie stanie... w najbliższej przyszłości?

Dziekan mocno się zdziwił. Z zatrwającą powagą odpowiedział, że w najbliższej przyszłości bez wątpienia coś się wydarzy, to zaś, co było, to było. Egert speszył się, przeprosił i uciekł, pozostawiając dziekana w rozterce.

Były też momenty, w których Soll starał się uspokoić i przekonać sam siebie, że Fagirra, a tym bardziej siwy Mistrz są ludźmi godnymi zaufania. Być może istotnie zbyt mało wie, a powierzona mu misja nie jest zdradą, lecz przysługą dla uniwersytetu... Przecież Fagirra mówił wyraźnie: „Pojmiesz to później, na razie musisz nam zaufać. Rozumiesz?”

Rozumiem, szeptał Soll i robiło mu się od tego lżej. Nawet całkiem poważnie zastanawiał się, jak najlepiej wypełnić swą misję. Zaraz potem jednak nagłe odczucie własnej podłości przywodziło go do rozpacz. Siedząc całymi godzinami na parapecie, nie odpowiadał na zaniepokojone pytania Lisa, nie mając odwagi spojrzeć w jego piwne oczy.

Kolega odnosił się ostatnio do niego ze znacznie większym respektem, nie tylko z powodu objawionej umiejętności rzucania nożem, ale także lektur wolnego słuchacza: *Anatomii i Filozofii ziół...*, wypożyczonych wprost od samego dziekana. Kajetan nauczył się, kiedy lepiej zostawiać kolegę w spokoju, skoro widział, że tamten pragnie samotności.

Pewnego wieczora, zapaliwszy świeczkę, Lis ośmielił się zapytać tajemniczego współlokatora:

– Posłuchaj, Soll... Właściwie kim ty jesteś?

Egert, marzący właśnie w półśnie o domu rodzicielskim, drgnął.

– O co ci chodzi?

Lis wiercił się na skrzypiącym łóżku.

– No... Niby jesteś cichy i nieśmiały, ale nożami rzucasz tak... że lepiej ci się nie narażać.

– Nie bój się – odparł Egert z gorzkim uśmiechem.

Lis wiercił się gniewnie.

– No tak... Gdybym miał taką gładką gębę, jak ty, wszystkie dziewczyny w mieście byłyby moje... Mógłbym w nich przebierać. Same chodzą za tobą sznurem, a ty nawet nie spojrzysz... U ciebie w tych sprawach wszystko w porządku, prawda?

Egert znów się uśmiechnął. Lis najwyraźniej nie dawał za wygraną, pospieszył bowiem z kolejnym pytaniem:

– A kto ci okaleczył twarz?

Soll westchnął.

– Daleko jeszcze do Dnia Wszelkiej Radości? – spytał szeptem.

– Jeszcze miesiąc – odparł zdziwiony Lis. – A bo co?

Pozostał więc jeszcze miesiąc do wyznaczonego terminu. Egert zdawał sobie sprawę, że nie stanie się łajdakiem i donosicielem, jeśli dotrwa do spotkania z Tułaczem. Na razie podlega klątwie, lecz prawdziwemu, wolnemu Sollowi nie będą straszne żadne zagrożenia, nawet największe klęski. Zakon Łaszą utraci nad nim kontrolę i będzie

mógł rzec Fagirrze prosto w oczy: Poszukajcie sobie innego szpiega! A Karwer... Powrót do Kawarrenu, spotkanie z ojcem... A potem, Egert doskonale to sobie wyobrażał, wróci na uniwersytet i poprosi dziekana, by go przyjął z powrotem, a może nawet... Ale to później. Póki co najważniejszy jest Tułacz i spotkanie za miesiąc.

Myśli o tym, co się stanie, jeśli spotkanie nie dojdzie do skutku albo Tułacz odmówi zdjęcia klątwy, Egert po prostu odpychał od siebie i nie dopuszczał do swej świadomości.

*

Kilka nocy z rzędu Toria miała niezwykle wyraźne, dziwne sny.

Raz jej się przyśniło, że stoi na pokładzie żaglowca. Widywała często takie statki na rycinach, ale nigdy w rzeczywistości. Wokół rozciągała się spokojna powierzchnia niebieskawego morza, nad głową zwieszała się kopia niebios. Obok niej stał ojciec, nie wiadomo dlaczego trzymający w dłoni klatkę dla ptaków, w której trzepotał się jakiś ptaszek, mniejszy od wróbelka. Czuła radość w sercu i śmiała się przez sen. Na odległym horyzoncie pojawiła się jednak ogromna czarna chmura i kapitan, który stał także w pobliżu, rzekł z uśmiechem: „Nadchodzi sztorm, ale nam on niestraszny”.

Toria nie bała się, chociaż burzowa chmura zbliżała się niesamowicie szybko, a kapitan trochę zbyt późno wyczuł niebezpieczeństwo. Na niebie, tuż nad statkiem wisiała nieprawdopodobnej wielkości sowa, będąc jednocześnie ptakiem i chmurą. Jej okrągłe oczy świeciły niczym dwie latarnie mętным poblaskiem, rozłożone skrzydła zakrywały nieboskłon. Kapitan wrzasnął przerażony, a wraz z nim cała załoga. W tym momencie dziekan Łujan otworzył drzwiczki klatki trzymanej w dłoniach.

Małeńka ptaszyna wyfrunęła na wolność, prędko wznosząc się ku górze. Zaczęła rosnąć i czernieć na oczach osłupiałych ludzi, zamieniając się w chmurę. Kiedy zrównała się z sową na niebie odbyła się walka na śmierć i życie. Toria nie dowiedziała się, kto zwyciężył, gdyż zbudziła się przed końcem pojedynku.

Rozmyślając, co też mógł ów sen znaczyć, wybrała się do miasta, gdyż ojciec prosił ją wczoraj, by odwiedziła aptekę. Wracając, spotkała przy głównym wejściu dwie panienki w kapelusikach udekorowanych barwnymi kwiatkami. Jedna drugą zachęcała szturchańcami, w końcu odważyły się zadać pytanie córce dziekana: Czy tutaj mieszka... to znaczy uczęszcza... wysoki blondyn ze szramą na policzku?

Toria się spieszyła. Panienki, coraz bardziej zdenerwowane, wyjaśniły, że

poznały go całkiem niedawno... w pewnym miejscu... i umówiły z nim na spotkanie, lecz chociaż panowie studenci bywają w mieście bardzo często, to jednak ten białowłosy... Wiesz, który? Nie pojawił się od paru tygodni. Może zachorował?

W pierwszej chwili chciała wybuchnąć śmiechem, po chwili skrzywiła się gniewnie, ale zaraz potem zreflektowała się i pomyślała: i cóż w tym dziwnego? Cóż ją obchodzą sercowe podboje Solla?

Oznajmiła więc oschle panienkom, że „blondyn ze szramą” jest całkiem zdrowy i wkrótce pewnie zjawi się „w pewnym miejscu”. Zanim odeszła, usłyszała jeszcze prośbę, by przekazać temu chłopakowi, że pytały o niego Ora i Rozalia.

Toria z pewnością mocno by się zdziwiła, gdyby wcześniej ktoś jej powiedział, że będzie potem wspominać wielokrotnie owo nieoczekiwane spotkanie, a jednak wspominała, dziwiąc się własnej głupocie. Być może drażnił ją wybór Egerta: zwykłe ulicznice... Cóż, w tych sprawach studenci nigdy nie byli szczególnie wybredni... Ale Soll! ... Wielkie nieba, dlaczego miałby być lepszy lub gorszy od innych?

Spotkała go następnego dnia i nie omieszkła wykorzystać okazji.

– Szukały pana dwie przyjaciółki. Być może zapomniał pan o nich, Soll?

Spoglądał na nią jakiś czas, niczego nie pojmując. Zauważyła, że ma podkrążone i zaczerwienione oczy, jak po długim, nocnym czytaniu.

– Kto? – spytał w końcu.

– Ora i Rozalia – oświadczyła, wyteżając pamięć. – Szczególny ma pan gust!

– Nie znam ich – odparł, wzruszając ramionami. – Jest pani pewna, że to o mnie chodziło?

Toria nie wytrzymała.

– A jest tu jakiś drugi „wysoki, białowłosy, ze szramą”?

Egert jedynie się uśmiechnął, odruchowo pocierając policzek. Toria poczuła się głupio. Mamrocząc coś niewyraźnie, czym prędzej się oddaliła.

Jakiś czas później ujrzała go w kompanii, której przewodził rudy Kajetan. Soll przewyższał o głowę swych towarzyszy. Cała grupa wybierała się zabawić na mieście, studenci pokrzykiwali wesoło. Egert milczał, trzymając się na uboczu, lecz oczom panny nie umknął respekt, z jakim odnosili się doń koledzy. Przy nim czuli się trochę jakby mniejsi, słabsi, niedowartościowani, on zaś w każdym swoim geście, wykonywanym z naturalną gracją, zdawał się pośród nich rasowym ogierem, chcącym się ukryć w gromadzie sympatycznych, rozbrykanych mułów.

Z niezadowoleniem przyłapała się na prawdziwym zainteresowaniu. To oczywiste, że Ora i Rozalia się w nim durzyły i pewnie jeszcze niejedna młoda kózka przebierać będzie nóżkami, chcąc złowić takiego kawalera!

Kilka dni później Egert otrzymał niespodziewanie przesyłkę z Kawarrenu. Zasapany listonosz przytaszczył do uniwersyteckiej kancelarii ciężki worek, oblepiony łąkowymi pieczęciami, do którego załączona była niewielka, pomięta karteczka. Posłaniec nie odszedł, dopóki nie otrzymał srebrnika za swój trud. Worek był pełen domowego jadła, list natomiast tchnął serdecznością, choć napisany był na złotym, pocztowym papierze.

W pierwszej chwili nie rozpoznał charakteru pisma. Jego matka pisywała rzadko i niechętnie, nigdy też dotąd nie pisała do syna. A jednak zdało mu się, że papier pachniał jej perfumami. Poczł dreszcze.

List był bardzo dziwny. Kolejne wiersze pisane były krzywo ku dołowi, wątek wciąż się urywał. Nie było w nim ani słowa o ucieczce Egerta ani obecnym życiu w Kawarrenie. Zasadniczą treść stanowiły wspomnienia o Egercie, gdy był małym dzieckiem i wyrostkiem. On sam nie pamiętał prawie niczego z tamtych czasów. Natomiast matczyzna pamięć zachowała kolor obrusu, na który malec wylał talerz gorącej zupy i żuka, któremu pracowicie usiłował przykleić oderwaną nogę, i jakieś zuchwalstwo, za które ojciec chciał go ukarać, lecz matka wstawiła się za nim, mówiąc, że sama obmyśli karę... Soll z trudem doczytał list do końca, czując dojmujący ból w sercu.

Pragnąc go stłumić, Soll zaproponował, by Lis zaprosił wszystkich, którzy zdołają się pomieścić w niewielkim pokoiku. Wygłodzeni i spragnieni rozrywek studenci nie kazali długo na siebie czekać. Wkrótce łóżka trzeszczały pod licznymi siedzeniami, a parapet ledwie się trzymał, podobnie jak krzesło, obliczone tylko na jednego chudego studenta. Zawartość worka, która wystarczyłaby Egertowi na miesiąc, zniknęła w ciągu paru godzin. Wszyscy byli niezmiernie zadowoleni, włącznie z Egertem, który w wesołym rozgwarze biesiady zdołał utopić swą gorycz, smutek i strach przed tym, co miało nadejść.

Dzień Wszelkiej Radości zbliżał się milowymi krokami. Soll pragnął, by przyszedł jak najszybciej, to znów pragnął oddalić go w czasie. Lis coraz częściej wypytywał z niepokojem, czy wszystko z nim w porządku, ponieważ Egert wpadał

niespodziewanie w gorączkową wesołość albo w głęboki trans, siedząc godzinami u okna, bezmyślnie przerzucając książkę o zaklęciach, a przy tym prawie nie jedząc. Wstawał za to po nocy, żeby napić się wody ze zbiornika na korytarzu. Szczęk żelaznego łańcucha, na którym był zaczepiony kubek, budził sąsiadów, którzy później narzekali.

Do wiadomego dnia pozostał już tylko tydzień, kiedy dziekan Łujan poprosił Egerta do siebie.

Soll spodziewał się zobaczyć również Torię, siedzącą jak zazwyczaj na brzegu biurka i kręcącą stopką, lecz tym razem w ciemnym gabinecie czekał na zdenerwowanego gościa tylko surowy dziekan.

Kazał młodzieńcowi usiąść w fotelu z wysokim oparciem. Długo milczał. W środku szklanej kuli z zarysami kontynentów płonęła świeca, a w jej niepewnym blasku stalowe skrzydło nad biurkiem zadawało się żywe i gotowe do lotu.

– Za parę dni zjawi się w mieście – oznajmił dziekan półgłosem.

Dłonie Solla, ściskające nerwowo podłokietniki, w jednej chwili stały się mokre i lepkie od potu.

– Posłuchaj, Egercie – podjął dziekan wciąż cichym głosem, ale tak przenikliwym, że wywoływał ciarki na plecach słuchacza – wiem, co tymczasem przeżyłeś, oczekując na to spotkanie... Pytam dziś po raz ostatni: naprawdę chcesz rozmawiać z Tułaczem? Jesteś pewien, że to jedyne wyjście?

Egert przypomniał sobie Fagirrę, a potem dziewczynę w dylizansie, która stała się zabawką bandy rozbójników, a jeszcze później Karwera.

– Jestem pewien – potwierdził cicho.

Jakiś czas dziekan przewiercał go wzrokiem, lecz przetrzymał owo spojrzenie nie drgnąwszy.

– No dobrze – stwierdził w końcu Łujan – powiem ci zatem... wszystko, co wiem. Niestety, wiem niewiele.

Podszedł do okna, podniósł skraj zasłony, odwrócony plecami do Egerta i zaczął:

– Mówiłem ci już o człowieku, który utracił magiczny dar i wędrował drogą prób i błędów. Mówiłem o Wrotach, które ujrzałem w Wodnym Zwierciadle. Byłem wtedy małym chłopcem, mój nauczyciel umarł i zostałem sam... Przed Wrotami z mej wizji ktoś stał, a zasuwą była do połowy odsunięta. Na pewno nie rozumiałeś, dlaczego ci to opowiedziałem. Jeśli chcesz teraz zrozumieć, posłuchaj. Po ziemi

wędruje Tułacz. Nikt nie zna jego imienia i nikt też nie wie, z jakiej otchłani wychynał. Ma wielką moc, nieznaną nawet magom. Nie udało mi się go ujrzyć ani razu w Wodnym Zwierciadle, chociaż użyłem całej swojej wiedzy i talentu. Tułacz jest poza moim zasięgiem. Wyglądało to tak, jakbym próbując go odnaleźć wpadał na gładką ścianę. Nieznane budzi lęk, Egercie. Tułacz mnie przeraża, chociaż nie jestem nowicjuszem. Nie chcę twierdzić, że jest on złem wcielonym, gdyż trudno rozsądzić do końca, co na tym świecie jest dobrem a co złem...

Dziekan umilkł, Egert zaś, przyciskając dłoń do okaleczonego policzka, powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie:

– Klątwa jest złem.

– A zabójstwo? – obruszył się zdziwiony dziekan.

– A gdyby zabić zabójcę?

Śweczka we wnętrzu szklanego globusa ronila woskowe łzy.

– Dobrze – rzekł dziekan z westchnieniem – powiem ci więcej. Pół wieku temu świat stanął na skraju przepaści... Większość jego mieszkańców w ogóle tego nie wiedziała. Coś z zewnątrz, co stare kroniki zwały Trzecią Siłą, pragnęło wdrzeć się do naszego świata, by nad nim zapanować. Aby otworzyć Wrota Wszechświata Trzeciej Sile potrzebny był Odźwierny. Stał się nim ten sam człowiek, który stracił magiczny dar, odtrącony przez ludzi i zaślepiiony goryczą. Gdyby otworzył Wrota, zyskałby niesamowitą potęgę, lecz nie uczynił tego, w ostatniej chwili, nie wiadomo czemu, wycofując się. Nie wiadomo, co się działo z nim potem. Do świata żywych powrócił człowiek, który odważył się powstrzymać Trzecią Siłę i przejął od niej przeklęty stygmat, rodzaj dziedzictwa. Powiadają, że od tamtego czasu włóczy się po uratowanym przez siebie świecie. Dlatego zwą go Tułaczem. Czy to brzmi prawdopodobnie?

Egert nie odpowiedział.

– Nawet ja nie wiem – rzekł dziekan z lekkim uśmiechem. – Być może to zupełnie ktoś inny, a jego moc pochodzi z innego źródła. Dawniej chciałem go spotkać, teraz już nie. Kto go tam wie... Jest odludkiem, unikającym spotkań i tylko czasem słyszę o nim przypadkowo różne opowieści...

– Więc jestem nicią – stwierdził Soll.

– Czym? – zdziwił się dziekan, otwierając szeroko oczy.

– Nicią, łączącą pana z Tułaczem. Przecież dlatego się pan mną zainteresował, prawda?

Dziekan nachmurzył się.

– Tak... Całkiem trafnie odkryłeś pewien pragmatyzm w moim stosunku do ciebie. Jesteś nicią łączącą mnie z Tułaczem, a także zabójcą mego ulubionego ucznia, narzeczonego mej córki. Jesteś ofiarą okrutnej klątwy. A także człowiekiem idącym drogą doświadczeń. Tym wszystkim jesteś.

Znowu odwrócił się ku oknu.

Świeczka w szklanej kuli dopaliła się i zgasła. W gabinecie zrobiło się ciemniej.

– Co powinienem mu powiedzieć? – zapytał Egert.

Dziekan wzruszył ramionami.

– Co chcesz. Wystarczająco się już zmieniłeś, aby zdecydować samemu. Nie próbuj wzbudzić jego litości, to na pewno nie pomoże. Nie poniżaj się, ale nie bądź też arogancki, jedno i drugie może pogorszyć sprawę. A przede wszystkim dobrze się zastanów, Egercie. Czy na pewno to spotkanie nie jest ponad twoje siły? Być może obarczy cię czymś jeszcze gorszym, przy czym poprzednia klątwa wyda się zwykłym żartem?

Przechylił głowę na ramię, patrząc pytająco.

– Oczywiście, że się boję – odparł ledwie dostłyszalnie Egert – ale przecież już raz go spotkałem. Być może znajdę odpowiednie słowa. Być może znajdę.

Egert słuchał wykładu rektora. Pomiędzy rzędami wędrowała jakaś karteczka, niczym biały motylek. Nie zwracał na to uwagi, dlatego też zaskoczył go świszczący szept:

– Hej! Soll!

Kartka była zwinięta w trąbkę i napis na wierzchu nie pozostawiał wątpliwości, iż skierowana była do niego. Rozwinął ze zdziwieniem papier i przeczytał krótki tekst pośrodku czystej karty: „Jest w mieście”.

Drżący głos rektora zabrzmiał w jego uszach jak tłuczone szkło, aby po chwili się oddalić, przycichnąć i zamienić w brzęczenie muchy, tłukącej się o szybę.

Do święta pozostały jeszcze trzy dni. Rumiane służące ostatkiem sił dźwigały kosze wypełnione jadem. Z okolicznych wiosek przybyło mnóstwo handlarzy mięsem, którzy sprzedawali okrwawione sztuki wprost na ulicy, świńskie i krowie łby, królicze uda i całe pęki ubitego ptactwa. Egert odczuwał mdłości, gdy przypadkiem ujrzał martwy, bezoki łeb, nadziany na żelazny trzonek.

Fala ludzka niosła go przez ulice wciąż dalej i dalej. Gorączkowo przeglądając wszystkie zwrócone ku niemu twarze, kilkakrotnie wzdrygał się, oblewając potem i rzucał się do przodu. Za każdym razem, opamiętawszy się, przystawał zadyszany, z walącym sercem.

Spokojniej było w dzielnicy bogaczy. Mieszkańcy, śmiejąc się i pokrzykując do siebie, rozwieszali między oknami girlandy kwiatów, flagi i gobeliny, wystawiali na parapetach klatki ze śpiewającymi ptakami. Służba miejska czyściła dokładnie trotuar.

Ujrawszy w końcu ulicy szary płaszcz z kapturem, Egert uskoczył w pierwszy z brzegu zaułek i przylgnął do ściany.

W środku dnia pogoda się zepsuła i spadł gęsty, jesienny deszcz. Przemoknięty do suchej nitki, głodny i zmęczony Egert doszedł do wniosku, że postąpił niewłaściwie. Nie znajdzie Tułacza, błąkając się po ulicach. Trzeba było wszystko raz jeszcze przemyśleć i zastanowić się, gdzie może przebywać ktoś taki, jak on.

Namyśliwszy się, zaczął obchodzić po kolei gospody i pensjonaty. Tu i ówdzie patrzyli na niego wilkiem i od razu chcieli przegonić. Pokonując strach, wysuptywał monetę i wypytywał służących i właścicieli o wysokiego, starszego przyjeźdnego z przenikliwymi, bezzęsyymi oczyma.

Prędko opróżnił w ten sposób sakiewkę. W paru gospodach pokazano mu nawet pokój, w którym, zdaniem służby, miał się zatrzymać poszukiwany przezeń wysoki starzec. Trzęsąc się dłońią stukał do drzwi wskazanego pokoju, a kiedy usłyszał zaproszenie do wejścia, bardzo szybko musiał przeproszać za pomyłkę i wynosić się.

Ledwie powłócząc nogami, postanowił wrócić jednak na główny plac, ryzykując spotkanie z Fagirra lub innym sługą Łaszą. Wszędzie dookoła stukały topory i brzęczały piły. Naprzeciwko budynku sądu miejskiego, z kukłą wisielca przy wejściu, stawiano obszerny szafot.

Egert zadrżał, przypominając sobie słowa Torii o tradycyjnej egzekucji, otwierającej Dzień Wszelkiej Radości. Ciężko pracujących stolarzy otaczała chmara dzieciaków, wielce zaciekawionych ową robotą. Starali się pomagać im ze wszystkich sił, a jeśli któremuś udało się przytrzymać deskę lub młotek, ich duma i radość były wprost bezgraniczne.

Zaciskając zęby, Soll stwierdził w myślach, że w chwili kaźni będzie już

uwolniony od klątwy, a zatem przyjmie wszystko dzielnie i z zimną krwią. Zapadał zmierzch, jesienny deszczyk wzmagął się, resztkami sił ruszył w stronę uniwersytetu.

Następnego ranka wyszedł o pierwszym brzasku... i prawie natychmiast zobaczył wysokiego, starszego człowieka w znoszonej kurcie, ze szpadą u pasa. Zapłacił ulicznemu przekupniowi za jakąś klamerkę i niespiesznie poszedł dalej. Egert, lękając się stracić go z oczu, ruszył prędko w jego ślady.

Choć pora była wczesna, na ulicach było już pełno ludzi, którzy płątali się Sollowi pod nogami lub spychali go na bok. Egert jednak z maniackim uporem przedzierał się przez tłum, ścigając oczami szerokoskrzydły kapelusz wysokiego mężczyzny.

Tamten skręcił w końcu w boczny zaułek, gdzie było mniej ludzi. Prawie go doganiając, Soll jęknął resztką sił:

– Proszę pana!

Tamten nie zareagował. Zachłystując się w biegu, Egert dobiegł do niego, usiłując złapać za rękaw skórzanej kurty. W końcu nie odważył się tego uczynić i wychrypiał tylko błagalnie:

– Proszę pana...

Nieznajomy odwrócił się ze zdziwieniem i prawie odskoczył, widząc za plecami silnie zbudowanego młodzieńca z blizną na bladej twarzy.

Egert także się cofnął. Przechodzień tylko z daleka mógł się wydać podobny do Tułacza. Był to zwyczajny, dobrze sytuowany mieszczanin, który nosił szpadę jedynie od parady, aby dać do zrozumienia prostakom, z jakiego rodu pochodzi.

– Przepraszam – wybełkotał Egert, cofając się – pomyliłem się.

Tamten wzruszył ramionami.

Zgnębiony niepowodzeniem, obszedł ponownie wszystkie tłumnie nawiedzane miejsca, zaglądając nawet na ulicę rozkoszy. Wymalowane staruchy kiwały na niego, jakby był dla nich łakomym kąskiem, i ledwie się zdołał wyrwać z ich lepkich rączek.

Postanowił przejść się teraz po knajpach. Stając w progu, omiatał wzrokiem salę i upewniwszy się, że Tułacza tu nie ma, pokonywał pokusę, by usiąść i coś przekąsić, tym bardziej, że prawie już nie miał pieniędzy, lecz szedł dalej. W niewielkim przybytku pod wezwaniem „Stalowa Wrona” zdarzyło mu się natknąć na grupkę posilających się sług Łaszą.

Nie miał pojęcia, czy spoczęły na nim trzy uważne spojrzenia spod opuszczonych kapturów, ale kiedy znalazł się na ulicy, poprzysiągł sobie być na

przyszłość ostrożniejszy.

Drugi dzień poszukiwań nie dał żadnego rezultatu. Zrozpaczony Egert zwrócił się do dziekana z pytaniem, czy nie mógłby wskazać mu miejsca, gdzie Tułacz zazwyczaj przebywał?

– Soll – odparł dziekan, wzdychając – gdyby chodziło o kogoś innego, zaaranżowałbym wasze spotkanie. Nie mam jednak żadnej władzy nad Tułaczem, dlatego też nie zdołam go odnaleźć, chyba że on sam zechce się ujawnić. Jestem pewien, że ciągle przebywa w mieście i na pewno czeka na święto, aby potem znów odejść. Nie mogę ci pomóc. Spiesz się, Egercie.

W przeddzień Dnia Wszelkiej Radości w mieście huczało jak w ulu. Idąc powoli, niczym schorowany starzec, Egert włóczył się od domu do domu, zaglądając w twarze przechodniów. Wieczorem pod ścianami zalegiwali pijani, a okryci łachmanami żebracy podkradali się do nich, jak szakale do padliny, próbując wyciągnąć z ich kieszeni ostatnie, nie przepite jeszcze drobniała.

Było jeszcze dość widno. Egert stał wsparty o ścianę i bezmyślnie obserwował małego ulicznika, który bawił się ze zdechłym szczurem na sznurku przywiązany do ogona. Zapewne z okazji święta szczurze truchło przewiązane było niebieską wstążką.

Ktoś przeszedł tuż obok niego, niemal muskając jego ramię, potem zatrzymał się i obejrzał. Soll nie miał już siły się bać, zwrócił więc głowę w jego stronę.

Na chodniku tuż przed nim stał Tułacz. Egert w jednej chwili rozpoznał twarz pooraną bruzdami, wypukłe, jasne oczy, bezrzęse, nagie powieki, wąskie usta z opuszczonymi kącikami... Postawszy chwilę, Tułacz odwrócił się i odszedł.

Egert zaczerpnął w płuca powietrza. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Ruszył więc w pogoń, ale nogi miał jak z waty, niczym w koszmarnej śnie. Nie mógł zrobić kroku. Tułacz uchodził dosyć szybko. Egert zebrał wszystkie siły do biegu, gdy czyjaś ręka złapała go za kołnierz.

Szarpnął się. Tułacz był coraz dalej. Trzymająca go dłoń była wciąż zaciśnięta, usłyszał też śmiech nad samym uchem.

Dopiero w tej chwili się odwrócił. Otaczało go trzech ludzi. W pierwszej chwili nie rozpoznał tego, który dzierżył kołnierz.

– Witaj, Soll! – zawołał tenże radośnie. – Co za spotkanie!

To był głos Karwera. Nowiutki mundur błyszczał szamerunkami i guzikami, a odznaka porucznika zajmowała, zdawało się, połowę torsu. Jego towarzysze też byli gwardzistami: jednym z nich był Bonifor, drugiego młodzieńca z pierwszym

wąsikiem Soll nie znał.

Egert spojrział w ślad za Tułaczem, który zniknął właśnie za rogiem.

– Puszczaj – rzekł szybko – muszę...

– Za dużą, czy małą potrzebą? – zaciekawił się Karwer ze współczuciem.

– Puszczaj!

Soll szarpnął się, ale zbyt słabo. Roześmiany Karwer uniósł ku jego twarzy pięść w białej rękawicy.

– Nie spiesz się tak. Długo cię szukaliśmy w tej śmierdzącej dziurze nie po to, żeby cię teraz wypuścić...

Przyglądali się Egertowi z niekłamaną ciekawością, jakby był małą w zwierzyńcu. Bonifor gwizdnął ze zdziwieniem.

– Patrzcie... Wygląda całkiem jak student! Nawet nie ma szpady...

– Gdzie podziałeś swą sławną klingę? – spytał Karwer z udawanym smutkiem.

Bonifor wydobyl swoją szpadę z pochwy. Egert skamieniał, czując, jak strach paraliżuje każdy fibr jego ciała. Bonifor wyszczerzył zęby i przejechał palcem po ostrzu. Karwer poklepał Egerta po plecach.

– Nie bój się. Straciłeś honor wojskowy i szlachecki, więc nikt nie wyciągnie przeciwko tobie szpady. Przejechać nią po twarzy można, czemu nie... Można też obić ci głowę, dlaczego nie... To oczywiście nieprzyjemne, ale za to bardzo pouczające, prawda?

– Czego chcesz? – spytał Egert, z trudem obracając sztywnym językiem.

Karwer uśmiechnął się.

– Twojego dobra. Jesteś w końcu mym przyjacielem, tak czy inaczej... Sporo razem przeszliśmy.

Chrząknął, a Soll przestraszył się tego dźwięku bardziej niż obnażonej szpady.

– Pojedziemy do domu – podjął Karwer powoli. – Tutaj świętują Wszelką Radość, więc i tobie się przyjdzie radować... Jesteś dezertorem, który porzucił potajemnie służbę, splamiłeś mundur. Trzeba będzie wiele wyjaśnić i unaocznic, aż wszystko stanie się jasne...

Puścił kołnierza, ponieważ dwaj gwardziści chwycili mocno Solla za ramiona. Nie musieli się specjalnie wysilać, ponieważ strach krępował młodzieńca niewidzialnym łańcuchem.

Tułacz dawno zniknął w ulicznym tłumie i możliwość ponownego spotkania zniknęła z każdą minutą jak szybko topniejący śnieg.

– Posłuchaj, Karwerze – powiedział Egert, starając się powściągnąć drżenie głosu – może byśmy się tak dogadali? Muszę odnaleźć pewnego człowieka... Powiedz mi, gdzie mam później przyjść. Przyjdę tam, słowo honoru. Ale teraz muszę...

Soll gardził sam sobą, tak żałośnie brzmiały te słowa. Karwer rozpromienił się z satysfakcji.

– No, skoro musisz... może cię rzeczywiście puścimy?

Młodzieniec z pierwszym wąsikiem zdumiał się wielce i Bonifor dwukrotnie musiał do niego mrugnąć, żeby pojał wreszcie, że to tylko ciąg dalszy zabawy.

– Muszę go odnaleźć – powtarzał bezradnie Egert.

– Poproś – zaproponował poważnie Karwer. – Poproś jak należy. Padnij na kolana... Potrafisz?

Egert spoglądał na oficerki Karwera, wypucowane niedawno na błysk, choć do czubka prawego buta przyłgnęło parę zabłoconych słomek.

– Nad czym tak rozmyślasz? – zdziwił się Karwer. – Randka to ważna sprawa. Ładna jest, Soll? Czy paskuda?

– Co ci takiego zrobiłem? – wycedził Egert przez zęby.

Wieczorna ulica ożywała, zapełniając się gromadami roześmianych, tańczących i ściskających się hulaków. Karwer przysunął swoją twarz blisko twarzy dawnego przyjaciela. Dojrzawszy łzy w jego oczach, pokręcił głową.

– Jesteś tchórzem, Soll. Straszny tchórzem. Nie musicie go trzymać – dodał, zwracając się z uśmiechem do towarzyszy – nie zdoła uciec.

Bonifor i drugi gwardzista puścili niechętnie łokcie Egerta. Karwer uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie płacz. Jeśli padniesz na kolana, puścimy cię na tę twoją randkę... W porządku?

Na jezdni pod nogami leżała zardzewiała połówka podkowy. Czy to pierwsze poniżenie w tym życiu, pomyślał Egert, czy nie bywało już gorzej...

– Nie zrobi tego – stwierdził z przekonaniem młodzik z wąsikiem. – Jezdnia jest brudna, zapaćka sobie spodnie.

– Zrobi – zaproponował Bonifor, chichocząc. – Nie pierwszy raz będzie miał zafajdane spodnie...

To już ostatni raz, powiedział do siebie Soll. Naprawdę ostatni. Tułacz na pewno nie odszedł daleko. Jedno ostatnie poniżenie...

– No? – niecierpliwił się Karwer. – Długo będziemy czekać?

Rozwarły się drzwi pobliskiej karczmy i wytoczyła się z niej rozbawiona, pijana hałastrą, niczym szampan wystrzelający z otwartej butelki. Ktoś porwał Egerta w ramiona i wycałował w oba policzki. Kątem oka zdołał zauważyć dziewczki, rzucające się na szyje Karwera i Bonifora. Szalony korowód porwał Egerta wzdłuż ulicy. Gdzieś tam jeszcze mignęło oblicze młodzika z wąsikami, ale Soll uciekał, prawie nie czując nóg, z niezwykłą zręcznością lawirując między podchmielonymi hulakami, opętany jedną, jedyną myślą: Tułacz! Może go jeszcze zobaczę...

Późną nocą wrócił do bursy. Lis wystraszył się, ujrzawszy jego twarz, ściągniętą ostateczną rozpaczą. Nie udało mu się i pozostał już tylko jeden dzień, Dzień Wszelkiej Radości.

Szafot przed gmachem sądu został postawiony w ostatniej chwili, gdyż trochę zamarudzili robotnicy, starannie pokrywając miejsce kaźni czarnym sukniem, przyozdobionym bezpretensjonalnie girlandami świeżych kwiatów. W końcu był to element święta. Nawet drewniany pień był pomalowany pstrokato jak cyrkowy bęben.

Chodząc od rana po ulicach, otepiały od ciągłego przepatrywania twarzy, Soll nie od razu się zorientował, dokąd niesie go rozradowany tłum. Nie chciał iść na główny plac, próbował zatem zboczyć w pierwszy z brzegu zaułek, lecz znowu natrafił na potok podnieconych, cuchnących potem, winem i świeżo wyprawioną skórą ludzi, który zaniósł go wbrew woli przed gmach sądowy w pobliże szafotu.

Jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło płynąć pod prąd wzburzonej rzeki, teraz zaś odczuwał strach i rozpaczliwe położenie pływaka, usiłującego uniknąć wodospadu. Tłum niósł go niczym powódź drewnianą drzazgę, a uspokoił się dopiero, gdy wylał się na plac z przygotowaną scenką dla fascynującego widowiska. Niektórzy spoglądali z zawiścią na Egerta: Taka tyka grochowa nie musi nawet stawać na palcach!

Rozejrzał się bezradnie. Wokół było morze zadartych głów. Pomyślało przepelnionej grzędzie w kurniku. Oczy wszystkich zwrócone były na szafot, a rozmowy kręciły się wokół mającej nastąpić kaźni. Jak powiadano, byli dwaj skazańcy, zbójnicy z lasu, jednakowych przewin, lecz jeden miał być uwolniony zgodnie z tradycją. Losowanie wykaże, kto będzie tym szczęśliwcem i stanie się to na oczach wszystkich. Patrzcie, patrzcie, już idą!

Rozległ się warkot bębnowy. Na pomost weszła niewielka procesja z sędzią na czele. Nie był jeszcze stary, lecz bardzo chudy, wręcz wątyły, sprawiał wrażenie

toczonego przez jakąś chorobę, a jego mętne oczy ginęły w gęstwinie przedwczesnych zmarszczek. Panował jednak nad sobą, krocząc majestatycznie i pełen godności.

Sędziemu towarzyszyli sekretarz i kat, podobni do siebie jak bliźniaki. Różnili się jedynie strojem: pisarz sądowy odziany był w skromny, szary strój, podczas gdy oprawca radował oczy swą purpurową peleryną. Pierwszy z nich trzymał w dłoni pergamin obwieszony pieczęciami, drugi niósł w dłoni topór, a czynił to tak skromnie, jak chłop wybierający się właśnie narąbać drewno na opał.

Na szafot weszli teraz otoczeni strażnikami dwaj skazańcy. Egert przyjrzał się im i zachwiał się, ledwie trzymając na nogach. Czasowa przypadłość dała o sobie znać gwałtownie i natychmiastowo.

Skazani trzymali się ostatkiem sił. W myślach obu nadzieja walczyła z czarną rozpaczą, każdy pragnął przeżyć i życzył śmierci drugiemu. Tłum był natomiast gęstą magmą różnorodnych uczuć, wśród których były triumfalna satysfakcja i współczucie, nad wszystkimi jednak górowała dziecięca ciekawość, pragnąca zobaczyć, co jest w środku zabawki.

Soll usiłował wydobyć się z tłumu, lecz jego próby były daremne, jak muchy uwięzionej w miodzie. Po placu roznosiło się szerokim echem:

– W imieniu miasta... Za skandaliczne... zuchwałe... a także... grabieże... rozboje... zabójstwa... skazani są... na ścięcie głowy i przepadek mienia...

Zbójcy byli takimi samymi łotrami, jak ci, którzy zatrzymali w swoim czasie nieszczęsny dyliżans. Gwałtciiele i mordercy, powtarzał sobie Soll, czując się coraz gorzej.

Mimo woli znowu spojrzął na szafot. Sędzia trzymał w dłoniach dwie drewniane kule jednakowej wielkości. Biała darować mogła życie, czarna przynosiła ścięcie. Pisarz rozwinął zwykły płócienny woreczek, w którym zniknęły kulki. W potrząśniętym mieszkum śmierć uderzała o życie z głuchym łoskotem. Nadzieje obu skazańców sięgnęły szczytu, podobnie jak strach przed śmiercią. Zaciekawiony tłum uciszył się. Na znak sędziego obaj osądzeni jednocześnie wsadzili ręce do worka.

Nastąpiła milcząca walka. Twarze losujących pokryły się potem, dłonie gwałtownie miotały się w płóciennej ciemności, pragnąc pochwycić kulę, którą złapał przeciwnik. Ta gra ekstremalnych uczuć wywołała jęk Egerta. Stojący obok zerknęli nań ze zdziwieniem.

Wreszcie dwaj skazani wybrali swój los, wymieniając się przeciągłymi spojrzeniami.

– Wyciągnijcie! – rozkazał sędzia.

Tłum zamarł w oczekiwaniu.

Chwilę odczekali, potem jednocześnie wydobyli dłonie z worka i każdy spojrział na kulę zaciśniętą w dłoni towarzysza niedoli.

Tłum zakotłosał się, poruszony. Na oczach wszystkich zdobywca białej kulki padł na kolana, wyciągnął dłonie ku niebu, bezdźwięcznie poruszając wargami. Ten drugi stał nieruchomo i jakby nie wierząc własnym oczom, wodził wzrokiem od worka do swej zaciśniętej dłoni.

Sędzia dał znak. Oszałałego ze szczęścia wybrańca sprowadzono z szafotu, przegranemu zaś wykręcono ręce do tyłu, przy czym czarna kula uderzyła o deski. Egert usłyszał rozpaczliwe: Nie!!!

Nie wydał żadnego dźwięku, lecz całe jego jestestwo krzyczało o pomyłce, niesprawiedliwości i straszliwym nieporozumieniu. Dlaczego właśnie on?! Czy tak być musi, czy tak być powinno?

Bezdźwięczny krzyk, płynący od szafotu, sprawił, że Egert zwinął się z bólu. Tłum ogarnął go potężnymi, niczym podwójny akord organowy, nieodpartymi uczuciami: radością z uratowania czyjegoś życia i niecierpliwym pragnieniem zobaczenia egzekucji, kończącej życie drugiego.

Człowiek pochylony nad pniakiem cały emanował strachem i rozpaczliwym błaganem. Egert zakrył dłońmi uszy i zamknął powieki, lecz uporczywe „Nie!!!” przenikało do jego duszy niepowstrzymanie. Topór wzleciał ku niebu. Egert poczuł ciarki biegnące po skórze widzów, a gdzieś na wyższym poziomie jego jaźni bezdźwięczny krzyk błagający o litość urwał się nagle. Przez tłum przeleciała mętna fala wzburzenia, odrazy i podniecenia okrutnym widokiem, niezwykle łechzczącym nerwy...

Egert zawył.

Nie mogąc dłużej znieść strachu i bólu, krzyczał, zdzierając gardło. Ludzie odsuwali się od niego. Niczego nie widząc ani nie słysząc, przebijał się bez trudu przez ludzki mur, aż wreszcie przytomność zlitowała się nad nim, opuszczając go całkowicie.

Toria nie mogła znaleźć sobie miejsca, odkąd w mieście zjawił się Tułacz.

– Myślisz, że Soll ma jakąś szansę? – zapytała chłodno, widząc wychodzącego na poszukiwania Egerta.

Dziekan, do którego zwróciła się z tym pytaniem, wzruszył tylko ramionami. Przedświąteczne przygotowania odwróciły jej uwagę, lecz następnego dnia znowu spytała:

– I co? Nie znalazł go?

Dziekan pokręcił głową.

– Któż to wie... Tułacz może się okazać igłą w stogu siana. Kto wie...

Rankiem trzeciego dnia o nic nie zapytała, lecz za to ponury dziekan powiedział półgłosem:

– Nic z tego chyba nie będzie. Tułacz nie z tych, którzy cofają zakłęcia...

Możesz nie wierzyć, ale żal mi Solla. Tak zwyczajnie, po ludzku żal.

Uniosła brwi, nie odpowiadając.

Nie miała najmniejszego zamiaru być świadkiem egzekucji, odbywającej się na placu. Zamknawszy okna na głucho, słyszała jak przez grubą zasłonę zgiełk podnieconego tłumu i warkot bębnow. W pewnej chwili zapragnęła dowiedzieć się, gdzie obecnie przebywa Soll i z trudem stłumiła chęć odwiedzenia bursy.

Minął jakiś czas. Dręczona złymi przecuciami Toria chodziła z kąta w kąt. Potem, zaciskając zęby, z hałasem otworzyła okiennice.

Plac pokryty był ludźmi, jak żywym, szeleszczącym dywanem. Nie zadała sobie trudu, by wypatrywać Egerta. Pokonując niechęć, zerknęła na szafot i w tej właśnie chwili spadło świszczące ostrze topora.

Nabrała powietrza w płuca, jakby zamierzała krzyknąć, lecz uprzedził ją jeden wybijający się głos, prawdziwy ryk bólu. Głos był zmieniony, lecz rozpoznała go i odskoczyła od okna.

„Dawno to masz, Soll?” – „Nie panuję nad tym”.

Stopnie krętych schodków zamigały przed jej oczami. Biegła do wyjścia, sama nie wiedząc dlaczego, słysząc w głębi duszy bezustannie: „Nie panuję nad tym. Nie panuję...”

Nad placem wytrysnął fajerwerk. Dzień Wszelkiej Radości oficjalnie się rozpoczął.

Zmierzchało już, lecz ulice pozostawały oświetlone jak za dnia. Płonęły pochodnie w licznych dłoniach, grona latarni i lampionów zamieniały miasto w jedną wielką, rozbawioną gospodę. Nad placem iskrzyły się fajerwerki, a w ich świetle popisywali się swoim kunsztem wędrowni zonglerzy i akrobaci. Trupa śpiewaków zawładnęła

szafotem, traktując go jako scenę uliczną. Konkurenci patrzyli z zawiścią, jak obnoszona między widzami błazeńska czapka coraz bardziej się zapelniała brzęczącą monetą.

Na wszystkich rogach stały beczki z winem. Psy, które nazłopały się z czerwonych kałuż i rynsztoków, biegały chwiejnie lub pełzły z trudem do swoich bram. Całe miasto wypełniały niestrojne dźwięki wesołej muzyki. Każdy, kto choć trochę potrafił, grał na czym popadło: na pastuszych fletach, pustych butlach po winie, drewnianych tarkach do prania i dziecięcych grzechotkach. Z owego harmidru co pewien czas wydobywała się jakaś składna melodia, grana chociażby na skrzypcach... Całe szeregi, schwyciwszy się za ręce, tańcząc i chichocząc, pędziły zaułkami. Zdarzało się, że początek ludzkiego łańcucha zniknął za rogiem, podczas gdy ogon korowodu dopiero wbiegał na poprzednią uliczkę.

Obserwując te szalone pląsy, Toria szybko przekonała się, że odszukanie kogokolwiek w tym tłumie jest absurdalnym zadaniem. Solla pewnie zdeptał tłum na placu albo też pije i tańczy z innymi. Jeśli istotnie przydarzyło mu się nieszczęście i potrzebuje pomocy, dlaczego od razu nie zwróciła się do ojca, dlaczego rzuciła się bezmyślnie w ten świąteczny tygiel?

Zganiwszy się w myślach, niechętnie zawróciła i w tej chwili natknęła się na wyskakujący zza węgła taneczny korowód. Zatrzymała się i patrzyła, jak w świetle lampionów i pochodni wszystkie oblicza płasających od ulicy do ulicy zlewają się w jedną roześmianą gębę. Ostatnim w łańcuchu był młody chłopak w białej koszuli. Silną dłonią chwycił nadgarstek dziewczyny.

– Hej, dziewczyno! Zatańcz z nami!

Ulica wokół niej zawirowała.

Z trudem nadażała w biegu, usiłując wyrwać dłoń. Znalazła się na samym końcu korowodu, lecz po chwili ktoś uczeplił się jej wolnej ręki spotniałymi paluchami. Bojąc się, że upadnie i zostanie rozdeptana, usiłowała naśladować ruchy tancerzy, uwzględniając ostre zakręty i nie wpadając na ścianę. W pewnym momencie łańcuch się rozerwał. Na dziewczynę nieomal wpadli biegnący z tyłu, udało jej się jednak zręcznie wywinąć i uciec, pozostawiając za plecami rozchichotany wąż.

Serce jej kołatało, pierś falowała gwałtownie, chwytając łąpczywie powietrze. Włosy miała potargane, a cienkie trzewiczki pokryte błotem. Wsparłszy się dłonią o ścianę, zadrżała, ujrawszy leżącą pod murem nieruchomą postać. Pokonując strach, zbliżyła się i zajrzała mu w twarz. Był to śpiący twardo pijak, brunet z wielkimi

wąsami, które wznosiły się chwacko wraz z miarowym oddechem.

Odskoczyła od niego i poszła dalej. Jakiś chłopak podetknął jej pod nos solony precelek, lecz spojrzała na niego w taki sposób, że natychmiast się cofnął. Szeroką ulicą pędzili w obie strony jeźdźcy. Pomyślała o zabójczych końskich kopytach i nieostrożnych, pijanych pieszych.

Właśnie jeden z nich upadł pośrodku jezdni. Toria zmartwiła, widząc, że jeźdźcy wracają.

– Bokiem! – krzyknął ktoś rozkazująco.

Podkute kopyta zadudniły na bruku tuż obok głowy leżącego, lecz mądre zwierzęta, bez wątplenia mądrzejsze niż jeźdźcy, starały się nie potrącić nieszczęśnika i kawalkada pojechała dalej bez przeszkód.

Człowiek leżący na kamieniach nawet nie drgnął. Toria pokonała odrazę i zbliżyła się do niego.

Leżący był bardzo wysoki i barczysty. Jasne włosy zlepily się na potylicy w kłęb czarnej, zakrzepłej krwi. Widocznie nie był to jego pierwszy upadek.

Czując bicie własnego serca, Toria przykucnęła i zajrzała w twarz, spoczywającą na bruku.

– Soll...

Nie odpowiadał. Twarz wyglądała jak gipsowa maska, poznaczona strugami łez.

– Soll – powtórzyła ze strachem – nie możesz tutaj być... Stratują... Słyszysz mnie pan?

Bokiem przebiegał kolejny roztańczony korowód. Czyjaś stopa w ciężkim bucie trąciła plecy Egerta. Nie ruszył się. Chwyciła go za ramiona.

– Egercie... Obudź się! Zbudź się natychmiast!

Na końcu ulicy rozległ się tętent kopyt. Dźwignięcie rosnącego mężczyzny okazało się dla niej niewykonalne. Zaciskając zęby, przewróciła go na plecy, potem na brzuch i znowu na plecy. Turlała go, jakby był ściętym pniem. Głowa ze zlepionymi strąkami jasnych włosów przewalała się bezwładnie.

Jeźdźcy przejechali przez miejsce, gdzie dopiero co leżał Egert, krzesząc iskry spod kopyt. Toria poczuła od nich dym i wino. Wsparła bezwładne ciało o ścianę. Oczy miał otwarte, lecz puste, jakby przezierały martwo przez zajmującą się nim dziewczynę. Przestraszyła się, nie widziała bowiem jeszcze u nikogo czegoś podobnego.

– Soll – jęknęła z rozpaczą – proszę... Słyszysz mnie?

W matowych, nieruchomych źrenicach nie pojawił się nawet cień zrozumienia.

Walcząc ciągle ze strachem, spróbowała z innej beczki.

– Ach, tak?! Nie wiem zupełnie, dlaczego muszę zajmować się każdym napotkanym pijakiem?!

Pochyliła się nad jego twarzą, pragnąc wyczuć gęsty odór wina, lecz go nie było. Zrozumiała, że jest absolutnie trzeźwy.

Bardzo się tym stropiła. Najlepszym wyjściem wydawało się jej pobiec do ojca i prosić go o pomoc. Zrobiła nawet parę kroków, lecz w końcu zawróciła. Coś jej mówiło, że pozostawić teraz Egerta oznaczało skazać go na śmierć. Ojciec nie zdąży na czas, a tymczasem bezwładne ciało zdepczą rozbawione tłumy, a jutro służba miejska przyniesie do uniwersytetu jego zmasakrowane zwłoki.

Zbierając wszystkie siły, przycisnęła palce do jego skroni. Skóra była ciepła, krew zdawała się pulsować regularnie, miał więc szansę powrócić między żywych. Odetchnęła i, tak jak uczył ją ojciec, zaczęła kolistymi, zdecydowanymi ruchami masować jego karki potylicę. Jego nieruchomy wzrok przerażał, powtarzała więc drżącym głosem:

– Egercie... Obudź się. Ocknij się, proszę cię... Co zrobię, jeśli się nie obudzisz?

Palce jej drętwiały, a tymczasem oczy mężczyzny wciąż pozostawały martwe. Myśl o tym, że całkiem postradał zmysły, wywołała ciarki na jej plecach.

– Nie – mamrotała. – Tak nie można, nie można...

Wokół nich krążyły dziesiątki tupiących nóg. Ktoś zdierał gardło, próbując przebić się ponad uliczny szum ze sprośnymi kupletami.

Toria była bliska płaczu, kiedy szeroko otwarte szaroniebieskie oczy nareszcie drgnęły. Powieki opadły i uniosły się ponownie. Soll spojrział na nią z tępym zdumieniem.

– Soll – powiedziała szybko – musimy iść do domu. Słyszysz mnie?

Jego usta poruszały się bezgłośnie, wreszcie wyszeptał:

– Kim jesteś?

Zalała się zimnym potem. Czyżby wstrząs, przeżyty na placu kaźni, całkiem odebrał mu rozum?

– Toria – szepnęła niepewnie. – Nie poznajesz mnie?

Opuchnięte powieki znowu opadły.

– Gwiazdy – rzekł cicho – jak na niebie. Potrząsnęła go za ramię.

– Nie! Nie jesteśmy w niebie wśród gwiazd. Jestem Toria, córka dziekana.

Oprzytomniej nareszcie, Egercie!

Ostatnie słowo utonęło w przeciągłym szlochaniu. Soll znowu otworzył oczy.

Tym razem spojrział ciepło i przytomnie.

– Nie zwariowałem, nie bój się, Torio... Masz gwiazdozbiór pieprzyków... na szyi.

Odruchowo przesunęła dłonią po swej szyi. Egert znowu poruszył wargami:

– Śpiewają...

Z oddali dochodziła nieskładna pijacka piosenka. Z najbliższego dachu słychać było dyszenie. Pijak, który dostał się tam niewiadomym sposobem, bawił się, dmuchając na chorągiewkę od wiatru.

– Jest noc? – spytał Egert.

Toria westchnęła.

– Tak. Dzisiaj był Dzień Wszelkiej Radości.

Oczy Solla zmętniały.

– Nie znalazłem go... i teraz nigdy nie znajdę.

– Tułacza? – zapytała szeptem.

Z trudem poruszył się, kiwając głową.

– Zjawi się znowu za rok – próbowała go pocieszyć.

Pokręcił głową.

– Cały rok... Nie przeżyję tego.

Nie było w tych słowach ani odrobiny przesady, czy kokieterii, lecz spokojna pewność.

– Soll – zreflektowała się Toria – musimy stąd iść. Wstań. Pójdziemy razem.

Kiwnął głową znów ociężale.

– Nie mogę. Zostanę tutaj. Idź sama.

– Tak nie można – mówiła, starając się, by brzmiało to spokojnie i łagodnie. –

Nie można, Egercie. Zadepczą cię tutaj. Spróbuj się podnieść...

– Ale ja naprawdę nie mogę – oznajmił ze zdziwieniem. – Żuk bez skrzydeł – dodał bez namysłu. – Nie miał skrzydeł. Nie można naprawić mu nóżki. Nie wychodzi mi, mam... Dlaczego się nie udało? Widocznie martwi... nie chodzą. Nie ma odwrotu!

Jego oczy znów się zamglily. Toria w panice zaczęła potrząsać jego bezwładne ramiona.

– Jesteś żywy! Żywy, Egercie! Wstań!

– Toria – zaszeptał nieprzytomnie. – Toria... Tak ci na imię. Jestem żywy. Nie o to chodzi, Torio...

Wyciągnął przed siebie dłonie złożone w łódeczkę.

– To jak motyl, który sam mi usiadł na dłoni. Jak dar losu. Jedyne raz w całym moim życiu. Zabiłem go, Torio. W Kavarrenie go... zabiłem. I zabiłem siebie, ponieważ...

Rozwarł palce, jakby przesypywał niewidzialny piasek.

– Straciłem wtedy... Torio...

Bezsilnie odchylił się do tyłu.

Patrzyła na niego uważnie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– To naprawdę ty? – zapytał szeptem. – Czy tylko przywidzenie?

Wystraszyła się.

– To naprawdę ja.

Niepewnie wyciągnął dłoń i delikatnie musnął jej policzek.

– Nigdy niczego tak naprawdę nie miałem. Żebrak Soll. Niebo puste, bez jednej gwiazdki... Niczego prawdziwego. Tylko jedna Toria... Poza tym niczego. Droga nagrzana słońcem... Idę nią samotnie. Nie mam po co żyć. Jestem już... po drugiej stronie. Dziękuję, że mogłem cię zobaczyć.

Jego dłoń opadła.

– Dziękuję, kochana Torio.

– Soll – wyszeptała z przerażeniem.

– Tak mi ciężko – oznajmił, znowu opuszczając powieki. – Gwiazdozbiór pieprzyków... Taką cię zobaczyłem. Jak nigdy w życiu. Wybacz mi...

Zadrżał i otworzył oczy.

– Torio... Plac morderców. Mordercy na pieńku, mordercy w tłumie i ja także jestem mordercą... Głowy, oczy, zęby, usta... Dlaczego nikt nie chce... skrócić mojej męki?!

Poderwał się, niemal wstając i znowu zmiękł, opadając z powrotem.

– Egercie – powiedziała głucho – nie powinieneś teraz o tym myśleć. Jeśli w tej chwili nie wstaniesz... nie wiem, co zrobić.

Rzeczywiście tego nie wiedziała.

– Odejdź – powiedział z zamkniętymi oczami. – Ulice nie są bezpieczne. Święto. Noc. Może będą chcieli... Jeśli cię napadną, nie zdołam cię obronić. Będę patrzeć bezsilnie. Nie zdołam pomóc. Uciekaj.

Uniósł powieki i Toria napotkała jego zrozpaczone, cierpiętnicze spojrzenie.

– Nie bój się o mnie! – krzyknęła, próbując opanować niespodziewane uczucie, ściskając jej gardło. – Dam sobie radę. Wstań!

Czy jej głos nabrał niezwyklej siły, czy też Egert zaczął w końcu dochodzić do siebie, w każdym razie z największym wysiłkiem udało się postawić do pionu jego ociężały korpus. Toria podstawiła kark i Egert położył rękę na jej ramieniu. Nawet przez grubą tkaninę sukienki czuła, że stara się być jej jak najmniejszym ciężarem.

– Śmiało – zachęciła go, próbując stanąć na wysokości zadania. – Trzymaj się, Soll... Chodźmy.

Było im trudniej iść, niż się spodziewała. Nogi Egerta były niemal bezwładne. Odpoczywając kilkakroć, wykrztusiła w końcu:

– Nie... nic z tego nie wyjdzie. Pójdę do uniwersytetu, wezwę pomoc...

Soll przysiadł na jezdni, ona także ledwie się trzymała na nogach. Czując się bardzo głupio, powtórzyła najbardziej sugestywnie, jak umiała:

– Postaram się szybko... To już niedaleko. Zaczekasz, tak?

Podniósł głowę. Zobaczyła jego oczy.

– Egercie – zapewniła go czym prędzej – nie zostawię cię tak. Zawołam ludzi, ojciec mi pomoże. Przysięgam, że cię nie zostawię...

Milczał z pochyloną głową.

– Oczywiście – rzucił w końcu cicho. – Idź.

Posiedziała chwilę przy nim, potem rzekła trzeźwo:

– Nie. Jednak pójdziemy sami. Trochę odpoczniemy i damy radę. Prawda?

Egert wziął ją za rękę, nie patrząc. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła dłoni.

Długo gładził palcami jej dłoni. Potem zacisnął palce, nie mocno, ale tak, że wyczuła pulsowanie jego krwi.

– Dziękuję... Nie zasłużyłem na to.

Zatrzymując się co pewien czas na odpoczynek, przedzierając się przez tłum podpitych świętujących, szli tak przez resztę nocy. Kiedy nastał mglisty poranek miasto nieco przycichło, wyglądając jak ogromny biesiadny stół z resztkami uczyty. Rozwiał się dym pochodni, fajerwerków i petard, poranny wietrzyk szeleścił w

stosach śmieci, pędził po zalanych winem jezdniach, wśród okruchów butelek, zerwanych wstęg i serpentyn, miotał wilgotną mgłą i aż do kości przenikał dwoje zmęczonych wędrowców.

Dotarli w końcu do łukowatego mostku nad kanałem. Po zmarszczonej powierzchni płynęła papierowa czapeczka z chwościkiem. Puste ulice i zasłonięte okna sprawiały wrażenie martwoty. Wokół nie było żywej duszy, tylko na samym środku mostka stał nieruchomo wysoki, zapatrzony w wodę człowiek.

– Już niedaleko – wychrypiała Toria, układając wygodniej rękę Solla na swym ramieniu. – Prawie jesteśmy na miejscu.

Egert wsparł się wolną dłonią o balustradę i stanął jak skamieniały.

Człowiek na moście odwrócił głowę. Toria ujrzała niemłodą twarz, pooraną bruzdami, o wielkich, jasnych oczach. Wydała się jej znajoma. Chwilę później zorientowała się, że widziała go w Kawarrenie, gdzie zamieszkiwał w gospodzie „Wspaniały Miecz”.

Tułacz stał nieruchomo, nie spuszczać z nich oczu, które były całkiem bez wyrazu. Tak, w każdym razie, odebrała je Toria.

– Egercie – powiedziała, poruszając z trudem wyschniętymi wargami – to przeznaczenie.

Wczepiony dłonią w balustradę Soll ruszył do przodu, lecz zatrzymał się, niezdolny uczynić nic więcej.

Tułacz odwrócił się do nich. W prawej dłoni trzymał garstkę małych kamyczków. Jeden poleciał po wodach kanału, pozostawiając na niej szerokie kręgi.

Soll milczał. Mijały minuty, a wraz z nimi kolejne kamyki wpadały do wody.

– Egercie – szepnęła Toria – spróbuj teraz... Zrób coś.

Zużywszy cały zapas, Tułacz rzucił przepaszające spojrzenie dwojgu zmęczonym przechodniom, po czym zszedł z mostu.

Dało się słyszeć świszczące westchnienie. Soll nabrał powietrza w płuca rozwierając posiniałe wargi.

W tym momencie dziewczyna odtrąciła jego rękę i pobiegła tak szybko, że dół jej sukienki załopotał niczym żagiel.

– Proszę pana! Proszę zaczekać!

Tułacz zatrzymał się, chociaż nie od razu. Odwrócił się i zapytał:

– Tak?

Była tak blisko niego, że mogłaby dotknąć wyciągniętą ręką wymyślnie

zdobionej gardy jego szpady. Z trudem zniosła badawcze spojrzenie tamtego.

Wypaliła prosto w jego pomarszczoną twarz:

– Jest ze mną... pewien człowiek. Chciałby... Musi z panem porozmawiać, to sprawa życia lub śmierci. Błagam, niech pan go wysłucha!

Wąskie wargi drgnęły lekko.

– Jest niemową?

– Słucham? – zmieszała się Toria.

Tułacz westchnął ciężko. Uśmiechnął się, lecz w taki sposób, że nie sprawił tym ulgi rozmówczyni.

– Czy ten człowiek jest niemową? Dlaczego przemawia pani w jego imieniu?

Toria obejrzała się bezradnie na Solla. Stał wciąż na moście, wczepiony dłonią w balustradę i sprawiał wrażenie, jakby zapomniał języka w gębie. Wiatr rozwiewał przybrudzone, białe kudły.

– Egercie! – zawołała Toria. – Weź się w garść! Powiedz... to, co chciałeś powiedzieć.

Soll patrzył na Tułacza jak mógłby schwytyany w potrzask lisek patrzeć na kłusownika i nadal uparcie milczał.

Tułacz skłonił się lekko Torii i poszedł dalej. Wstrząśnięta absurdem całej sytuacji, ruszyła za nim, wołając jak nachalna żebraczka:

– Proszę pana! Proszę...

Chyba nawet chwyciła go za rękaw. Gotowa była paść na kolana, gdy Tułacz odwrócił się znowu i spytał ze zdziwieniem:

– O co chodzi?

– Proszę nie odchodzić – szepnęła, zdyszana. – On zaraz powie... powie.

– Tułacz zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem, aż zadrżała, czując się, jakby przenikał ją na wskroś. Cienkie wargi znowu drgnęły w uśmiešku.

– No cóż... Być może ma pani rację. Być może.

Zawróciwszy, powolnym krokiem wszedł na most.

Egert stał wciąż w tym samym miejscu. Tułacz podszedł doń bardzo blisko, tak że jego oczy spotkały się z oczami wysokiego młodzieńca.

– Tak?

Egert przełknął gulę śliny, dławiającą gardło.

– Kawarren – odparł ledwie dostłyszalnie.

– Pamiętam – rzekł Tułacz z cierpliwym uśmiechem. – Ładne miasto... – I

nagle zapytał ni stąd, ni zowąd: – Jak pan sądzi, czy losowanie przed egzekucją jest aktem miłosierdzia, czy też przeciwnie, okrucieństwa?

Soll zadrżał i zaszeptał z wysiłkiem:

– I jedno, i drugie... Nadzieja w nocy przed kaźnią... i wątpliwości... Udręka... Miotanie się między wiarą a rozpaczą. Potem znowu iluzja nadziei... Człowiek nie jest przez to gotów... umrzeć z godnością.

– Nie wszyscy potrafią umierać z godnością – stwierdził tamten. – Ale skąd pan to wszystko wie? Nie przeżył pan przecież nocy, czekając na egzekucję, więc skąd pan wie, czym są rozpacz i nadzieja?

– Zdaje mi się – rzekł Soll z westchnieniem – że sporo już wiem. Życie nauczyło mnie różnych rzeczy. Lecz pan na pewno lepiej wie... czym jest noc poprzedzająca egzekucję.

Stojąca obok Toria zamarła. Tułacz jakby się zdziwił.

– Tak? Wiem wiele rzeczy, to prawda. A pan jest pilnym uczniem, Soll.

Egert zadrżał na dźwięk swego nazwiska. Dotknął szramy dłonią.

– Czy można to... usunąć?

– Nie można – rzucił Tułacz, patrząc w wodę. – Ścięte głowy nie przyrastają z powrotem do karków. Tylko mały głuptas może próbować przykleić łapkę żuka, którą sam wcześniej – oderwał. Niektóre zakłęcia są także nieodwracalne. Będziesz musiał sam się z tym zmierzyć, Soll.

Nastąpiła cisza. Kartonowa czapeczka, miotając się między brzegami kanału, namokła w końcu, rozmiękła i zaczęła tonąć.

– Tak myślałem – ponuro rzekł Soll.

Jego głos zabrzmiał w taki sposób, że wszystkie włosy Torii stanęły dęba.

– Egercie...

Skoczyła ku niemu i wczepiła się w jego ramię.

– Egercie, wszystko jeszcze... będzie dobrze. Nie trzeba... Chodźmy do domu. Jeszcze się przekonasz...

W tym momencie straciła panowanie nad sobą i gorzko zapłakała.

Soll, stojąc nad podziw twardo na nogach, podtrzymał ją ramieniem, tak więc teraz ona wsparła się na nim. Powoli, w milczeniu zaczęli odchodzić. Za plecami usłyszeli niegłośnie:

– Chwileczkę...

Stanęli i odwrócili się.

Tułacz stał wsparty o balustradę i oglądał w zadumie noski swoich butów. Podniósł głowę i zmrużył oczy przed wschodzącym coraz wyżej słońcem.

– Zakłęcie jest nieodwracalne, lecz może być odrzucone... w szczególnych okolicznościach. Taka chwila zdarza się raz w życiu i przepuszczenie takiej okazji oznacza całkowitą stratę nadziei. Warunki są następujące...

Zarzucając szpadę do tyłu, wyszedł im na spotkanie. Egertowi wydało się na mgnienie oka, że Tułacz jest jego rówieśnikiem.

– Posłuchaj i zapamiętaj, Soll:

GDY PIERWSZA RZECZ W TWOJEJ DUSZY OKAŻE SIĘ OSTATNIA...

GDY PRZEJDZIESZ DROGĘ DO KOŃCA...

GDY NA PIĘĆ PYTAŃ PIĘĆ RAZY ODPOWIESZ: TAK...

Tułacz zamilkł. Dodał po chwili:

– Klątwa przestanie istnieć. Tylko nie popełnij błędu. Łatwo się pomylić, lecz pomyłka może cię drogo kosztować. Żegnajcie, drodzy państwo. I nie powtarzajcie starych błędów...

Woźny uniwersytecki przetarł oczy ze zdumienia, kiedy ujrzał wchodzących po schodach Solla z córką dziekana. Oboje byli bladzi jak para nieboszczyków, ledwie trzymali się na nogach, dlatego też podtrzymywali siebie nawzajem.

Część trzecia

ŁUJAN

Rozdział 7

Latem skalna półka, stanowiąca podwórzec, rozpalała się jak żelazna patelnia i unosiło się nad nią rozedrgane powietrze. Wioska u podnóża góry rozplywała się w słonecznym blasku. Mistrz Orlan uśmiechał się tajemniczo. „Pozory... W znanym skrywa się nieznane, w wiedzy niewiedza i nie dowierczysz się do dna owej studni, choćbyś nie wiem jak się starał. Zresztą, po co ci dno? Pij z niej i bądź szczęśliwy”.

Mały Łujan nie od razu zrozumiał, o jakiej studni mówi nauczyciel. W domku na skale nie było żadnej studni. Wodę trzeba było nosić z dołu i było to bardzo ciężkie...

Natomiast w domku starego maga było chłodno nawet w największe upały, a stalowe skrzydło, przybite nad wejściem, chroniło mieszkańców od wrogiej napaści i chorób. Łujan dobrze wiedział, że tak będzie, dopóki żyje jego mistrz.

Dopóki żyje mistrz...

Dziekan oderwał wzrok od ognia buzującego w kominie. Jak zwykle po Dniu Wszelkiej Radości nastały szare, wilgotne, jesienne dni. Jego nauczyciel miał zwyczaj palić w kominku nawet w środku lata, uważając, że ogień sprzyja rozmyślaniom. Być może miał rację, lecz Łujan nie przejął od niego tego nawyku i latem jego komin pozostawał pusty i zimny.

Kto wie, jak ułożyłyby się jego dalsze losy, gdyby Orlan żył parę lat dłużej?

Mnóstwo błędów... Całe życie to zbiór pomyłek. Zawsze w przeczuciu nieszczęścia odczuwał charakterystyczny chłód w piersi. Tak samo było dzisiaj.

Obejrzał się. Jego córka siedziała na krawędzi biurka i jej oświetlona ogniem twarz zdawała się emanować srogością. Przypominała teraz inną kobietę, nie mniej piękną własną matkę. Dziekan potarł skroń w zamyśleniu, lecz złe przeczucie nie zniknęło. Za plecami Torii błyszczały w półmroku rozpalone oczy Egerta Solla.

Dziekan poruszył płonące polana i ogień zapłonął żywiej. Tak samo płonął ogień w domku na skale, a przy kominku stały dwa fotele z wysokimi oparciami, w jednym siedział starzec, w drugim zauroczony jego naukami chłopiec... Starzeję się, pomyślał z ironią. Coraz bardziej żyję przeszłością. Skąd jednak to dojmująco złe przeczucie?

– Pięć razy „tak” – po raz któryś wymamrotał Egert. – Kto zapyta pięć razy? I

jak zdążyć z odpowiedziami?

Toria patrzyła na ojca z niemym żądaniem.

Odwrócił się. Nie on zadał zagadkę, nie musi więc znać odpowiedzi. Jemu także przydałaby się pomoc, lecz ten, który nie raz mu pomagał i doradzał, spoczął wiele dziesiątek lat temu w skalnym grobowcu pod wyrzeźbionym w kamieniu skrzydłem.

Ktoś zakołatał ostro do drzwi. Toria drgnęła, Egert odwrócił głowę, Łujan podniósł brwi ze zdziwieniem.

– Tak?

W półotwartych drzwiach pojawiła się koścista twarz Kajetana, a za nim widać było tłumek szepczących niespokojnie, przepychających się kolegów.

– Panie dziekanie – wykrztusił Lis – tam... na placu... Łasz!

Egert poczuł w żołądku lodowatą kulę.

Plac był jak zwykle przepelniony, lecz niezwykle cichy. Wieża Łaszą miała szeroko otwarte wrota, z których wypływała gęsta chmura kadzidlanego dymu. Migały w tej gęstwie szare opończe, jednakże nikt ze wstrząśniętych niezwykle wydarzeniem mieszczan nie mógł zobaczyć ich wyraźnie w spoistych jak wojłok, brązowych kłębach.

Grupka studentów przecinała tłum jak ostry nóż, którego ostrzem był dziekan Łujan. Egert szedł za nim, mając w uszach przymilny głos brata Fagirry: „Nadchodzi czas próby... dla wszystkich mieszkańców, Egercie. Jakiej konkretnie, dowiesz w chwili wyświecenia. Trzeba zdążyć pojednać się z Łaszem, zanim nadejdzie... to, co nieuniknione. Przeżyjesz to z nami, podczas gdy inni zginą marnie...”.

Ciężki, brązowy dym zaczął unosić się ku niebu. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą się kłębił, ukazał się pierścień złożony ze sług Łaszą, stojących do siebie plecami, twardo i nieruchomo jak ostrokół. Kaptury mieli nisko puszczone, twarze, więc były niewidoczne dla widzów, skryte za grubą tkaniną. Egert skrył się za czyimiś plecami, gdyż wydało mu się, że spod jednego z kapturów śledzą go bystre, uważne oczy.

– Co to za... – zaczęła z uśmiechem Toria, lecz w tym momencie przeciągły, raniący uszy dźwięk w jednej chwili zamknął usta wszystkim stojącym na placu.

W szarym kole opończy mignął ognistoczerwony kubrak znanego Egertowi karzełka. Zza pleców nieruchomych jak posągi zakonników wzbiał się w górę snop

dymu i wraz z nim wzbił się w powietrze sam Mistrz, jakby unosząc się na jego kłębach. Soll wiedział chyba, jako jeden z niewielu, że księżycowo błada, otoczona srebrną luną włosów twarz, unosząca się nad zębatym murem kapturów, należy do przełożonego zakonu.

Ludzie na placu zaszeptali, poruszali i rozglądali się niespokojnie. Przeciąwszy się powtórzył i znowu zapadła martwa cisza, nietypowa w tak ludnym miejscu. Ciężki dym unosił się ku niebu powoli, jakby niechętnie.

Pomiędzy szarymi opończami znowu mignęła czerwień. Karlik ze swoim rogiem także pojawił się na podwyższeniu. Poruszył ustami, a może tak się tylko Egertowi zdawało. Nagle nad ludzkimi głowami rozległ się potężny, huczący głos:

– NADCHODZI...

Egert zadrżał. „Nadchodzi czas próby...”

– PRZYGOTUJ... SWÓJ DOM... I SVOJE ŻYCIE...

„Trzeba zdążyć pojednać się...”

– CZAS PŁYNAŁ... TERAZ MINAŁ. RZĘKA ŻYCIA WYSCHŁA. CZAS MINAŁ... NADCHODZI KRES CZASU!

Ludzie milczeli, niczego nie pojmując.

– KRES CZASU – dudnił głos z trąby karła, przebijając się przez kłęby dymu.

– ŁASZ WIDZI, ŻE NADSZEDŁ KONIEC WSZYSTKIEGO. JEST NA WYCIĄgniĘCIE RĘKI. NIKT NIE ZNA DNIA ANI GODZINY! ŁASZ WIDZI WSZYSTKO... KONIEC ŚWIATA, KONIEC ŻYCIA, WIECZNY KRES CZASÓW... ŁASZ WIDZI WSZYSTKO!

Karzełek odjął trąbę od wykrzywionych ust i splunął obficie.

– To koniec! – rozległ się wysoki krzyk Mistrza. – Przesypał się piasek w klepsydrach... Koniec!

Jak na komendę szarzy mnisi jednocześnie poruszyli rękami. Załopotwały szerokie rękawy, a niektórzy najbliżej stojący poczuli na twarzach chłodny powiew, jakby z piwnicznej krypty.

– Koniec – zaskrzeczały kaptury. – Koniec...

Znowu wzbił się dym, tym razem czarny, jak od pożaru, przesłaniając postać Mistrza i purpurowego karzełka i mur szarych figur. Widowisko zrobiło na ludziach silne wrażenie. Egert usłyszał w pobliżu histeryczny, kobiecy krzyk:

– Oj, ludzie, ludzie, jakże to... Nie chcę, nie mogę!... Obejrzał się. Kobieta była brzemienna i przykładała na zmianę dłoń do zalanego łzami policzka i sporego,

krągłego brzucha.

Grupa w szarych opończach skryła się bezszelestnie za bramą Wieży, która równie bezdźwięcznie się za nimi zamknęła. Spod dolnej szczeliny wciąż jeszcze wypęły czarne smużki dymu, przypominające rozdrażnione węże.

Egert ucieszył się, jak nigdy dotąd, z towarzystwa dziekana. Pochwyciwszy pytający wzrok Torii, uśmiechnął się tylko blado, w sposób tyleż uspokajający, co zastanawiający. Twarz Torii mocno spochmurniała. Dziekan położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodźmy...

Tłum rozchodził się powoli. Zaniepokojeni ludzie nie patrzyli na siebie, gdzieś tam płakał donośnie wystraszony dzieciak, wiele kobiet także krzywiło płacziwie usta. Jakiś przygłuchy starzec chwycił otaczających za rękawy, usiłując dowiedzieć się, co obwieścili „ci w opończach”. Opędzali się od niego, jedni ponurzy, inni rozdrażnieni. Gdzieś rozległ się wymuszony, sztuczny śmiech.

– Też wymyślili! To chyba kpiny?

Nikt mu nie odpowiedział i chichot zamarł żałośnie.

Studenci tłoczyli się na progu uniwersytetu, między żmiją i małpką. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na dziekana. Przeszedł między nimi bez słowa, potem przez zatłoczony korytarz, pozostawiając nieme zapytania bez odpowiedzi. Egert i Toria szli za nim.

Na dziedzińcu spotkali Lisa. Siedział na ramionach jakiegoś siłacza, trzymając przy ustach blaszany lejek i pokrzykiwał złowieszczo:

– Nadchodzi... Nadchodzi... Uuu...

Nadszedł dzień, gdy w fotelu jego mistrza zasiadł ktoś inny.

Chłopak słyszał niejedną raz od Orlana o Larcie Legiarze. Spotkanie z nim, kiedy pojawił się w domku na skale, mogło drogo kosztować małego, skoro nierozważnie omal nie zaczął magicznego pojedynku z nieproszonym gościem.

Samouwielbienie Łujana zostało tego dnia poważnie naruszone. Zmuszony był zdać się na wyrozumiałość silniejszego. Legiar bez wątpienia przewyższał w sztuce magicznej nie tylko czternastoletniego chłopca, ale wielu innych magów. Postanowił jednak oszczędzić przeciwnika, choćby z uwagi na jego młode lata. Chłopiec poddał się. Nagrodą za to była długa, początkowo trudna, lecz potem niezwykle zajmująca i pamiętna dla Łujana rozmowa.

Nad ranem długiej nocy wielki mag Legiar zaproponował, by chłopak poszedł za nim. Była to dla niego szansa odmiany losu i zdobycia nowego mistrza. Łujan to doceniał, a jednak odmówił spokojnie i w pełni świadomie. Nie byłoby mu łatwo zmienić nauczyciela, chociaż zostanie uczniem Larta byłoby dla niego wielkim zaszczytem.

Kiedy podrośł, wielokroć zapytywał sam siebie: czy było warto? Czy nie nazbyt drogo kosztowała go wierność mogile Orlana? Mając czternaście lat pozostał jedynie w towarzystwie mądrych, lecz bezdusznych ksiąg. Stał się magiem, lecz nigdy nie osiągnie wielkości.

Wiele lat przeżuwał w duszy tę gorycz. Ludzie nazywali go oficjalnie i między sobą „panem magiem” i „wielkim czarnoksiężnikiem”, nikt jednak nie domyślał się, że od czasu młodości aż do tej pory poczynił niewielkie postępy w sztuce magii.

Swoją drogą, nie stracił niczego, czego nauczył się pod stalowym skrzydłem Orlana. Stał się dość potężny, lecz nie sięgnął wyżyn. Zagłębił się w naukę, stał się znakomitym historykiem, lecz w sercu pozostały bolesne dwie zadry. Pierwszą była nieszczęsna matka Torii, druga dotyczyła nieosiągalnej wielkości.

Nigdy jeszcze tak bardzo jak dzisiaj nie żałował, że jej nie osiągnął. Zamknawszy za sobą drzwi gabinetu, przestał jakiś czas pod stalowym skrzydłem, próbując zebrać myśli. Rozum podpowiadał mu, że nie ma powodu do niepokoju. Ludzie w szarych opończach zawsze lubili spektakularne efekty, a rzekomy „kres czasu” to kolejna pułapka na dusze obywateli, których pragną przyciągnąć do Wieży. Tak mówił rozum, lecz narastało w nim przeczucie nieszczęścia, a wiedział z doświadczenia, że może zaufać owemu odczuciu.

Znał je od dawna. Szczególnie mocno objawiło się tej nocy, kiedy pozostawił na pastwę losu ukochaną i zienawidzoną, dręczącą go i udręczoną kobietę. Zostawił ją wtedy, urażony jej pogardą.

Skrzydło rozpościerało się nad jego głową, jakby jednym zamachem mogło odpędzić niemiłe myśli. Postawszy jakiś czas przed wysoką szafą, zamkniętą na klucz i dla pewności zabezpieczoną zaklęciem, Łujan westchnął i otworzył oba zabezpieczenia.

Na czarnej, atlasowej poduszce spoczywała tam jaspisów a niewielka szkatułka, mniej więcej rozmiarów tabakiery. Dziekan wziął ją do ręki i otworzył wieczko bez żadnego wysiłku.

Na wyścielonym aksamitem dnie szkatułki spoczywał medalion ze szczerego

złota i na złotym łańcuszku. Dziekan mimo woli wstrzymał oddech, gdy położył na dłoni połyskliwy krążek ze skomplikowanym wycięciem w środku. Zdawało się niezwykle prostą rzeczą spojrzeć przez nie na słońce, lecz mag zadrżał na samą myśl tego rodzaju, fest powiernikiem, ale nie panem...

Drugi raz w życiu spotkał Larta Legiara, kiedy sam już był szanowanym magiem i dziekanem uniwersytetu.

Łujan wiedział już wtedy o Trzeciej Sił, dobijającej się do Wrót Wszechświata i Odźwiernym, który nie zgodził się odsunąć zasuw i wpuścić jej do naszego świata. Rola Larta w tej sprawie była okryta tajemnicą Dziekan zadrżał, ujrawszy twarz swego gościa. Wielki Legiar mocno postarzał się i twarz jego złobiły bruzdy, jakich wcześniej nie było. Jedno oko zdawało się ślepe, za to drugie było jak poprzednio przenikliwe i prześmiewcze.

– Świat pozostał, jaki jest – oznajmił zamiast przywitania.

– Za to my się zmieniamy – odparł Łujan, starając się przeniknąć zamiary gościa.

Jakiś czas przyglądali się sobie. Łujana dręczyły liczne pytania o obcą Siłę, która chciał wdrzeć się do tego świata, o los Odźwiernego i o przeznaczenie Legiara, milczał jednak, dobrze wiedząc, że o nic nie zapyta.

– Nie – rzeki w końcu Legiar z westchnieniem. – Ty się prawie nie zmieniłeś.

Łujan domyślał się, co jego gość ma na myśli, uśmiechnął się więc, pragnąc ukryć przykrość.

– No cóż... Im mniej na tym świecie wielkich magów, tym rzadziej się ze sobą spotykają, ale zarazem łatwiej żyć nam, magom całkiem zwyczajnym...

Legiar uniósł brew ze zdziwieniem.

– Zapanowałaś nad swoją pychą? Po naszym pierwszym spotkaniu byłem prawie pewien, że to niemożliwe... Czy może udajesz?

– Nie wszystkim dano wielkość” – oświadczył! Łujan beznamiętnie.

– Lecz tobie była dana – sprzeciwił się Legiar. Zamilkli na chwilę. Łujan spochmurniał i zerknął na tamtego z ledwie widocznym wyrzutem.

– Pozostałem uczniem Orlana. Myślę, że by to zrozumiał.

Jednooki mag uśmiechnął się.

– On by to zrozumiał... Z czego wnosisz, że ja tego nie rozumiem?

Znowu zapadła cisza. Legiar z ciekawością przeglądał półki z książkami.

Łujan mu w tym nie przeszkadzał i czekał cierpliwie na ciąg dalszy rozmowy.

– Zrobiłeś postępy...

Lart odwrócił się do niego i strzepnął z palców książkowy pył.

– Postępy w nauce. Lecz przyszedłem do ciebie nie jako do uczonego i dziekana, a nawet nie jak do maga... Przyszedłem do ciebie, jako do ucznia Orlana.

Łujan nie spuszczał oczu ze swego gościa. Jego martwa żrenica błyszczała niczym kawałek lodu.

– Jako do ucznia Orlana... Spójrz.

Na dłoni Legiara pojawił się złoty krążek ze skomplikowanym wycięciem pośrodku. Takież łańcuch zwieszał się między palcami. Na podłodze migotał jasny poblask.

– To Amulet Wieszcziarza – wyjaśnił spokojnie Legiar. – Znana jest jego moc, lecz wszystkich jego właściwości nikt do końca nie poznał. Od czasu, gdy zginął jego właściciel, prorok imieniem Orwin, amulet został osierocony i sam winien wybrać nowego pana... nowego wieszcziarza. Ten, kto go znajdzie, będzie miał możliwość spoglądać w przyszłość, lecz tylko w przypadku, jeśli artefakt sam go wybierze. Głupca, który zapragnie posługiwać się nim bezprawnie, medalion po prostu zabije. Złoto nie zna litości. Nie mogę oddać go żadnemu magowi, gdyż zaczną mnie dręczyć wątpliwości, rozmaite podejrzenia, zawiść... W dłoniach zwykłego człeka amulet jest bezużyteczny. Co czynić?

Zmrużył powieki. Żywe oko zwięzło się w wąską szczelinę, martwe zdawało się błyskać figlarnie.

– Przyniosłem go tobie, Łujanie. Jesteś uczniem Orlana. Obce mu były wszelka chępliwość i pycha... Był bardzo mądry, mądrzejszy od nas wszystkich, wciąż jeszcze żyjących. Niedługo był twoim mentorem, lecz pozostawił w twojej duszy wyraźny ślad, który dostrzegam... Przyniosłbym gojeniu, lecz go już nie ma. Weź go i ukryj, zgoda?

Łujan wziął złoty medalion, który okazał się ciepły jak żywa istota.

– Co powinienem zrobić? – usłyszał własny głos.

Legiar uśmiechnął się lekko.

– Nic. Ukryć i chronić. Sam wybierze swego pana, nie musisz mu w tym pomagać. I spoglądaj na niego od czasu do czasu, czy nie zaczyna rdzewieć... Wiem, że jest złoty. Jeśli zacznie pokrywać się rdzą, będzie to oznaczało niebezpieczeństwo dla świata. Tak twierdził Pierwszy Wieszcziarz i widziały niebiosa, że staruszek miał rację...

Kącik wąskich ust wielkiego maga drgnął spazmatycznie.

Już wychodząc, odwrócił się jeszcze na progu.

– Jak widzisz, jestem już stary. Większość z nas postarzała się, nie doczekawszy się następców. Jesteś szczęściarzem, że masz ten swój uniwersytet. Gdzieś po świecie błądzi jeszcze nowa, niespełniona do końca nadzieja: były Odźwierny, o którym nie wiem, kim się stal. Dobrze schowaj medalion... i żegnaj.

Odszedł. Łujan nigdy więcej go nie spotkał. Tamta wizyta zaowocowała jednak dziełem jego życia, historią wielkich magów.

Medalion spoczywał wdzięcznie na otwartej dłoni. Dziekan podniósł go do światła i obejrzał ze wszystkich stron. Rdzy nie było. Ani jednej plamki. A jednak złe przeczucie wciąż narastało w nim niczym bolesny, jątrzący się wrzód.

Minęło półtora tygodnia od objawienia o Kresie Czasu. Wieża Łasza parę razy dziennie wydawała przeciągły jęk, mrozący krew w żyłach spokojnych obywateli. Z wąskich okienek wzbijał się gęsty dym. Żaden z zakapturzonych nie pojawił się w mieście. Mieszczan dręczyła trwoga.

Zapotrzebowanie na napoje wyskokowe wzrosło dziesięciokrotnie. O tym, że chmiel przepędza niewesołe myśli i przytępia strach wiadomo było, jak się okazało, nie tylko Sollowi. Żony czekały na mężów we łzach i lęku, ci zaś powracali do domu na czworakach i oświadczali bełkotliwie, że koniec czasów się zbliża. Dzielnice rzemieślnicze i handlowe pogrążyły się sukcesywnie w pijaństwie. W dzielnicy arystokracji na razie panował porządek, lecz i tutaj można było spotkać podpitego lokaja lub spadającego z kozła stangreta. Wysokie okna rezydencji bogaczy były dokładnie zasłonięte i któż mógł wiedzieć, co się działo za ciężkimi kotarami. Sporo mieszkańców, mających krewnych na przedmieściach lub w okolicznych wioskach, uznało za właściwe złożyć im długie wizyty. Codziennie z miejskiej bramy wyjeżdżał sznur wozów zapełnionych rozmaitym dobytkiem.

Karczmy kwitły. Zarówno świeżo warzone, jak i dawno odstałe w beczkach trunki szły jak woda. Jeśli jednak w większości tawern pito, by zagłuszyć strach, w studenckiej „Jednookiej Musze” panowała nieskrępowana, niewymuszona uciecha.

Lis święcił wielkie triumfy. Dziesiątki razy parodiował zakapturzonych albo nawet samego Mistrza, czyli karła z rogiem. Dziwny dźwięk, jaki wydawał ów instrument, w wykonaniu rudzielca brzmiał wielce rubasznie i nieprzystojnie. Studenci oklaskiwali go, rozparci na ławach. Tylko jeden Egert nie brał udziału w

powszechnej zabawie.

Jak zwykle skryty w kącie, z trudem mieszcząc pod ławą długie nogi, złobił drewniany blat czubkiem tępego noża. Wargi poruszały się bezdźwięcznie, jakby układając się do słowa „tak”. Stojący przed nim kielich z winem pozostawał prawie nienaruszony.

Musi przejść drogę do końca. Pierwsza rzecz w jego duszy musi się okazać ostatnią... Co jest pierwszym w jego duszy? Czyżby bezustanny strach? Tak więc, aby się wyzwolić spod brzemienia klątwy, trzeba przede wszystkim wyzwolić się od strachu. To jednak błędne koło. Żeby się nie bać, trzeba przestać się bać... Lecz jeśli najważniejszą rzeczą nie jest strach, to co w takim razie?

Westchnął. Krążył w kółko jak koń w kieracie. Najważniejsze dla niego było tchórzostwo lub pragnienie pozbycia się go. Nic innego nie przychodziło mu póki co do głowy.

Długi stół zakołysał się, kiedy ktoś się do niego przysiadł. Soll podniósł głowę nie od razu. Nieliczni koledzy zostawiali rozbawioną kompanię, żeby we względnym spokoju wypić wino, zakąszając rumianym pierożkiem. Lis, nieco już zmęczony swymi wygłupami, kontynuował je na życzenie rozbawionej publiki. W ogólnym śmiechu Egert usłyszał z boku cichy, lecz przenikliwy chichot.

Obejrzał się i spojrzął na siedzącego obok. W pierwszej chwili ten dobrze zbudowany młody człowiek wydał mu się nieznajomy, lecz zaraz potem zdrzął, rozpoznając Fagirrę.

Dotychczas nie pokazywał się w tej tawernie żaden zakapturzony. Odziany był skromnie i prosto, jak większość kolegów Solla. Pozbawiony złowieszczej kaptura wydawał się młodszy, niemal rówieśnikiem Egerta. Nic zatem dziwnego, że nikt nie zwrócił nań szczególnej uwagi. Pociągając jakiś napój z wysokiego kielicha, spoglądał przyjaźnie na osłupiałego Solla. Tatuaz gildii szermierzy był ledwo widoczny pod mankietem koszuli.

Egert nie wpadł na nic lepszego, jak wziąć swój kielich i także pociągnąć spory łyk. Fagirra uśmiechnął się.

– Witaj, przyjacielu. Na początek chcę powiedzieć, że miło mi widzieć cię zdrowego i całego.

Soll wymamrotał niewyraźnie powitanie. Lis, otoczony grupką wielbicieli, nadal wykpiwał zakon Łasza. Studenci śmiali się.

Fagirra przysłuchiwał się uważnie. Z jego twarzy nie zniknął pobłażliwy

uśmiech, podobny temu, z jakim stary nauczyciel przyjmuje błędne odpowiedzi niesfornego ucznia, przeliczając w myślach różgi, jakie mu wymierzy. Egerta znowu strach obleciał.

– Widzę, że godziny spędzone nad księgami nie dodały młodzieży mądrości – rzekł z westchnieniem Fagirra. – A tymczasem zbliża się termin...

– Jaki termin? – wyrwało się Egertowi, który zaraz się zreflektował. – Chciałem spytać: kiedy?

Fagirra znowu uśmiechnął się łagodnie.

– My wiemy, kiedy... Lecz wiedza o tym dostępna jest jedynie wtajemniczonym. Jesteś z nami, Egercie?

Soll zastygł. Chciał milcząco potwierdzić, pragnąc zadowolić mnicha, a jednocześnie kołatała mu się po głowie myśl: może to jedna z przepowiedzianych pięciu odpowiedzi? Być może zagadka Tułacza powiązana jest z zakonem Łasza?

– Co z tobą, Soll? – spytał tamten z wyrzutem. – Wahasz się? W obliczu ostatecznego Końca?

Lis zawiąnął się w pelerynę, uformował z jej skraju kaptur i przechadzał się tak po tawernie, ponuro kręcąc głową i wlepiając wzrok w powałę. Soll milczał.

Fagirra wzruszył ramionami, jakby chcąc powiedzieć: a to pech! Szybkim, niezauważalnym dla innych ruchem wyciągnął dłoń w stronę Solla.

– Siedź spokojnie, Soll. Nie ruszaj się, choćby nie wiem co...

Egert zerknął w bok. Mnich przytknął do jego żeber cienki sztylet z ciemną plamą na ostrzu.

Nie był pewien, kiedy ostatnio odczuwał tak dojmujący lęk. Nie zerwał się z wrzaskiem tylko dlatego, że nogi miał jak sparaliżowane.

– To nie będzie natychmiastowa śmierć – oświadczył spokojnie zakonnik. – Będzie długa, Egercie. Długa i, by tak rzec, nieprzyjemna. Wystarczy jedno ukłucie i niewielka ranka... Słuchasz mnie?

Soll siedział blady jak chusta, czując pulsowanie krwi w żyłach.

– Teraz uważaj, Egercie. Byłeś razem z dziekanem, kiedy usłyszał o Końcu Czasów?

Zdołał jedynie kiwnąć głową twierdząco, mając ściśnięte gardło.

– To dobrze. Co wtedy powiedział, co zrobił?

– Odszedł do swego gabinetu – wykrztusił Egert, przerażony sobą.

– A co robił w gabinecie?

Soll poczuł natychmiastową ulgę, skoro mógł przyznać się do niewiedzy.

– Co robił w gabinecie, Egertie?

Studenci tańczyli wokół Lisa wywijającego z gładkolicą Farri. Wśród tej wesołej zabawy zarówno świszczący głos mnicha, jak i zatrute ostrze wydawały się jakimś nonsensem.

– Nie wiem – szepnął Soll. – Nie widziałem.

– Prosiliśmy, byś patrzył i słuchał, pamiętasz?

Czubek sztyletu niemal przebijał materiał koszuli.

– Nikt tego nie widział. To było niewykonalne. Zamknął drzwi...

Fagirra westchnął ciężko.

– Źle, bardzo źle... Swoją drogą, czy pan dziekan otwierał kiedyś przy tobie swój sejf? Zamknięty na klucz i zakłęcie?

Pamięć Egerta podsunęła mu zdradliwy obrazek: dziekan podchodzący do jednej z zamkniętych szaf...

– Na klucz – rzucił, byle tylko coś powiedzieć.

– Widziałeś, co tam ukrywa?

Żaden z rozbawionych studentów nie zauważał sztyletu ani bladości kolegi.

Lis objawił wszem i wobec, że musi udać się za potrzebą.

– Nie – wykrztusił Egert. – Nie widziałem.

Fagirra przestał się uśmiechać. Łaskawy wyraz znikł, zakonnik zmarszczył się srogo.

– Nieładnie się wykręcać. Mów konkretnie. Czy dziekan zamierza coś uczynić w związku z ogłoszeniem Końca?

Ciężkie drzwi wejściowe rąbnęły o ścianę. Studenci obejrzeli się ze zdziwieniem.

Najpierw pojawiła się w wejściu noga w ubłoconym bucie oficerskim, potem poślaczona garda szpady, a w końcu objawił się sam Karwer Ott z wielką szpadą u boku i dwoma gwardzistami z tyłu: Bonitorem i bezimiennym z wąsikami.

W „Jednookiej Musze” dawno nie widziano takich gości, toteż wszyscy przyglądali im się bacznie. Fagirra przerwał wypytywanie i sposepniał. Karwer powiódł po studentach z lekka zamglonym okiem. Chociaż świeżo upieczony porucznik był mocno pijany, przed jego wzrokiem nie ukrył się skurczony w kącie Egert ani towarzyszący mu Fagirra.

– Ach! – zawołał radośnie. – To twoja dziewczyna?

Wszyscy milczeli. Karwer przeszedł przez izbę, tupiąc obcasami, i stanął przed nimi, nie dostrzegając ukrytego pod stołem sztyletu.

– Nie wiem tylko – podjął oficer, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego – kto tutaj jest czyją dziewczyną? Boniforze – zwrócił się do przyjaciela – popatrz, jak tulą się do siebie...

Czknął głośno, po czym zwrócił się do drugiego towarzysza, który tym samym wreszcie zyskał miano.

– Dirku... Chyba weźmiemy ich obu? Co to dla nas...

Soll poczuł, jak zatrute ostrze odsunęło się od jego boku i odetchnął swobodniej.

– Hej, panowie ze szpadami!

Studenci zbili się w ciasną grupę, rzucając nieprzyjazne spojrzenia intruzom.

– Zgubiliście tu coś? Może pomóc?

Karwer zerknął z ukosa na bezbronnych żaków i splunął w ich stronę na deski podłogi. Ślina wylądował jednak na bucie wąsatego Dirka, który pospiesznie otarł go o cholewkę drugiego. Zabrzęczały ostrogi.

– Wstawaj, Soll – zażądał Bonifor. – Pożegnaj się z ukochanym. Już czas.

Egert dostrzegł kątem oka, że jadowite ostrze znika w metalowej pochewce, uczepionej łydki Fagirry. Miał ochotę uściskać trzech swoich prześladowców.

Karwer pochylił się i chwycił mocno za kołnierz Egerta. Zrobiło się małe zamieszanie, gdyż jednocześnie chcieli to uczynić także Dirk i Bonifor. Fagirra powoli wstał i usunął się w cień.

– Ej! ej, ej! – rozległy się ostrzegawcze okrzyki.

Studenci otoczyli ich zwartą grupą i zaczęli zadawać pytania:

– Soll, co to za jedni?...

– Jakie błyszczące guziki... Poobrywamy?

– Patrz, trzech na jednego i jeszcze zęby szczerzą!

– Dajcie Sollowi parę noży, niech nimi porzuca... Zaraz pogubią guziki!

Karwer chrząknął znacząco i położył dłoń na rękojęści szpady. Studenci trochę się cofnęli, lecz nie zamierzali uciekać.

W tym momencie Lis powrócił z ustronnego miejsca do tawerny w znakomitym nastroju. Przecisnął się między kolegami i ogarnawszy wzrokiem trzech uzbrojonych intruzów, nastających na pobladłego Solla, w mig ocenił sytuację.

– Tatusiu! – pisnął, rzucając się Karwerowi na szyję.

Zrobiło się kolejne zamieszanie. Dirk i Bonifor zostawili w spokoju Egerta, wytrzeszczając zdumione oczy na rudego chłopaczka, szlochającego na piersi porucznika.

– Tatusiu... Dlaczego rzuciłeś moją mamę?

Wśród studentów rozległy się chichoty. Karwer nadaremnie starał się oderwać dłoń rudzielca od epoletów.

– Ty... ty... – dyszał, nie wiedząc, co powiedzieć.

Lis podskoczył i otoczył jego talię udami. Oficer ledwo utrzymał się na nogach. Kajetan czule chwycił go za uszy.

– Pamiętasz, jak ciągnąłeś moją mamusię na sianko?

– Zabierzcie go! – wrzasnął Karwer do towarzyszy.

– Wyrzekasz się mnie?! – zawył boleśnie rudy.

Zeskoczył na ziemię, wpijając w porucznika zrozpaczone, piwne oczy.

– Wyrzekasz się własnego syna?! Popatrz tylko na mnie... Wykapany tatuś! Ta sama wredna mordka!

Studenci ryknęli śmiechem, nawet Soll uśmiechnął się blado. Dirk i Bonifor rozglądali się wokół niespokojnie rozlatanymi, zaczerwienionymi oczami.

Nagle, jakby olśniony, Lis skrzywił się podejrzliwie i zerknął na oficera spode łba.

– A może ty w ogóle nie umiesz robić dzieci?!

Opamiętawszy się w końcu, Karwer wyszarpnął szpadę. Studenci odskoczyli. Tylko Lis pozostał na miejscu. Chwycił za stojącą na stole pieprzniczkę i sychnął jej zawartością prosto w oczy gwardzisty.

Jego dziki wrzask sprowadził do świetlicy karczmarza, kucharza i wszystkich posługaczy. Spurpurowiały na twarzy Karwer, kaszlący i oślepiony, siadł z rozmachem na podłodze, usiłując oczyścić straszliwie piekące źrenice. Jego druhowie chwycili za broń, lecz w tym momencie posypały się na ich głowy ze wszystkich stron zydle, kufle, a nawet sprzęty kuchenne. Pozostawiając za sobą stosy zniszczonych mebli, odprowadzani kpinami i obelgami gwardziści opuścili plac boju, odgrażając się, że jeszcze tu wrócą.

Następnego dnia Toria wspięła się jak zwykle na drabinkę i zajrzała przez okrągłe okienko do auli, lecz nie zobaczyła Egerta Solla wśród studentów.

Przebiegła parę razy wzrokiem po rzędach ławek, posepniejąc. Nieobecność

młodzieńca sprawiła jej przykrość. W końcu z katedry przemawiał właśnie jej ojciec! Zadumana zesła na dół i obserwowała z roztargnieniem wyczyny kota, łowcy myszy. Później, dziwiąc się sobie samej, poszła do bursy.

Dobrze pamiętała drogę do tego pokoju. Dinar nie lubi!, żeby go odwiedzała, zapewne wstydził się skromności tego miejsca. Nie bacząc na to, odwiedzała go jednak, przysiadając na krawędzi stolika. Biedaczek wówczas zaczynał się krzątać, zbierać porozrzucane rzeczy i ścierać kurz z parapetu...

Westchnęła, wspominając narzeczonego. Podeszła do znajomych drzwi, czując się mocno niezręcznie. W zamknięciu tego pokoju panowała absolutna cisza, jakby nikogo tam nie było. Głupio to wygląda, pomyślała, zastukała i weszła do środka.

Egert siedział przy stole z opuszczoną nisko głową. Toria natychmiast zauważyła leżące przed nim kartki papieru i pióro upańkane atramentem. Obejrzał się w stronę wchodzącego gościa i drgnął na jej widok. Potrącony jego dłonią kałamarz, upadł i rozlał swą zawartość.

Następna chwila zesła im na wspólnym, milczącym ścieraniu śladów jego niezgrabności z blatu i podłogi. Spojrzenie Torii niechcący padło na gęsto zapisane kartki i mimowolnie przeczytała: „...i dlatego możemy wspominać o wszystkim, co się wydarzyło...”. Prędko odwróciła wzrok. Egert zauważył to i uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nigdy nie pisałem listów.

– Powinieneś być na wykładzie – zauważyła oschle.

– Tak – przyznał z westchnieniem. – Muszę jednak... jeszcze dzisiaj... napisać do pewnej kobiety.

Jesienny wiatr świszczwał za oknem, miotając i łomocząc niezamkniętą okiennicą. Dziewczyna dopiero teraz spostrzegła, że w pokoiku panuje szary półmrok.

– Tak – podjął Egert. – Postanowiłem wreszcie napisać do matki.

Wiatr przylepił do szyby żółty liść klonu, rozchodzący się promieniście jak słońce. Chwilę wisiał na szkle, potem oderwał się i pofrunął dalej.

– Nie wiedziałam... że masz matkę – powiedziała cicho i zaraz się zmieszła. – To znaczy... że ciągle żyje.

Egert spuścił oczy.

– Tak, żyje.

– To dobrze – wymamrotała, nie będąc w stanie wymyślić niczego lepszego.

Soll uśmiechnął się gorzko.

– Nie jestem dobrym synem. Z całą pewnością.

Za oknem znów zawył wicher i przeciąg poruszył papierami na stole.

– Wydaje mi się – rzekła Toria nieoczekiwanie dla samej siebie – że nawet złego syna matka kocha tak samo. Być może nawet mocniej...

Spojrzał na nią bystro i twarz mu się rozjaśniła.

– Prawda?

Nie wiedzieć czemu Toria wspomniała w tej chwili nieznanego malca, szlochającego nad martwym wróblem. Miała wtedy czternaście lat. Zbliżyła się i wyjaśniła mu poważnie, że martwego ptaka należy zostawić w spokoju. Na pewno ptasi król ożywi w zaświatach swego poddanego. Ocierając zapłakane oczy, malec zapytał wtedy z taką samą, naiwną nadzieją: „Prawda?”.

Toria uśmiechnęła się do swych wspomnieli.

– Prawda.

O szyby zabębniły krople deszczu.

Za każdym razem, kiedy Toria wracała do domu z kolejną dziurą na pończosze, jej matka kręciła milcząco głową i sięgała na półkę po pudło z przyborami do szycia. Córka z ciekawością zaglądała do tajemniczego wnętrza pudełka z kłębkami różnokolorowych nici i błyszczącymi zapasowymi guzikami. Matka wyciągała igłę z poduszeczki i brała się za robotę, co pewien czas przygryzając nic białymi zębami. Wkrótce na miejscu kompromitującej dziurki pojawiał się wyhaftowany czerwony żuczek w czarne ciapki. Pończochy panny po kilku tygodniach pstrzyły się takimi żuczkiem, mniejszymi i większymi. Lubiła sobie wyobrażać, że ozywają i wędrują po łydkach, łaskocząc je łapkami...

A gdyby jej matka wciąż żyła? Gdyby ojciec jej wtedy nie wypuścił, zaparł się w drzwiach, zamknął je zakłębieniem?

Ojciec i córka przeżyli wiele lat razem i przez cały ten czas nie ujrzała przy nim ani jednej kobiety. Ani jednej.

Wieża Łaszą odezwała się przenikliwym wyciem. Toria skrzywiła się niechętnie i zaniepokoiła, widząc zmianę, jaka zaszła na twarzy Egerta. Na pewno trudno jest żyć w ciągłym strachu.

– To nic – powiedziała trzeźwo. – Nie zwracaj na to uwagi. W te bzdury o końcu czasów wierzą tylko trumniarze... liczący na zysk.

Uśmiechnęła się z własnego żartu, lecz Egert nie odpowiedział tym samym.

Między jego brwiami rysowała się głęboka, pionowa bruzda.

Dźwięk powtórzył się, przypominając jeszcze bardziej histeryczny jęk. Zauważyła, że Soll zaczął szczerkać zębami. Odwróciła wzrok, on także starał się ukryć ten takt. Dłuższą chwilę starał się wziąć w garść. Czuła się niezręcznie, będąc świadkiem tej milczącej walki.

Jakiś czas zastanawiała się, czy powinna się cicho oddalić, czy też zostać i udawać, że niczego nie widzi. Wieża wreszcie zamilkła, lecz on się nie uspokoił i szczerki chodziły mu nadal. Przytrzymał je w końcu dłonią. Toria wyszła bez słowa na korytarz, napełniła wodą z banki żelazny kubek i zaniósła go Sollowi.

Wypił, krztusząc się. Błada twarz poczerwieniała, z oczu pociekły łzy. Chcąc mu pomóc, dwa razy walnęła go po karku. Koszulę miał mokrą, jakby ktoś zlał go wiadrem wody.

– Wszystko będzie dobrze – wymamrotała, zmieszana. – Posłuchaj... Nie będzie żadnego Kresu Czasu. Nie bój się...

Wziął głęboki oddech i nagle zaczął mówić o wszystkim: o Fagirrze, o Mistrzu, obrzędzie w Wieży, obietnicach i pogrożkach, o tajnej misji... Toria wysłuchiwała go spokojnie do końca, nie przerywając. Opowiedział jeszcze o ostatnim spotkaniu z zakapturzonym i zamilkł.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– To wszystko?

– Wszystko – przytaknął.

Milczała jakiś czas.

– Nie masz do mnie zaufania? – spytała potem cicho.

Uśmiechnął się niepewnie. Dziwne pytanie po tym wszystkim, co jej opowiedział!

– Powiedz mi całą prawdę – dodała ponuro.

Powiedział więc także o zatrutym sztylcie.

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia, chyba dziesięciominutowa, potem uniosła głowę.

– Nic mu nie powiedziałaś?

– Niczego przecież nie wiem – odparł znużonym głosem. – A gdybym wiedział, pewnie bym doniósł o tym dla świętego spokoju...

– Nie – zaprzeczyła, jakby zdumiona takim obrotem spraw. – Nie powiedziałabyś – dodała trochę bez przekonania.

– Widzisz, co się ze mną dzieje – przypomniał znacząco. – Nie jestem już sobą, lecz marną, tchórzliwą istotą...

– Mógłbyś spróbować to przełamać? – zapytała ostrożnie. – Spróbować przestać się bać?

Wzruszył ramionami.

– Spróbuj przestać mrugać powiekami.

Spróbowała, jakiś czas patrzyła w okno szeroko otwartymi oczami, jakby kogoś obserwowała, w końcu jednak nie wytrzymała i bezrozumnie zatrzepotała rzęsami.

– No widzisz – powiedział, patrząc w podłogę. – Jestem całkowicie poddany klątwie. Cały czas rozmyślam o tym, co w mojej duszy jest najważniejsze i co jest ostatnie... i kto zapyta pięć razy, żebym odpowiedział pięć razy „tak”.

Toria potarła skroń gestem podobnym do ojcowego.

– Nie mogę w to uwierzyć. A jeśli każą zrobić ci coś... okropnego? Nie zdołasz się sprzeciwić?

Uśmiechnął się krzywo.

– jeśli będę miał nóż na gardle...

– Lecz przecież nie jesteś podły? – mruknęła niepewnie. Nie odpowiedział. Na zlanym deszczem dziedzińcu trzepotał się wściekle wielki, czarny gawron.

Egert westchnął i z miną, jakby szedł na ścięcie opowiedział jej o dylizansie i rozbójnikach, którzy zatrzymali pojazd w biały dzień pośrodku drogi.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Spodziewał się, że panna po prostu wstanie i wyjdzie, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– A gdyby – spytała drżącym głosem – a gdybym to była... ja?

Zakrył twarz dłońmi.

Długo spoglądała na niesforne kosmyki jasnych włosów, na atletyczny, lecz obecnie bezsilny tors, potem położyła mu dłoń na ramieniu.

Zamarł.

– Nie odpowiadasz za swoje postęпки – stwierdziła z przekonaniem. – Jesteś jak chory... Trzeba znaleźć na to lekarstwo. Znajdziemy je...

Mówiła z wysiłkiem, niczym lekarz pocieszający konającego i mówiący mu o szybkim powrocie do zdrowia. Naprężony mięsień drgnął pod jej palcami, jakby lekko się rozluźniając. Zmiana ta była ledwie wyczuwalna, lecz w następnym momencie Toria odczuła całą wiązkę jego emocji: nadziei, wdzięczności, pragnienia

wiary. Nie zdejmując dłoni z ciepłego ramienia życzyła sobie w duchu, by jej wymuszone słowa okazały się jednak prawdą.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Do pokoju wszedł szeroko uśmiechnięty Lis, trzymający pod pachą parę książek.

Zmrużone, piwne oczka zatrzymały się na Egercie, przesunęły się potem na Torię i jej wyciągniętą dłoń. Trwali tak we troje jakiś czas, w końcu rudzielec otworzył szeroko oczy i usta, aby wreszcie wybełkotać nieskładne przeprosiny. Potem uciekł z pokoju, pozostawiając książki na podłodze.

Toria nie cofnęła dłoni. Odczekała, aż ścichnie w korytarzu tupot nóg Kajetana i powiedziała poważnie:

– Wiesz, co myślę? Kłątwa będzie zdjęta, kiedy znajdziesz się w sytuacji bez wyjścia i zwyciężysz... Czy nie to miał na myśli Tułacz, mówiąc: „przejdiesz drogę do końca”?

Egert nie odpowiedział.

Skończyły się dni deszczowe i jesienne słońce zaczęło jasno świecić, dzięki czemu mieszkańcom poprawiły się trochę humory. „Nie będzie końca świata – mówili do siebie, wychodząc rano na ganek – przeciwnie: świat staje się piękniejszy”.

Wieża Łasza sterczała nad głównym placem niczym groźący palec. Wydawało się, że ostatnio skurczyła się i zwiotczała jak paluszek staruszka. Na placu wokół niej było pusto. Większość ludzi starała się obejść ją szerokim łukiem, tym bardziej, że dym z okienek walił wciąż coraz gęstszy, niepokojące dźwięki dochodziły coraz częściej, a przypadkowi przechodnie, którzy znaleźli się w pobliżu późną nocą, zapewniali znajomych, że słyszeli jakiś straszny, podziemny ryk.

Władze miejskie milczały i najwidoczniej nie zamierzały niczego przedsięwziąć. Wśród studentów nadal należało do dobrego tonu kpić sobie z zakonu kasza. Lis wspominał przy takich okazjach swą starą, głupią nianię, która panicznie bała się ducha apteki, jakim straszili ją jego starsi bracia. Zajęcia odbywały się jak gdyby nigdy nic i tylko paru przestraszonych chłopaczków pod różnymi pretekstami wyjechało do domu.

– Ojciec się niepokoi – oznajmiła pewnego dnia Toria.

Siedzieli późnym wieczorem w bibliotece, przy świetle jedynej świeczki, stojącej na wózku bibliotecznym.

– Nie pokazuje tego po sobie, ale znam go. Denerwuje go ten cały Łasz.

Świeca ronila krople wosku.

– Łasz – powtórzył ledwie słyszalnie Egert. – Kiedy poszukiwaliście w Kavarrenie jakichś rękopisów... mówiłaś, że zakon został stworzony przez jakiegoś szalonego maga?

– Święte Widziadło – szepnęła Toria. – Uważa się, że ów mag stał się po śmierci Świętym Widziadłem. Niczego jednak nie wiadomo dokładnie. Ojciec prosił, żeby Dinar się tym zajął. Niczego jednak nie znaleźliśmy! Absolutnie niczego... To było przed wiekami. Wszelkie rękopisy, dotyczące historii kasza zaginęły, jakby ktoś usuwał je specjalnie...

– Oni powiadają, że to tajemnica – odparł z ponurym uśmiechem. – Faktycznie potrafią ją chronić.

Toria myślała o czymś przez chwilę, potem przyznała niechętnie:

– W swoim czasie namawiali do czegoś ojca. Proponowali mu... nie wiem, co. Współpracę? Pieniądze? Władzę? Odmówił im kilkakrotnie. Ale teraz... bardzo się niepokoi. Czeka na coś, chociaż, nie wie, czego ma oczekiwać.

Soll zdziwił się.

– Czyżby?... Przecież magowie znają, a przynajmniej powinni znać, rozmaite tajemnice... także tajemnice przyszłości?

Torii wydało się, że w słowach tych pobrzękuje powątpiewanie, co do mocy jej ojca. Urażona, potrząsnęła głową.

– Co ty wiesz! Tak, ojciec ma wielką wiedzę... niepojętą dla nas. Ale nie fest Wieszcziarzem!

Egert uznał, że lepiej nie odpowiadać. Nie chciał się z nią spierać, a przy okazji wykazywać niewiedzę. Panna zawstydzila się swego wybuchu, wymamrotała więc pojednawczo:

– Rozumiesz... Przyszłość znana jest tylko Wieszcziarzom. To specjalny dar nielicznych magów, dysponujących w dodatku Amuletem, który pojawił się na tym świecie za sprawą pierwszego Wieszcziarza i od tej chwili przechodzi na kolejnych następców.

Nieco zdenerwowana nie mogła dobrać odpowiednich słów.

– Z ojca na syna? – spytał niepewnie Soll.

– Nie. Wieszcziarze nie są związani pokrewieństwem. Na świecie może istnieć tylko jeden Wieszcziarz. Gdy umiera, Amulet sam znajduje nowego. Magiczne przedmioty to po – trafiają. To bardzo stary artefakt. Prawdę mówiąc, nie do

końca wiem, co to jest.

Toria westchnęła głęboko.

Egert uniósł głowę, zdawało mu się bowiem, że poczuł na twarzy lekki magiczny podmuch od zapelniających półki skarbów wiedzy. Od dawna zamierzał wypytać Torię o życie czarnoksiężników, lecz obawiał się poruszyć tak trudny, dosyć przerażający go temat.

– A... gdzie jest obecny Wieszcziarz? – spytał ostrożnie. – Ten, który posiada teraz Amulet?

Toria sposepniała.

– Nie ma Wieszcziarza. Ostatni zmarł pół wieku temu i od tego czasu...

Znowu westchnęła.

– Bywa i tak. Zapewne nowy jeszcze się nie narodził.

Egert nic nie mówił, nie wiedząc, czy ma prawo pytać dalej. Ciekawość jednak przewyciężyła obawę, tak więc w końcu podjął indagację.

– Co więc teraz robi Amulet? Podróżuje, czy czeka na nowego pana ukryty przed ludźmi?

– Spoczywa w sejfie mego ojca – wyrwało się Torii, która zbyt późno ugryzła się w język.

Minęła dłuższa chwila. Egert patrzył na nią okrągłymi, pełnymi wyrzutu oczyma.

– Dlaczego... mi to... powiedziałaś?!

Doskonale zdawała sobie sprawę, że popełniła błąd, próbowała więc rozładować sytuację zwykłą paplaniną.

– I jakie to ma znaczenie? – zapytała, oglądając uważnie fałdy na swojej sukience. – Przecież chyba nie doniesiesz o tym na zewnątrz, prawda?

Odwrocił twarz. Dobrze wiedziała, o co mu chodziło, on zaś wiedział, że ona wie.

Dziekan zerkał z ukosa na córkę, poprawiając pogrzebaczem trzeszczące na kominie polana.

Chwilami przerażało go podobieństwo Torii do zmarłej matki. Obawiał się, że wraz z posagową urodą odziedziczyła także jej okrutną dolę. Zgadzaając się na jej ślub z Dinarem, żywił szczerą nadzieję, że wszystko się zmieni w jej życiu. Nadzieję tę rozwiła tragiczna śmierć narzeczonego. Zdawało się, że córka jest zbyt podobna do

matki, aby być naprawdę szczęśliwą. Wielekroć ścisnęło mu się serce, gdy spostrzegał między regalami jej drobną figurkę w zawsze tej samej, ciemnej sukience.

W tej chwili siedziała na niskim taborecie z kolanami pod brodą, skulona jak zmokły wróbelek, zawstydzona swoją głupotą. Wygadała się, chociaż wiedziała, że nie powinna! Jej twarzyczka, nawet w grymasie złości pozostawała dziewczęca i delikatna. Dziekan zauważył w tej chwili ze zdziwieniem, że w duszy jego córki zachodzą od pewnego czasu jakieś przemiany.

Soll stał obok niej, prawie dotykając jej ramienia, lecz nie śmiejąc nawet musnąć. Tak blisko nie pozwoliła stać przy sobie nawet narzeczonemu. Po śmierci tamtego zrobiło się jeszcze gorzej. Zamknięta w skorupie własnego bólu, przekonana, że życie się skończyło, odstraszała wszystkich młodzieńców, którzy brali jej zachowanie za przejaw pychy i uważali ją za nieprzystępną. Stała zaś teraz u boku zabójcy Dinara. Łujan, zerkając na nich przez ramię, skonstatował, że jego córka zmieniała się w sposób wcześniej niewyobrażalny.

Stała się bardziej kobieca. Nie straciła niewieściej łagodności nawet teraz, gdy się złościła. I wcale nie przejmowała się obecnością Solla, człowieka, którego do niedawna gotowa była zabić!

W kominku trzaskały bierwiona. Dziekan z trudem zmusił się do dalszej rozmowy.

– To moja wina – powiedziała z rozpaczą Toria. – Mój przeklęty długi język...

Dzekan spojrzał na nią badawczo.

– Ostrożnie z przekleństwami.

Podumał chwilę, potem wstał i otworzył jedną z wysokich szaf.

– Ojciec... – powiedziała drżącym głosem.

Dzekan wydobyl z sejfu jaspisową szkatułkę, uchylił wieka i wyciągnął coś na brzęczącym, złotym łańcuchu.

– Oto on, Soll. Możesz go obejrzeć.

Na jego dłoni spoczywał medalion z wycięciem w środku.

– Oto Amulet Wieszczyarza. Niesłychanie cenny artefakt, przechowywany w tajemnicy.

– Nie powinienem opuścić tego pokoju – powiedział wystraszony Soll. – Inaczej o tym doniosę...

Dzekan zauważył współczujące spojrzenie córki, skierowane na młodzieńca. Pokręcił głową w zadumie.

– Mogę sprawić, że oboje o tym zapomnicie. Tak, jak Kajetan zapomniał o pewnym zdarzeniu, którego był mimowolnym świadkiem. Mogę to uczynić, a jednak tego nie zrobię. Musisz przejść swoją drogę do końca, Egercie. Walczyć o swoją wolność – dodał, patrząc na medalion.

– Ale co będzie, jeśli Łasz się o tym dowie? – wtrąciła Toria.

– Nie boję się Łasza – odparł spokojnie dziekan.

Ogień zapłonął w kominku z całej siły i medalion na dłoni maga rozbłysnął, rzucając wesołe odblaski na ścianę.

– Jest całkiem czysty – oświadczył półgłosem dziekan.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Co?

– Jest czysty – zaczął wyjaśniać – z czystego złota, bez jednej plamki rdzy. W chwilach, kiedy nadciąga niebezpieczeństwo zagłady ludzkości, talizman wyczuwa je i rdzewieje. Tak było pół wieku temu, kiedy za progiem czyhała Trzecia Siła. Miałem wtedy także złe przeczucia, choć byłem małym chłopcem, a medalion ponoć cały pokrył się rdzą. Lecz teraz jest czysty... jakby nic nam nie groziło. Wiem jednak, że coś jest nie tak!

Odczekawszy chwilę schował z powrotem medalion i zamknął szafę.

– Grozi nam... Łasz? – spytał szeptem Toria.

Dziekan dorzucił drewno do kominka. Soll uskokczył, kiedy strzeliły skry.

– Nie wiem – przyznał się niechętnie dziekan, – ale na pewno ma z tym coś wspólnego. Wydaje mi się jednak, że prawdziwa groza pochodzi od czegoś innego albo... kogoś innego.

Zima przyszła w ciągu jednej nocy.

Kiedy Soll zbudził się rano, zorientował się, że szarość za oknem zastąpiona została bielą, jakby ktoś wywiesił biały woal. Nie było słychać wiatru ani ludzkich kroków, ani turkotu kół na placu. Śnieg zasypywał triumfalnie świat pogrążony w ciszy.

Zgodnie z tradycją dzień pierwszego śniegu był wolny od wykładu. Egert ucieszył się z tego powodu bardziej, niż się spodziewał.

Na uniwersyteckim podwórku prędko zrobiło się wesoło. Studenteria zamieniła się pod przewodnictwem Lisa w armię niestrudzonych wojowników, toczących zażartą bitwę na śnieżki. Soll przyłączył się do zabawy.

Jakoś tak się stało, że Egert zmuszony był walczyć przeciw wszystkim, jak starożytny bohater. Zdawało się, że ma dziesięć rąk, nie dwie, i każdy rzut był celny, trafiając bez pudła w czyjeś zarumienione oblicze. Atakowany ze wszystkich stron, uchylał się przed kulami, które zderzały się nad jego głową, osypując śniegiem białe włosy. Bezsilni przeciwnicy zmawiali się już, by przejść do ataku wręcz i unurzać herosa w zaspie. W tym momencie roześmiany bohater spostrzegł Torię, obserwującą walkę.

Lis i jego koledzy zaraz się ulotnili. Toria schyliła się i niespiesznie zgarnęła śnieg, po czym uformowała go w kulę. Zamachnęła się, rzuciła i trafiła prosto w czoło Egerta.

Podszedł do niej, ocierając twarz, z topniejącego śniegu. Toria patrzyła na jego mokrą twarz poważnie, bez cienia uśmiechu.

– Dziś pierwszy śnieg... Chcę ci coś pokazać.

Nie rzekła nic więcej, odwróciła się i odeszła. Egert ruszył za nią jak na sznurku.

Śnieg nadal padał, zasypując schody wejściowe. Na głowach żelaznej żmii i drewnianej małpy formowały się białe czapy.

– Gdzieś w mieście? – spytał z niepokojem. – Nie chciałbym spotkać tam Fagirry.

– Sądzisz, że ośmieli się podejść do ciebie, gdy będziesz w moim towarzystwie? – odparła z uśmiechem.

Miasto utonęło w milczeniu. Zamiast turkoczących wozów po mieście sunęły bezszelestnie sanie, a szerokie ślady płóz zdawały się uformowane z porcelany. Śnieżynki sypały się na ramiona przechodniów, grzbiety psów, kryjąc przed oczyma wszelkie brudy i nieczystości.

– Pierwszy śnieg – powiedział Egert. – Szkoda, że się roztopi.

– Właściwie nie szkoda – zaoponowała. – Każda odwilż jest jakby nową wiosną... Niech się rozpuszcza. A to...

Chciała powiedzieć, że śnieżna płaszczyzna przypomina jej całun, jakim okrywają nieboszczyka, lecz przemilczała to. Niech Egert nie myśli sobie, że zawsze żartuje tak ponuro. Zima ma przecież swoje uroki i cóż się na to poradzi, że można zamarznąć w zaspie, jak to się zdarzyło z jej matka?

Na gzymsach domów siedziały gile o czerwonych brzuskach, ze śnieżynkami na plecach. Wyglądały jak strażnicy w paradnych uniformach. W pobliżu przechodził

zbrojny w piki patrol straży miejskiej w biało-czerwonych mundurach.

– Nie zimno ci? – zapytał.

Ukryła głębiej dłonie w starej mufce.

– Nie. A tobie?

Był bez czapki. Leżący na jego włosach śnieg nie topniał.

– Nigdy nie marznę. Ojciec wychowywał mnie na żołnierza, a wojak winien być zahartowany.

Uśmiechnął się.

Wyszli przez bramę miejską. Mokry śnieg zalepił wyszczerzone smocze paszcze, wykute na ciężkich skrzydłach wrót. Szerokim traktem sunęły kawalkady sań. Toria skręciła i zaprowadziła Egerta na brzeg rzeki.

Powierzchnię wody pokrywała lodowa szyba, gruba i matowa przy brzegach, cienka i przejrzysta pośrodku. Rzeczny nurt płynął jednak swobodnie pod gładką szybą. Na skraju lodu zasiadały z godnością gawrony.

– Pójdziemy wzdłuż rzeki – oznajmiła. – Spójrz... Tutaj powinna być ścieżka.

Dróżka zniknęła pod śniegiem. Egert szedł przodem, a dziewczyna starała się utrafiąć trzewiczkami w głębokie ślady jego butów. Szli tak dość długo, aż przestał padać śnieg, a poprzez strzępiaste chmury wyjrzało słońce.

Toria przymknęła powieki, oślepią nagłą jasnością. Egert obejrzał się. W jego włosach zabłyśły krople topniejących płatków.

– Daleko jeszcze?

Uśmiechnęła się, jakby nie rozumiejąc pytania. Słowa wydawały się jej zbędnym dodatkiem do tak pięknego dnia.

Egert chyba zrozumiał i uśmiechnął się niepewnie, jakby w odpowiedzi.

Weszli potem razem na niewielkie wzgórze, gdzie śnieg zalegał cieńszą warstwą. Toria kryła lewą dłoń w głębi mufki, prawą zaś trzymała ramienia towarzysza. Soll przyciskał ją łokciem do siebie, żeby ogrzać rączkę, wczepioną w fałdy rękawa.

Zatrzymali się i spojrzeli z góry na rzekę i miasto, nad którym tu i ówdzie wznosiły się smużki dymu z kominów.

– Nigdy tutaj nie byłem – stwierdził ze zdziwieniem Egert. – jak pięknie...

Toria uśmiechnęła się kącikiem ust.

– To ważne miejsce. Był tutaj kiedyś stary cmentarz. Podczas Czarnego Moru pochowano tu wszystkich zmarłych. Powiadają, że wzgórze wyrosło na stosach

trupów. Od tamtego czasu uważa sieje za osobliwe, jedni mówią: szczęśliwe, inni, że jest przeklęte. Dzieci zostawiają na wierzchołku pukle włosów, żeby spełnić życzenie. Czarownicy z okolicznych wiosek pielgrzymują tutaj. A w ogóle...

Przerwała na chwilę.

– Ojciec nie lubi tego miejsca. Mówi, że... Lecz my chyba nie mamy się czego bać? W tak piękny, biały dzień...

Postali jeszcze jakiś czas na szczycie. Toria wskazując zmarzniętą dłonią na rzekę, na zasypaną drogę i szary horyzont opowiadała o dawnych czasach, o wrażliwych hordach, atakujących miasto z trzech stron, o głębokich wykrotach, po których zostały tylko płytkie rowy, o niezdojanych wałach, wznoszonych za cenę wielu ludzkich istnień. Wzgórze, na którym stali, okazało się jednym ze zniszczonych z upływem lat umocnień. Słuchający jej uważnie, Soll stwierdził, że wrogie armie musiały być konne i bardzo liczne.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się. – Czytałeś o tym?

Zmieszany, przyznał się do zupełnej ignorancji. Nie, nie czytał, lecz jeśli wały były tak rozmieszczone, jak to opisywała, dla każdego powinno być jasne, że były wzniesione nie przeciwko piechocie, ale konnicy.

Jakiś czas milczała, zakłopotana. Soll również milczał. Na śniegowej płaszczyźnie wydłużały się ich szaroniebieskie cienie.

– Jeśli się długo patrzy na horyzont – powiedziała w końcu cicho – nie odrywając oczu... Można sobie wyobrazić, że mamy przed sobą morze. Głębokie morze. My zaś stoimy na przybrzeżnej skale.

Egert ożywił się.

– Byłaś nad morzem?

Zaśmiała się wesoło.

– Tak... Byłam jeszcze malutka, lecz wszystko świetnie pamiętam. Miałam wtedy...

Spuściła oczy i nagle posmutniała.

– Miałam osiem lat. Dużo podróżowaliśmy z ojcem... żeby nie rozpacać po śmierci mej matki.

Wiatr igrający na wzgórzu podrzucał tumany perłowego pyłu. Egert nie zdążył zorientować się, czy powróciła zdolność odczuwania cudzego bólu, poczuł jednak ogromne pragnienie, by uspokoić i pocieszyć dziewczynę. Pomimo nekającej jego rozum nieśmiałości, nie powstrzymał swych dłoni, kiedy opadły na jej drżące

ramiona.

Była niższa odeń o głowę. Zdawała mu się dzieckiem. Poprzez ciepłą sukienkę i niezbyt grubą pelerynę wyczuwał, jak wąskie ramionka zatrzęśły się pod jego dotykiem, a po chwili zastygły. Obawiając się jej reakcji, ostrożnie przygarnął ją do swej piersi.

Para śnieżnych cieni znieruchomiła, stając się jednością. Oboje bali się urazić nawzajem. W oddali trwało zbiegające miasto wraz z połyskującą lodem rzeką. Tylko wiatr niecierpliwie wiercił się wokół nóg, obrzucając je śnieżnymi bryzgami.

– Jeszcze zobaczysz morze – szepnęła.

Milczał. W ciągu niewielu lat swego życia poznał wiele różnych kobiet, lecz poczuł się nagle jak niedoświadczony smarkacz, jak uczeń jubilera, który wcześniej z dumą szlifował zwykłe szkiełka, a teraz drży ze strachu, otrzymawszy do obróbki drogocenny klejnot.

– Na brzegach morza południowego nigdy nie ma śniegu... Tam są tylko gorące kamienie. I białe fale... – mówiła jak we śnie.

Na niebiosa, bał się rozewrzeć rękę. Obawiał się, że wtedy straci to, co najważniejsze. A przecież nie miał do niej żadnego prawa. Czy można utracić to, co nie należy do ciebie? Czy nie rozdzielał ich cień Dinara?

Toria wzdrygnęła się, jakby czytała mu w myślach, ale nie odsunęła się.

Nad ich głowami przelatowały różnokształtne obłoki, ozłacane z różnych stron promieniami słońca. Czując mocno bijące serce młodzieńca, Toria zrozumiała z lekkim przestachem, że czuje się szczęśliwa w jego objęciach. Od dawna tego nie czuła, jej nozdrza rozdymały się, wdychając zapach śniegu, świeżego wiatru i ciała Egerta. Miała ochotę wspiąć się na palce, by dotknąć jego twarzy.

Nigdy nie czuła zapachu Dinara. Nie pamiętała, jak biło jego serce. Obejmując tamtego, odczuwała głównie braterską czułość, lecz gdzieś było tamtemu dziecinnemu uczuciu do owego słodkiego oszołomienia, w którym chce się pozostać na zawsze. Strach się poruszyć albo nawet głęboko westchnąć...

Co to takiego, pomyślała w panice. Zdrada? Zdradzam pamięć Dinara?

Siny cień powoli przesunął się na śniegu, niczym wskazówka ogromnego zegara. Tuż przed jej oczami spłynęła na ramię Egerta gruba kropla rozpuszczonego śniegu. Słońce skryło się za chmurami i cień zniknął.

– Musimy już iść – szepnęła. – Musimy... Przecież miałam ci pokazać...

Zeszli w milczeniu ze wzgórza. Rzeka tu zakręcała, opływając niewielki cypel,

jakby miniaturowy półwysep. Rosło tu wiele sosen, których osypane śniegiem gałęzie przypominały wąsy staruszków.

Szli między konarami, co pewien czas otrząsając śnieżny pył z gałęzi, które wznosiły się ku górze oswobodzone, mącąc zimowy obrazek. W końcu Toria zatrzymała się i obejrzała na Egerta, jakby powołując go na świadka.

Tuż przed nimi wznosiły się osypane bielą kamienne fundamenty, w których żółtawy, chropawy kamień mieszał się z szarym i gładkim. Egert nie widział jeszcze niczego podobnego. Najdziwniejsze było wątłe drzewko, które trwało wczepione korzeniami w kamienie. Choć była zima, pozostawało okryte zielenią. Ani jeden płatek śniegu nie spadł na wąskie liście. Pomiedzy nimi tu i ówdzie czerwieniły okrągłe płatki, wyglądające jakby były sztuczne, zrobione z materiału. A jednak były prawdziwe. Młodzieniec przekonał się o tym, gdy dotknął kwiatu i zobaczył na palcach odrobinę czarnego pyłku.

– Oto – zaczęła Toria, starając się pokryć rzeczowym tonem targający jej duszą niepokój – oto pradawny grobowiec... Ma kilka tysiącleci. Spoczywa tu jakiś starożytny mag, być może Pierwszy Wieszcziarz. Być może nie on. Drzewo kwitnie cały rok, lecz nigdy jeszcze nie owocowało. Mówią, że także rośnie tu od tysiący lat. Prawda, że to niezwykle?

Magiczne drzewo nie było tak dziwne, jak to, co właśnie działo się między chłopcem a dziewczyną. Chciał jej o tym powiedzieć, lecz zabrakło mu odwagi. Stali dalej, patrząc na tysiącletni kurhan, milczący jak oni. Milczały też ośnieżone sosny, chłodno, lecz bez złych chęci.

Wracali do domu o zmroku. Mróz się nasilił, musieli więc zatrzymać się u miejskiej bramy, by się rozgrzać przy ognisku. Wartownik z twarzą pokrytą potem i zaczerwienioną od żaru podrzucał do ognia chrust i drwa, przyniesione przez okoliczne chłopstwo, płacące za wejście do miasta w naturze. Ujrawszy ogniki tańczące w nieruchomych oczach Torii, Egert odważył się szepnąć jej do ucha:

– Ja... Zrzucę z siebie klątwę. Odzyskam odwagę, choćby za cenę... wiesz sama. Przysięgam.

Opuściła powoli powieki, ukrywając tańczące w nich skry.

*

Pierwszy śnieg roztajał i ulice miasta pokryty sic lepkiem biotem. Po mieście hulał zimny wiatr i do nieco już uspokojonych serc znów zakolała trwoga. Wieża Łasza buchała ciągle złowieszczym dymem. „Wkrótce!”. Uniwersytet stracił jeszcze paru

studentów. Huczne imprezy w „Jednookiej Musze” umarły śmiercią naturalną. Dziekan Łujan stał się obiektem powszechnej uwagi. Młodzi ludzie Ignęli do niego, łaknąc spokoju. Przychodzili nawet nieznajomi z miasta i wystawali na schodach z nadzieją, że spotkają maga i usłyszą od niego parę słów pocieszenia, Łujan unikał długich rozmów, nigdy jednak nie okazywał natrętom niechęci ani rozdrażnienia. Sumienie nie pozwalało mu kłamać, lecz rozum nie pozwalał straszyć innych, zbywał więc nieproszonych gości filozoficznymi ogólnikami, nie mającymi związku ze sprawą.

Wystraszeni ludzie jednak wciąż przychodzili. Egert nie zdziwił się wcale, ujrawszy pewnego ranka na schodach między żmiją a małpą znużonego staruszka. Przybysz, starał się jednak trzymać prosto. Przy butach pobrzękiwały ostrogi. Skinął mu powitalnie i zamierzał wyminąć, gdy tamten uśmiechnął się z wysiłkiem i ruszył mu na spotkanie.

W tejże chwili rozpoznał swego ojca. Soll senior zadziwiająco upodabniał się do portretu, wiszącego w jego gabinecie, a przedstawiającego dziadka Egerta: siwego, z obwisłymi wąsami i obliczem poranym zmarszczkami. Wspomniawszy obraz, poznał rodziciela i zarazem przeraził się postępującą starością.

W milczeniu, przerywanym jedynie pobrzękiwaniem ostróg, udali się do niewielkiej gospody, w której zatrzymał się starszy pan. Dość długo krzesał ogień, w końcu zapalił świece w lichtarzu. Służący przyniósł wino i dwa kielichy. Siedząc w poskrzypującym fotelu, Egert ze smutkiem obserwował, jak ojciec walczy z myślami i nie może zacząć rozmowy, nie znajdując właściwych słów. Z ochotą by mu dopomógł, ale także nie wiedział, co powiedzieć.

– Przywiozłem ci pieniądze – oznajmił w końcu senior.

– Dziękuję – burknął syn i wydusił w końcu z siebie pytanie, męczące go całą drogę. – Co z mamą?

Ojciec pogładził przetartą aksamitną serwetę na stoliku. Spojrzał na syna zmęczonymi, załzawionymi oczyma.

– Jest... bardzo chora. Słyszałem, jak tutaj opowiadają, że nadchodzi koniec czasów. Koniec świata... Do licha z tym wszystkim, z twoim pułkiem i mundurem... Na co komu pułk, skoro... Egercie, synu mój... Mój ojciec miał pięciu synów. Mnie zostałyś tylko ty jeden. Trudno mi się już utrzymać w siodle, a nawet wejść na ganek... Czemu nas zostawiłeś? ... Bez wnuków...

Soll wymamrotał w stronę ciemnego kąta, z trudem dobywając głos z

zaciśniętej krtani.

– Wiem...

Starszy Soll westchnął ciężko i przygryzł wąsa.

– Egercie... twoja matka cię prosi... Wszystko ci wybaczyliśmy. Matka prosiła... Jedźmy razem do domu. Do licha z tym wszystkim... Pojedźmy do Kawarrenu. Mam konia dla ciebie. Cudna klacz – dodał z ożywieniem – czarna złośnica. Zrodzona z naszego Tika. Pamiętasz, jak lubiłeś na nim jeździć?

Egert przesuwiał bezmyślnie palcami nad płomieniem świecy.

– Synu... Pojedźmy od razu dzisiaj. Konie są wypoczęte... Jestem wprawdzie zmęczony, ale to bez znaczenia. Dam radę. Wrócimy do domu w ciągu tygodnia, co, Egercie?

– Nie mogę – odparł syn, przeklinając w duchu na czym świat stoi. – Jak mogę wrócić... taki?

Dotknął palcami szramy.

– Nie sądzisz – wykrztusił ojciec, – że twojej matce wszystko jedno, jaki się stałeś?

Obawiał się, że jeśli teraz nie zobaczy Torii, na pewno pięknie mu serce. Na szczęście spotkał ją na schodach wejściowych. Czyżby na niego czekała?

– Egercie?

Opowiedział jej o drżących dłoniach ojca, kiedy żegnając się z nim, uciekał wzrokiem, mamrocząc zapewnienia o szybkim przyjeździe.

Pod nogami chlupotało rzadkie błoto. Miasto było ciche, jakby wymarłe. Szli przed siebie ulicami i zaułkami, Egert zaś opowiadał bez przerwy.

Matka jest ciężko chora i czeka na niego. Lecz jak może tam wrócić przeklęty? Jak można ucałować ojcowskie progi z tchórzliwą duszą, która czyni go nikczemnym? Przysiągł wszak sobie i Torii... A może nie miał racji? Może jednak należy podjąć podróż, by uspokoić chorą matkę i wrócić tam jako nędzny tchórz? Z cieniem wciąż za plecami, niosącym nowe strapienia?

Starał się wyjaśnić to ojcu, jak potrafił. Plątały mu się słowa i zdania, myśli uciekały jak rybki z dziurawej sieci. Wiedział, że senior go nie rozumie. Egert rzekł w końcu: jestem chory. Wrócę, jak wyzdrowieję. Ojciec nie odpowiedział. Po raz pierwszy jego syn ujrzał go przygarbionego.

Toria wysłuchiwała tego wszystkiego spokojnie. Zapadał zmrok, tu i ówdzie

zapłonęły latarnie. Wszystkie domy miały zatrzaśnięte na głucho okiennice, jakby ich mieszkańcy zamykali oczy na wieczór, bioto i niepogodę... W pewnej chwili pannie wydało się, że śledzą ich jakieś mroczne cienie. Egert niczego nie zauważał, ciągle opowiadając i wzywając ją bezustannie na świadka swej prawości bądź nieprawości.

Chcąc się uchronić przed wiatrem, skryli się za jakąś furką i znaleźli się na pustym, zaśmieconym podwórku. Kucharka, wyglądająca przez drzwiczki spiżarki, rzuciła im na poły obojętne, na poły nieżyczliwe spojrzenie. Zatrzasnęła drzwi, zza których wydobywały się kłęby pary. Latarnia oświetlała mętnie szyld nad drzwiami: „Kozie mleko”. W wąskiej zagrodzie kręciły się trzy zaniedbane kózki.

Latarnia kołysała się na wietrze. Toria zadrżała, czując wilgotny podmuch.

– Chodźmy stąd. Nic tu po nas...

Egert już otwierał usta, żeby rozpocząć od początku swoją mowę obrończą, lecz nic nie powiedział. W mętnym świetle latarni stanął przed nim niczym złowrogie widmo porucznik Karwer Ott.

Gwardzista wyglądał nie najlepiej. Najwidoczniej podczas pobytu w tym mieście mundur porządnie się zniszczył, a mieszek opustoszał. Stojący za jego plecami Bonifor i wąsaty Dirk wyglądali wcale nie lepiej, bardziej jak rozbójnicy niż panowie gwardziści. Tak czy owak wszyscy trzej trzymali dłonie na rękoczynach szpad.

Toria nie rozumiała co się dzieje. Nie poznała Karwera i sądziła, że mają do czynienia ze zwykłymi rabusiami. Nie doczekawszy się zawołania: pieniądze albo życie!, uśmiechnęła się pogardliwie i chciała przemówić pierwsza, jednakże oficer ją uprzedził. Rozpoznał ją nawet w mętnym świetle rozhuśtanej lampy i wytrzeszczył oczy.

– Droga pani! Przecież my się znamy! – wykrzyknął, skrajnie zadziwiony. – Coś takiego...

Jego towarzysze zrobili krok do przodu, by lepiej jej się przyjrzeć.

– Ach, tak, Soll – podjął Karwer – jednak dopiąłeś swe go... I cóż, moja panno – zwrócił się znowu do niej z fałszywą uprzejmością – tak łatwo przebaczyłaś mu zabójstwo swego uczonego narzeczonego?

– Kim pan jest? – spytała lodowato.

Jej ton onieśmielił nieco Dirka i Bonitora, lecz Karwer nie dał się zbić z tropu.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Karwer Ott, porucznik gwardii miasta Kavarren, wysłany z rozkazem, by doprowadzić do koszar dezertera Solla. Ci

szlachetnie urodzeni młodzieńcy są moimi towarzyszami broni. Nie jesteśmy nocnymi rzezimieszkami, jak zapewne pani pomyślała! A teraz proszę pozwolić, że ja za – dam pytanie: kim jest człowiek, chowający się za pani plecami?

Soll wcale nie chował się za nią, lecz cofnął się odruchowo, czując w żołądku narastającą zimną kulę lęku. Słowa byłego przyjaciela zabołały go jak smagnięcie batem.

– Ten człowiek – odpowiedziała odważnie – znajduje się pod opieką uniwersytetu i mego ojca, dziekana Łujana. Proszę zejść z drogi i pozwolić nam odejść.

– Ależ, droga pani! – zawołał Karwer, doskonale udając zmieszanie. – Nie mogę pojąć, co taką porządną panienkę łączy z... tym osobnikiem?

Usta porucznika skrzywiły się w wyrazie odrazy, kiedy zerknął na Solla.

– Przypominam, że zabił pani narzeczonego! Myślę, że już wtedy w głębi duszy był takim, jakim stał się teraz... Wie pani, kim?

– Proszę pozwolić nam przejść – powtórzyła, robiąc krok do przodu.

Karwer natychmiast usunął się z drogi.

– Proszę bardzo... Nawet nam przez myśl nie przeszło niepokoić w jakikolwiek sposób piękną córę dziekana, znanego maga... Ale ten człowiek, droga pani... Chce pani się dowiedzieć, kim naprawdę jest Egert Soll?

Egert nie odzywał się. Powoli docierało do niego, co się dzieje. Było to gorsze niż zatruty sztylet Fagirry. Czuł, że będzie musiał wypić do dna tę czarę goryczy.

Jakby czytając w jego myślach, Karwer błyskawicznie wydobył szpadę. Egert zobaczył klingę lśniącą w świetle latarni i poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

– Odpowie pan za to – rzuciła Toria zdławionym głosem.

Karwer uniósł brew.

– Za co? Czyżbym robił coś złego? Panna może odejść lub zostać... W tym drugim przypadku zobaczy prawdziwą twarz swego, hm, przyjaciela.

Sztych jego szpady znalazł się blisko grdyki Solla.

Egert poczuł, że słabnie. Wrogi głos docierał do niego jakby przez szum młyńskiego koła. Był to szum krwi tętniącej w skroniach. Starając się przewyciężyć strach, przypomniał sobie wypowiedziane kiedyś słowa: „Znajdziesz się w sytuacji bez wyjścia i zwyciężysz. Musisz przejść do końca swoją drogę... Czy nie to miał Tułacz na myśli?”

– Przykro mi z pani powodu – mówił dalej Karwer. – Okrutny los zetknął

panią z człekiem, delikatnie mówiąc, niewiele wartym... Na kolana, Soll!

Egert zachwiał się. Toria wychwyciła jego spojrzenie. „Znajdziesz się w sytuacji bez wyjścia i zwyciężysz...” Wielkie nieba, jak można zwyciężyć spadającą z góry lawinę? W duszy Solla miotał się tchórzliwy człowieczek i młodzian czuł, że za chwilę opanuje go całkowicie.

– Słyszysz, Soll? – powtórzył z cicha Karwer. – Na kolana!

Toria patrzyła na niego. Czyżby myślała...

Nie mając odwagi myśleć dalej, padł w lepkie błoto pod nogami. Kolana same się ugięły i teraz miał przed oczyma przetarty pas oficerski i lśniące spodnie munduru.

– Widzi pani? – doszedł go z góry wzgardliwy głos. – Proszę go zapytać teraz o cokolwiek. Na pewno odpowie...

Egert nie widział Torii, lecz wyczuwał jej bolesne napięcie, rozterkę przemieszaną z nadzieją.

Ma więc nadzieję... Nie rozumie, że to niemożliwe. Niemożliwe pokonać klątwę Tułacza. Teraz ani nigdy.

Szpada drżała niecierpliwie w dłoni Karwera.

– Mów: jestem ostatnią szmatą...

– Egercie – odezwała się Toria z oddali, tonem pochodzącym z tamtego białego dnia, gdy stali przed wiecznie kwitnącym drzewkiem na grobie Pierwszego Wieszcziarza.

– Jestem ostatnią szmatą – wydusił z siebie, z trudem poruszając spierzchniętymi wargami.

Karwer chrząknął z zadowoleniem.

– Słyszycie?! Powtarzaj za mną: jestem tchórzliwą suką...

– Egercie – powtórzyła ledwie dosłyszalnie.

– Jestem tchórzliwą suką – powtarzały samoistnie jego wargi.

Dirk i Bonifor buchnęły chichotem pełnym złośliwej uciechy.

– Powtarzaj, Soll: jestem oferumą i męską dziwką...

– Zostawcie go! – krzyknęła przeraźliwie Toria.

Karwer zdziwił się.

– Czemu się tak nim pani przejmuje? Tym... Przecież to prawda, że jest taki, zastaliśmy go w karczmie z kochasiem... Oczywiście nie wiedziała pani o tym?

Soll słyszał jej bezdźwięczne wołanie: pokonaj to, Eger cie, pokonaj klątwę...

Trzasnęły drzwi. Ponura kucharka poszła w stronę szopy, zwracając ku

obecnym na podwórku ludziom, jak poprzednio, obojętne spojrzenie. Bawiąc się klingą, Karwer odczekał aż wróci do kuchni i zamknie za sobą drzwi, potem znowu zamachał szpadą przed nosem ofiary.

– Odpowiadaj, ofermo. Jesteś Egertem Sollem?

– Tak – wychrypiał.

– Jesteś dezerterem?

– Tak.

W tym momencie oblał się zimnym potem. Złamać zaklęcie... Pięć razy odpowiedzieć „tak”.

– Ty zabiłeś narzeczonego tej cudnej panny?

– Tak.

Toria drżała. Zgarbiony Soll wyczuwał, że także zrozumiała sytuację i chłonał jej gorączkowe, niecierpliwe oczekiwanie.

Karwer uśmiechnął się szeroko.

– Kochasz tę pannę, Egercie?

– Tak! – krzyknął po raz czwarty, czując jak szaleńczo trzepocze się jego serce.

Zdawało mu się, że słyszy ciężki oddech Torii. Niebiosa, dopomóżcie. Szansa ma być tylko jedna, kiedy pierwsze w duszy okaże się ostatnim... Czy to oznacza: odrzucić strach?

Podniósł głowę, oczekując na piąte pytanie. Napotkawszy jego wzrok, Karwer cofnął się bezwiednie, jakby ujrzał przed sobą widmo dawnego Egerta. Odstąpił na krok, badawczo spoglądając na ofiarę, dostrzegając jak drży na całym ciele.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Drżysz przede mną?

– Tak!

Zerwał się z kolan. Zdażył jeszcze dojrzeć zaskoczenie w oczach Karwera, poczuł za plecami poruszenie Torii, skoczył do przodu, zamierzając chwycić porucznika za gardło. Tamten prędko zasłonił się klingą. Egert wyciągnął rękę, żeby odtrącić ostrze i w tym momencie przyływ okropnego, mdlącego strachu zamienił go na powrót w roztrzęsione, przerażone stworzonko.

Nogi ugięły się pod nim i przysiadł na ziemi. Drżącymi palcami dotknął policzka. Szrama pozostała na swoim miejscu, podobnie jak zżerający duszę lęk.

Latarnia kołysała się, skrzypiąc. Egert czuł, jak nogi mu marzną w lodowatej

cieczy. Gdzieś z dachu ściekała woda. Kap... kap... kap... Toria zaszeptała coś bezradnie. Karwer, opamiętawszy się, zmrużył złośliwie powieki.

– No więc tak... Teraz okażesz tej panie swoją miłość.

Zwrócił się teraz do swych towarzyszy.

– Boniforze... widzisz tę kózkę w zagrodzie? Właściciel na pewno się nie obrazi, jeśli przez chwilę się z nią zabawimy...

Wciąż jeszcze czepiał się resztek nadziei, powtarzając pod nosem kolejne „tak”. Bonifor otwierał tymczasem zagrodę. Toria, niczego nie pojmując, spoglądała po kolei na Bonifora, Karwera i wąsatego Dirka. Czarna kałuża połyskiwała tłustymi plamami na powierzchni.

Poczuł w sercu ostatnie drgnienie nadziei, które zaraz zamarło, ustępując miejsca poczuciu beznadziei. Wiedział, że Toria także to czuje. Ich oczy spotkały się.

– Uciekaj – szepnęła. – Proszę... uciekaj.

Stała wciąż nieruchomo, jakby nie była w stanie zrobić nawet kroku. Karwer chrząknął znacząco.

Chuda i brudna kózka najwyraźniej przywykła do złego traktowania. Nawet nie zabeczała, gdy Bonifor, klnąc pod nosem, rzucił ją pod nogi Karwera. Ten zaś chwycił za sznurek na szyi nieszczęsnego stworzenia i spojrzał współczująco na zmieszaną pannę.

– Słyszała pani, że on ją kocha?

Soll spoglądał na szary, podrygujący kozi ogonek. Nie zdarzy się żaden cud. Nie zdarzy. Strach pętał jego wolę i rozum. Zgubił sam siebie i stracił Torię... tułacz nie zostawia dróg ucieczki.

Karwer podetknął pyszczek kozy Egertowi.

– Oto odpowiednia para dla ciebie. Twoja nowa ukochana... Pocałuj ją!

Czy Toria nie rozumie, że powinna uciekać? Jaki sens dręczyć się tą ohydą sceną?

Z dwóch stron naparły na niego ostrza szpad Dirka i Boni fora.

– Popatrz, jaka ładna! Prześliczna! Całuj ją!

Odór zwierzęcia drażnił jego nozdrza.

– Słyszała pani, że on ją kocha? – dochodził z jakiejś dali stłumiony głos Karwera. – Uwierzyła mu pani? Przecież gotów jest zastąpić panią pierwszą napotkaną kózką!

– Dlaczego pierwszą napotkaną? – zaoponował Bonifor z teatralną emfazą. –

Przecież to najśliczniejsza kózka w zagrodzie! Prawda, Soll?

– Jak wam nie wstyd...

Egert ledwie rozpoznał głos Torii.

– Nam ma być wstyd?! – oburzył się szczerze Karwer, w przeciwieństwie do Bonifora. – Nam a nie jemu?!

– Uciekaj! – błagał ją w myślach Egert.

Stała wciąż obok. Czyżby lęk sparaliżował jej nogi? Chłodne ostrze znowu dotknęło szyi Egerta.

– No, co jest, Soll! Ogłaszam was mężem i żoną, ciebie i ukochaną kozę! Czekamy na noc poślubną!

Dirk i Bonifor, zachwyceni pomysłowością kolegi, odwrócili kozę ogonem do Egerta.

– Do dzieła! Masz na to pięć minut... Potem odejdiesz zdrów i cały ze swoją damą. Prawda, droga pani? Nie chce przecież pani wracać sama?

Zdawało się, że spadł deszcz, gdyż po splątanej koziej sierści ściekała woda. Egertowi zdrętwiały kolana. Wydało mu się teraz, że jest małym chłopcem, stojącym po kolana w rzece Kawie i spogląda na rosnące przy brzegu żółte kwiatki, potem próbuje je zerwać...

Drgnął z bólu, gdy Karwer przeciągnął ostrzem po jego ucho.

– Nad czym tak dumasz? Ostrze mej szpady może odciąć ucho, palec i wszystko, co zechcę... A może ty... już?! To prawda, że trzebią studentów, proszę pani?

Strach pozbawił Egerta zdolności myślenia i odczuwania. Z mowy Karwera pojął jedynie, że Toria wciąż jest tutaj. Po myślał z dziecięcą urazą: dlaczego?

Skrzypiąca lampa wciąż kołysała się na wietrze. Noc wydała się Torii gęsta jak smoła. Lepkie powietrze dławilo jej krtań, nie mogła więc wydobyć z niej krzyku ani nawet słowa. Powinna wzywać pomocy, dobijać się do najbliższych drzwi, pobiec do ojca... Szok jednak zamienił ją w bezsilnego, niemego świadka.

Koza szarpnęła się rozpaczliwie. Bonifor uniemożliwił jej ucieczkę, ściskając kolanami grzbiet zwierzęcia. Karwer musnął szpadą gardło ofiary.

– No, Soll?! Rozpinaj spodnie!

Ciemność gęstniała coraz bardziej, otaczając ze wszystkich stron Egerta. Zaląła jego głowę i pierś, zakleiła uszy, wlała się do gardła, uniemożliwiając zaczerpnięcie powietrza. Przez chwilę poczuł się, jakby był żywcem pochowany w

ziemi. Nie ma już góry ani dołu, tylko ziemia sypie się nań i dusi...

Potem zrobiło mu się lżej na duszy i ostatnim przebłyskiem świadomości pojął, że umiera. Dziękować niebiosom, że kona tak lekko, bez bólu. Przeklęty Tułacz nie wziął pod uwagę jednej rzeczy: Egert nie potrafił pokonać swego strachu, lecz nie może także przekroczyć pewnej granicy. Stąd śmierć... Dzięki niebiosom.

Upadł miękko twarzą w błotnistą maź, która okazała się ciepłą i miękką jak pierzyna. Jak dobrze. Wraz z nim odwróciła się też latarnia na ciemnym niebie. Karwer krzyczał i wymachiwał szpadą. Niech macha. Egerta już tutaj nie ma. Nareszcie.

Pochylili się we trzech nad leżącym. Nieszczęsna kózka odskoczyła i uciekła, becząc żałośnie.

– Soll! Nie udawaj, Soll!

Toria odepchnęła w dwie strony Dirka i Bonifora. Egert leżał na boku, a jego twarz znikwała i pojawiała się w świetle rozkołysanej lampy.

– Odpowiedcie za to – powiedziała zadziwiająco spokojnie. – Odpowiedcie za wszystko... Zabiliście go, łotry!

– Ależ, droga pani... – wymamrotał zmieszany Bonifor.

Dirk cofnął się, Karwer schował szpadę do pochwy.

– Nie tknęliśmy go nawet palcem. Czym zawiniliśmy?

– Zapłacicie za to – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Mój ojciec znajdzie was choćby pod ziemią, .. Nie tylko w waszym parszywym Kawarrenie, ale nawet na końcu świata!

Dirk cofał się ciągle. Bonifor, zerkając na nieruchomego Solla i na Torię, poszedł za jego przykładem. Karwer spieszył się mocno.

– Nigdy jeszcze nie spotkaliście prawdziwego maga – podjęła nieswoim, dziwnie stalowym głosem. – Lecz poznacie mego ojca, kiedy przyjdzie do was!

Karwer uniósł głowę i wtedy ujrzała strach w jego oczach, nie wywołany klątwą Tułacza, lecz zwyczajnym, głęboko skrywanym tchórzostwem.

Nie mogła się powstrzymać i plunęła im pod nogi. Już po chwili podwórce było puste, jeśli nie liczyć ciała spoczywającego na ziemi i płaczącej nad nim, załamującej ręce kobiety.

Raz już płakała nad martwym, leżącym na ziemi człowiekiem. Teraz zdawało się jej, że przeżywa ten sam koszmar, śniony powtórnie. Znowu została całkiem sama, a

krople deszczu ściekały po zastygłej twarzy Egerta. Miała nadzieję, że klątwa zostanie przewyciężona przez jego szlachetność, lecz zaklęcie okazało się silniejsze od niego. Dlatego poniósł klęskę.

Siedziała w chłodnej mazi. Przeżyty przed chwilą wstrząs sparaliżował jej rękę, język i mózg. Nie próbowała przywrócić go do życia, wyczuć pulsu, nie nacierała mu skroni. Siedziała bezwładnie z opuszczonymi rękami, niezdolna nawet do płaczu.

Mogli powalić go na kolana, lecz nie zdołali ostatecznie upodlić. Sarni są w głębi duszy tchórzami, wywyższają się w cudzych oczach, poniżając tych, którzy są według nich słabsi. Nawet Tułaczowi nie wystarczy zaklęcie na wszystkich nędzników. Egert leży teraz ze szramą przy ziemi i żadne pięciokrotne „tak” nie odmieni przeżytych przezeń okropności...

W końcu zapłakała.

Z mroku wyszedł zabłąkany, bezpański pies. Obwąchał leżącego i zajrzał współczująco w oczy dziewczyny. Toria szlochała dalej, unosząc twarz ku niebu, sprawiając, że krople deszczu mieszały się na jej policzkach ze łzami. Pies westchnął głęboko, unosząc chude żebra pod cienką skórą, pokręcił się chwilę i zniknął w ciemności.

Wiele lat minęło od czasu, gdy pogrzebano jej matkę. Na mogile Dinara dwukrotnie wyrosła i obeschła trawa. Wydaje się, że ten deszcz będzie padał wiecznie. Zwiędnie drzewo na grobie Pierwszego Wieszczbierza, a Soll pozostał przeklęty na wieki. Dlaczego? Dlaczego ona mogła przebaczyć mu śmierć Dinara, a Tułacz nie wybaczył? Dlaczego klątwa jest nieodwracalna i jakim prawem ktoś oprócz niej ośmielił się go osądzać?!

Wydało się jej, że jego powieki lekko drgnęły. Może to tylko gra niepewnego światła? Pochyliła się nad nim i dotknęła nieśmiało. Soll poruszył się nieznacznie i z wysiłkiem uniósł powieki.

– Ty... tutaj?

Zadrżała, słysząc obcy, ponury ton w jego głosie. Patrzył na nią oczami stuletniego mędrca, nie zranionego młodzieńca.

– Płaczesz? Nie powinnaś... Wszystko dobrze. Teraz już wiem... jak się umiera. Nie takie to znowu straszne. Wszystko teraz będzie dobrze... Proszę cię...

Spróbował się podnieść, za trzecim razem zdołał usiąść, ona zaś mogła mu się rzucić na szyję.

– Taki jestem – powiedział smutno. – Taki... Dlaczego nie uciekłaś? Dlaczego przy mnie zostałaś? Czym na to zasłużyłem?

– Przysięgałeś – szepnęła – że zrzucisz...

– Tak – mamrotał, gładząc jej włosy – zrzucę. Na pewno. Tylko, jest taka sprawa, Tor... Jeśli mi się nie uda, zabijesz mnie, dobrze? To nic straszego... Głupio mi prosie o to ciebie, ale nie mam nikogo innego... Lepiej nie zwracaj uwagi na moją gadaninę... Coś wymyślę... Sama zobaczysz. Wszystko będzie dobrze, nie płacz.

Z głębi bramy patrzył na nich bezpański pies o chudych bokach.

Kilka godzin później Toria dostała silnej gorączki.

Miotła się w rozgrzanej pościeli niczym kotka na rozpalonym, blaszanym dachu. Egert po raz pierwszy przekroczył próg jej niewielkiego pokoiku. Siedział na krawędzi łóżka, trzymając jej dłoń w swojej. Dziekan przyniósł i postawił bez słowa na stoliku słoiczek z parującą, mocno pachnącą ziołami maścią.

Toria leżała na wznak. Włosy rozsypały się na poduszce, policzki pokryły gorączkowymi wypiekami. Łujana poraziło kolejny raz jej podobieństwo do pewnej dawno zmarłej kobiety.

Dawno temu, gdy wędrował po świecie, zatrzymał się raz na nocleg w niewielkiej, zagrzebanej w śniegach wiosce. Gospodyni, która go ugościła, nie wiedziała, że jest magiem. Opowiedziała mu o nieszczęściu, jakie spotkało sąsiadów: umierała córka starosty, dziewczę niezmiernie urody. W takich okolicznościach ujrzał po raz pierwszy swą przyszłą żonę. Głowa jej tak samo spoczywała bezwładnie na poduszce z czarnymi włosami rozsypanymi na białej poszewce, a jej twarz, nieprzytomna z gorączki, napiętnowana zdawała się stygmatem nieuchronnej śmierci.

Uzdrowił ją, potem zdobył. Żyli jakiś czas szczęśliwie, potem pojawił się lęk przy urodzeniu córki, potem znowu byli szczęśliwi, lecz krótko. Nastąpiło pięć gorzkich lat, kiedy Łujan miotał się między miłosnym żarem a lodowatym chłodem nienawiści, przebaczał wbrew swojej dumie. Straszne i piękne lata... Wspominał je z drżeniem serca i oddałby wszystko na świecie, żeby przeżyć je znowu.

Widocznie nie było jej sądzone długie życie. Raz odratowana przez niego, szukała potem śmierci i znalazła w końcu, pozostawiwszy mu na pamiątkę wieczny wyrzut sumienia w postaci córeczki.

Wielkie nieba, jak podobna do matki. Zbyt podobna, aby była szczęśliwa... Godząc się na jej ślub z Dinarem, dobrze wiedział, co robi. Małżeństwo to

zapowiadało spokój i stabilizację, przyjacielskie braterstwo dusz, wspólną pracę w murach uniwersytetu jego ukochanej córki z ulubionym uczniem. Soll zniweczył ową nadzieję, a teraz siedzi na skraju pościeli, dręczony spojrzeniem dziekana. Na pewno zdaje sobie sprawę, że powinien wyjść, lecz nie wypuszcza jej dłoni ze swojej. Łujan dostrzega, jak te dłonie dobrze do siebie pasują...

Córka jest jego najdroższym skarbem.

Dwa lata temu jej ślub wydawał się mu naturalną częścią ich spokojnego, rozumnego życia. Dzisiaj nad miastem, uniwersytetem i tą trzymającą się za ręce parą zawisł mroczny cień. Nawet będąc magiem, nie może przeniknąć zagrożenia, które wydaje się z dnia na dzień coraz bardziej realne. Jak postępować dzisiaj, skoro nie znasz jutra?

Soll westchnął spazmatycznie. Dziekan dostrzegł kątem oka, że młodzieniec próbuje wyczuć jej puls. Jest wystraszony i spogląda na dziekana z niemym wyrzutem, mając mu za złe jego bezczynność. Od tego jest magiem, żeby ją wyleczył...

Soll jest przeklęty. Przyniesie nieszczęście każdemu, kto będzie miał nieszczęście go spotkać. Tak zarządził Tułacz. Któż jednak wie, kim naprawdę jest Tułacz i jaka jest moc jego zaklęć?

Toria otworzyła powieki. Dziekan spotkał się oczami z jej spojrzeniem i dostrzegł delikatne mrugnięcie, jakby chciała skinać twierdząco głową.

Ojciec odczekał chwilę i skinał w odpowiedzi. Raz jeszcze zmierzył wzrokiem milczącego Egerta i wyszedł, zamknąwszy za sobą starannie drzwi.

Długo milczeli, kiedy zostali sami. W kominku cicho trzeszczały płonące polana.

Toria uśmiechnęła się w końcu z wysiłkiem.

– Masz ciasną koszulę...

Egert pożyczył ją od Lisa, gdyż jego odzież była cała uszargana błotem.

Koszula Kajetana trzeszczała niebezpiecznie przy każdym ruchu Egerta. Jego umyte, lecz wciąż mokre włosy wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Za jego plecami płoń ogień na kominku. Przywidziało się jej w gorączce, że jego ramiona gorzeją purpurą.

Schylony nad nią, powtarzał ciągle te same pytania, które w końcu dotarły do jej świadomości.

– Jak ci pomóc? Co mam robić?

Kiedy powróciła do domu po tej strasznej nocy, nie mogła powstrzymać

płaczu, dosłownie tonęła we Izach. Egert, który przeżył, zdawałoby się, znacznie większy wstrząs, trzymał się jednak lepiej. Ostatnie metry w drodze do uniwersytetu niósł ją drżącą na rękach, ponieważ nie była zdolna iść o własnych siłach. Tylko ojciec nosił ją na rękach dawno temu, gdy była jeszcze dzieckiem. Nie chciała być mu ciężarem, lecz młodzieniec stapał bez wysiłku, jakby rzeczywiście niósł dziecko albo chore zwierzątko.

Niosąc ją, czuł całą skórą i wszystkimi mięśniami bicie jej serca, zmęczenie i początki gorączki. Przycisnął ją mocniej do siebie, jakby pragnąc ją rozgrzać i osłonić przed złem.

Spotkanie z dziekanem, którego bardzo się bał, przeszło bez słów. Podporządkował się jej ojcu i pomógł przejętej starej służącej położyć panienkę do łóżka. Dziekan spoglądał przenikliwie na ogarniętego poczuciem winy Solla, ale nie rzekł nic.

Ogień buzował w kominku. Toria znów uśmiechnęła się blado. Groza pozostała gdzieś daleko w tyle. Obecne położenie nie wydawało się jej przykre, przeciwnie, mogłaby tak bez końca tkwić w ciepłym obłoku, napawając się własną słabością, ciszą i czyjąś opieką.

– Tor... Jak ci pomóc?

Przyjemne były zarówno jego troskliwość, jak i niepokój. A ojciec... Ojciec zawsze wie wszystko.

Na stolyczku przy łóżku parowała maść, przygotowana przez dziekana.

– Nic takiego – szepnęła, ściskając go lekko za rękę. – Nic strasznego... Lek mi pomoże.

Wstał i poszedł dorzucić drewno do kominka. Ogień zapłonął jaśniej. Torii ponownie zwidziały się czerwone płomyki, otaczające jego postać. Usiadła z trudem na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi.

– Podaj mi... słoik.

Nabrawszy w dłoń ziołową mieszankę, zaczęła wcierać ją w skronie, lecz prędko zabrakło jej sił. Nie pomyślała nawet o tym, by zawołać starą służącą. Widząc, co się dzieje, Egert sam wziął się do dzieła. Walcząc z własną niezręcznością, zaczął wcierać zieloną maść w skórę jej twarzy i szyi. Lek pachniał mocną goryczą, bardziej niż rozgrzana słońcem laka.

Gorączka spadki niemal natychmiast, lecz zamiast ulgi znowu odczuta smutek. Zaszlochała, okrywając się potem, wreszcie nie wytrzymała i rozplakała się na całego.

Soll spieszył się. Chciał biec po dziekana, lecz nie mógł wypuścić ze swej dłoni drżącej, wilgotnej rączki. Pochylił się nad nią i odnalazł suchymi wargami najpierw jedno, a potem drugie oko pełne łez. („żując w ustach słony smak, gładził splątane, ciemne włosy, ocierając się szorstką szramą o jej gładki policzek.

– Tor... Spójrz na mnie... Nie płacz...

Ogień płonął żywo, a ciepłe ziółka nie przestawały parować. Mrucząc uspokajające słowa, Egert gładził jej szyję z gwiazdozbiorem pieprzyków, tym samym, który błyszczał w snach na jego niebie. Zaczął potem nacierać maścią jej ramiona i delikatne ręce, po części obnażone. W pokoju było już bardzo ciepło, niemal duszno. Toria przycichła, chlipiąc coraz rzadziej. Pod cienką koszulką wznosiła się, nabierając powietrza, pokryta potem pierś.

– Dzięki niebiosom – szeptał, czując jak znika jej bolesne drzenie. – Wszystko będzie dobrze... Czujesz się lepiej, prawda?

Toria nie spuszczała z niego szeroko otwartych, ciemnych, natężonych jak u polującego kota oczu. Jej dłonie miarowo ścisnęły skraj uniesionej kołdry. Ogień na kominku przygasł, należało znowu dorzucić drew, lecz Egert nie był w stanie zostawić jej ani na chwilę. W pokoju pociemniało, na ścianach skakały cienie na zmianę z czerwonym poblaskiem. Toria westchnęła przeciągle i przyciągnęła do siebie Egerta.

Leżeli obok siebie. Egert wdychał gorzki, nieoczekiwanie przyjemny zapach ziołowego leku, obawiając się ścisnąć ją zbyt mocno i sprawić ból. Ona przymknęła rozkosznie oczy i przyłgnęła noskiem do jego ramienia. Ogień dopalił się i w pokoju zapadła ciemność.

Jego dłoń, poruszając się niczym samodzielna istota, powędrowała ku falującej gorączkowo piersi dziewczyny.

Wydawało się jej, że spoczywa na dnie czerwono-czarnego oceanu, a nad jej głową tańczą ogniste języki. Nie próbowała nawet walczyć z zamętem w głowie i po prostu się mu poddała. Dłoń Solla niczym łaszące się stworzonko, wędrowała po jej ciele. Czowała niezwykłą błogość, doświadczając czegoś całkiem nowego.

Trwając w tym błogim półśnie, otwarli się na siebie wzajem. Leżąc w ciemnościach, Egert doszedł do wniosku, że tak doświadczony kochanek, jak on, ani razu w czasach swej bujnej młodości nie czuł czegoś podobnego, chociażby w przybliżeniu: pragnienia stopienia się w jedną, ciepłą całość.

Kołdra legła zwinięta pod ścianą. Cienka koszulka dziewczyny okazała się

zbędna. Egert wystarczająco osłonił ją swoim ciałem od złego świata.

Oprzytomniała w pewnej chwili. Z Dinarem nie przeżyła niczego więcej oprócz nieśmiałych pocałunków. Zrozumiawszy, co się dzieje, przestraszyła się i zastygła pod jego dłońmi. Egert momentalnie to wyczuł. Musnął wargami jej uszko.

– Co?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Niezręcznie przesunęła dłonią po jego twarzy.

– Ja...

Czekał, położywszy delikatnie jej główkę na swym ramieniu. Obawiała się go urazić, męczyła się więc, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Domyślając się, co się z nią dzieje, objął ją mocno i czule zarazem, jak nigdy dotąd. Czując wciąż lęk i skrępowanie, jęknęła rozkosznie. Okazało się, że nie musi niczego wyjaśniać.

– Tor – zaszeptał, starając się ją uspokoić. – Co z tobą? Boisz się?

Bała się. W komnacie panował mrok, wygasły kominek oddawał ciepło, a jej duszę przepelniała czułość i wdzięczność do człowieka, który rozumiał wszystko bez słów.

Przygarnął ją do siebie.

– To nic... Wszystko będzie jak zechcesz... jak zechcesz... Tor, co z tobą, znowu płaczesz?

Przypomniała sobie w tej chwili ważkę, która wleciała do jej dzieciennego pokoju. Wielka, zielona, z czarnymi plamami wielkich oczu, trzepotała się w kącie, uderzając o ścianę skrzydełkami, wzlatając do sufitu i spadając na ziemię. „Głupiutkie stworzonko – powiedziała matka ze śmiechem. – Złap ją i wypuść”.

Skąd wzięło się to wspomnienie?

Udało jej się złapać owada. Ostrożnie, by nie zacisnąć zbyt mocno dłoni, wyniosła ważkę na dwór. Odprowadzając ją wzrokiem, wciąż czuła we wnętrzu dłoni łaskotanie jej skrzydełek i cienkich łapek...

Westchnęła głęboko. To zdarzy się dzisiaj, teraz. Ileż lęków i snów pełnych nadziei... To się stanie i ona zmieni się, stanie się inną osobą. Boi się, lecz inaczej nie może być. To nieuniknione jak wschód słońca.

Egert znowu pojął wszystko bez słów. Jego radość udzieliła się jej, tłumiąc lęk. Zdawało się, że słyszy dobiegający z ciemności czyjś szczęśliwy śmiech. Zaraz potem pomyślała: czy wypada się śmiać? Przed oczami jej trzepotały skrzydełka

ważki, ognie nad rzeką, tający w słońcu śnieg i niemal tracąc zmysły, zdążyła
zrozumieć: stało się.

Rozdział 8

Dziekana Łujan przerwał codzienną pracę. Za oknami był czarny, zimowy wieczór.

Wysechł atrament na niezapisanej do końca karcie, po dobnie jak pióro w znieruchomiałej dłoni dziekana. Siedział zadumany za biurkiem, nie odrywając wzroku od świecy płonącej w lichtarzu.

Za oknem wył ostry wiatr, przynoszący odwilż. W kominku jak zawsze płonął ogień. Dziekan wciąż, siedział bez ruchu, wlepiając załzawione z wysiłku oczy w chwiejny płomyk, emanujący nieuchwytnym, nocnym lękiem, który przepęniał także duszę bujana.

Przecucia maga, nawet tego, który nie osiągnął szczytów mocy, nigdy nie są płonne. Groza była blisko, czuł jej zimny oddech na twarzy. Być może już za późno, żeby cokolwiek uratować.

Amulet!

Poderwał się z fotela. Zakłęcie zamykające sejf zadziało natychmiast, ale zwykły zamek długo się nie poddawał, gdy przekręcał klucz trzęsącymi się dłońmi. Gdy otworzył wreszcie szkatułkę, zmrużył boleśnie oczy, choć nigdy nie by I krótkowzroczny.

Medalion był czysty. Na złotej płytce nie było nawet odrobiny rdzy, a jednak dziekan niemal się dusił odorem nadciągającego nieszczęścia.

Nie wierząc własnym oczom, raz jeszcze obejrzał uważnie medalion. Schował go potem i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Toria! Tor...

Wiedział, że jest w pobliżu. Niejeden raz zdarzało mu się wzywać ją do pomocy. Zjawiła się natychmiast i zdawała się równie blada jak on. Najwyraźniej przestraszył ją ton jego głosu.

– Ojczy?

Za jej plecami dostrzegł sylwetkę Egerta. Ostatnio byli nierozłączni... Niebioso, wspomóżcie ich.

– Torio... i ty, Egercie... Potrzebuję wody z pięciu źródeł. Powiem wam, z jakich. Weźcie moją latarnię, która nie zgaśnie nawet przy najsilniejszym wietrze.

Założ płaszcz, córko... Szybko!

Nie zadawali pytań, nawet jeśli tego chcieli. Dziekan wydawał się bardzo nieswój. Nawet jego córka cofnęła się, gdy ich oczy spotkały się. Bez słowa wzięła od niego pięć banieczek związanych rzemieniem. Egert narzucił na jej ramiona pelerynę. Poczowała delikatne, miłe dotknięcie jego dłoni. Na zewnątrz triumfowała zgniła wilgoć wczesnej zimy. Egert uniósł wysoko płonąca latarnię, ona wsparła się na jego ramieniu i poszli tak razem.

Szli od źródła od źródła, jakby spełniając pradawny rytuał. Trzy razy nabierali wodę z kamiennych kanałów, jeden raz z niewielkiej studni w czymś obejściu, a jeszcze jeden z metalowej smoczej paszczy zaniedbanej fontanny. Wiązka pięciu pełnych baniaków obciążyla ramię Egerta. Peleryna Torii przesiąkła wilgocią, gdy potykając się ze zmęczenia, wrócili do gabinetu dziekana. Zazwyczaj tonący w mroku, owej nocy był jaskrawo oświetlony rzędami świec, płonącymi na biurku, na podłodze i w ściennych kinkietach. Kiedy otwarli drzwi, płomyki zamigotały, jakby na przywitanie wchodzących.

Pośrodku pracowni stała dziwaczna podstawka, wspierająca się na kościstych łapach, trzy dodatkowe, wygięte łapy podtrzymywały nad nią okrągłą, srebrną czarę.

Podporządkowując się niecierpliwemu gestowi dziekana, Egert cofnął się w kąt i usiadł wprost na podłodze. Toria przysiadła opodal na niskim taborecie.

Płomienie świec wydłużały się nienaturalnie, w sposób dziwny dla nieprzywykłego oka. Dziekan zamarł nad srebrną czarą, do której uprzednio wlał wodę z pięciu źródeł. Uniósł powoli dłonie ku górze, zaciśnięte usta nawet nie drgnęły, lecz Egertowi zdawało się, być może ze strachu, że w ciszy, panującej we wnętrzu i podmuchach wiatru za oknem słyszy jakieś ostre, raniące słuch słowa. Po suficie płaśły cienie, przywodzące na myśl stada wirujących owadów.

Coś z zewnątrz uderzyło o szybę. Napięty jak struna Soll zadrżał na całym ciele. Toria położyła mu dłoń na ramieniu, nie patrząc w jego stronę.

Wargi dziekana wykrzywiły się, jakby z wysiłkiem. Ognie świec rozciągnęły się niesamowicie i opadły, przybierając zwyczajny wygląd. Dziekan stał chwilę nieruchomo, potem ledwie dosłyszalnie wyszeptał:

– Podejdźcie.

Zdawało się, że woda zniknęła z czaszy, na jej miejscu pojawiło się lustro, białe i lśniące jak rtęć. Wodne Zwierciadło, pojął Egert.

– Dlaczego niczego nie widać? – spytała szeptem Toria. Egert niemal się

oburzył, bo dla niego wystarczającym cudem było już samo zwierciadło. W tej właśnie chwili biała powierzchnia zadrgała i pociemniała. Pojawiły się w głębi noc i miotane wiatrem nagie gałęzie drzew, potem płomienie... Jeden, drugi, trzeci... Pochodnie. Nawet nie próbując analizować wizji, młodzieniec zadziwił się, że w tak małym, okrągłym lustrze pojawiło się coś niewiadomego, zachodzącego nie wiedzieć gdzie. Zauroczony magią i swoim uczestnictwem w tajemnicy, opamiętał się, słysząc dźwięczny okrzyk ukochanej.

– Łasz!

To jedno krótkie słowo otrzeźwiło go jak policzek. W zwierciadle majaczyły w niepewnym świetle pochodni ciemne, zakapturzone postaci. Niektórzy kryli pod kapturami twarze, inni odrzucili je do tyłu. Całe zgromadzenie sług Łaszą wędrowało dokąds po nocy, a wicher łopotał ich szarymi opończami.

– Gdzie to się dzieje? – spytała strwożona Toria.

– Cisza – wycedził Łujan przez zęby. – Znika...

Obraz zbladł, jakby pokrywając się mleczną mgiełką, potem powróciła woskowo biała płaszczyzna i tylko w jej głębi błyskały jeszcze niewielkie ogniki.

– Zły dzień – wymamrotał dziekan, jakby zdziwiony tym, co zobaczył. – A raczej zła noc...

Wyciągnął ręce i rozpostarł dłonie nad zwierciadłem. Egert, zamierając, ujrzał przeświecające przez skórę żyły, ścięgna i mięśnie.

Zwierciadło zadrgało i znów pociemniało. Dziekan cofnął dłonie, jak oparzony. Egert znowu zobaczył ludzi z pochodniami. Zdawało się, że ich przybyło. Wszyscy poruszali się w dziwnym szyku, pochylając się regularnie, jakby oddając komuś pokłony.

– Egercie – zapytała cicho Toria – czy to jakiś obrzęd? Wiesz może, jaki?

Soll pokręcił przecząco głową. Samo przypomnienie o jego mimowolnych kontaktach z zakonem było dla niego przykrym zgrzytem. Panna zrozumiała swoją gafę i uścisnęła przepaszając jego dłoń. Dziekan zerknął bystro na nich oboje i znowu się pochylił nad czarą.

Postaci tonęły w ciemności, to znów się z niej wynurzały. Wszystko pojawiało się w oderwanych fragmentach: czyjs bul w rozmięklej glinie, mokra pola opończy... Nagle Egert drgnął, rozpoznawszy siwiznę Mistrza. Co pewien czas powracała gęsta mgła, a wówczas dziekan wyciągał ponownie dłonie, zgrzytając zębami. Zastłona ustępowała z niechęcią, jakby była dziełem zakapturzonych...

– Gdzie to się dzieje, ojczy? – znów zapytała córka. – Gdzie to jest? Co oni robią?

Dziekan tylko przygryzł wargi, próbując raz za razem przywołać umykającą wizję.

Dopiero nad ranem mgła całkowicie ustąpiła, poddając się woli umęczonego maga. W głębi czary noc także szarzała, bladły płomień pochodni, a cała trójka mogła bez przeszkód obserwować niekończące się rytualne pokłony.

Mnisi stali wokół wyniosłego wzgórza. Egert rozpoznał to miejsce, pamiętał je z wycieczki z Toria nad rzekę. Zakapturzeni bezustannie rozkopywali ziemię wielkimi łopatami. Tu i ówdzie czerniały jej pryzmy, niczym kopce wykonane przez gigantycznego kreta. Można już było dostrzec wystające spod ziemi... Egert pochylił się do przodu, wytrzeszczając oczy... Pożółkłe kości i czaszki, bez wątpienia ludzkie i bardzo stare. Ziemia zalegała w pustych oczodołach.

– To – wykrzyknęła zdławionym głosem Toria – przecież tamto wzgórze...

Zwierciadło pękło. Woda trysnęła we wszystkie strony. Dziekan, tak zawsze spokojny i beznamiętny, teraz uderzał wodę dłońmi, krzycząc:

– Ha! Przejrzałem was, przekłęci! Przejrzałem, lecz przegapiłem!

Świece, które paliły się całą noc, wcale nie roniąc wosku, zgasły w tej chwili, jakby od jednego podmuchu wiatru. Mrugając powiekami, na poły oślepiiony Egert, nie od razu dostrzegł w porannym półmroku wykrzywione goryczą oblicze dziekana.

– Przegapiłem... To moja wina. Szaleńcy... Nędznicy. Nie czekają wcale końca świata, lecz go przyzywają. Już przyzwali.

– To wzgórze... – powtórzyła jego córka ze strachem.

Dziekan chwycił się za głowę ociekającymi wodą rękami.

– To wzgórze, Egert... Pochowano tam ofiary Czarnego Moru, gdzie było legowisko owego zła, ukryte przed ludźmi... Czarny Mór niegdyś spustoszył miasto, ale może także spustoszyć cały świat, jeśli się go nie powstrzyma... Lart Legiar go powstrzymał wiele lat temu. Teraz nikt tego nie zdoła. Teraz...

Zęby dziekana zadzwoniły, uderzając o siebie. Westchnął i podszedł do okna.

– Ależ, panie dziekanie – szepnął Egert, z trudem panując nad drżącym głosem – jest pan przecież wielkim magiem... Obroni pan miasto...

Łujan obejrzał się. Jego spojrzenie kazało młodzieńcowi zamilknąć.

– Jestem historykiem – oznajmił ponuro dziekan. – Uczonym. Nigdy jednak nie stałem się wielkim magiem i nigdy już nim się nie stanę. Pozostałem jedynie

uczniem, czeladnikiem... Nie wielkim magiem! Nie dziw się, Torio. Nie patrz na mnie, Soll, z takim żalem! Jestem w stanie władać jedynie tym, czym zdołam. Rozum i wiedza uczyniły mnie magiem, lecz jedynie poślednim!

Przez jakiś czas w gabinecie panowała zupełna cisza. Potem, to ciszej, to głośniejszy, jeden za drugim, jakby przekazując sobie przestrogi, a w końcu zgodnym chórem w całym mieście zawyły psy.

Kto mógł przypuszczać, że w lochach miejskich żyło aż tyle szczurów.

Na ulicach kotłowało się od szaroburzych grzbietów. Psy szalały, usłyszawszy tupot drobnych łapek i szuranie długich ogonów, miały się, rzucając ku drzwiom, ujadły i wyły aż do chwili, gdy w ścianę domu nie uderzył kamień, ciśnięty czyjąś drżącą dłonią. Najodważniejsi mężczyźni wychodzili z domów uzbrojeni w ciężkie pałki i tłukli ile sił nieprzebrane kolumny wąsatych, zębatych pyszczków.

Tego dnia ustały handel na rynku i praca w warsztatach. Nad miastem zawisł wszechogarniający strach, niczym dławiący obłok. Ulicami zawładnęły szczury. Zamknięci naглуcho w domach ludzie bali się mówić głośno, większość bowiem miała wrażenie, że przez szczeliny w drzwiach i szpary w okiennicach wpełza do ich domów jakaś złowroga siła.

Mór pojawił się trzeciego dnia.

Ulice przestały być ciche. W ciągu kilku zaledwie godzin rozwarły się drzwi i okiennice, zza których wznosiły się ku niebiosom płacz i zgrzytanie zębów. Pierwsi, którzy zachorowali, następnego ranka byli już martwi, ci zaś, którzy się nimi opiekowali, sami legli, trawieni gorączką, bez żadnej nadziei na ratunek.

Kwarantanna nie trwała długo. Ludzie, widząc jedyną nadzieję w ucieczce, roznieśli w puch straż u bramy miejskiej, rzucając się z gołymi rękami na miecze wyjąłym, oszalałym tłumem. Część strażników dołączyła do uciekinierów i wkrótce Mór rozniósł się po przedmieściach, okolicznych wioskach i dworach. Wilcze hordy ze zdumieniem znajdowały wśród pól łatwą zdobycz. Drapieżniki padały potem masowo, jako że zaraza ich także nie oszczędziła.

Podporządkowując się beładnym zarządzeniom burmistrza, część pozostałych na służbie wartowników wyszła na ulice, zakutana w wielowarstwowe chałaty z płótna, uzbrojona w długie, zagięte widły, podobne do ptasich szponów. Chodzili od domu do domu. Wysokie, drabiniaste wozy turkotały coraz ciszej, obciążone stosami trupów. Następnego dnia nikt już nie zbierał zmarłych. Domy zamieniły się w

grobowce, gdzie czekali, aż czyjaś miłosierna dłoń ciśnie płonąca żagiew w otwarte okno.

Wieża Łaszą odizolowała się od Moru gęstą zasłoną kadzidlanych dymów. Tłumy ludzi oblegały dniami i nocami przybytek Świętego Widziadła, szukając tam ocalenia, lecz drzwi i okna okazały się zamurwane od wewnątrz, szczelnie pozatykane były nawet wąskie szczeliny, w które ledwie można było wetknąć ostrze noża. Niepojęte zdawało się, skąd wydobywa się dym, lecz nieszczęśni wyznawcy wdychali go z nadzieją, że uchroni ich przed śmiercią.

– Głupcy – mówił z goryczą dziekan Łujan – głupcy... Mają nadzieję, że ujdą w ten sposób śmierci! Niegrzeczny dzieciak podpala dom, święcie wierząc, że ogień nie spali jego zabawek... Kres Czasów... dla świata, lecz nie dla Łaszą... Szkodliwi głupcy.

Pierwsza fala Moru przeszła na trzeci dzień. Pozostali przy życiu doszli do wniosku, że są wyjątkowymi szczęśliwcami, być może cieszącymi się szczególnymi łaskami Łaszą. Puste dotąd ulice wypełnił tupot grabieżców, którzy łupili piwniczki z winem i szkatuły zmarłych sąsiadów. Dumni ojcowie chwalili się zdobyczą przed żonami i dziećmi, młodzieńcy obdarowywali swoje wybranki zdartymi z martwych rąk bransoletami. Sądziли, że uniknęli najgorszego, lecz to właśnie od nich rozpoczął Czarny Mór swój kolejny atak.

Dziekan zabronił studentom opuszczać uniwersytet, lecz jego zarządzenia okazały się zbyt mało skuteczne, by utrzymać w grubych murach młodych ludzi, wielu przecież miało w samym mieście, na przedmieściach lub w odległych miejscowościach swe ukochane i rodziny. Na początku studenci zwrócili się do dziekana o pomoc i ratunek, ten jednak zamknął się w pracowni i nie chciał widzieć nikogo. Nadzieje młodzieńców prysły i prędko zamieniły się w rozpacz. Jeden za drugim opuszczali uczelnię, wyrzekając gorzko na magów, którzy za nic mają zwykłych śmiertelników, zwłaszcza wtedy, kiedy ich pomoc najbardziej by się przydała. Egert zaciskał zęby, słysząc przekleństwa rzucane na dziekana, który porzucił swoich uczniów na pastwę losu. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że Łujan nie jest wszechmocny, a jeszcze trudniej z tym, że jego beczynność wygląda na zdradę.

Torii też było ciężko. Po raz pierwszy jej ojciec przeżywał trudny okres w samotności, bez jej udziału. To doświadczenie okazało się dla niej gorsze niż wszystkie okropności epidemii. Egert nie odstępował od niej nawet na krok.

Nieodłączny, niczym stale obecny, choć przytłumiony ból zęba, stawał się nieistotny wobec myśli o losie, jaki mógł spotkać cudem uratowaną ukochaną, jej ojca, uniwersytet, miasto, a nawet Kawarren.

Kawarren był daleko. Być może zdoła się uchronić, otoczyć nieprzebytym kordonem kwarantanny i nie dopuści za mury miejskie zarazy. Każdej nocy Egert widział jednak we śnie wciąż to samo: wyjące psy przed gospodą „Wspaniały Miecz”, puste ulice zasnute dymami, stosy trupów na brzegu rzeki, zamknięte bramy i rodowe herby uczernione sadzami.

Dziekkan oznajmił, że Czarny Mór spustoszy ziemię, jeśli się go nie powstrzyma. Czy powstrzymają go mury jakiegokolwiek miasta?

Studenci, którzy pozostali na uczelni, Ignęli do siebie, niczym owce pozbawione pasterza. Rektor zniknął bez wieści, służba się rozbiegła, a wykładowcy nie zjawiali się. Nic dziwnego, że młodzieńcy, dotychczas uważający się za poważnych i mądrych, zamienili się w gromadę bezradnych dzieciaków. Ściany Wielkiej Auli zdrząły od płaczu i jęku. Najgłośniej szlochał jeden z „dopytujących”, wiejski chłopak, dla którego pierwszy rok nauki okazał się koszmarem. Pozostali przymykali powieki, nie mając odwagi spojrzeć na pobladłe lica i drżące wargi kolegów. W końcu Lis nie wytrzymał i głośno objawił swój gniew.

Nigdy jeszcze nie padły z jego ust tak ostre słowa. Zapropował wszystkim i każdemu z osobna, żeby nie ścierali smarków, trzymając się maminych spódnic. Wykrzykiwał z katedry naprędce zaimprovizowaną przemowę, nazywając kolegów mazgajami i niedołączkami, parszywymi zasrańcami, pełnymi nocnikami i lalusiami. Zapłakany młodzik chlipnął ostatni raz, otworzył szeroko usta i zaczerwienił się ze wstydu.

Sprawa zakończyła się pokojowo. Lis mianował sam siebie głównym intendentem i rozdysponował znajdujące się w uniwersyteckich piwnicach wieloletnie zapasy wina. W sali wykładowej rozpoczęła się więc pijatyka. Popijali, śpiewali i wspominali wieczory w „Jednookiej Musze”. Lis śmiał się jak szalony, proponując nową zabawę: każdy miał opowiedzieć o swoim pierwszym miłosnym doświadczeniu, a z braku takowego wzbogacić się o nie do następnego dnia. Pijani młodzieńcy przekrzykiwali się wzajem, zanosząc się nieco historycznym śmiechem. Egert przyglądał się zabawie z góry, przez okrągłe okienko, łączące aulę z biblioteką, słysząc nieskładne śpiewy:

Nie trać czasu, mity, nie gadaj!

Cała płonę, bo dziurka niesmarowana!...

Wrócił do Torii. Starał się ją zająć opowieściami o figlach Lisa, dawniejszych i obecnych, prawdziwych i zmyślonych. Słuchając tej pozornie wesołej paplaniny, Toria uśmiechała się blado, a nawet próbowała zaśmiać, by nie urazić ukochanego.

Około północy wrzaski w auli ucichły, a Toria zasnęła. Siedzący obok niej Egert poprawił posłanie i ostrożnie przesunął dłonią tuż przy jej policzku. Potem wstał i udał się na dół.

Studenci spali pokotem na ławkach, stołach, nawet na zimnej posadzce. Lisa nigdzie nie było. Egert od razu to zauważył i poczuł ucisk w sercu.

Nie znalazł kolegi także w ich pokoju, spostrzegł również, iż na wieszaku nie ma jego płaszcz. Egert stał długo na ganku uniwersyteckim, spoglądając w mroki nocy. W oknach gmachu sądu widać było mętne światelka. Na słupie przed budynkiem kołysała się, smagana deszczem, szmaciana kukła wisielca. Wieża Łasza stała niema, zamurowana, milcząca jak grób, obojętna wobec ludzi konających na jej progu.

Lis nie wrócił następnego ranka. Nocna mgła nie rozproszyła się do południa, przeciwnie, jeszcze bardziej zgęstniała i nawet ostry wiatr nie był w stanie rozwiać jej lepkich oparów. Drzwi pracowni dziekana były nadal zawarte na głucho. Toria błąkała się niczym lunaticzka między bibliotecznymi regałami, mamrocząc coś, jakby biła się z myślami, bez końca ocierając złocone grzbiety ksiąg.

Soll nie powiedział jej, dokąd się wybiera, gdyż nie chciał jej niepokoić.

Zimna wilgoć i lęk trzęsły całym jego ciałem, gdy zacisnąwszy zęby wyszedł na główny plac. Nie było tutaj handlarzy ani spacerowiczów. Wszędzie panowała głucha cisza. Sylwetki domostw ledwie majaczyły we mgle, która pokryła miasto niczym całun twarz nieboszczyka.

Egert od razu zorientował się, że nie odnajdzie Lisa. Znalazł na swej drodze sporo martwych ciał. Odwracał oczy, lecz mimo woli wciąż natrafiał spojrzeniem to na dramatycznie wyciągniętą ku niebu kobietą dłoń, to na włosy rozpostarte na bruku, to na szykowny but strażnika, mokry od kropelek mgły, toteż błyszczący jak na paradzie. Odór rozkładu mieszał się z nadlatującą skądś wonią dymu. Przeszedłszy jeszcze kawałek drogi, Soll wzdrygnął się, rozpoznając znajomy zapach kadzideł.

Wieża Łasza ciągle dymiała dyskretnie, dokonawszy swego strasznego dzieła. Egert przybliżył się do niej, dziwnie obojętny. Do drzwi baszty dobijał się siwy mężczyzna w roboczym fartuchu.

– Otwórzcie! ... Otwórzcie...

Opodał siedzieli wprost na jezdni jacyś zobojętniali na wszystko ludzie. Jakaś urodziwa niewiasta w odsuniętym na tył głowy czepeczku wpatrywała się tępym wzrokiem w leżącego na jej kolanach martwego dzieciaka.

– Otwórzcie! – krzyczał dalej staruszek.

Pięści miał odarte ze skóry od bezustannych uderzeń. Na kamienie padały krople krwi. Pod nogami walał się połamany kilof.

– Trzeba się modlić – ktoś zaszeptał. – Modlić... do Świętego Widziadła.

Siwy mężczyzna w fartuchu z nową siłą rzucił się na zamurowane wejście.

– Otwórzcie! ... Bydlaki! Grabarze... Nie kryjcie się! Otwierajcie!

Egert ruszył dalej.

Nie znajdzie nigdzie Lisa, przepadł gdzieś w tym śmiertelnym kręgu, Egert też w końcu umrze. Znajomy lęk budził się w nim na taką myśl, szybko jednak zrozumiał, że jest dla niego coś ważniejszego, niż jego życie. Toria. Jej ostatnie dni nie powinny być osnute strachem i rozpaczą. Nie umrze przed nią, zamknie oczy dopiero, gdy będzie przekonany, że jego ukochanej nic nie zagraża.

Starał się obejść jak największym łukiem skurczone ciało, które znalazło się pod jego nogami. Leżący poruszył się jednak i Egert usłyszał cichy brzęk żelaza o kamień. Tamten miał szpadę u boku. Soll przyjrzał się uważniej wymyślnie rzeźbionej rękojeści i pięknie wyszywanym rapciom. Potem spojrzał w twarz tamtego.

Karwer nie mógł mówić. Jego pierś unosiła się spazmatycznie, wysuszone usta chwytaly rozpaczliwie powietrze, powieki były ciężkie i opuchnięte. Jedna dłoń w eleganckiej rękawiczce wczepiała się kurczowo w brukowce, druga zaciśnięta była na rękojeści szpady, jakby broń mogła ochronić właściciela przed niechybną śmiercią. Umierający młodzieniec patrzył prosto w oczy Egerta.

Gdzieś z zasnutej mgłami dali dobiegło ich obu przerywane końskie rzenie.

Karwer westchnął gwałtownie. Wargi mu drgnęły. Egert usłyszał cichy szept, jak szelest osypującego się piachu.

– Soll...

Egert milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Soll... Kawarren... Co teraz będzie z Kawarrenem?

W głosie młodzieńca zadrgała tragiczna nuta. Egertowi przypomniał się szczupły, nieśmiały chłopak sprzed dwunastu lat, najlepszy przyjaciel jego dzieciństwa.

– Ta zaraza... nie dotrze do Kavarrenu?

– Na pewno nie – odparł Egert z przekonaniem. – To zbyt daleko. Na pewno zdam się zabezpieczyć, ustanowić kordony...

Karwer odetchnął z ulgą. Odchylił głowę, przymykając powieki.

– Piasek... – zaszeptał z półśmiechem. – Dołki, ślady... Chłodna woda...

Śmialiśmy się.

Egert milczał, uznawszy, że nieszczęśnik majaczy. Karwer nie odrywał odeń wzroku, spoglądając spod ciężkich, przymrużonych powiek.

– Piasek... Rzeka Kawa... Pamiętasz?

Zobaczył przez, chwilę brzeg rzeki zalany słońcem, żółto-biały piasek, kępki zielonej trawy i gromadę chłopaków, wzbijających ku niebu wodne bryzgi...

– Zawsze sypałeś mi piaskiem w oczy. Pamiętasz?

Ze wszystkich sił próbował zatrzymać tamto wspomnienie, lecz przed oczami znowu miał tylko wilgotne kamienie jezdni. Czy było tak? Było. Karwer nigdy się nie skarżył, tylko pokornie przemywał zapiaszczone, zaczerwienione oczy.

– Nie chciałem – oznajmił Egert bez sensu.

– Chciałeś – sprzeciwił się cicho tamten.

Długo milczeli. Mgła była nadal gęsta, zewsząd nadciągała śmiertelna zgnilizna.

– Kavarren – szepnął Karwer ledwie dosłyszalnie.

– Nic się z nim nie stanie – odparł Egert.

Karwer spojrzał nań pytająco, próbując unieść się na łokciu.

– Jesteś tego pewien?

Przed oczyma Solla pobłyskiwała rzeczna toń, roziskrzały się na wodzie słoneczne promyki, drgały odbite w niej korony drzew, dachy domów, baszty, chorągiewki...

Rozpoznając ten widok, uśmiechnął się szeroko ze spokojem.

– Oczywiście, że jestem pewien. Kavarren jest bezpieczny. Tamten westchnął głęboko, opadł z powrotem na ziemię, przymykając oczy do połowy.

– Chwała niebiosom...

Były to jego ostatnie słowa na tym świecie.

Mgła rozproszyła się trochę. Przed oczyma Solla roztoczył się widok przypominający pobożowisko. Było tu mnóstwo pożywienia dla tysięcy kruków i wron, lecz w mieście

nie było ani jednego ptaka, nikt zatem nie niepokoił zmarłych.

A jednak tak. Egert obejrzał się i zobaczył wędrującego między trupami pochylonego, niewysokiego, szczupłego młodzika lat mniej więcej osiemnastu, z workiem na plecach. Do podobnych mieszków żebracy zbierali całodzienną jałmużnę. Egert domyślił się, czego szuka ten chłopiec. Schylony nad nieboszczykiem, zręcznie wyłuskiwał sakiewkę lub kosztowną tabakierkę, czy też coś z biżuterii. Największy problem był z pierścieniami, które ciężko było ściągać z zeszywniałych palców. Chłopak szarpał się z nimi, sapiąc i popatrując z obawą na Egerta, a jednak kontynuował swoje odrażające dzieło, namydlając zmartwiałe dłonie.

Soll chciał krzyknąć na tamtego, lecz strach okazał się silniejszy od gniewu i odrazy. Spluwając na kawałek mydła, grasant ominął obserwatora szerokim łukiem i nagle skulił się, usłyszawszy przenikliwy gwizd.

Egert zobaczył, jak chłopak rzuca się do ucieczki. Na skraju wielkiego placu dopadły go dwie barczyste postaci, jedna w biało-czerwonym uniformie strażnika miejskiego, druga w czerni. Chłopak wrzasnął, skacząc jak umykający zając, miotał się, szarpiąc w rękach napastników, w końcu oddał im worek jako okup. Egert nie chciał na to patrzeć, a jednak dalej obserwował, jak funkcjonariusz walnął młodzika workiem po głowie. Na placu dał się słyszeć przeraźliwy wrzask:

– Nie! Ja nie... Im to przecież już niepotrzebne! Nikomu niepotrzebne!

Martwym nie potrzeba... Oj!

Krzyki zamieniły się po chwili w nieartykułowane piski. Na ulicznej latarni zawisło szczupłe ciało z workiem na piersi.

Lis wrócił późnym wieczorem. Egert, mając w owych dniach niezmiernie wyostrzoną intuicję, pierwszy go wypatrzył!

Kajetan stał przed wejściem, na ganku uniwersyteckim, ściskając ramiona drewnianej małpki. Trójgraniasty kapelusik, wymięty i zniszczony, zjechał mu na czoło. Jego właściciel był oczywiście pijany. Egert poczuł ogromną ulgę. Chciał zabrać kolegę z zimnego dworu i zaprowadzić do łóżka. Gdy Lis usłyszał jego kroki za plecami, drgnął i odwrócił się. Światło lampy wiszącej nad wejściem padło mu na twarz. Młodzieniec był absolutnie trzeźwy, tak samo jak w dniu egzaminu, lecz piwne oczy wydawały się ciemne, niemal czarne.

– Soll?!

Egert nie zrozumiał, co tak wystraszyło przyjaciela. Ruszył ku niemu,

wyciągając rękę.

– Chodźmy...

Kajetan odskoczył. Jego spojrzenie kazało się Egertowi zatrzymać. Podczas ich dosyć długiej znajomości ani razu nie widział w oczach tego chłopaka takiego dziwnego wyrazu. Cóż to jest? Nienawiść?! Pogarda?...

– Lisku... – wybełkotał, zmieszany.

– Nie zbliżaj się – przykazał ponuro tamten. – Nie podchodź... Proszę, Egertcie. Uciekaj. Wracaj do siebie.

Zachwiał się i Soll zrozumiał, że całkiem trzeźwy kolega ledwie się trzyma na nogach. Ziemia go ciągnęła i przyzywała.

Zrozumiał teraz wyraz oczu Lisa. Był to lęk przed niechybną śmiercią i strach o niego, Egerta.

– Kajetanie! – wyrzucił przez zęby.

Tamten mocniej objął figurę.

– To nic... Widzisz, Larri umarła wczoraj. Pamiętasz ją?

– Kajetanie...

– Wracaj do siebie. Zaraz sobie stąd pójdę. Przedostanę się do „Jednookiej Muchy”. Jeśli karczmarz jeszcze żyje, na pewno mi należe. Na kredyt!

Lis zaśmiał się, z trudem uniósł rękę i poklepał lekko lśniący małpi zadek.

Egert patrzył za nim, stojąc na schodkach. Lis szedł słaniając się, a nawet przewracając co jakiś czas, jakby wracał ze studenckiej popijawy. Kapelusik ze srebrnymi frędzlami zostawił pod drewnianą figurą, niczym ostatni podarek.

Nad miastem zawisły ciężkie chmury, nad placem zaś górowała plująca dymem, milcząca i zamurowana Wieża Łasza.

Cały dzień i długą noc miotali się razem na czarno-czerwonym dnie gorącego oceanu jak dwie oszalałe rybki.

Dochodząc do siebie, Toria odczuwała rodzaj zawstydzenia. Nigdy dotychczas nie wyobrażała sobie, że odnajdzie w sobie nienasyconą bestię namiętności, gotową obnażyć ją całko wicie. Czując zamęt w głowie, chwilami wołała nie patrzeć na leżącego obok Egerta, nie mając śmiałości musnąć jego skóry nawet oddechem. Bestia jednak znów się budziła, niwecząc wszelkie jej uprzedzenia, i sprawiała, że nie była w stanie oprzeć się pragnieniom kochanka.

Czyżby dotyczyło to wszystkich? Zaczęło się dla niej nowe życie, o jakim

wcześniej nie myślała. Okazało się, że człowiek nie zawsze może zapanować nad władającymi nim siłami. Lepiej rozumiała teraz owo mroczne zac zadzenie, jakie nigdy oszołomiło jej matkę... Matkę?! Dlaczego zaraz mroczne, dlaczego zac zadzenie, to przecież wielkie szczęście... Och, Hegercie, Hgercie, można umrzeć ze starości, nie poznawszy prawdy o życiu. A może to żadna prawda, lecz tylko złudzenie, omam, iluzja?

Ochrypła od płaczu, nie ścierając łez spływających po policzkach, co pewien czas słabła, przycichała, skrywając się w ramionach mężczyzny niczym w ciepłej, wygodnej norce. Ody zamykała oczy, pod powiekami pojawiały się jakieś oderwane obrazy, w których korowodzie objawiały się czasem oczywiste, niepodważalne prawdy.

Na przykład dotycząca tego, że gdyby została żoną Dinara, nigdy nie poznałaby innej miłości, oprócz przyjacielskiej lub siostrzano-braterskiej. A także takt, że śmierć tamtego przyniosła jej w końcu szczęście... Niebioso, wybaczenie, wybaczenie, Dinarze! ... Toria znowu zaczynała szlochać bez łez. Soll obejmował ją silniej przez sen. Niekiedy zwidywał jej się Dinar siedzący w fotelu naprzeciwko. Był poważny i spokojny. Nie spoglądał na nią z wyrzutem, raczej wyrozumiale, jakby chciał powiedzieć: nie płacz, co było, nie wróci, a on tak ciebie kocha...

Wspomnienia o Dinarze gasły później, ginąc wśród wielu innych. Toria myślała o matce, która zamarzyła na śmierć w śnieżnej zaspie i o ojcu, na zawsze obarczonym poczuciem winy. Czemu jednak może być winna kobieta, miotana falami emocji, niczym mały stateczek wśród sztormu? Jeśli jest trochę prawdy w tym, że Toria odziedziczyła urodę po matce, czy nie odziedziczyła także jej fatum?

Zresztą, teraz to już wszystko jedno. Wszyscy przecież stanęli w obliczu śmierci i wkrótce znajdą się tam, dokąd dawno już odszedł Dinar. Ona i Egert zapewne nawet nie doczekają własnego ślubu. Ojciec pozostanie sam jeden w swojej pracowni... O niego bała się najbardziej. Miała wrażenie, jakby jej szczęście było zdradą wobec niego, skoro go opuściła.

Znowu zapłakała. Soll całował jej mokre oczy, mamrocząc coś pocieszającego. Nie rozumiała ani słowa, ale słowa były i tak zbędne.

Zasnęła w końcu naprawdę i ujrzała we śnie zielone wzgórze.

Góra była pokryta, niczym sierścią, krotką, miękką trawą, wznosiła się ku błękitnemu niebu. Torii przypomniały się okna ich domu, pomalowane błękitną farbą. Góra jaśniała szmaragdowo na błękitcie. Dziewczyna dyszała, wspinając się na nią.

Musiała wejść na szczyt, gdzie oczekiwała na nią matka w śnieżnobiałej koszuli, śmiejąc się i przesypując w dłoniach jaskrawoczerwone truskawki. Jeszcze pół roku do tej okropnej zimy, jest jeszcze czas, by...

Zbudziła się, ponieważ ukochany, przewracając się we śnie, zbyt mocno przycisnął jej ramię.

Przed świtem oboje spali spokojnym, głębokim snem, bez sennych przywidzeń, dlatego też nie mogli słyszeć, jak od dawna, zamknięte od wewnątrz drzwi gabinetu dziekana otwarły się z cichym skrzypnięciem. W głębi ciemnego wnętrza dogorywały ogniki świec. Przez otwarte drzwi buchnął gęsty, dymny zaduch. Na biurkach, półkach i podłodze, wszędzie leżały otwarte księgi, płaskie i bezradne jak meduzy wyrzucone na brzeg. Wypchany szczur, zakuty w stalową sieć, szczyrzył złośliwie zęby. Stalowe skrzydło rozpościerało się jak zawsze, emanując mocą, a tuż pod nim błyskał szczerym, nieskalanym złotem Amulet Wieszcziarza.

Dzekan długo stał w progu, wsparty o drewnianą framugę. Potem wyprostował się i starannie zamknął drzwi za sobą.

Znał uniwersyteckie korytarze do ostatniej szczeliny w łukowatym sklepieniu. Szedł, wsłuchany w odgłos swoich kroków, odbijających się echem w zupełnej pustce. Zatrzymał się u drzwi pokoiku córki i przywarł policzkiem do drewnianej płaszczyzny.

Przynajmniej oni są szczęśliwi. Nie musiał otwierać drzwi, żeby zobaczyć w półmroku dwie głowy na wspólnej poduszce, splątane dłonie, włosy i uda, usłyszeć senne oddechy. Wydawało się, że owa szczęśliwa para nie wie nic o nadchodzącej śmierci.

Pogłodził w roztargnieniu powierzchnię drzwi. Stare drzewo emanowało ciepłem, niczym skóra żywego stworzenia. Postać jeszcze chwilę i nie zdecydowawszy się, by wejść, ruszył dalej.

Nieszczęsne okoliczności kazały mu wyjść na ganek i przystanąć między symbolizującą mądrość, żelazną zmiją i drewnianą małpką, reprezentującą pęd do wiedzy. Na zwykle ludnym placu błady świt wydobywał z mroku odarte z odzieży trupy. Górowała nad nimi, niczym złowroga kłątwa, zasnuta dymami Wieża Łaszą. Za plecami dziekana trwał w ciszy gmach uniwersytetu, bezsilny, zdawało się, wobec triumfującego zakonu.

Mór spustoszy ziemię, jeśli się go nie powstrzyma. Łujan miał czternaście lat,

gdy w jego opustoszałym domu zjawił się Lart Legiar, będący wówczas u szczytu swej potęgi. Chłopak sporo o nim wiedział, lecz odważył się spytać tylko o jedno: Czy to prawda, że powstrzymał pan dżumę?

Przed dziesiątkami lat Czarny Mór pochłaniał całe miasta daleko stąd, na wybrzeżu. Morze wystąpiło z brzegów, przepełnione ciałami zmarłych. Łujan przypomniał sobie języki płomieni, liżących nieruchome twarze i czyjąś dłoń, która zakryła mu oczy. Płócienny worek, zarzucony na jego głowę i ramiona, dalekie wycie, wilcze, a może niewieście... Zaraza pozbawiła go domu rodzinnego i wspomnień z najdalszej przeszłości. Mór go jednak oszczędził, odrzucając niby niestrawny kąsek. Sprawił, że nieszczęsny sierota wyszedł na drogę wraz z innymi osieroconymi. Wędrował dopóki miłosierny, a może jednak okrutny los, nie doprowadził go na próg domu Orlana...

Później dowiedział się, że Mór nigdy nie znika sam z siebie. Tym razem powstrzymał go wielki mag, Lart Legiar.

Łujan uniósł twarz, w stronę szarego, nieprzeniknionego nieboskłonu. Do końca życia nie uda mu się osiągnąć takiej potęgi.

Obejrzał się na uniwersytet, potem znowu spojrzął na Wieżę, pocierając odruchowo nasadę nosa. Jak bardzo wydawał się sam sobie potężny, kiedy miał naście lat, a jaki jest teraz słaby. Jaki gorący był świat tam, na przygórze, jak paliło słońce rozżarzone kamienie, jak śniade było ogorzałe od wichru oblicze Orlana...

Zaczął padać lepki, mokry śnieżek.

Miasto trwało w niemym przerażeniu, a pozostali przy życiu zaszyli się głęboko. Tylko zmarli nie bali się już niczego. Łujan szedł, nie otwierając oczu. Trzaskały drzwi ograbionego sklepu, wiszące na jednym zawiasie. Bezsilny właściciel leżał w progu, wpatrując się w przechodzącego martwym, matowym okiem, w oczodole drugiego bowiem kłębiły się robaki. Dziekan szedł dalej. W szeroko otwartych podwojach huśtał się na huśtawce jakiś chłopczyk. Sznury podtrzymujące deskę przywiązane były do górnej framugi. Chłopiec zaciskał na nich dłonie, kołysząc się miarowo i mamrocząc coś pod nosem. Znikał w ciemnym wnętrzu, by potem wyfrunąć na zewnątrz, przelatując nad trupem kobiety w ciemnej sukni. W stojącej obok klatce znajdował się żywy królik, który odprowadził wzrokiem bujana. Chłopak nie zaszczycił przechodnia nawet jednym spojrzeniem.

Im bliżej bramy miejskiej, tym więcej widać było spalonych budynków. Poczerniałe ruiny, jakby obleczone żałobnym kirem, spoglądały na idącego pustymi

kwadratami okien. Na jednym z parapetów dostrzegł wyschnięty, sterczący badyłami bukiet.

Wszędzie cuchnęło dymem i odorem rozkładu. Szedł dalej, przekraczając leżące ciała, omijał wywrócone karety, worki z porzuconymi dobrami, furmanki ze stosami towarów i zdechłe zwierzęta. Woda na powierzchni kanału powlekała się w ciągu nocy cienką warstwą lodu, spod którego spoglądała na bujana czyjaś poźółkła, bezzębna twarz.

Czasami, na dźwięk jego kroków, błyskały w szparach drzwi lub okiennic oczy żywych ludzi, aby zniknąć natychmiast. Nie zdążył złowić niczyjego spojrzenia. Martwi nie uciekali wzrokiem. Spoglądał śmiało w ich oczy, ani razu nie odwracając własnych, bez strachu ni odrazy.

Lart Legiar był wielkim magiem, lak samo Orlan. Natomiast on, Łujan, jest słaby, pomimo swej uczoneści niebiosa, jaki słaby..

Zabłądził wśród znajomych ulic i drugi raz wyszedł na to samo miejsce. Na żelaznej brodzie, szyldzie cyrulika, kołysał się powieszony tamże rabuś. Żelazny pręt był niebezpiecznie wygięty i skrzypiał, obciążony nadzwyczajnym ciężarem.

Lart chciał go wziąć ze sobą... Chłopak uznał jednak wtedy, że jego przeznaczenie jest inne. A teraz jest bezsilnym, siwowłosy m starcem...

Skrzydło bramy zatrzeszczało. Ktoś się za nim poruszył. Łujan spojrział uważniej i podszedł bliżej.

W kałuży konał dopiero co zapewne młody i silny mężczyzna, wyglądający teraz jak na pół zgniły trup. Próbował napić się brudnej wody, chleptał ją, krztusząc się i zerkając na dziekana. Zapiękle wargi chłoneły każdą kroplę mętnej cieczy.

Łujan pochylił się nad nim, sam nie wiedząc, dlaczego. Natychmiast odskoczył, po raz pierwszy od wyjścia z uniwersytetu.

Mór objawił mu swoje prawdziwe oblicze, przybierając konkretną formę. Lico nieszczęśnika pokryte było czarnymi plamami, które pokrywały zapewne też całe jego ciało. Choroba oplatała go powoli jak pajęczna sieć i wysuszała niczym jad ośmionogiego insekta.

Łujan prędko ruszył w swoją drogę. Mór triumfował we wszystkich domach i na ulicach. Z każdej szczeliny spoglądały jego mnogie oczy, pełne zażartej nienawiści do całego świata. Jego czarne palce obmacywały martwych, gładziły spazmatycznie skrzywione twarze, sięgały do półotwartych ust, bezwstydnie rozrzucały obnażone ciała mężczyzn i kobiet. Łujanowi wydało się, że słyszy szelest zdzieranej odzieży, a

powietrze wokół gęstnieje, wypełnione wszechobecną śmiercią.

Zataczając się jak pijany, dotarł wreszcie do bramy miejskiej. Przed nią leżał stos trupów, a nad nimi falowały jak trawa czarne palce Moru.

Ciężkie skrzydła były wyłamane, wyrwane z zawiasów. Można było dojrzeć za pustą bramą drogę wśród pustych pól, gdzie tu i ówdzie szeleściły unoszone wiatrem kupy jakichś szmat.

Odwrócił się w stronę miasta.

Wielkie nieba... Wspomóż mnie, mistrzu Orlanie. „Wspomóż mnie, Larcie Legiarze, który przekazałeś mi medalion. Tułaczu, gdziekolwiek jesteś i kimkolwiek jesteś, dopomóż. Sami widzicie, jak jestem słaby.

Zamknął powieki. Potem uniósł głowę, zacisnął dłonie i znowu spojrzął na miasto, siedlisko Czarnego Moru.

Dlaczego tak gorąco? A tak, jest samo południe, słońce świeci w zenicie i kamienie wydają się białe, jak głowy cukru... Ze studni wionie chłodem, a tam, w wilgotnej, mrocznej głębinie mieszka drugi chłopiec, który zjawia się w okrągłym, wodnym zwierciadle. Ach, jak ścierpną zęby od pierwszego haustu lodowatej wody. Wiadro pluska o wodę swoim żelaznym dnem i ten dźwięk jeszcze bardziej nasila pragnienie...

(PRZEZ MOC MI DANAŹ PRZYZYWAM CIĘ, WYRYWAM Z ŻYWYCH I MARTWYCH, Z ROZWARTYCH UST, PUSTYCH OCZODOŁÓW, Z NOZDRZY, Z ŻYŁ, MIĘŚNI I ŚCIĘGIEN, Z KOŚCI I WŁOSÓW... WYRYWAM, JAK WYRYWA SIĘ CHWAST Z KORZENIAMI, WBITĄ W PIERŚ STRZAŁĘ; PRZEZ MOC MI DANAŹ ROZKAZUJĘ...)

Wiadro tonie, zapadając coraz głębiej, wewnątrz wypełnia się lodowatą wodą. Znow można je wyciągnąć, chociaż ciężiej teraz kręcić korbką... Nigdy kołowrót jeszcze nie był tak ciężki. Zaciskając dłonie i zęby męczy się z nim, a tymczasem wiadro ledwie uniosło się nad powierzchnią, głośno spływając rozlewającą się wodą...

(ROZKAZUJĘ I WZYWAM, PRZEPĘDZAM CIH Z ULIC, ZWODY I POWIETRZA, Z PALENISK, DZIUR I SZCZELIN... DOSYĆ. PRZEZ MOC MI DANAŹ KŁADEŹ CI TAMEŹ...)

Wiadro wznosi się coraz wyżej. Nie wiadomo, czy chłopcu starczy sił, skoro słońce tak pali, lecz tak bardzo chce mu się pić... Wiadro kołysze się ciężko, ale dźwięk spadających kropeł jest coraz słabszy...

Zasnute bielmem oczy, złowrogie macki głaszczące martwych. Poruszający się

kłąb ciemności. Rozkopany kurhan.

Chce mi się pić, tak bardzo pić! Niebiosy, nie pozwólcie, bym wypuścił z rąk korbkę albo żeby wiadro się urwało! Taki jestem zmęczony...

(PRZEGANIAM CIĘ TAM, SKĄD PRZYSZEDŁEŚ. PRZEGANIAM CIĘ W GŁĘB ZIEMI, GDZIE NIE DOTRĄ ŻADEN RYDEL ANI OBCA WOLA. PRZEGANIAM, ZAKLINAM, ZAMYKAM. NIE WRÓCISZ NA POWIERZCHNIĘ, KONIEC TWEJ WŁADZY NAD ŻYWYMI. ZAMYKAM CIĘ I BĘDĘ TWYM STRAŻNIKIEM...)

Jakie rozpalone kamienie, jaka bujna trawa. W uszach brzęczą cykady. Woda okazuje się słodka i gęsta jak miód. Spływa po podbródku, piersi i nogach, spływa na ziemię... Słońce w zenicie... Słońce.

Wieczorem pozostali przy życiu mieszkańcy wypęzli ze swoich nor, pytając się wzajemnie, czy także odczuli ulgę. Chorzy poczuli się znacznie lepiej, a otaczający ich krewni zapłakali z radości. Nie wiadomo skąd pojawiły się wesoło rozszczekane psy, nad dachami załopotwały wronie skrzydła drapieżnych ptaków, które zleciały się na żer.

Egert i Toria odszukali wtedy dziekana, przyświecając sobie latarnią.

Leżał na wierzchołku rozkopanego kurhanu, jakby zakrywał go własnym ciałem. Egert zajrzał mu w twarz... i nie dopuścił, by uczyniła to także Toria.

Rozdział 9

Następnego dnia powrócił mróz, toteż trzeba się było spieszyć, dopóki ziemia nie zamarzła. Egert i Toria pochowali Łujana na wzgórzu, w pobliżu grobowca Pierwszego Wieszcziarza. Młodzieniec chciał złożyć wraz z nim do grobu także złoty medalion, lecz jego ukochana, wypłakawszy już wszystkie Izy, powstrzymała go przed tym. Ukrycie Amuletu w mogile mogłoby narazić mogiłę na niebezpieczeństwo... Odprawili we dwoje nad zmarłym wszelkie stosowne obrzędy i nikt im na szczęście w tym nie przeszkodził, jakkolwiek ocalały burmistrz surowo zarządził, by pochować wszystkie ofiary Moru w tymże kurhanie.

Toria w pierwszej chwili nie chciała dopuścić do swej świadomości, jak wielką poniosła stratę, dlatego też nie czuła się na siłach wejść do ojcowskiego gabinetu. Uczynił to Egert. Pośród otwartych ksiąg i wygasłych świec znalazł porządnie przygotowany rękopis pracy dziekana, podzielony na rozdziały i opatrzone licznymi notkami oraz przypisami. Znalazł także konspekt nie napisanych jeszcze rozdziałów. Jedynym dziedzictwem pozostał zatem rękopis niedokończonego dzieła i leżący obok Amulet.

Wysłuchawszy relacji Solla, Toria próbowała się uśmiechnąć.

– A jednak stał się w końcu wielkim magiem. Prawda? Trzeba będzie dopisać Rozdział opowiadający o nim i w ten sposób zakończyć pracę...

Nagle dorzuciła:

– Egercie, przysięgnij, że nigdy nie umrzesz.

*

Mieszkańcy miasta nie od razu uwierzyli w swoje szczęście. Grabarze pospiesznie grzebali zmarłych, chorzy wracali do zdrowia. Ofiar było bardzo wiele, lecz okazało się, że ocalonych także niemało. Wciąż jeszcze kryjąc się po kątach, wypytywali się nawzajem z obawą: Czyżbyśmy przeżyli już koniec czasów?

Minął kolejny dzień bez nowych ofiar, potem jeszcze jeden i następne. Nikt nie umarł przez cały tydzień. Ludzie odetchnęli z ulgą i wyszli z ukrycia. Martwych od żywych oddzieliły zwały ziemi, zwiezione nad rozryty kurhan. W owych dniach kopiec urósł, skoro spoczęły w nim setki ciał. Oczyszczone z trupów ulice nadal wionęły grozą, lecz w końcu mieszczanie zrozumieli, że zaraza minęła.

Nie zdążono przewieźć wszystkich nieboszczyków z bocznych zaułków do przeznaczonego dla nich dołu, kiedy nad dachami domów strzeliły fajerwerki.

Nikt z obecnych na placu i ulicach nie zaznał jeszcze takiego świętowania. Nieznajomi ściskali się i wypłakiwali sobie w ramię. Były to łzy radości z ocalonego życia, słodkiego życia, z którym tak wielu musiało się rozstać. Wczorajsi konający zdrowieli na samą myśl, że jutro też dla nich zaświeci słońce, że za jakiś czas nadejdzie wiosna, urodzą się nowe dzieci... Roześmiane, niedbale odziane kobiety chętnie darzyły miłością wszystkich młodych i starszych mężczyzn, nie wyłączając kalek, żebraków, czy miejskich strażników. Czternastoletni chłopcy stawali się mężczyznami wprost na ulicy, po czym ich szczęśliwe wybranki znikwały w tłumie, chichocząc zwodniczo. Zwariowana feta oszalałych ze szczęścia ludzi pochłonęła też trochę ofiar: ktoś tam utonął w kanale, kogoś zdeptali w tłumie, lecz owe przypadki przeszły niezauważone, gdyż weselący się na ulicach ludzie uwierzyli, iż są nieśmiertelni.

Wieża Łaszą trwała obojętnie wobec tych wesołych igraszek niedoszłych nieboszczyków. Drzwi i okna nadal były zamurowane, lecz żaden już dymek nie unosił się nad spiczastym dachem. Histeryczna radość tłumów powoli wygasła, a wówczas zaczęto zadawać sobie w mieście przeróżne pytania.

Czy nadejdzie Koniec Czasów? Skąd wzięł się Mor i dlaczego się skończył? Co się dzieje za zamurowanymi drzwiami przybytku kasza? I dlaczego kaptownicy nie podzielili losu wszystkich, kryjąc się za murami baszty i co będzie teraz? Ludzie szemrali, popatrując na Wieżę bojaźliwie lub wrogo. Nie wiadomo skąd wzięła się wieść, że to właśnie słudzy tasza sprowadzili na miasto nieszczęście. Wydali mieszkańców na pastwę Moru, sami chroniąc się bezpiecznie. Powiadano także, iż wielki mag, będący wcześniej dziekanem uniwersytetu, przepadł bez wieści dokładnie w dzień, gdy odeszła zaraza i że jego córka obwinia o wszystko zakonników. Zbulwersowani mieszczanie spierali się między sobą, niektórzy w to nie wierzyli. Wieża wciąż trwała w milczeniu, toteż rzucano w jej stronę coraz bardziej ponure spojrzenia. Wbrew zakazom burmistrza szykowała się już u jej wrót gromada z łomami i kilofami, gdy nagle zamurowane wejście rozpadło się, rozwalone od środka.

Egert, który w owej chwili znajdował się w bibliotece, zadrżał, słysząc potężne uderzenie gruzu, od którego zatrzęsła się ziemia. Widział dokładnie z okna, jak otaczający basztę tłum cofnął się, jakby odrzucony silnym porywem wiatru.

W ciemnym wejściu stał niewysoki człowiek w szarej opończy ze srebrną luną

włosów na głowie.

Okazało się, że ze sług tasza pozostała przy życiu mniej niż połowa. Ciała zmarłych mnichów leżały długim rzędem przed Wieżą. Kaptury skrywały ich martwe twarze. Pozostali przy życiu mnisi stali też nieruchomo, również z zasłoniętymi twarzami, wicher zaś jednakowo targał ich strojami.

Egert nie słyszał słów Mistrza. Strach nie pozwolił mu podejść bliżej. Tłum słuchał uważnie, w milczeniu. W najbardziej wzniosłych momentach przemowy zakonnika ucho Solla wychwytywało gromki okrzyk: „tasz!”, przy którym ludzie wzdrygali się, mimo woli spuszczać głowy. Gdy przełożony zakończył swoją mowę, lud rozszedł się cichy i pokorny, jakby rozważał w myślach zagadkę, zadaną przez Mistrza.

*

Minęło parę tygodni. Ocalali studenci radowali się, spotykając w uniwersyteckich progach, lecz po hałaśliwych powitaniach zazwyczaj następowało niezręczne milczenie: wypyując o los kolegów, słyszało się same ponure wieści. W każdym razie uniwersytet odżył. Przekazywano sobie szeptem informację o śmierci dziekana i wielu słuchało jej z drżeniem i smutkiem. Odwiedzali Torię, pragnąc podzielić jej ból.

Rektor złożył jej wyrazy współczucia, które przejęła ze spokojną godnością. Pracownia ojca stała się teraz jej gabinetem. Spędzała wiele godzin pod stałowym skrzydłem, przeglądając papiery ojca, a przede wszystkim rękopis dzieła. Amulet Wieszczbierza ukryła, na prośbę Egerta, w miejscu znanym tylko jej. Soll nie chciał nic o tym wiedzieć i dziewczyna, przygryzając wargi, spełniła jego życzenie.

Widząc ją przechodzącą korytarzem, studenci witali ją niemal z takim samym szacunkiem, jak przedtem jej ojca. Egert nie odstępował jej ani na krok. Wszyscy już wiedzieli, że poślubi ją, kiedy tylko minie okres żałoby. Nikomu nawet nie przyszło do głowy dziwić się jej wyborowi.

Pewnego dnia następczyni dziekana zebrała wszystkich żaków w Wielkiej Auli. W ciągu godziny uniwersytet zamienił się we wrzący tygiel, kiedy opowiedziała im w prostych słowach prawdę o zbrodniczym postępku sług Tasza.

Hałas ciągle się wzmacniał. Ktoś wołał, że trzeba wyjść na ulicę, ktoś inny nawoływał, by rozpędzić zakonników. Wspomniano przy tym Lisa: biedaczek miał rację, że nie cierpiał kapturników. Teraz by im pokazał! Poblądły rektor ledwie zdołał powstrzymać podopiecznych przed otwartym buntem.

Toria została wezwana do gabinetu rektora. Rozmowa była długa. Egert

widział zdenerwowanie urzędnika, który stojąc w progu, spoglądał za Torią i kręcił łysą głową.

– Nie sędzę, moje dziecko, by należało coś takiego rozgłaszać... Brak wystarczających dowodów. Powstrzymaj się, proszę cię, od niewczesnych... Nie powinnaś...

Rektor nie przestawał mówić, gdy Toria odchodziła z niezwykle pochyloną głową.

– Boi się – powiedziała z goryczą, zamykając drzwi ojcowskiego gabinetu za sobą i Egertem. – Nie chce nic zrobić. Nie wierzy mi. Uważa, że zaślepiła mnie rozpacz. Mieszczanie uważają teraz, że to słudzy kasza powstrzymali nadejście Końca Czasów, modląc się bez przerwy i odprawiając obrzędy ku czci Świętego Widziadła... Zbierają nawet datki na nowy posąg Łasza.

– Nie rozumiem – odparł bezradnie. – Przecież wielu z nich także umarło. Na co liczyli?

Uśmiechnęła się ponuro.

– Pamiętasz, co powiedział ojciec? „Niegrzeczny dzieciak podpala dom, święcie wierząc, że ogień nie spali jego zabawek...”.

Urwała, nieoczekiwanie dla samej siebie, jakby coś ścisnęło jej gardło. Wspomnienie o ojcu okazało się ponad jej siły. Długo milczała, odwrócona od mężczyzny, gładząc bezmyślnie karty rękopisu.

Egert z trudem się powstrzymał by jej nie objąć i nie pocieszać, lecz zdawał sobie sprawę, że byłoby to w owej chwili nieodpowiednie. Patrzył zatem bez słowa na zasmuconą ukochaną. Czuł jak codzienny lęk o własną skórę przewycięża w nim całkiem odmienne uczucie.

– Tor – rzekł w końcu najostrożniej, jak tylko potrafił – wiem, że nie spodoba ci się to, co powiem za chwilę... Po prostu chcę ci powtórzyć słowa rektora: Nie powinnaś... atakować Łasza. To wszystko, teraz możesz na mnie nakrzyczeć.

Odwróciła się powoli, jej zaciśnięte usta zbieleły, a wyraz oczu był taki, że młodzieniec cofnął się bezwiednie.

Chciał jej wyjaśnić, że nie kieruje nim strach, że pamięć o Łujanie jest mu tak samo droga, jak jego córce, że także nienawidzi świątobliwych zbrodniarzy. Zakon składa się jednak z szalonych fanatyków, którzy nie cofną się przed niczym. Jeśli rozpoczną z nim wojnę, Toria zacznie balansować na ostrzu brzytwy... a jej bezpieczeństwo jest dla niego najważniejsze. Ona wciąż milczała z chłodnym

wyrzutem w oczach. Pod tym spojrzeniem nijak nie mógł sensownie wyłożyć dręczących go refleksji.

– Nie będę na ciebie krzyżeć – odparła w końcu tonem tak obcym, że go wystraszyła. – Przemawia przez ciebie klątwa. Od kiedy jednak słuchasz znowu jej tchórzliwych podszeptów?

Nastąpiła długa chwila napiętej ciszy. Egert przypomniał sobie dzień, kiedy Toria uderzyła go w twarz ciężką książką.

– Pokładałam wielkie nadzieje w rektorze – oznajmiła w końcu drżącym głosem. – Sami studenci to za mało... chociaż...

Zadumała się na chwilę.

– Chociaż może znajdę pomoc – podjęła. – Być może u ciebie?

Egert miał ochotę paść przed nią na kolana. Zamiast tego, podszedł bliżej, patrząc prosto w jej bezlitosne, suche oczy.

– Myśl sobie o mnie, co chcesz. Uważaj mnie za kogo chcesz, ale klątwa nie ma nic tutaj do rzeczy. Przecież nie zostałem zaklęty, by bać się o ciebie! A ja...

Tym razem on się zaciął, choć powinien był powiedzieć o tym, jak straszna była dla niego myśl o jej utracie, teraz, kiedy zostali we dwoje wobec nieprzyjaznego świata i jak trudno mu przyznać, że nie jest w stanie obronić tego, co dla niego najdroższe. Wszystko to należało wyrazić, lecz jego żalosne usiłowania nie przyniosły efektu.

Nie doczekawszy ciągu dalszego, znowu się odwróciła. Patrząc na jej wyprostowane sztywno plecy, pojął z lękiem, że wytworzyła się między nimi jakaś szczelina, a ta rozmowa może ich rozdzielić. Musi ratować ich oboje. Zrozumiawszy to milczał dalej, wiedząc, że ona ma rację: jest tchórzem i nie jest w stanie działać jak na męża przystało.

Dały się słyszeć niezwykle szybkie i głośne kroki na korytarzu. Egert podniósł głowę ze zdziwieniem, słysząc drżący głos rektora. Toria odwróciła się powoli, słysząc pukanie do drzwi. Najpierw ciche i niepewne, szybko zamieniło się w łomotanie. Soll był pewien, że nigdy jeszcze nikt nie ośmielił się tak potraktować drzwi gabinetu dziekana.

Toria uniosła brwi.

– Kto tam?

– W imieniu prawa! – usłyszeli zza drzwi.

Po chwili odezwał się wyraźnie roztrzęsiony rektor:

– Ależ, panowie, to jakaś pomyłka... Nie wolno wchodzić z bronią do świątyni nauki!

Kolejne uderzenia wstrząsnęły drzwiami. Każde z nich wzmagało drżenie serca Egerta. Zacisnął zęby, modląc się w duchu: Niebioso, dajcie mi chociaż teraz zachować się jak należy!

Toria uśmiechnęła się pogardliwie. Uniosła skobel, otworzyła drzwi i stanęła w progu. Soll nie wytrzymał i cofnął się w ciemny kąt, przeklinając siebie. Niewidoczny z zewnątrz, dojrzał czerwono-białe uniformy, bladą twarz rektora, tłumek wzburzonych studentów i spokojne, kościste oblicze oficera, który trzymał w dłoni stylizowany biczyk, na znak tego, że w tym momencie wykonuje rozkaz wyższej władzy.

– To pracownia mego ojca – oznajmiła zimno panna. – Nikt nie ma prawa dobijać się do tych drzwi i nikt nie wejdzie do środka bez mojej zgody. Czego panowie sobie życzą?

Oficer podniósł biczyk.

– A więc potwierdza pani, że jest córką dziekana bujana?

– Z dumą potwierdzam.

Oficer skinął głową, jakby zadowolony z odpowiedzi.

– W takim razie prosimy panią udać się z nami.

Egert czuł strużki zimnego potu, spływającego po plecach. Dlaczego właśnie jemu musi się przydarzać coś, o czym inni śnią tylko w najgorszych koszmarach?!

Toria uniosła głowę jeszcze wyżej.

– Proście? Z jakiej racji? A jeśli odmówię?

Oficer znowu skinął głową z satysfakcją, jakby tylko czekał na podobne pytanie.

– Jesteśmy tutaj z nakazu sądu – oznajmił, potrząsając biczykiem na potwierdzenie. – I uprawnieni jesteśmy doprowadzić panią, jeśli odmówi pani pójść dobrowolnie.

Egert bardzo pragnął, by Toria obejrzała się na niego.

Wydawałoby się, cóż w tym prostszego, obejrzeć się w poszukiwaniu pomocy i obrony... Zarazem wiedział jednak od początku, że ona tego nie robi, ponieważ nie oczekuje od niego obrony, a gdyby napotkała jego wystraszone, pełne poczucia winy spojrzenie, straciłaby resztki nadziei. A jednak błagał ją w duszy, by to uczyniła. Zdawało się przez mgnienie, że miała taki zamiar, lecz znieruchomiła w półobrocie.

– Panowie – wtrącił się rektor, trzęsąc starczo głową – to coś niebywałego. Nikogo jeszcze nie aresztowano w tych dostojnych murach... To świątynia...

Przybytek pracy duchowej. Kalacie świętość! Pójdę ze skargą do burmistrza!

– Niech się pan uspokoi, panie rektorze – powiedziała Toria spokojnie, jakby zadumana. – Jestem pewna, że to nieporozumienie wkrótce się wyjaśni...

Urwała i zwróciła się do oficera.

– Cóż, widzę, że nie cofniecie się nawet przed przemocą, a nie chcę, by te szacowne mury ją oglądały. Pójdę.

Zrobiła krok do przodu i zamknęła szybko za sobą drzwi gabinetu, jakby chciała ochronić Solla przed niepowołanymi spojrzeciami.

Drzwi były zamknięte. Egert stal z zaciśniętymi pięściami, wsłuchany w oddalający się tupot ciężkich butów, niespokojne szepty studentów i lamenty rektora.

Masywny gmach sądu był niewątpliwie najbrzydszy na placu. Egert przywykł obchodzić go szerokim łukiem, żelazną bramę z wyciosanym nad nią napisem „Strzeż się prawa!” i okrągły słup z miniaturową szubienicą, gdzie na stryczku kołysała się szmaciana lalka. Wszystko to wydawało mu się okropne i odrażające.

Spadł mokry śnieg, który wydał się Sollowi szarobury niczym zleżała wata. Trzewiki grzęzły po kostki w wilgotnej mazi. Po słupie latarni, stanowiącym dla mężczyzny coś w rodzaju przystanku, ściekały strugi wody. Drżąc na całym ciele i przestępując z nogi na nogę, wpatrywał się intensywnie w zatrzaśnięte wrota, łudząc się, że za chwilę się otworzą i jego ukochana wyjdzie na wolność.

Towarzysząca mu do tej chwili grupka studentów rozchodziła się powoli w ponurym milczeniu, nie patrząc na siebie. Do gmachu sądowego wchodził i wychodził zeń rozmaici ludzie: urzędnicy wyższej i niższej rangi, uzbrojeni w piki strażnicy, petenci z kornie schylnymi głowami. Chuchając w zmarznięte dłonie, Egert zastanawiał się, czy już przedstawiono Torii akt oskarżenia. Ciekawe, czego mógł dotyczyć. Jak jej pomóc, skoro nawet wizyta rektora u burmistrza spełzała na niczym?

Przebył na placu noc pełną strachu, w słabym świetle latarni i zwodniczych światełek w oknach przeklętego budynku. Świt przyszedł jakby spóźniony. W świetle poranka Egert ujrzał wchodzących w żelazne wrota mnichów Łasza.

Było ich czterech i wszyscy zdawali się młodzieńcowi podobni do Fagirry. Drzwi zatrzasnęły się za nimi, a Egert zwinął się w pół przy swojej latarni, bolejąc

nad własnym lękiem i bezradną rozpaczą.

A zatem oskarżenie pochodzi od sług Łasza. Zdawało mu się, że słyszy w głowie głos Fagirry: „Miejski sędzia także słucha rad naszego Mistrza...”. Tak czy owak, zakon Łasza to jeszcze nie sąd! Może sędzia da sobie wyjaśnić i otworzyć oczy... Być może. Stracił bliskich podczas Czarnego Moru. Zaraza nie zważała na godności ani urzędy...

Z żelaznych wrót wyszła pospiesznie grupa strażników, pod wodzą tego samego oficera, który aresztował Tonę. Rozrzucając bezceremonialnie zwały śniegu podkutymi butanu, ruszyli przed siebie. Egertowi wydało się, że znowu zmierzają w stronę uniwersytetu.

Gdyby żył jeszcze dziekan... z pewnością nie ośmielili by się. Teraz nie ma kto bronić Torii oprócz...

Przywarł policzkiem do wilgotnego słupka, przezywając kolejny przypływ strachu. Podejść do żelaznej bramy, mi rając kukło wisielca i przestąpić próg... przecież Toria już go przestąpiła.

Długo musiał przekonywać sam siebie, że nie ma niczego strasznego w czekającej go czynności. Wejdzie tam i wyjdzie, byle tylko zobaczył się z sędzią... Sędzia to nie hasz... Toria jest w środku, może zdoła ją zobaczyć.

Ostatnia myśl okazała się decydująca. Wykonując wszelkie ochronne rytuały, ściskając palce jednej dłoni i zaciskając drugą na guziku, dotarł skomplikowanym zygzakiem do okutych żelazem podwojów.

Nigdy nie ośmieliłby się nacisnąć klamki, lecz właśnie, na szczęście albo wręcz przeciwnie, drzwi się rozwarły i wyszedł nimi sądowy pisarczyk o bezbarwnym obliczu. Sollowi nie pozostawało nic innego, jak zrobić krok do przodu, w nieznaną.

Nieznane okazało się niskim, półokrągłym pomieszczeniem z mnóstwem drzwi, pustym biurkiem pośrodku i znużonym wartownikiem u wejścia. Nawet nie spojrzął na wchodzącego. Apatyczny, młody kancelista wodził bezmyślnie po blacie biurka czubkiem zardzewiałego nożyka do przycinania piór. Spojrzął na przybysza pytająco, ale bez szczególnego zainteresowania.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi.

Drzwi zatrzasnęły się za plecami Egerta bez jego pomocy, jak drzwiczki żelaznej klatki. Zadzwoił łańcuch, przykuty do zasuw.

– W jakiej sprawie? – zapytał kancelista.

Jego ospały, pospolity wygląd mocno uspokoił Solla. Pierwszą osobą, jaką

spotkał w tym strasznym miejscu był ktoś, kto wyglądał nie bardziej groźnie niż byle ławnik. Wziął się w garść, ściskając ze wszystkich sił guzik i wydusił w końcu:

– Córka dziekana Łujana z uniwersytetu została wczoraj aresztowana... Ja...

Urwał, nie wiedząc, co dalej mówić. Kancelista ożywił się wyraźnie.

– Nazwisko?

– Czyje? – zapytał dosyć głupio.

– Pańskie.

Urzędnik najwidoczniej od dawna przyzwyczał się do tępoty petentów.

– Soll – odpowiedział Egert po chwili.

Mętne oczy kancelisty rozjarzyły się nagle.

– Wolny słuchacz Soll?

Niemile zaskoczony wszechwiedzą urzędnika, Egert skinął głową z wysiłkiem.

Tamten podrapał się czubkiem nożyka w policzek.

– Myślę, że... Proszę tu poczekać, zaraz zamelduję komu należy.

Bezszelestnie poderwawszy się zza biurka, urzędnik zniknął w jednym z bocznych korytarzy.

Egerta raczej to wystraszyło niż uradowało. Lękał się moc niej niż poprzednio, nogi się pod nim trzęsły. Bezwiednie zrobił krok ku wyjściu. Drzemiący strażnik otworzył czujnie oczy i jego dłoń zacisnęła się na drzewcu piki. Egert zastygł na miejscu. Drzwiami, za którymi zniknął kancelista, wszedł drugi strażnik i przyjrzał się krytycznie Sollowi, jak kucharz ogląda mięso przyniesione od rzeźnika.

Kancelista wyjrzał natomiast zza całkiem innych drzwi i przyzwał młodzieńca do siebie zgiętym palcem.

– Pan pozwoli, Soll...

Grzeczny, jak posłuszny malec, Egert podreptał na spotkanie swego losu. W ciemnym korytarzu minęli paru zakapturzonych. Soll poczuł znajomy, cierpki zapach, który wydał mu się teraz obrzydliwie mdlący. Żaden ze sług Łasza nie uniósł kaptura, lecz młodzieniec odczuł na swojej skórze uważne, chłodne spojrzenia.

Twarz sędziego była nalana i maleńkie, wzgardliwe oczka niemal ginęły w obwisłych policzkach. Egert spojrział w nie tylko raz i stropił się natychmiast, spuścił więc oczy na gładką, poznaczoną żyłkami marmuru podłogę, na którą ściekała woda z jego przemokłych trzewików. Sędzia zerkał nań spod oka i młodzieniec czuł na sobie owo przenikliwe, świdrujące spojrzenie.

– Oczekiwaliśmy, że zjawi się pan wcześniej, panie Soll – rzekł sędzia ledwie dosłyszalnym, przerywanym głosem, jakby mówienie sprawiało mu wielką trudność.

– Czekaliśmy... Przecież aresztowana jest pańska żona?

Egert drgnął. Sędzia musiał dość długo czekać na odpowiedź.

– Na razie... jesteście zaręczeni... mieliśmy zamiar...

Mamrocząc owe żalosne zdania, czuł odrazę do samego siebie, jakby mówiąc prawdę sędziemu, zarazem zdradzał ukochaną.

– Wszystko jedno – zaszemrał funkcjonariusz. – Prawo liczy na pana. Będzie pan głównym świadkiem procesu.

Egert uniósł głowę.

– Świadkiem? Czego?

Za drzwiami dały się słyszeć podniesione głosy i tupot butów. Zza kotary wychynął kancelista i szepnął coś szybko na ucho szefowi.

– Niech pan im powie, że rozkaz odwołano.

Głos sędziego szeleścił, niczym wężowa skóra na suchych kamieniach.

– Już tutaj jest.

Wyostrzone zmysły Solla natychmiast wyczuły, że o nim mowa. Przypomniawsobie strażników zmierzających w stronę uniwersytetu i oblizał zapiekłe, wysuszone wargi.

– Nie ma się czego bać, Soll – rzekł z uspokajającym uśmiechem sędzia. – Jest pan tylko świadkiem. Bardzo cennym, skoro był pan niemal członkiem rodziny starego czarownika... Nieprawdaż?

Egert poczuł, że jego blade policzki zalewają się teraz gorącą czerwienią. Nazwanie pana Łujana „starym czarownikiem” było przekroczeniem wszelkich granic niegodziwości. Strach jednak pochłoniął ten poryw oburzenia, jak bagno pochłania ciśnięty w nie kamień.

Sędzia podjął beznamiętnie:

– Oczekujemy od świadka tylko jednego, żeby mówił prawdę. Wie pan, jak ciężko Czarny Mor doświadczył nasze miasto. I wie pan, że nie pojawił się sam z siebie...

Egert spał się cały.

– Mór nie pojawił się sam z siebie cicho powtórzył urzędnik. – Stary czarownik i jego córka wykorzystali swą magiczną moc, by wezwać go spod ziemi, gdzie było siedlisko owego zła. Święte Widziadło kasza uprzedzało o zbliżającym się

Końcu Czasów, a słudzy jego bezustannymi modłami i obrzędami zdołali w końcu powstrzymać zarazę i zabić czarodzieja. Miasto zostało uratowane, lecz za cenę wielu ofiar... Zgodzi się pan chyba, że współniczka takiej zbrodni powinna odpowiedzieć przed prawem. Żądają tego krewni zmarłych i zada tego nasza sprawiedliwość.

Cichy głos sędziego wydał się Sollowi ogłuszający jak ryk stada pędzonego na ubój.

– To wszystko nieprawda – szepnął, pokonując strach. – Kłamstwo... Słudzy Łasza rozkopali legowisko Moru i oni go wezwali, a dziekan powstrzymał go za cenę swego życia. Widziałem na własne oczy!

W tym momencie lęk znowu odebrał mu zdolność mówienia, zalewając go strugami potu i wprawiając w niepowstrzymane drzenie.

– Błuznierstwo przeciwko Łaszowi – zauważył sędzia – już za pierwszym razem podlega karze publicznej chłosty pletniami...

W ciągu kolejnych długich minut Soll widział oczyma duszy tłum zebrany wokół pręgierza i świszczące bicz w dłoniach siepaczy... Poczuł na skórze pleców piekące smugi.

Sędzia westchnął. Coś złego działo się wciąż z jego gardłem, jakby miał chroniczny nieżyt lub czkawkę.

– Rozumiem jednak pańską postawę, gdyż nie panuje pan nad sobą w tej chwili, a zatem nie odpowiada za swoje słowa. Udam więc, że ich nie słyszałem... Proces zapewne zacznie się w najbliższych dniach, kiedy skończymy przesłuchanie oskarżonej. A co się tyczy pana, Soll, nie mam zamiaru pana zatrzymywać, jednakże oskarżyciel będzie chciał panu zapewne za dać parę pytań...

Sędzia ujął w dłoń dzwonek stojący na stole. Nim leszcze rozległ się jego dźwięk, zza ciężkiej portierny wynurzył się przysadzisty strażnik. Egert przeszedł pod odchyloną kotara, ledwie powłócząc nogami.

Pochodnie jaśniały na szarych ścianach. Cień idącego wzdłuż nich Solla miotał się niczym osłepia ćma. Wysłuchany w odgłos własnych kroków, dumał o losie Torii.

Przesłuchują ją i mają zamiar nadal przesłuchiwać. Za co? Co może im wyznać? Ona. . Czyżby ją torturowali? Na niebiosy!

Zdawało mu się, że słyszy w głuchej ciszy oddalone, stłumione grubymi murami krzyki bólu. Nie wytrzymał i stanął, nasłuchując. Prowadzący go strażnik obejrzał się zdziwiony.

Szczękniętą zamek tajnego wejścia i strażnik przepuścił przed sobą Egerta, lekko popychając go w plecy. Niewielkie, ciasne pomieszczenie wyglądało jak cela i Egert gotów był uznać, że jego także uwięziono, lecz właśnie w tej chwili wniesiona pochodnia oświetliła człowieka, siedzącego w rogu na wysokim fotelu. Nie dziwiąc się już niczemu, Egert rozpoznał Fagirę.

Strażnik wetknął żagiew w pierścień na ścianie i wyszedł, nisko się kłaniając. Stukot jego podkutych obcasów długo dźwięczał w korytarzu.

Fagirra siedział nieruchomo. Kaptur miał odrzucony na plecy. Egert miał wrażenie, że minęły wieki od ich ostatniego spotkania. Od tamtej pory zdarzyło się wiele okropnych rzeczy, a jego młodo wyglądający wówczas znajomy wyraźnie się postarzał. Dopiero teraz objawił się jego prawdziwy wiek struchlałemu młodzieńcowi.

Kilka minut spoglądali na siebie, po czym zakonnik westchnął głęboko i wstał, ustępując Egertowi jedyne siedzące miejsca w pomieszczeniu.

– Siądź, proszę... Widzę, że z trudem trzymasz się na nogach.

– Postoję – odrzekł ponuro Egert.

Fagirra pokręcił głową z powagą.

– Nie dasz rady. Sam dobrze o tym wiesz... Twoja duma i tchórzliwość walczą wciąż między sobą, lecz coś mi mówi, że ta druga siła zwycięży. Można, oczywiście, bez końca ubolewać nad tym, dręczyć się tym wciąż, a można też po prostu usiąść i posłuchać, co powie życzliwy ci człowiek... Od samego początku bardzo cię polubiłem, Egercie.

– Jesteś oskarżycielem – stwierdził raczej niż zapytał Egert. – Oskarżycielem Torii... Mogłem się tego spodziewać.

– Tak – potwierdził smutno mnich. – Jestem oskarżycielem, ty zaś będziesz świadkować.

Egert wsparł się plecami o ścianę, nie czując chłodu ani wilgoci. Osunął się po murze i siadł na podłodze.

– Fagirro – spytał zmęczonym głosem – widziałeś skutki Moru? Nie wiem, co się działo za murami Wieży, lecz tutaj, w mieście... Widziałeś?

Zakonnik przeszedł się wzdłuż niewielkiej celi. Soll śledził stąpające miarowo, przesłonięte częściowo opończę, wojskowe buty.

Fagirra zatrzymał się.

– Zmarł ktoś z twoich bliskich?

– Przyjaciel – potwierdził. – I zginął... nauczyciel.

Mnich wznowił swój obchód.

– Tak... Rozumiem. W mojej rodzinie zmarło sześć osób: matka, brat, siostry i dalsi krewni... Mieszkali na przedmieściu i zmarli jednego dnia.

Egert milczał. Wiedział, że tamten go nie okłamuje, słysząc zmianę w jego głosie.

– Nie wiedziałem – odparł ochryple, – że słudzy Łaszą mają rodziny.

– Według ciebie – rzekł zakonnik z krzywym uśmiechem – słudzy Łaszą spadają z nieba?

Jakiś czas słyhać było tylko potrzaskiwanie łuczywa i miarowe kroki Fagirry.

– Przepraszam – mruknął wreszcie Soll.

Tamten znów się uśmiechnął.

– Nie było cię tam, w Wieży... kiedy zamurowaliśmy wszystkie wejścia, nawet te tajne, nawet szczurze nory... Zaczął się pomór i zaczęliśmy, co rano znajdować trupy...

– Sami tego chcieliście – odparł Egert przez zęby.

Mnich wyszczerzył się szpetnie.

– Nie tobie nas osądzać!

– To przecież obłąd...

Fagirra zaśmiał się skrzekliwie.

– Tak, ponieważ Mistrz jest szalony! Zakon jednak nie może istnieć bez Mistrza. Przełożeni odchodzą, a zakon pozostaje i pozostaje Wieczna Tajemnica – dodał jakby z ukrytym sarkazmem – oraz związana z nią władza. Nie zrozumiesz tego, ponieważ nie pragniesz władzy.

– Wy jej pragniecie – stwierdził Soll ledwie słyszalnie.

Mnich skinął głową.

– Owszem... Wiesz, kto będzie następnym Mistrzem?

– Wiem – odparł ponuro.

Znowu było cicho jakiś czas. Później, gdzieś w głębokich podziemiach, zadźwięczało żelazo i rozległy się odległe, stłumione krzyki. Zadrżał, nie będąc pewnym, czy owe dźwięki nie pojawiały się tylko w jego wyobraźni.

– Posłuchaj – powiedział z rozpaczą – co tam władza... Znasz prawdę tak samo jak ja. Wiesz skąd się wzięła zaraza i kto ją powstrzymał, jesteśmy winni wszyscy nasze życie dziekanowi: ja, ty, sędzia, miejscy strażnicy i pan burmistrz... Człowiek oddał za to swoje życie. Dlaczego więc chcecie skazać jego niewinną

córkę?

– Łujan miał większą moc niż sądziłem.

Fagirra zatrzymał się, mrużąc powieki w świetle pochodni.

– Rzeczywiście był wielkim magiem.

Słowa te, wypowiedziane bez wahania, zaskoczyły Egerta tak, że pochylił się do przodu.

– Przyznajesz?!

Mnich wzruszył ramionami.

– Tylko szaleniec w rodzaju naszego Mistrza mógłby to kwestionować.

Egert bezsilnie splótł spotniałe dłonie.

– Na niebiosa! O co chcecie oskarżyć Torię?!

Fagirra spojrzawszy na zrozpaczoną twarz młodzieńca, westchnął i usiadł obok niego na kamiennej podłodze, opierając się plecami o ścianę. Gdzieś w czeluściach piwnic jęknęły żelazne zawiasy.

– Wrócisz potem do domu – powiedział zakonnik beznamiętnie. – Twój ojciec jest bardzo stary, a matka ciężko choruje... w miasteczku zwanym Kawarren.

– O co chcecie oskarżyć Torię?! – powtórzył Egert.

– Tak, ona jest piękna... zbyt piękna, Egercie. Jej uroda przynosi nieszczęście. Stała się przyczyną śmierci jej pierwszego narzeczonego, którego...

– Skąd wiesz...

– Którego zabiłeś. Nie jest taka, jak zwykle kobiety, jest w niej coś takiego... Posiada swego rodzaju dar, jeśli można tak to nazwać. Niezwykła z niej kobieta i rozumiem, że nadal próbujesz jej bronić, Egercie...

– Jest niewinna – powiedział Soll, patrząc prosto w błyszczące w półmroku oczy zakonnika. – O co ją zamierzacie obwinie?

Fagirra odwrócił wzrok.

– O czary, które ściągnęły na nas zarazę.

Ziemia nie zadrżała i ściany się nie zatrzęśły. Pochodnia skwierczała jak poprzednio, wydobywając z mroku błyszczące, srebrne hafty na stojącym w kącie fotelu.

– Nie rozumiem – odparł Egert, chociaż od razu wszystko zrozumiał.

Fagirra westchnął.

– Spróbuj zrozumieć. Istnieją cenniejsze rzeczy niż życie i zwykła sprawiedliwość... Ofiara jest zawsze niewinna, inaczej cóż to byłaby za ofiara?

Zawsze jest też lepsza niż otaczający ją motłoch...

– Fagirro – szepnął Egert – nie róbcie tego.

Jego rozmówca kiwnął głową w udręce.

– Rozumiem cię... ale nie ma innego wyjścia. Ktoś powinien ponieść karę za Czarny Mór.

– Prawdziwi winowajcy...

– Winna jest Toria, zła wiedźma, córka czarnoksiężnika – odrzekł spokojnie mnich. – Zastanów się nad sobą, Soll. Jestem w stanie zrobić z ciebie jej współnika, choć póki co jesteś świadkiem... Rozumiesz, że znalazłeś się na skraju przepaści?

Egert zacisnął zęby, pokonując kolejną falę strachu, Fagirra położył mu dłoń na kolanie.

– Wciąż jesteś świadkiem. Twoje świadectwo będzie tym bardziej cenne, że kochałeś oskarżoną, lecz w imię prawdy zdołasz wyrzec się owego uczucia.

– W imię prawdy?!

Fagirra wstał. Na ścianie pojawił się jego smukły cień. Podszedł do fotela i opadł na siedzenie. W świetle pochodni wydawał się teraz znużonym starcem.

– Co ją czeka? – zapytały samoistnie poruszające się wargi młodzieńca.

Fagirra uniósł powieki.

– Po co ci wiedzieć, w jaki sposób umrze? Wrócisz do swego Kawarrenu zaraz po rozprawie. Zapewne jakiś czas będziesz cierpiał, lecz czas potrafi leczyć wszelkie rany.

– Nie złożę fałszywego świadectwa przeciw Torii! – zawołał szybciej, nim strach zdążył zatkać mu gębę.

Fagirra pokręcił głową. Chwilę nad czymś dumał, wzdychając, potem zwrócił się do młodzieńca.

– Wstań i pójdz za mną.

Zdrętwiałe nogi nie chciały być posłuszne, Egert wstał więc dopiero za drugą próbą. Fagirra wy dobył z fałd opończy pęk kluczy. W ciemnym kącie objawiły się jeszcze jedno, niskie, żelazne drzwiczki, za nimi zaś kręcone schody, wiodące w dół.

Niewysoki, barczysty osobnik w płóciennym fartuchu grzebał w zębach wykałaczką. Pojawienie się mnicha z Egertem mocno go spłoszyło, toteż omal nie połknął drewnianej drzazgi, wyskakując na powitanie kapturnika. Odebrawszy łuczywo z rąk zakonnika, poszedł przodem. Tymczasem Eger wciąż usiłował przypomnieć sobie, gdzie mógł go wcześniej spotkać. Przestał o tym myśleć, gdy

przewodnik energicznie otworzył kolejne żelazne drzwi z zakratowanym okienkiem.

Płonęły tutaj aż trzy pochodnie. W ich świetle Egert ujrzał wiszące na ścianach przerażające narzędzia tortur.

Zatrzymał się, słabnąc. Fagirra szybko go podtrzymał, chwytając mocno za przedramię. Na hakach i na półkach znajdowały się rozliczne, nie tknięte rdzą, w pełni gotowe do użytku instrumenty: kleszcze i świdry, imadła do ściskania stóp, kliny do miażdżenia kolan, najeżone kolcami deski, rozmaite bicz i jeszcze gorsze rzeczy, od których Soll pospiesznie odwrócił wzrok. Pośrodku izby tortur znajdowało się palenisko z żarzącymi się węglami, obok stały zaś trójnogi zydelski i fotel z wysokim oparciem, taki sam jaki pozostawili w poprzednim pomieszczeniu. Na niewielkim podwyższeniu rozbiegane oczy Egerta dostrzegły ławę do zadawania mąk ze zwisającymi z niej rzemiennymi paskami.

Przypomniawszy sobie, gdzie już widział owego krępego człowieczka. W Dzień Wszelkiej Radości wszedł na szafot razem z sędzią i skazańcami, trzymając w dłoniach topór. Niósł go wtedy skromnie i naturalnie, obecnie zachowywał się tak samo, troskliwie rozdmuchując żar w żelaznym trójnogu.

– Egercie – zapytał cicho Fagirra, wciąż podtrzymując go pod ramię – gdzie znajduje się złota zabaweczka, medalion, który należał do dziekana?

Węgłe przybrały czerwoną barwę. Kat mógłby być znakomitym palaczem. Egert zachrypiął coś niewyraźnie, nie będąc w stanie wyrzec nawet słowa.

– Pamiętasz, pytałem cię kiedyś o sejf. Nasi ludzie przeszukali dobrze pracownię dziekana i niczego nie znaleźli. Wiesz, gdzie jest teraz medalion?

Soll milczał. W jego zmałym strachem mózgu plątały się bezładne myśli: bluźnierstwo... pracownia... stalowe skrzydło... skalali... gdyby żył dziekan...

Fagirra spojrzał mu prosto w oczy.

– Egercie, to bardzo ważna sprawa... Wierz mi, że wrzaski badanych nie sprawiają mi żadnej przyjemności, gdzie jest?

– Nie wiem – odpowiedział niesłyszalnie, lecz zakonnik odczytał te słowa z ruchu warg.

Mnich przeniósł znaczące spojrzenie z Solla na oprawcę, z niego zaś na rozżarzone węgle. Westchnął, muskając palcem kącik ust.

– Wiem, że nie kłamiesz... Komuś innemu bym nie uwierzył, lecz tobie... Szkoda, że istotnie tego nie wiesz.

Puścił ramię Egerta.

– Tylko Toria to wie? Tak?

Egert omal nie upadł. Nie wiedząc, co czyni, chciał przysiąc na łożu tortur, lecz natychmiast odskoczył. Fagirra pchnął go lekko na fotel. Młodzieniec opadł bezwładnie, uderzając potylicą w oparcie. Wczepił kurczowo palce w podłokietniki.

Kat spojrział pytająco na mnicha. Ten mruknął zmęczonym głosem:

– Czekaj...

Siadł naprzeciw Solla na zydlu, rozpościerając poły opończy na kamiennej posadzce.

– Powtarzam: lubię cię, Egercie. Nie ukrywam przed tobą niczego. Według prawa odmowa zeznań lub krzywoprzysięstwo podlegają karze wyrwania języka... Pokaż mu szczypce – zwrócił się do oprawcy.

Tamten zmierzył Egerta wzrokiem fachowca, po czym poszedł do kąta i wydobył stamtąd odpowiednie, jego zdaniem, narzędzie. Wygięte szczypce błyszczały oliwą, co świadczyło o pracowitości i solidności majstra, zwłaszcza, że nawet oplecione skórą rękojeści były czyste i dobrze utrzymane.

Egert zamknął powieki.

– To ci nie pomoże – powiedział mnich z przywołanej przez Solla ciemności. – Zachowujesz się, jak dzieciak, Egercie... Nie znikniemy, skoro zamknąłeś oczy. Nie chcesz, to nie patrz. Sąd zbierze się pojutrze, a do tego czasu musisz zachować zdolność mówienia. Widzę, że sam rozumiesz, o co chodzi. A jeśli przydadzą ci się pieniądze na podróż do Kawarrenu podczas tych paru dni, chętnie służyć... Przecież wrócisz? Prawda?

Egert usiłował przypomnieć sobie roześmianą twarzyczkę Torii, lecz nie potrafił.

Ocalone od zarazy miasto znowu pragnęło żyć.

Z dalszych i bliższych miejscowości przybywali spadkobiercy, pragnący przejąć opustoszałe i rozgrabione kamienice, warsztaty i sklepy. Tu i ówdzie wybuchały z tego powodu bojki. Cechy rzemiosł, podnoszące się z klęski, odstąpiły od swych wielowiekowych tradycji i przyjmowały w swoje szeregi nawet niedouczone czeladników. Przez bramę miejską od świtu do zmierzchu wlewały się tłumy radosnych i sprytnych prowincjuszy, przede wszystkim młodych, pragnących jak najprędzej wyjść na ludzi, to znaczy wzbogacić się i wżenić w arystokratyczne rody. Te również powracały do swoich siedzib, toteż na ulicach znowu słychać było

tupot kopyt i turkotanie karet, pojawiły się też lektyki, dźwigane przez lokajów w liberiach. Wszędzie biegały dzieci, radując się świeżo spadłym śniegiem, podobnie jak niemowlaki na rękach maniek.

W ciągu dnia miasto było niezwykle ożywione, lecz ani jedna noc nie przechodziła bez głośniego płaczu i łez, sennych koszmarów i gorzkich żalów. Wśród nie usuniętych ciągle zgliszcz błakali się ci, którzy stracili rozum podczas Moru, od których uciekały nawet bezpańskie psy. Nie było rodziny, która nie poniosłaby jakiejś straty, dlatego też snuto wciąż ponure opowieści o niedawnej przeszłości.

Pewnej nocy wybito wszystkie okna w gmachu uniwersytetu. Mieszczanie, którzy nie uwierzyli w straszną zbrodnię dziekana i jego córki, spierając się z sąsiadami, a często z własnymi domownikami, mieli tylko jeden argument: to niemożliwe! Większość krzywiła twarze z niechęcią i wzruszała ramionami. Magowie... Kto ich tam wie... Zwykły człowiek nie pojmie ich czynów, a przecież Mór nie pojawił się znikąd. Niech ich... tych czarowników!

Na placu doszło do walki. Grupka studentów starta się na śmierć i życie z rozwścieczonymi czeladnikami. Polała się krew i tylko interwencja straży miejskiej położyła kres owej bitwie. Pobici studenci skryli się w uniwersytecie, a w siad za nimi leciały kamienie.

Wieczorem, w wigilię procesu, przed gmachem sądu pojawili się pierwsi gapie. O świcie plac był wypełniony nieprzebrany tłumem do tego stopnia, że strażnicy musieli użyć pięt ni, zęby utorować sobie drogę do budynku. Przed szeregiem sług Łasza ludzie sami się rozstępowali, popychając się wzajem. Budynek uniwersytetu straszyl wciąż wybitymi oknami, lecz grupa studentów także się pojawiła, nie bacząc na wrogie okrzyki i obelgi. Cztery oddziały strażników musiały ochraniać jednego z nich, wysokiego i jasnowłosego, ze szramą na policzku, prowadząc go przez plac. W tłumie powiadano, że jest głównym świadkiem.

Do sali sądowej dostali się tylko nieliczni. Uznając jednak wagę procesu, sędzia zezwolił łaskawie, by ludzie stali w otwartych drzwiach, w korytarzach i na schodach, tak więc potężny budynek połączył się z ludnością na placu szeroką ludzką lawą. Przekazywano sobie zasłyszane słowa z ust do ust, jak przekazuje się wiadra wody podczas pożaru, o wszystkim zatem, co zostało powiedziane w sądzie, prędko dowiadywała się stojąca na zewnątrz, gawieź.

Przesłuchanie opóźniało się z jakichś przyczyn. Egert, siedząc na długiej, skrzypiącej ławie, patrzył obojętnie na gwarzących za pustym stołem sędziowskim

zakonników, na ostrzącego pióra kancelistę, na rozsiadających się po drugiej stronie sali wystraszonych ławników, w pewnym sensie też świadków, świadków Czarnego Moru... Wszystko powinno odbywać się zgodnie z prawem. Szkoda, że nie można wezwać przed sąd tych nieszczęsnych, których ciała spoczęły w kurhanie, a zwłaszcza dziekana bujana... Nie wstanie już spod ziemi, nawet na ratunek ukochanej córce.

Zauważył w tłumie widzów studenckie kapelusiki z frędzelkami i natychmiast odwrócił wzrok.

Za stołem sędziowskim miotali się dwaj sekretarze. Egert usłyszał, jak jeden pyta z cicha drugiego:

– Masz nurze pilnik do paznokci? Psiakrew, złamałem jeden...

Tłum falował, szepcząc, z jednakową ciekawością oglądając ponury wystrój pomieszczenia, pisarczyków, Egerta, strażników, fotel sędziego, miniaturową szubieniczkę na stole, dokładną kopię stojącej na zewnątrz. Ława oskarżonych była ciągle pusta i tylko obok niej przysiadł na stoiku niepozorny człowieczek w płóciennym fartuchu, trzymający na kolanach takież płócienny futerał, po kształcie którego Soll od razu domyślił się zawartości.

Były to szczypce z długimi rączkami.

Minęło chyba z dziesięć minut, potem znów drugie tyle. Widzowie w końcu zaczęli szemrać z niezadowoleniem, gdy ujrzano wreszcie kroczącego do stołu sędziego. Wyprzedzał go zakapturzony człowiek, którego Egert natychmiast rozpoznał. Z trudem powłócząc nogami, sędzia wspiął się po krytych aksamitem schodkach i o ciężale opadł na fotel. Fagirra stanął obok, nie zdejmując kaptura. Egert wyczuł jego uważne spojrzenie. Sędzia szepnął coś kanceliście, ten zaś powtórzył, niczym gromkie echo:

– Wprowadzić oskarżoną!

Egert pochylił nisko głowę, nie odrywając oczu od szarych smug na posadzce. Tłum zahuczał ogłuszająco, zabrzęczało żelazo i w tej chwili młodzieniec miał wrażenie, że powraca jego właściwość odczuwania cudzego bólu.

Nie podnosząc oczu, czuł całym sobą wejście Torii. Była kłębką nerwów i cierpienia, powściągniętych siłą woli. Wyczuł jak szuka z nadzieją jego osoby i jak oczy jej pojaśniały, gdy go dostrzegła. Zrozumiał, że jego ukochana wie wszystko, również, o roli, jaką on ma odegrać w procesie, a mimo to jednak się ucieszyła, widząc go, wciąż bowiem liczyła na niego, naiwnie jak dziecko, liczyła na najdroższego człowieka...

Podniósł głowę.

Kilka dni przesłuchań odbiło się na jej twarzy. Spotkawszy się z nim wzrokiem, próbowała się uśmiechnąć, lecz spękane wargi nie poddały się jej woli. Czarne włosy były szesane gładziej niż zazwyczaj. Zaczerwienione oczy pozostawały suche. Strażnik posadził ją na ławie oskarżonych. Ze wstrętem unikała jego dotyku i znowu spojrzała na Solla. Próbował uśmiechnąć się do niej pocieszająco, lecz nie zdołał, czując ciągle na sobie wzrok Fagirry.

Kat westchnął głęboko na całą salę, ponieważ właśnie zapadła kompletna cisza. Oskarżyciel stanął przy barierce i energicznie odrzucił kaptur.

Egert odczuł przestach Torii. Aż podskoczyła, kiedy mnich na nią spojrzał. Zdając sobie sprawę, że właśnie on osobiście ją przesłuchiwał, Soll zapragnął zadusić gada i z chęcią by to uczynił!, gdyby nie paraliżował go lęk.

Zakonnik rozpoczął mowę oskarżycielską i już od pierwszych jej słów Egert zrozumiał, że sprawa jest beznadziejna i jego Toria jest z góry skazana.

Fagirra mówił spokojnie, prostym językiem, ludzie słuchali go z uwagą, z zapartym tchem. Tylko gdzieś z tyłu słychać było szepty, przekazujące słowa oskarżyciela stojącym na zewnątrz. Z owej mowy, jasnej i precyzyjnej, jak dzieło jubilera, wynikało ponad wszelką wątpliwość, że dziekan od dawna zamierzał zniszczyć miasto i że oczywiście córka mu w tym pomagała. Fagirra podawał liczne szczegóły i dowody, od których Egertowi cierpła skóra. Być może zakon Łasza miał swojego szpiega na uniwersytecie albo Toria w trakcie przesłuchali zdradziła różne szczegóły z życia jej ojca. Tłum wydawał gniewne pomruki. Soll czuł, jak przenika go sprawiedliwe oburzenie i żądanie odpowiedniej kary.

Toria słuchała spięta wewnątrz. Jej ukochany czuł, jak stara się zebrać myśli, jak bołą ją oszczerstwa, niczym podstępne ciosy. Jej nadzieja, związana z obecnością Egerta, gasła teraz, powoli niczym ogarek.

Fagirra skończył mowę, uważnie spoglądając na Egerta. Zarzucił znowu kaptur i powrócił na swoje miejsce obok sędziowskiego fotela. Na znak sędziego do barierki jeden za drugim podchodzili świadkowie.

Pierwszy z nich, tłustawy przekupień, miał spory problem, nie wiedział bowiem, co ma mówić, więc tylko żalił się beładnie. Słuchali go jednak ze współczuciem, gdyż każdy z tu obecnych mógł powiedzieć to samo. Następni zachowywali się podobnie. Powtarzały się kolejne zażalenia, kobiety płakały, wyliczając swoje straty. Tłum milczał zasmucony.

W końcu wysechł strumyk przywołanych ofiar zarazy. Jakiś chłopak z ludu wrywał się, by opowiedzieć o swoim nieszczęściu, lecz prędko go uciszono. Wszystkie spojrzenia, ponure i surowe, skierowały się na oskarżoną. Egert pragnął rzucić się ku niej w rozpacz, by ją osłonić i uspokoić, lecz pozostał na swoim miejscu. Chwilę potem sędzia zaszeptał, a kancelista powtórzył głośno, że teraz oskarżyciel zada pytania podsądnej.

Toria wstała i ten prosty ruch kosztował ją wiele wysiłku. Egert czuł drzenie wszystkich jej mięśni i ścięgien. Podchodząc do barierki, zerknęła mimochodem na Solla. Egert pochylił się ku niej, pocieszając i obejmując ją w myślach. Fagirra podszedł bliżej. Ciało dziewczyny przeszedł dreszcz, jakby sama obecność zakonnika była dla niej nieznośna.

– Czy to prawda, że dziekan Łujan był pani ojcem? – spytał dźwięcznie zakonnik.

Toria zwróciła ku niemu głowę i spojrzała prosto w oczy. Egert wiedział, ile ją to kosztowało.

– Dziekan jest moim ojcem – odrzekła ochryłym, lecz donośnym i twardym głosem. – Umarł, ale wciąż żyje w pamięci wielu ludzi.

Wśród tłumu rozległy się szepty.

Wargi mnicha drgnęły lekko, jakby próbował się uśmiechnąć.

– Cóż... Miłość córki godna jest pochwały, lecz niewarta setek istnień!

Egert wyczuwał, jak jego ukochana z całej siły próbuje przezwyciężyć strach i cierpienie.

– Wy zgubiliście owych ludzi. Ronicie teraz łzy nad swoimi ofiarami, zbrodniarze w habitach? Tej nocy, kiedy pojawił się Mór...

Odwróciła się w stronę widowni.

– Tej nocy...

– Szkoda próżnych słów – przerwał jej szybko Fagirra. – Tamtej nocy wraz z twoim ojcem odprawialiście magiczne obrzędy w zamkniętej na trzy spusty pracowni. Tak czy nie?

Egert zrozumiał, jak bardzo ja straszono. Mnich świdrował wzrokiem jej zmęczone oczy. Dziewczyna zadrżała pod tą presją.

– Tak, ale...

Zakonnik wykonał szeroki gest w stronę sędziego i publiczności.

– Całą noc płonęły świece w gabinecie dziekana! Wasi bliscy, zacni

mieszczanie, wciąż jeszcze żyli. Rankiem wszędzie zawyły psy i wówczas w mieście pojawił się Czarny Mór...

– Nieprawda! – chciała krzyknąć Toria, lecz głos jej się załamał.

Spojrzała na Solla, jakby oczekując pomocy. Widział, jak owa nadzieja umiera.

– Nieprawda – doszło echo z kąta, gdzie stali studenci. Tłum zaskowyczał tak gromko, że kancelista musiał uderzyć kilkakrotnie w stół, a strażnicy pochyłili piki.

Podniesiona na duchu nieoczekiwaną pomocą, oskarżona zdołała ponownie się opanować. W mrokach ogarniających jej duszę, błysnęło światełko nadziei, dające punkt zaczepienia i możliwość kontrataku.

– To nieprawda, że mój ojciec przywołał zarazę... Śmierć sprowadził zakon Łasza. Któż wie, kim oni są naprawdę?! I kto z was nie potwierdzi, że mój ojciec przez całe swoje życie nie wyrządził nikomu nic z tego? Powiedźcie, wszyscy, jak tu jesteście, czy skrzywdził choćby muchę? Kierował uniwersytetem całe dziesięciolecie, z pomocą magii, czy bez niej... Zdziałał dużo dobrego, a w końcu wybawił miasto od Moru, nakrywając kurhan własnym ciałem! Oddał za was życie, a wy...

Zachwiała się, czując straszny, wewnętrzny ból. Tortury pozostawiły na jej ciele sporo okropnych śladów. Egert pokasał własne palce do krwi. Tłum huczał głucho. Zdumieni ludzie powtarzali jeden drugiemu słowa oskarżonej, przekazując je na plac i w niektórych sercach, być może, pojawiło się zwątpienie. Studenci rozprostowali plecy i stanęli zwartą grupą popleczników Torii. Soll zauważył kątem oka rektora, jak przeciskał się ku drzwiom, chwytając za serce.

Fagirra, wcale nie zmieszany, uśmiechnięty zjadliwie, stwierdził niezbyt głośno:

– Próbujesz umniejszyć swoją winę, rzucając oszczerstwa na święty zakon...

Toria z trudem zdobyła się na odpór.

– Nie przedstawiliście ani jednego wiarygodnego dowodu winy mojego ojca.

Wszystko, co mówicie, jest... Nie macie dowodów ani świadków...

Mówiła coraz ciszej. Ludzie przycichli, próbując dosłyszeć jej słowa. W dusznym pomieszczeniu słyhać było tylko skrzypienie piór na pergaminie i oddechy obecnych.

Fagirra uśmiechnął się krzywo.

– Mamy świadka.

Toria chciała powiedzieć coś jeszcze, potrząsała głową, jakby chcąc wylać na mnicha cały swój gniew i pogardę, lecz zacięła się i zamilkła. Egert wiedział, że resztki nadziei umykały z niej, jak woda przeciekająca przez palce. Uczepiła się go ostatnim wysiłkiem i zgasła. W całkowitej ciszy zwróciła ku niemu głowę i oczy ich się spotkały.

Siedział samotny na długiej ławie, skurczony boleśnie, obarczony brzemieniem zdrady. W oczach Torii zjawilo się rozpaczliwe pytanie, na które nie mógł odpowiedzieć. Chwilę spoglądali na siebie. Czuł, jak w jej duszy walczą o lepsze smutek, rozpacz, pogarda dla jego słabości. Do tych wszystkich uczuć doszło jeszcze śmiertelne zmęczenie. Dziewczyna spuściła powoli głowę, przygarbiła się i bez słowa wróciła na swoje miejsce, powłócząc nogami.

Jakiś czas panowała cisza, potem podniósł się narastający hałas. Kancelista znowu chciał uderzyć o blat stołu, lecz zakonnik powstrzymał go nieznacznym ruchem, toteż niczym nie skrępowani ludzie zaczęli głośno wyrażać swoje uczucia: zdziwienie, oburzenie, gniew przeciwko czarom, słabnący wobec niedostatecznych dowodów oskarżenia.

W końcu mnich strzelił palcami, urzędnik załomotał w stół, a strażnicy uderzyli o podłogę drzewcami pik. Tłum zamilkł powoli. Sędzia powiedział coś, co kancelista powtórzył głośniejszym głosem, lecz nie dotarło to do Egerta, trwającego w otepieniu, toteż jeden ze strażników wziął go mocno za ramię i doprowadził do barierki.

Rozglądał się wokół błędnie. Fagirra świdrował go wzrokiem spod kaptura, nakazując mu coś w milczeniu stanowczo, choć z pozoru życzliwie.

Egert nie pamiętał, jak znalazł się przy barierce.

Na zewnątrz z pewnością świeciło słońce, którego dwie smugi wpadły do środka przez dwa wysokie, wąskie okna. Studenci ożywili się w swoim kącie. Egert usłyszał swe imię, powtórzone wielekroć, ze wzburzeniem, głośniejszym głosem i ciszej, z obojętnym zdumieniem lub radosną nadzieją. Ci, którzy przez wiele dni mieszkali z nim i stołowali się, którzy bywali na tych samych wykładach i popijali wino w tych samych tawernach oraz wiedzieli o przyszłym ślubie mieli prawo spodziewać się po nim postawy człowieka uczciwego.

Kat znowu westchnął głośno, próbując oczyścić fartuch z jakiejś plamki. Szczypce cicho zadźwięczały w worku, napędzając stracha świadkowi.

Toria spoglądała gdzieś w bok, przygarbiona, przybita, zrezygnowana.

– Oto świadek oskarżenia – zagrzemiał Fagirra. – Nazywa się Egert Soll.

Ostatnio jako jedyny miał prawo wchodzić do pracowni dziekana, będąc blisko z jego córką. Dlatego jego świadectwo jest ważne. Owej fatalnej nocy był obecny przy odrażającym magicznym rytuale. Słuchamy cię, Soll.

Nastąpiła grobowa cisza. Dwa okna spoglądały na Egerta jak dwoje pustych, jasnych oczu. Milczał, wpatrując się w pyłki tańczące w smugach światła. Toria, podniosła głowę, zastygła w napięciu.

Z pewnością udzieliły się jej jego smutek i ból, gdyż w tym momencie poczuł, wstrząsany kolejnymi falami lęku, jak pragnie go wesprzeć spojrzeniem.

Milczał, nie czując się na siłach wydusić z siebie jednego słowa. Fagirra uśmiechnął się wyrozumiale.

– No, dobrze... Będę zadawać pytania, a ty nam odpowiesz. Czy nazywasz się Egert Soll?

– Tak – odrzekł machinalnie.

Tłum westchnął przeciągle.

– Przybyłeś tu z miasta Kawarren prawie dwa lata temu?

Egert ujrzał oczami duszy baszty i chorągwie, odbijające się w wodzie leniwie płynącej Kawy, jezdnię obmytą strugami deszczu, osiodłanego kucyka, głośno trzaskającą okiennicę i roześmianą matkę, osłaniającą dłonią usta...

– Tak – przyznał z roztargnieniem.

– Doskonale... Zgadza się, że cały ten czas mieszkałeś przy uniwersytecie, często spotykając się z dziekanem i jego córką, która została w końcu twoją narzeczoną?

Odpowiedział wreszcie na nieme błaganie Torii i postanowił na nią spojrzeć.

Siedziała pochylona do przodu, nie spuszczać zeń oczu. Kiedy wyczuła, że patrzy na nią, twarz jej się rozjaśniła, a splekane usta próbowały ułożyć się do uśmiechu. Nawet teraz cieszyła się, że go widzi, choćby na pograniczu zdrady. Niezdolna gniewać się, patrzyła na niego z niemal matczyną czułością i współczuciem. Przecież jego też przesłuchują, być może dręczą jeszcze gorzej, na oczach całego miasta i ukochanej kobiety. Dobrze rozumie, jak teraz się czuje.

Łatwiej byłoby mu znieść jej pogardę niż współczucie. Spojrzał nienawistnie na mnicha.

– Tak!

W tej chwili Toria drgnęła, mrugając gwałtownie powiekami. Znowu napotkał jej spojrzenie i też zadrżał. Oboje zrozumieli, co się właśnie dzieje.

Przesunął drżącą dłonią po szramie. Ten jeden dzień. Jedyna szansa. Żeby tylko się nie pomylić...

– Czy to prawda, że nocą przed nadejściem Moru byłeś w gabinecie dziekana i widziałeś wszystko, co się tam działo?

Musi przejść drogę do końca...

– Tak – odpowiedział czwarty raz.

Kat potarł nos ze smutkiem. Zakonnik uśmiechnął się triumfalnie.

– Czy to prawda, że dziekan wywołał zarazę magicznymi zaklęciami?

Stalowe ostrze rozorało mu policzek. Klątwa złamała mu życie. Był bardzo pewny siebie tamtego ranka. Wiosna zaczynała się chłodem i wilgocią, krople deszczu spływały po pniach, jakby drzewa kogoś opłakiwały. Przymrużył powieki, kiedy Tułacz opuścił szpadę na jego twarz. Czuł ból, ale nie strach, nawet w takiej chwili...

Poczuł, że szrama ożywa, pulsuje, pali żywym ogniem. Trzymając wciąż dłoń przy policzku, spozjrzał przed siebie i napotkał jasne oczy z bezręsyimi powiekami.

Tułacz stał pod ścianą w tłumie, a jednak odeń oddzielony. Pośród mnóstwa zaciekawionych, oburzonych, chmurnych i napiętych twarzy, jego pociągłe, przeorane brzdami oblicze zdawało się obojętne, jak maska. „Gdy pierwsza rzecz w twojej duszy okaże się ostatnią... Gdy na pięć pytań pięć razy odpowiesz: tak...”

Los wiedzie go po nitce do kłębka.

Wzdrygnął się, ponieważ Toria w tym samym momencie też zauważyła Tułacza. Jej spękane wargi ułożyły się w końcu w niepewny uśmiech.

Z tym uśmiechem pójdzie na straszną śmierć. Tak się złożyło, że zbawienie Solla związane jest z wyrokiem na Torię. Wie o tym, a jednak się uśmiecha, ponieważ widziała wiecznie kwitnące drzewo na grobie Pierwszego Wieszczbiarza, były także przeżyte wspólnie noce i jego przysięga, że zdejmie dla niej klątwę...

Pierwsze w jego duszy powinno stać się ostatnim. Musi się jej wyrzec i podpisać na nią wyrok śmierci, inaczej nie odmieni swego przeklętego losu. Kto zaplątał ten życiowy węzeł?

Zbyt długo milczy. Widzowie się irytują, Fagirra marszczy brwi, kat spogląda z zainteresowaniem, powoli opuściwszy na podłogę worek ze szczypcami...

Przymknął powieki, lecz wyobraźnia podsunęła mu natychmiast przeraźliwie wyraźny obraz: izba tortur. W przeguby Solla wpijają się rzemienie, pochyla się nad nim oprawca w płóciennym fartuchu, trzymając w dłoniach szczypce... Zaciśnięte zęby młodzieńca rozwierane są potężnym nożem, rozwarte kleszcze zbliżają się,

jakby chciwe posiłku. Rozpaczliwie usiłuje odwrócić głowę i wtedy słyszy głos z, ciemności: „Za krzywoprzysięstwo...” Czuje stal zaciskającą się na języku...

Człowiek nie powinien tak się bać. Tak boją się zwierzęta, schwymane w potrzask, bydłeta pędzone na rzeź... Egert z trudem utrzymuje się na nogach.

Fagirra nie spuszczał z niego wzroku, ciężkiego jak płyta nagrobna, dławiącego za gardło, przenikającego do głębi duszy, mącącego myśli. Piąte pytanie zostało zadane...

Powinien od razu odpowiedzieć, dopóki szczytce wciąż spoczywają w worku, dopóki obserwuje go Tułacz, który rozumie jego udrękę. Odpowie twierdząco i strach przestanie nim trząść. Szrama na policzku coraz bardziej pali i pulsuje jak żywe stworzenie, niczym pasożyt, długo pijący jego krew, a teraz zdychający.

– Egercie – dotarł do niego ledwie słyszalny głos z ławy oskarżonych.

Być może w rzeczywistości nie wypowiedziała tego na głos. Obejrząwszy się, zrozumiał, że błogosławi jego piąte „tak”.

Ogień na kominku, ciemne włosy na poduszce... Dziecinny lęk i takąż ufność. Wysokie okno biblioteki... Mokry ptak na ścieżce... Słońce prześwieca przez szyby... Koszyk w dłoni, zielone liście warzyw łaskoczą dłoń... Ciepła bulka z jej rąk... I znowu słońce. Odcisk obcasa w miękkiej, rozgrzanej ziemi... Dłonie na oczach i słońce między palcami... Mokre trawa pachnie, śnieg taje na włosach...

Toria poruszyła się lekko na skrzypiącej ławce.

– Egercie...

Jak bardzo boi się o niego. Jak pragnie, żeby wszystko się szybko skończyło, żeby wreszcie powiedział...

Nie może się dłużej wahać. Strach zrobi wszystko za niego, jego wargi nie są w stanie ułożyć się do innego słowa, aniżeli piątego, czarodziejskiego „tak”. Jego struny głosowe odmówią współpracy, jeśli będzie chciał zejść z drogi przeznaczenia.

Fagirra porozumiał się wzrokiem z oprawcą.

– Wystarczy, Soll! Ostatni raz powtarzam pytanie: Czy to prawda, że magiczne zaklęcia dziekana i jego córki wywołały w naszym mieście zarazę?

Wąskie wargi Tułacza drgnęły lekko. „Łatwo się pomylić, lecz pomyłka może cię drogo kosztować... Taka chwila zdarza się raz w życiu i przepuszczenie takiej okazji oznacza całko wita stratę nadziei”.

Jak wiele cierpienia w tej sali. Jak wiele bólu w delikatnym ciele Torii... Jak boli go szrama.

Cisza.

Podniósł oczy. Okna patrzyły na niego bezdusznymi źrenicami Tułacza.

Strach nim potrząsał, drapał w gardle, paraliżował język, wył w duszy i miotał się w sercu, jak wściekły potwor, od dawna moszczący sobie w ciele Solla wygodne legowisko.

– Nie...

Słowo wyrwało się samo z jego ust. Zamknął oczy z rezygnacją, oddając się w ręce strażników.

W napiętej ciszy słowo to zabrzmiało gromko niczym wybuch wieży prochowej.

Studenci zakrzyknęli triumfalnie, tłum zahuczał, Fagirra podskoczył ze złości, Toria zaś, omdlewając na swojej ławce, zrozumiała, że jej ukochany odrzucił szansę i na zawsze pozostanie pod działaniem klątwy. Sam to natychmiast pojął. Drżące dłonie pofrunęły ku ustom, jakby chciał nimi wtłoczyć z powrotem dopiero co wypowiedziane słowo. Zaraz jednak skonstatował z ulgą, że nie da się cofnąć tego, co zostało wypowiedziane. Niech strach nadal go dręczy, wszystko jedno... Zachwiał się i spojrzał wyzywająco na publikę, a zwłaszcza na Tułacza.

W tym momencie Tułacz, który zdawał się najbardziej w tłumie obojętny i bezstronny, uśmiechnął się szeroko.

Świat zakołysał się przed oczami Egerta, odpłynął, pociemniał, jakby strawiony ogniem. Przez chwilę czuł ogarniający go śmiertelny spokój. Miał ochotę zamknąć na zawsze powieki i radować się tą błogą ciszą. Świat jednak zaraz powrócił wraz z rykiem tłumu i wrzaskami straży, powróciły także kolory. Miał wrażenie, że nigdy jeszcze nie widział tak jaskrawych barw.

Kim są ci ludzie?! Ten, który skrywa twarz pod kapturem? Jakim prawem trzymają Torię pod strażą?

Podest zadrżał w posadach. Egert oprzytomniał, gdy był już w ruchu. Ktoś w czerwono-białym mundurze odskoczył na bok, zasłaniając się strachliwie piką... Zydel oprawcy runął, on sam padł niezgrabnie, jak zdychający szczur, z worka wypadły żelazne szczypce...

Egertowi zdawało się, że porusza się wolno, jak mucha ugrzęzła w miodzie. Przed oczyma migały mu wykrzywione twarze, ledwie słyszał też gromkie zapewne okrzyki: „Łapcie go!” albo: „Nie zbliżać się do niego!”. Studenci wyli radośnie, a kancelista walił pięścią w stół. Błada twarzyczka Torii był wciąż bliżej i bliżej, ze

swymi szeroko rozwartymi oczyma, okolonymi wygiętymi, gęstymi rzęsami i z półotwartymi, splekanymi usteczkami... Biegi ku niej całą wieczność, deski podestu drżały pod jego nogami. Ktoś próbował stanąć mu na drodze i padł, zmieciony jednym ruchem. Biegł dalej, a po policzku spływała mu krew, ponieważ na miejscu blizny otworzyła się świeża rana.

Potem potknął się o podstawioną pochwę miecza. Stracił z oczu buzię ukochanej, padł, tłukąc łokcie. Przed oczami mignęła mu krawędź podwyższenia, potem ciemny sufit. Usłyszał gdzieś z góry:

– Kara za fałszywe zeznania?! ...

Nabrzmiałe żyły na skroniach, drżące pobladłe wargi, złowieszcze zmarszczki w kącikach ust... Twarz człeka, który przesłuchiwał Torię. Fagirra trzymał w dłoni krótki miecz, oręż strażników. Sztych skierowany był prosto w pierś Egerta.

Toria. Poczł jak słabnie od nieznośnego lęku, jak obejmują ją lepkie dłonie kata. Przed oczami zaczęły latać mu czarno-czerwone plamy.

Zryw. Półobrót. Nie walczył dwa lata, lecz czuł radosne drżenie wszystkich mięśni. Był jak pies spuszczonej ze smyczy.

Toria wyrzywa się z cudzych rąk. Jak tamten śmiał jej dotknąć?

Uderzył nawet nie patrząc. Nadbiegający strażnik zgiął się z bólu, miecz wypadł z jego ręki, lecz nie upadł na ziemię, gdyż Egert przechwycił ciężką rękojeść. Nieznana mu broń. A jednak ręka sama zrobiła co trzeba i usłyszał ze zdziwieniem brzęk metalu uderzającego o metal i ujrzał strzelające skry, a tuż przed sobą wściekłe, oszalałe oczy Fagirry.

Toria szarpała się, była tuż obok niego. Egert czuł, jak trzymające ją dłonie urażają rany po torturach, lecz ona tego prawie nie czuła, przejęta lękiem o ukochanego...

Ostrza mieczy znowu się skrzyżowały. Fagirra atakował z pianą na ustach, z furią wymachując bronią. Egert kontratakował, pragnąc usunąć ostatnią przegrodę, oddzielającą go od ukochanej.

Zdawało mu się, że krzyczy. Zdawało się, że ktoś w szarej opończy próbuje go zająć od tyłu. Toria zamarła z przerażenia. Chwilę potem na drewniany podest upadło coś, przypominające okrwawioną dłoń zaciśniętą na rękojeści sztyletu. Miniaturowa szubienica została zmieciona z sędziowskiego stołu, a kukła wisielca po raz pierwszy uwolniona od stryczka. Parę sekund później miecz w dłoniach Egerta skierował się znów w stronę głównego przeciwnika. Fagirra potknął się i upadł. Soll patrzył w jego

zachodzące bielmem źrenice.

– Egercie! ...

Czyjeś bezlitosne ręce odciągały ją od niego. Soll spojrział gniewnie i zdobywczy miecz znowu był w robocie.

Nędzne życie miejskiego siepacza zgasło w jednej chwili. Nieszczęśnik padł pod nogi byłej ofiary ze sterzącą z pleców rękojeścią. Toria odskoczyła ze wstrętem. Zakochani spotkali się wzrokiem.

Za co to wszystko? Krew, przerażenie... Czym sobie na to zasłużyła...

Ruszyli ku sobie. Wyciągając ku niej dłonie, zauważył, że spogląda na coś za jego plecami. Obejrzał się w porę, ponieważ tuż za nim stał zmartwychwstały niespodziewanie Fagirra, z ohydny grymasem zamierzający się sztyletem.

Nie bój się, Torio. Nigdy już nie będziesz się bać.

Udało mu się sparować pierwszy atak. Wróg był silny i żywotny, do tego znakomity szermierz. Za drugim razem omal nie zranił ręki Egerta.

Broń! Niebiosa, dajcie mi szpadę albo chociaż, kuchenny nóż...

Potknął się, ledwie zachowując równowagę. Nie może pozwolić, by tamten zranił! Torię! Wystarczy lekkie zadrapanie tego ostrza z ciemną plamą trucizny na czubku...

Pod stopami Egerta zabrzęczały żelazne szczypce. Poczł ich ciężar w dłoniach, podnosząc je momentalnie i wykonując w powietrzu straszliwego młyńca, akurat gdy zakonnik rzucił się do najbardziej podstępного ataku.

Egert nie chciał, żeby widziała to jego ukochana. Cofnął się o krok i wolną dłonią zasłonił jej oczy.

Fagirra wciąż stał. Szczypce sterczały z jego piersi, przy czym zębate kleszcze szczyrzyły się urągliwie. Plecy mnicha przebijały okrwawione rączki narzędzia. Agonia była straszliwa. Soll przygarnął do siebie ukochaną, starając się nie urazić jej blizn.

Jej liczko, przykryte do połowy męską dłonią, zdawało się zagadkowe jak maska. Usta drgnęły, jakby w próbie uśmiechu, rzęsy łaskotały wewnątrz dłoni, co przypomniało mu dotyk skrzydełek ważki.

Świat odmienił się, podobnie jak bieg czasu. Niepewnie pogładził policzek prawicą, nie znajdując tak dobrze znanej szramy.

W sali panował tymczasem kompletny chaos. Studenci bili się z mnichami, zrywając im z twarzy kaptury. Słychać było soczyste przekleństwa i brzęk stali.

Uliczny tłum wdarł się do wnętrza, deptając wszystko i wszystkich na swojej drodze, dopełniając dzieła zniszczenia.

Egert tego nie słyszał. Wycie motłochu cichło w jego uszach, potem zanikło całkiem, jak gdyby ogłuchł. Coś dziwnego stało się także z jego wzrokiem. Powiódł wzrokiem dookoła i ujrzał tylko samotnego starca z wyrzeźbionym przez zmarszczki obliczem.

Tułacz ruszył powoli do wyjścia, torując sobie drogę bez trudu w szalejącym tłumie, roztrzacając go jak dziób okrętu roztrąca wodę. Stojąc już w progu, zerknął przez ramię. Egertowi zdawało się, że bezrzesę powieki mrugnęły do niego na pożegnanie.

Nadeszła wiosna.

Toria nie mogła wejść na kopiec o własnych siłach, gdyż była wciąż bardzo słaba, a jej rany nie do końca się zabiłiżyły. Niósł ją, stąpając mocno w rozmięklej glinie, nie poślizgnąwszy się ani razu.

Na wierzchołku wzgórza znajdowała się mogiła przykryta stalowym skrzydłem niby rozpostartą dłonią. Stanęli nad nią z pochylonymi głowami. Po nieboskłonie wędrowały różno-kształtne, białe obłoki. Egert i jego ukochana nie musieli rozmawiać między sobą o człowieku, pochowanym pod skrzydłem. I bez tego był z nimi.

Stali przytuleni, tak samo jak tamtego chłodnego dnia. Ich podwójny cień odbijał się tym razem nie w iskrzącym śniegu, lecz na rozmokłej, czarnej ziemi, porosłej pierwszymi źdźbłami. Egert łowił rozdętymi nozdrzami cierpki zapach traw, nie będąc pewnym, czy czuje zapach Torii, czy też świeżo rozkwitających kwiatów na zboczu kurhanu.

Z jej zaciśniętej dłoni zwieszała się złota płytka na łańcuszku, jakby kobieta chciała pokazać ojcu, że ocaliła jego dziedzictwo.

Daleko w dole płynęła wzburzona wiosennie rzeka. Na drodze wiodącej od bramy miejskiej poruszał się samotny, czarny punkcik, zmierzający w stronę horyzontu. Nie musieli także rozmawiać na temat odchodzącego w dal człowieka, oboje wiedzieli bowiem, że jest nim dobrze znany Tułacz.

Wszystkie drogi prowadzą go zawsze w stronę horyzontu, na kraniec świata.

Rozbiegają się pod stopami jak spłoszone myszy i trudno się zorientować, czy to

koniec, czy też może nowy początek.

Drogi są istotą jego egzystencji, a ich wierne towarzystwo osładza jego samotność. Przydrożny kurz osiada na polach jego opończy, jak gwiazdny pył na czarnej materii nocnego nieboskłonu. Wiatr z taką samą gorliwością przegania obłoki po niebie, jak łopocze schnącymi na sznurze białymi prześcieradłami.

Nie to najgorsze, że słońce wypaliło duszę, pozostawiając popioły i zgliszcza. I nie to, gdy nie wiesz, dokąd idziesz. Najgorzej, gdy nie ma już, dokąd iść. Ten, kto wstąpił na drogę prób i doświadczeń, nie spocznie, dopóki nie przejdzie jej do końca.

Chyba, że podróż będzie trwała bez końca.